

De.I 1.
TOM CCLXX.

ROK 68.

SERYA 9.

ZESZYT 808.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

K W I E C I E Ń .

1908.

TOM II.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

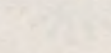
—
1908.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
1. WYWŁASZCZENIE,—przez <i>Jana Zółtowskiego</i>	1
2. UWAGI Z POWODU USTAWY O WYWŁASZCZENIU,—przez <i>Kape</i>	10
3. ŁUNA,—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	23
4. OSTATNIE DWUDZIESTOLECIE EWOLUCYI SPOŁECZNEJ W ANGLIJI,—przez <i>M. Łempickiego</i>	34
5. SŁOWACKIEGO LATA OSTATNIE,—przez <i>d-ra T. Grabowskiego</i>	73
6. SEJM W EMIGRACYI,—przez <i>Stanisława Szpotkańskiego</i>	97
7. RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	117
8. POD OSŁONĄ LITERATURY,—przez <i>W. Bogusławskiego</i>	136
9. FANTIN-LATOUR (malarz i litograf),—przez <i>Jana Topassa</i>	158
10. PIŚMIENNICTWO: Moja wojaczka, 1825—1831. Z notatek, szkiców i wspomnień Jerzego Ręczyńskiego, ułożył Władysław Chodźkiewicz,—przez <i>H. Mościckiego</i>	170
WALTER RALEIGH: Shakespeare,—przez <i>Andrzeja Tretiaka</i>	172
Car Dymitr Joannowicz. Kronika dramatyczna A. Nowaczyńskiego,—przez <i>Z. D.</i>	178
11. KRONIKA MIESIĘCZNA: Zamordowanie Andrzeja hr. Potockiego.—Zakaz językowy w Prusach.—Kolonizacya niemiecka w Król. Polskiem.—Sprawa Uniwersytetu warszawskiego.—Instytut bibliograficzny.—Urzędowe szkolnictwo początkowe w r. 1903/4	184
12. WSPOMNIENIA POZGONNE: Ś. p. Jan Tadeusz ks. Lubomirski i ś. p. Ludwik Górski,—przez <i>Z. D.</i>	203
13. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	209

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 4.

Wydawnictwo Towarzystwa Bibliotecznego



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

ISSUE MEDICAL.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.


Rok VIII. — Tom II.

WARSZAWA

Wydawnictwo Towarzystwa Bibliotecznego

1882


Ogólnego zbioru Tom 270.



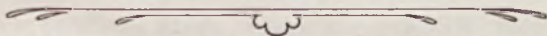
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1908. — Tom II.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1908.

Wydawnictwo Towarzystwa

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA



PISMO WARSZAWA

De T. A.

Wydawnictwo Towarzystwa

Rok 1908 - Tom II

WARSZAWA

WYWŁASZCZENIE.

Wywłaszczenie stało się prawem. Mimo pozornych trudności, jakie projekt napotkał w izbach, wiadomość ta nie zadziwiła nadmiernie tych, którzy stosunki polsko-pruskie znają z bliska. Prawo wywłaszczenia jest logiczną, choć niemądrą konsekwencją całego systemu germanizacyjnego. Egoizm narodowy z jednej strony, a z drugiej urzędowy postulat etnograficznej jednolitości państwa musiały się w tym punkcie spotkać i wytworzyć ten produkt, na który własni rodzice ze zdziwieniem i niedowierzaniem spoglądają.

W obecnej chwili nie pora już zastanawiać się nad epizodami tej parlamentarnej farsy, która starała się nadać bezprawiu powagę ustawy. Dla większości narodu niemieckiego był to epizod tylko, o którym jutro pamiętać już nie będzie. Dla Polaków sytuacja jest w najwyższym stopniu dramatyczna, od nich samych jednak zależeć będzie w części, aby się nie stała tragiczną. Mimo pozorów bowiem, które wszystkie przeciw nam się sprzyściły, położenie Polaków nie jest bynajmniej jeszcze rozpaczliwym. Obecnie rząd uzyskał prawo wywłaszczenia siedemdziesięciu tysięcy hektarów (dziesięć) ziemi. Księstwo Poznańskie ma mniej więcej 580,000 hektarów polskiej większej własności ziemskiej i blisko 800,000 hektarów polskiej mniejszej własności. Przyjmując za szczerze oświadczenia rządu, że będzie on tylko połowę większą własność sięgał, to miałby do dyspozycji jedną jej ósmą, a siedem ósmych, czyli 510,000 hektarów, pozostałyby nietknięte,

jak również cała mniejsza własność polska w Księstwie i wszelkie polskie posiadłości w Prusach Zachodnich na Warmii i Górnym Szląsku.

Zestawienie tych cyfr, jak również mowy ministrów, wskazują już teraz na taktykę, którą kolonizacya stosować zapewne będzie. Nietyle dbać ona będzie o bezpośrednie nabywanie ziemi drogą wywłaszczenia, ile o wywołanie depresyi moralnej i paniki w obozie polskim. Dążeniem rządu będzie niewątpliwie, by nad całym polskim społeczeństwem rządzić terrorem i groźbą. W naszej do pewnego stopnia mocy, by broń tę w rękę jego stępić. Natrafimy na groźby i na pokusy. Na groźby, w razie gdybyśmy nie zaniechali wszelkich objawów życia narodowego; na pokusy, przeciwstawiające nam doraźny zysk majątkowy w razie dobrowolnej sprzedaży—niepewności i przewlekłej procedurze wywłaszczenia.

Co do ulegania, lub nie, groźbom rządu w sprawach życia społecznego i politycznego, to pozostawić to trzeba przedewszystkiem sumieniu i taktowi jednostek. Tak samo, jak lekkomyślna ostentacyjność i narażanie się byłoby grzesznem, tak znowu i uległość nie powinna iść za daleko. Stawiając się na stanowisku narodowym, trzeba liczyć się z faktem, że rząd całe udzielone mu prawo wywłaszczenia 70,000 hektarów niewątpliwie wyzyska. Ratując więc przez ustępstwa majątek swój od wywłaszczenia, zbyt ostrożny obywatel przesunąłby tylko straszące widmo na inne miejsce i dla narodu nicby jeszcze nie uratował, a przez zaniechanie społecznej pracy wyrządziłby ogółowi pozytywną szkodę. Zresztą i z tem liczyć się trzeba, że po pierwszych ustępstwach przyszłyby wymagania dalsze, któreby były wprost nie do przyjęcia. Tak więc konflikt byłby chwilowo tylko zażegnany, lecz nie zasadniczo usunięty.

Co do pokus, o których wspomnieliśmy, to pierwszym obowiązkiem, by nikt się pod żadnym pozorem na dobrowolną sprzedaż nie godził. Rządowi oddałby przez to wybitną przysługę, rozszerzając granicę przysługujących mu praw, a sobie żadnej, nawet materialnej nie sprawiłby korzyści. Prawo wywłaszczenia, na którego wzór ułożono nową ustawę, datuje się z roku 1874,

jest więc dokładnie już znane i w teorii i w praktyce. Zapewnia ono właścicielowi *pełną* wartość wywłaszczonej nieruchomości, a obok tego istnieje mnóstwo praejudyciów z dawniejszych procesów, które stosowanie jej bliżej objaśniają. Ktoby więc sprzedał obecnie majątek swój z wolnej ręki rządowi lub jego agentom, zasługiwałby tak, jak dotychczas, na pogardę społeczeństwa, tem cięższą, im sytuacja jest poważniejszą. Jeżeli zatem Polacy okażą dość hartu, pozostanie rządowi tylko jawne wywłaszczenie do dyspozycji. Pomijamy tu wzgląd na odium, z którym rząd niebardzo liczyć się zdaje, i przechodzimy znówu do praktycznych konsekwencji.

Przedewszystkiem rząd będzie musiał bardzo wysokie ceny za ziemię płacić. Nie uwzględniamy tu nawet kwestyi, czy i o ile odszkodowane zostaną wartości idealne, jak np. społeczne i towarzyskie stanowisko, związane częściowo z posiadaniem starego majątku, albo poszkodowanie właściciela we własnej jego osobie przez wytrącenie go z naturalnego i najstosowniejszego warsztatu pracy. Ale nawet poza tem, biorąc cenę tylko rzeczową, będzie ona zapewne znaczną. Jeżeli się bowiem uwzględnimy, że dobra, które pozostały w rękach polskich, są przeważnie wyborowemi pod względem jakości i kultury, czego dowodem właśnie, że wszystkie przesilenia rolne zwycięsko przetrzymać zdołały; gdy dodamy do tego wzgląd na korzystną konjunkturę rolniczą, jaka od blisko 10-ciu lat w Prusach panuje; gdy zauważymy jeszcze, że majątek, nie będący na sprzedaż, z natury rzeczy większą przedstawia wartość od majątku, będącego w handlu, to się przekonamy, że ceny z lat ostatnich, które rząd już za nienormalnie wysokie uważał, mogą być przy wywłaszczeniu bardzo znacznie jeszcze przekroczone. Zwracamy uwagę na to nie ze względu na finanse państwa i trudności dla niego stąd wynikające, gdyż rząd lokuje fundusz kolonizacyjny niejako à fonds perdu bez nadziei, nietylko odzyskania kapitału, ale i racjonalnego oprocentowania; co dla nas ważniejsze jest, to wzgląd na nas samych. Polacy bowiem mogą tym sposobem uzyskać środki do nabywania nowej ziemi wzaniam za wywłaszczoną. Czy więc ziemię będzie można z rąk niemieckich nabywać—oto pytanie, które się stawia. Zdaje nam się, że

tak.¹⁾ Trzeba sobie bowiem uprzytomnić, jaki jest skład niemieckiej własności ziemskiej w Księstwie. Prócz kilkunastu większych ordynacyj, nie będących z natury rzeczy do nabycia, oraz kilkudziesięciu latyfundiów wielkopańskich lub bankierskich, podlegających czujnemu oku i wpływowi rządu, reszta, to jest ogromna większość posiadłości niemieckich, jest niemal wyłącznie własnością spekulantów i dorobkiewiczów. Dla nich przywiązanie do tej obcej im ziemi nie istnieje prawie zupełnie, istnieje tylko interes dyferencyjny między ceną kupna i sprzedaży, spekulacya, jak każda inna. Ostatnie dziesięciolecie było świetną epoką dla tego rodzaju egzystencyj. Licytacya pomiędzy kolonizacyą a kupcami polskimi przedstawiała dla nich nadspodziewanie korzystne warunki. Obecnie przez prawo wywłaszczenia sytuacya zmienia się na gorsze i temu też, zarówno, co najmniej, jak idealnym motywom, przypisać trzeba, że wśród właścicieli Niemców w Księstwie tak silna przeciw nowemu prawu powstała opozycya. Z chwilą więc kiedy komisya kolonizacyjna nie zechce już kupować majątków niemieckich, mając wśród polskich dowolny wybór, nie ulega kwestyi, że bardzo poważny ułamek tych kilkudziesięciu tysięcy hektarów, które dotychczas kolonizacya corocznie z rąk niemieckich nabywała, znajdzie się w wolnym handlu i będzie mógł być przez Polaków kupiony.²⁾ I twierdząc to, nie zapoznajemy bynajmniej ogromnej presyi, jaką władza państwowa przez względy i urzędy na prywatnych właścicieli wywierać potrafi. Według tego, czy trwożliwość, czy chęć zysku przeważy, jedni w tę, drudzy w tamtą przechylą się stronę.

Ustrój duchowy Prusaków zasługiwałby na specjalne studyum. Żeby go zrozumieć, trzeba sobie uprzytomnić, że Prusacy byli do niedawna jeszcze najuboższym niemal narodem w Eu-

¹⁾ Prawny zakaz kupowania ziemi jest, zdaniem nawet sfer rządowych, niemożliwym do przeprowadzenia, gdyż stałby w sprzeczności z zasadniczem prawodawstwem rzeszy niemieckiej, któreby tylko parlament mógł zmienić, a to wydaje się być zupełnie wyłączeniem.

²⁾ Ostatnie sprawozdanie komisji kolonizacyjnej wykazuje, że w roku 1907 ofiarowano jej ze strony prawie wyłącznie niemieckiej 166,537 hektarów do kupienia i to 407 większych majątków i 885 gospodarstw chłopskich.

ropie, pracującym w niezmiernie ciężkich warunkach na ubogiej glebie, obciążonym dla utrzymania swego bytu państwowego nadmiarem ciężarów i podatków. Tylko skrzętność ogromna, pracowitość i oszczędność mogły mu istnienie zapewnić. Zalety te zostały nagrodzone wielkiem powodzeniem na wszystkich polach. Ze sfer najuboższych tego ubożego narodu wyrosły dzisiejsze Prusy. Wyrósł potężny przemysł niemiecki, wyszły sfery naukowe i przeważna część armii urzędniczej. Stąd ten hart niezwykły, wola, wyteżona niezmordowanie ku uzyskaniu pieniędzy i stanowisk, ale obok tego zupełny zanik tych cnót zbytkownych, które tylko długotrwałe powodzenie i dobrobyt wytwarzają. Bezinteresowności i ofiarności dla publicznej sprawy równie trudno się tam doszukać, jak niezależności zdania i śmiałości wobec potężniejszych. Pod powłoką dzisiejszego milionera lub profesora tkwi rdzeń natury brandenburskiego chłopa. Powodzenie przyszło zbyt nagle i niezdolało przerobić wewnętrznego człowieka stosownie do zewnętrznych warunków. Dlatego też przypuszczać można, że Niemcy poznańscy, którzy są pod tym względem ze wszystkich Prusaków najbardziej chyba Prusakami, nie będą się kwapili nadmiernie do utrzymania się na forpocztach, które im już zyskownych nie będą przedstawiały widoków. Gdy do niedawna bowiem posłuszeństwo wobec rządu było tu w zupełnej harmonii z materyalnym interesem jednostki, to teraz dwa te motywy będą nieraz w jaskrawej z sobą sprzeczności i władza będzie musiała wszystkich sił używać, aby tę swoją armię ochotniczą od dezercyi powstrzymać.¹⁾

Lecz obok tego, stawia się pytanie drugie, jak się społeczeństwo polskie w tych nowych i tak niebywałych warunkach zachowa. Obecnie jeszcze, mimo naprężenia nerwowego, wśród które-

¹⁾ Nie zapoznajemy bynajmniej patryotyzmu pruskiego. Jest on jednak odmiennym od tego, co my zwykliśmy patryotyzmem nazywać. Zasadniczym jego rysem jest abdykacya indywidualności samodzielnej na rzecz państwa. Jest to niewątpliwie źródło wielkiej siły dla narodu, ale i słabości zarazem. Jednostka, wyrzekłszy się inicjatywy, widzi w państwie tylko źródło bezpośrednich korzyści. Do ofiar na dalszą metę nie czuje się ani powołaną ani skłonną.

go cały naród od miesięcy żyje, utrzymał się i w prasie i w prywatnych kołach dziwny spokój i zimna krew. Oby tak pozostało i w chwili, kiedy razy zaczął padać. Zbrojnych odruchów obawiać się pono nie potrzeba, opinia publiczna nadto kategorycznie potępia je i za szalone uważa. Choćby więc tu i owdzie krewkość jednostki miała do burdy jakiej doprowadzić, to w żadnym razie społeczeństwa nie można za nie czynić odpowiedzialnym. Lecz co równie byłoby szkodliwym, to zniechęcenie i abdykacya, a w dalszym ciągu emigracya na obczyznę lub do innych dzielnic Polski. Nie ulega wątpliwości, że tu i owdzie do tego przyjdzie i przyjść musi. Są ludzie i rodziny, które pod grozą bardzo ciężkiej materyalnej i moralnej szkody, nie mogą pozostać czas dłuższy bez ścisłego zajęcia. O ile więc nie uda im się rychło nową jaką posiadłość nabyć, to będą zmuszeni do przesiedlenia się w inne strony. To samo tyczy się w pewnej mierze także prywatnych urzędników i oficyalistów, kupców, przemysłowców, lekarzy etc. Jeżeli jednak ogół społeczeństwa zrozumie swój własny, tak materyalny jak i moralny interes, i nieda się unieść nerwom, to liczba tych wyjątków nie powinna być wielką. Galicya ze swem przeludnieniem i wysokimi cenami ziemi, Królestwo z nieuspokojonemi jeszcze stosunkami i prawnymi utrudnieniami dla obcokrajowców, nie przedstawiają w obecnej chwili podatnego gruntu do imigracyi na większą skalę. W dodatku wada wielu Poznańczyków, polegająca na zbyt niem ekskluzywizmie prowincjonalnym, będzie u niejednego także silnym bodźcem do trzymania się stron rodzinnych.

Ale obok tego działać będą i czynniki wyższe. Poczucie solidarności społecznej, które w normalnych warunkach zwykło zanikać i ustępować miejsca klasowym antagonizmom, tutaj, pod niesłychanym uciskiem pruskim, skonsolidowało się niepomiernie. Każdy czuje, że jest członkiem całości, że jeden od drugiego zależy. Kupcy od właścicieli, właściciele od robotników, lud od księży i nawzajem. To też większość wywłaszczonych nie da zapewne za wygrane, choćby dlatego, by nie opuszczać w ostatecznej potrzebie tych, z którymi współpracowała lata lub lat dziesiątki. Lecz poza tem wszystkim jest względnie jeszcze inny, nie

wszędzie może uświadomiony, ale wszędzie odczuty. Pojmują to wszyscy, że po naszej stronie jest nie tylko prawo, ale jest i rozum. *Vous vous fâchez donc vous avez tort*—mówi francuskie przysłowie i to jest charakterystyka obecnego postępowania rządu. Nacjonalizm, jako myśl polityczna, ma niewątpliwie swoją rację bytu, o ile opiera się na zrozumieniu zdrowych potrzeb narodu. Ale idee, które nie postępują, karłowacieją. To też Niemcy, którzy wielkość swą obecną zawdzięczają w części rozumnie postawionej zasadzie narodowości, są teraz epigonami tylko swoich przodków, bo nie umieją poza ich myśl polityczną wykroczyć i w logicznym jej rozwoju o szczybel choćby pójść wyżej. W coraz bardziej komplikujących się stosunkach międzynarodowych jednostronnie egoistyczny głos Niemiec coraz większą budzić musi nieufność. Dziś jeszcze siły opancerzonego państwa starczą może na stawienie czoła wszystkim przeciwnościom. Czy starczą jutro? Czyż rozumnie jest stwarzać sobie trudności dlatego, że się je zwalczyć potrafi? Cóżbyśmy powiedzieli o maszyniście, któryby uważał za zaletę swojej maszyny, że wielkie tarcie skutecznie pokonywa? Dobra maszyna nie powinna mieć niepotrzebnego tarcia, mądre państwo powinno mieć minimum zewnętrznych i wewnętrznych konfliktów. W przeciwnym razie wolna siła unieruchomiona jest w jałowej pracy. A czyż wciąż nowe problemy nie żądają załatwienia? któż może twierdzić, że ma sił dosyć, aby wszystkim podołać? Wczoraj jeszcze Niemcy walczyły o hegemonię na lądzie tylko, dziś już stają do współzawodnictwa na morzu; ekspansja handlowa wymaga coraz intensywniej interwencji państwa; kolonie wciągają je w nowy zupełnie zakres działania. Na wewnątrz znów przemysł, zatrudniający połowę ludności kraju, żąda coraz czujniejszego oka państwa, a socjalizm jest moralnym czynnikiem, którego żaden przezorny mąż stanu ani ignorować, ani lekceważyć nie może. Nowe potrzeby powinnyby wytworzyć nowe sposoby działania. Tu widzimy ekskluzywizm i bezwzględność jako jedyne panaceum, wszędzie i wobec wszystkich stosowane. Czyż nie znamienne jest na naprężone stosunki Niemiec, że budżety, tak w Prusach jak w rzeszy niemieckiej, wykazują deficyty, liczące się już na setki milionów; że pożyczki

państwowe stoją na niebywale niskim kursie, a nowych źródeł dochodu trudno rządowi wynaleźć. Nie są to jeszcze objawy groźne, gdyż przeciwstawiłoby im można cały szereg czynników dodatnich, ale mimo to, sytuacja nie jest ani łatwą ani prostą. Zaostrożona kwestya polska w trzech prowincyach państwa nie przyczynia się też w niczem do pomyślnego stanu rzeczy. Czuje to wyraźnie większość narodu niemieckiego. Tylko powodzenie budzi entuzjazm, a tu powodzenie jest w porównaniu z wysiłkami tak nikłym, że nastrój ogółu jest raczej żałosny. Prócz sfer rządzących, prawie wszyscy potępili prawo wywłaszczenia. Gdyby nie niesłychana presya z góry, obydwie izby byłyby je odrzuciły, lub co najmniej zredukowały do bardzo skromnych rozmiarów. Serwiliżm zrobił raz jeszcze swoje, ale nieukontentowanie i wśród Niemców rośnie. Czas jakiś rząd może przeciw opinii ogółu rządzić, jeżeli jednak wkrótce okazałymi rezultatami poszczycić się nie zdoła, może i na tem, dotychczas najłatwiejszem, polu polityki antypolskiej, spotkać się z nieaufaniem i opozycją.¹⁾ Rząd pruski był przez całe pokolenia wprost idealnym rządem dla swych niemieckich poddanych, uczciwym, przezornym, ojcowskim. Teraz staje się kapryśnym, stronniczym i wstecznym. Są to grzechy, które na ustrojach państwowych mszczą się okrutnie. Dawno minęły czasy, kiedy Polacy ufali w interwencyę europejską. Ale w co ufać im wolno, to w logikę faktów. Nawet najpotężniejsze państwo nie może bezkarnie rządzić wbrew wszelkim zasadom rozumu i etyki. Nie traćmy nadziei, że i w organizmie pruskim pod siłą okoliczności rozum zwycięży nad namiętnościami.

*

*

*

¹⁾ Z powyższych powodów nie mówimy o możliwym rozszerzeniu w przyszłości ram terytoryalnych i finansowych wywłaszczenia. Zależć ono będzie od różnych czynników dziś nieobliczalnych jeszcze; to też realna myśl polityczna winna poprzestać na braniu w rachubę tego tylko, co nam jutro przyniesie, a kłopot o pojutrze pozostawić przyszłości do oceny i rozważki.

Jak na obecną chwilę wywody te wydadzą się może niejednemu nadto optymistycznymi, mogą być wzięte za zapoznanie grozy sytuacji. Tak nie jest. Prawo samo przemawia za siebie, ohydy jego i niebezpieczeństw nie zapoznajemy bynajmniej. Ządło jego jest tem jadowitsze, że ma przede wszystkim zdemoralizować społeczeństwo polskie. Wywłaszczenie ma działać na najgorsze nasze instynkty, na bojaźliwość, chciwość lub brak wytrwałości. To są niebezpieczeństwa, których tać przed sobą nie należy. Ale dlatego właśnie, że godzą one w byt nasz narodowy za pośrednictwem nas samych, zrozumiejmy, obok ich grozy, także i siłę, jaką przeciwstawić im możemy. Straty, które naród polski poniesie, będą niewątpliwie bardzo ciężkie i bolesne, ale od nas zależy, aby nie były niepowetowane. Położenie rządu jest może mniej silne, aniżeli on to na pozór okazuje, moralna wartość organizmu polskiego może niepoślednio zaważyć na szali.

Wielką siłą jednostek i narodów jest wyrzeczenie się osobistego szczęścia i podporządkowanie go pod ideę, pod służbę publiczną. Chwila jest tak ważna, że powinniśmy hart ku temu w sobie znaleźć. Przychodzą mimowoli na usta słowa, które poeta zwraca do tych, którzy odrodzić się mają:

Bądź arcydziełem nieugiętem woli,
Bądź cierpliwością—tą panią niedoli,
Co gmach z niczego buduje, powoli,
Bądź tą przegraną, której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki.

JAN ŻÓŁTOWSKI.

UWAGI

z powodu ustawy o wywłaszczeniu.

„Les morts vont vite.“ Przed kilku jeszcze laty niktby nie przypuszczał, aby w państwie bądź co bądź cywilizowanym, a przynajmniej szczytącem się swą kulturą, zdobyć sobie mogła większość reprezentacyi narodu ustawa, wyganiająca przemocą obywateli z ziemi, zroszonej krwią i potem ich ojców, z tego jedynie powodu, że obywatele ci innym hołdują przekonaniom politycznym. Przed trzema jeszcze laty, oświadczył w pruskiej izbie poselskiej minister Rheinbaben wobec skarg, wytoczonych przez przedstawicieli ludności polskiej na działalność komisji kolonizacyjnej, że o niesprawiedliwości wtedy jedynie mogłaby być mowa, gdyby Polaków przemocą wywłaszczano z ich majątków. Ten sam Rheinbaben, który, jeśli nie mylą rozmaite oznaki, był ojcem duchowym potwornej tej ustawy i który też zarówno w izbie poselskiej, jak i w izbie wyższej, najenergiczniej z wszystkich przedstawicieli rządu pruskiego przemawiał w jej obronie i najwięcej się przychylił do jej przyjęcia.

Swoją drogą sama myśl przymusowego wywłaszczenia Polaków nie datuje się od wczoraj. Od całego już szeregu lat należała ona do głównych postulatów hakatystycznego obozu i poruszano ją nieustannie zarówno w prasie, jak i na wszystkich zjazdach hakatystów. Sądzono jednak powszechnie, że konserwatywny skądinąd do przesady rząd pruski nie przyswoi sobie projektu, mniejsza z tem, że niesprawiedliwego, ale urągającego najelementarniejszym zasadom wszelkiej zachowawczej polityki.

Stało się inaczej. Okazało się i w tym wypadku, że jedynie pierwszy krok jest trudny. Krocząc po drodze prześladowania

i ucisku, rząd pruski nie cofnął się przed ostatnim tym czynem, który wywołał tak energiczne protesty najszlachetniejszych unyśłów wszystkich narodów.

Dotychczasowa polityka antypolska okazała się błędną nie tylko z etycznego, ale i z państwowego punktu widzenia, zamiast zgubić żywioł polski, skazany na zagładę, przyczyniła się tylko do jego moralnego i materyalnego wzmocnienia. Rozum zdawał się wskazywać, że należałoby nawrócić z błędnej drogi. Ale jak każda biurokracja, tak i biurokracja pruska niczego nie zapomniała i niczego się nie nauczyła. Jest przytem nieomylna. Zamiast więc przyznać się do omyłki i chwycić się innych metod, brnie dalej w swych błędach, nie cofając się przed najohydniejszymi nawet gwałtami.

Co zaś smutniejsze, to fakt, że w tej swojej polityce jątżenia i ucisku rząd liczyć może na bezwarunkowe poparcie znacznej większości ciała prawodawczego, przesiąkniętej duchem prześladowczego szowinizmu i egoizmu narodowego.

Ciała prawodawczego — bo reprezentacją narodu trudno nazwać sejm pruski, którego izba wyższa składa się w znacznej części z członków, mianowanych przez króla, a izba niższa wybierana jest na podstawie zacofanego, nawskroś kapitalistycznego systemu wyborczego, wyłączającego szerokie warstwy ludności z wszelkiego prawie wpływu politycznego.

Ale nawet w tej karykaturze reprezentacji narodu projekt wywłaszczenia obudził poważne bardzo wątpliwości. Zrozumieć to łatwo. Zachowawcy, rozporządzający w obu izbach sejmu pruskiego większością, obawiali się, z natury rzeczy, wytworzyć precedens, który w danym razie, przy zmienionych warunkach politycznych, dałby się zastosować przeciw nim samym. Dzisiaj, co prawda, władza państwowa w Prusach rozporządza jeszcze odpowiednią siłą, aby stłumić w zarodku wszelkie zamachy na nietykalność własności prywatnej niemieckiej; któż jednak ręczyć może za przyszłość? Zważyć zaś należy, że w pierwszej zaraz chwili po pojawieniu się projektu nowej ustawy antypolskiej nie tylko socyalistyczne, ale i wolnomyślnie dzienniki wskazywać zaczęły na olbrzymie majątki ślązkich, pomorskich i brandenburskich magnatów, jako na przedmiot nader podatny do wywłaszczenia.

Ostatecznie udało się jednak rządowi pruskiemu w krótkim względnie czasie uspokoić wszelkie obawy i skrupuły zachowawczego stronnictwa w izbie poselskiej. Trudniej było z izbą panów, gdzie opozycja przeciw temu niesłychanemu projektowi za-

rysowała się tak silnie, iż przez czas jakiś zamierzonej ustawie zdawało się zagrażać poważne bardzo niebezpieczeństwo. Co zaś na szczególne zasługuje zaznaczenie, to fakt, że w szeregach opozycji stanęli najwybitniejsi przedstawiciele zachowawczej arystokracji rodowej ze szwagrem cesarza, księciem Güntherem szlezwicko-holsztyńskim, na czele, a zwycięstwo na stronę rządu przechylili burmistrzowie wielkich miast i profesorowie, czyli reprezentanci „liberalnego“ światopoglądu. Jest to nowy i przekonujący dowód, jakie obecnie „liberalizm“ niemiecki hoduje owoce.

Tak więc rząd pruski otrzymał nowy i straszliwszy od wszystkich dotychczasowych oręż w swej walce z żywiołem polskim, czyli, wyrażając się ściślej, w swej polityce, mającej na celu jaknajśpieszniejsze zgermanizowanie wschodnich kresów państwa. Oręż ten, czyli prawo wywłaszczania majątków polskich w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich, przedstawia się w głównych zarysach, jak następuje:

Fundusz, przyznany rządowi, podnosi się o 200 milionów marek, z czego 75 milionów ma być przeznaczonych na regulowanie gospodarstw włościańskich. Osiedlanie samodzielnych robotników niemieckich na znaczniejszych włościach rentowych i na większych majątkach ziemskich należy popierać za pomocą premij. Rząd otrzyma fundusz w kwocie 50-ciu milionów, aby nabywał większe majątki ziemskie i sprzedawał je następnie w całości, jako włości rentowe. Na takich włościach należy w jaknajwiększych rozmiarach osiedlać samodzielnych niemieckich robotników rolnych na osadach rentowych. Do komisji wykonawczej należeć ma dwóch członków, z których każdy ma być mianowany na podstawie obejmującej, co najmniej, trzy nazwiska listy, przedstawionej przez izby rolnicze: poznańską i zachodnio-pruską.

Celem zabezpieczenia zagrożonej niemczyzny, przyznane będzie państwu, dla zaokrąglenia i wzmocnienia istniejących już grup kolonij w poszczególnych powiatach W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich, prawo wywłaszczania takich gruntów, które są niezbędne do osiągnięcia tego celu.

Wywłaszczenie obejmuje także ruchomości. Na żądanie właściciela, mogą być wyłączone z wywłaszczenia ruchomości niekoniecznie potrzebne do gospodarstwa na wywłaszczonych gruntach, oraz stada zarodowe. Przy gruntach zamieszkałych komisja kolonizacyjna obowiązana jest przyznać dotychczasowemu właścicielowi termin do opuszczenia domu mieszkalnego, wynoszący co najmniej trzy miesiące.

Obszar, przeznaczony na wywłaszczenie, niema przekraczać 70,000 hektarów.

Do projektu ustawy, uchwalonego przez pruską izbę poselską, izba panów tę jedynie wprowadziła zmianę, że z wywłaszczenia mają być wyłączone cmentarze, kościoły, majątki kościelne oraz należące do stowarzyszeń religijnych i dobroczynnych.

*

*

*

Nasuwa się teraz pytanie, jakimi motywami kierował się rząd pruski, przedstawiając ciału prawodawczemu projekt tego potwornego prawa, które nie tylko okryło Prusy hańbą w oczach całego świata cywilizowanego, ale i wśród najdotądniejszych żywiołów społeczeństwa niemieckiego wywołało energiczne bardzo protesty. Odpowiedź jest dość trudna. Wprawdzie przedstawiciele rządu, broniąc projektu wywłaszczenia, powoływali się nieustannie na niebezpieczeństwo, zagrażające jakoby potędze i całości niemieckiego państwa ze strony tak zw. wielkopolskiej agitacji, do tego jednak stopnia nie są naiwne rządzące koła berlińskie, aby wierzyły na seryo w istnienie tego niebezpieczeństwa. Wiedzą one bardzo dobrze, że najradykałniejsze nawet żywioły ludności polskiej nie noszą się z tendencjami antypaństwowymi, nie myślą o oderwaniu W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich od państwa pruskiego. Nie myślą już z tej prostej przyczyny, że projekt taki pozbawiony jest wszelkich widoków urzeczywistnienia.

Gdyby zresztą wśród ludności polskiej nurtowały tego rodzaju prądy i knowano spiski przeciw bezpieczeństwu państwa, to nadzwyczaj czujna policja pruska dawno już byłaby wysledziła winnych i słyszanoby o procesach politycznych i surowych karach, wymierzonych przeciw zdrajcom kraju.

Na seryo brać też nie można obaw, ujawnionych również ze strony rządu pruskiego w toku obrad nad projektem prawa o wywłaszczeniu, że w razie możliwego zatargu ze wschodnim sąsiadem nieprzychylnie dla państwa usposobiona ludność na kresach stanowiłaby mogła poważne niebezpieczeństwo. Najpierw bowiem możliwość takiego zatargu jest bardzo niewielka. Przynajmniej ze strony Rosyi Prusom podług wszelkiego przewidywania bardzo jeszcze długo zagrażać nie będzie żadne niebezpieczeństwo. Wie-

rzyć dalej wypada, że w razie wojny nie tyle, jak słusznie zaznaczył w Izbie panów jeden z najwybitniejszych przeciwników wywłaszczenia, feldmarszałek hr. Hässeler, chodzi o usposobienie ludności cywilnej, ile o liczbę bagnatów i przygotowanie wojennej armii. Wreszcie system, stosowany przez rząd pruski, pogarsza jedynie położenie, bo budzi coraz większą nienawiść wśród ludności, zamieszkującej kresy państwa.

Zdaniem naszym właściwych motywów szukać należy gdzie indziej. Otóż, jak wszędzie, tak i w Prusach społeczeństwo demokratyzuje się coraz bardziej, domaga się coraz głośniejszego niż dotychczas wpływu na kształtowanie swych losów i protestuje coraz energiczniej przeciw dotychczasowym reakcyjnym i policyjnym metodom rządzenia, których klasycznym krajem są i dzisiaj jeszcze Prusy. Na zewnątrz protest ten ujawnia się w coraz natarczywszem żądaniu zmiany obecnej zacofanej ustawy wyborczej, w żądaniu wprowadzenia i w wyborach pruskich powszechnego, tajnego, bezpośredniego i równego głosowania, obowiązującego w wyborach do parlamentu Rzeszy niemieckiej.

Zaostrzaniem więc antagonizmu narodowego, nieustannem wytykaniem „niebezpieczeństwa polskiego,“ dowodzeniem, że „kwestya polska“ stanowi w obecnej chwili najważniejsze zagadnienie niemieckiej polityki wewnętrznej berlińskie koła decydujące pragną odwrócić uwagę społeczeństwa niemieckiego od żądań wolnościowych.

Nie małą rolę grają także w całej tej sprawie potężne wpływy, jakimi cieszy się w pruskich kołach rządzących prześladowczy hakatyzm. Powiedział ktoś, że w dzisiejszych Prusach ten jedynie coś uzyskać może, kto głośno krzyczy. Nie ulega kwestyi, że hakatyści krzyczą najgłośniejsz: wznoszona przez nich straszliwa wrzawa rozbrzmiewa od Wisły do Renu, od Bałtyku do Sudetów i gór Olbrzymich.

Wreszcie, jeśli nie mylą rozmaite oznaki i dość różnorodne informacje, siłą popychająca, „die treibende Kraft,“ w całej obecnej antypolskiej polityce rządu pruskiego, a w szczególności w sprawie wywłaszczenia, jest osobisty sentyment monarchy. Uprzytomnić zaś sobie należy, że Prusy są państwem na pozór tylko konstytucyjnym, a w gruncie rzeczy decyduje o wszystkim, rozstrzyga we wszystkich ważniejszych kwestyach wola panującego. *Sic volo, sic jubeo.*

*

*

*

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że prawo wywłaszczenia jest najgroźniejszym ze wszystkich ciosów, jakie w ubiegłych dwóch lat dziesiątkach spadały ciągle prawie na głowy społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim. Błędem też byłoby fatalnym lekceważyć jego znaczenie i następstwa. Właściciel ziemski, skazany przez komisję kolonizacyjną na wywłaszczenie, odwołać się może do sądów, lecz jedynie co do wysokości wynagrodzenia. Opuścić jednak musi swój majątek w ciągu trziesięcioletniego terminu, czyli w największej liczbie wypadków, zanim proces zostanie we wszystkich instancjach rozstrzygnięty. Wyprocesować może mniej lub więcej znaczną sumę, samego jednak wywłaszczenia nie cofnie żadna instancja.

Ostatecznie jednak los wywłaszczonego właściciela ziemskiego nie będzie jeszcze najsmutniejszy. Poniesie on wyłącznie straty moralne o tyle, że opuścić będzie musiał dom swój rodzinny, ziemię często zroszoną krwią i potem swych ojców. Co się natomiast tyczy materialnego wynagrodzenia, to sądy pruskie, jak dotąd, przyznawały wywłaszczonym wysokie bardzo odszkodowanie i niema na razie najmniejszych danych do przypuszczenia, że w przyszłości zmienią swe postępowanie.

Nie ucierpią także wskutek wywłaszczenia, przynajmniej w pierwszych czasach, robotnicy rolni. Obecnie bowiem odczuwać się daje na wschodnich kresach pruskich tak dotkliwy brak rąk do pracy, że robotnicy z majątków wywłaszczonych znajdują niezwłocznie zatrudnienie w innych majątkach ziemskich.

Nadzwyczaj smutnie przedstawia się natomiast los urzędników gospodarczych i oficyalistów wiejskich najrozmaitszych kategorii, ekonomów, leśników, gorzelników i t. p. Ci z trudnością na miejscu znajdują zajęcie i, chcąc nie chcąc, szukać będą musieli zarobku w innych stronach świata.

Nie koniec jednak na tem. Następstwa wywłaszczenia odbijają się prędzej czy później na lekarzach, adwokatach, kupcach, przemysłowcach i rzemieślnikach, żyjących wyłącznie z polskiej klienteli, a w szczególności z polskich dworów okolicznych. Znikanie tych dworów, w miarę postępującego naprzód wywłaszczenia, ogłodzi z natury rzeczy miasto, a przynajmniej ludność ich polską.

Na to logiczne następstwo wywłaszczenia polskich majątków liczyli przedewszystkiem ojcowie tego projektu i tem się też tłumaczy, że, pod pozorem tłumienia niebezpiecznej jakoby dla państwa agitacji wielkopolskiej, ukuto oręż, który przedewszystkiem zwraca się przeciw warstwie ludności najspokojniejszej już z natury swego zawodu i najmniej skłonnej do wszelkiej akcji rewo-

lucyjnej. Ale pośrednio, przez ogłodzenie miast, rząd pruski spodziewa się pozbyć niebezpiecznych agitatorów.

Oczywiście nadzieje te na dość kruchych spoczywają podstawach. Raczej przewidywać należy, że miasta zapełnią się wypartą ze wsi ludnością polską, zamienią się w siedliska proletariatu prawdziwie niebezpiecznego, bo przesiąkniętego nienawiścią ku swym prześladowcom i gnębielom, gotowego na wszystko i skłonnego do wszelkiego rodzaju przewrotów.

Nie powiedzie się też, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, inna rachuba ojców duchowych tego potwornego prawa. Więcej, niż na samo wywłaszczenie, liczą oni na demoralizację, jaką w szeregach polskich wywoła wisząca jakby miecz Damoklesa nad głowami właścicieli ziemskich groźba wywłaszczenia. Groźba ta ma powstrzymać jakoby polskich obywateli nie tylko od wszelkiej agitacji politycznej i narodowej, ale nawet od wszelkiego udziału w pracy społecznej, rozwijającej się tak pomyślnie i przyczyniającej się przede wszystkim do podnoszenia moralnego i materialnego posiewu ludności polskiej pod panowaniem pruskim.

*

*

*

Zaprzeczyć się nie da, że w pierwszej chwili projekt wywłaszczenia wywołał pewien popłoch, a przynajmniej pewien niepokój w tutejszem społeczeństwie. Przyczyniła się do tego nie mało cała zgraja najrozmaitszego rodzaju agentów i pośredników, która, pragnąc wyzyskać na swoją korzyść nową sytuację, objeżdżać zaczęła dwory obywatelskie i chaty włościańskie i zachęcała właścicieli do dobrowolnej sprzedaży swej ojcowizny. Bezвідnymi pomocnikami tej akcji, podjętej niewątpliwie, jeżeli nie z inicjatywy, to w każdym razie z wiedzą i wolą kół rządowych, byli niepoprawni plotkarze, których nie brak w żadnym społeczeństwie, zwłaszcza w chwilach powszechnego zdenerwowania i wzburzenia. Krążyć więc zaczęły najrozmaitsze potworne plotki, to o kilkudziesięciu obywatelach ziemskich, którzy jakoby dobrowolnie ofiarowali komisji kolonizacyjnej swoje majątki na sprzedaż, to znów o symulowanych tranzakcjach, dokonanych

rzekomo przez największych tutejszych właścicieli ziemskich, na rzecz angielskich, francuskich i belgijskich banków, a nawet z królem angielskim. Na razie pogłoski te znajdowały wiarę wśród bezkrytycznego tłumu, co oczywiście zwiększało popłoch.

W krotkim jednak czasie nastąpiło otrzeźwienie i dzisiaj, nie lekceważąc bynajmniej grożącego nam w następstwie wywłaszczenia niebezpieczeństwa, ze względnym spokojem spoglądamy na położenie, szukamy najskuteczniejszych środków obrony zagrożonego bytu narodowego.

Spokój ten ujawnia się przedewszystkiem wśród obywatelstwa wiejskiego, czyli w tej warstwie, przeciw której zwraca się głównie ostrze nowego prawa.

W przypuszczeniu, że rząd pruski, używając ustawy uchwalonej, jako środka walki narodowej, wywłaszczać będzie najprzód tych obywateli, którzy w pracy politycznej i społecznej najczynniejszy biorą udział, nasuwało się tu i owdzie pytanie, czy nie należałoby powstrzymywać właścicieli ziemskich od czynnego udziału w życiu publicznem. Wobec bowiem konieczności utrzymania ziemi, tej najważniejszej podstawy samodzielnego bytu narodowego, schodzić winny na plan drugi wszelkie inne względy. Myśl ta nie zdobyła sobie jednak zbyt wielu zwolenników, nie zdobyła sobie ich zwłaszcza wśród warstwy ziemiańskiej.

Całkiem słusznie! Najpierw bowiem nikt nie wie dzisiaj jeszcze, jakimi motywami komisya kolonizacyjna kierować się będzie przy wywłaszczaniu—narodowymi, lub geograficznymi? Czy więc wywłaszczać będzie przedewszystkiem obywateli, politycznie skompromitowanych, lub też nową swą działalność rozwinie w kierunku zaokrąglania kolonij już posiadanych?

Dalej wstrzymywanie się jednej części obywatelstwa ziemskiego od życia publicznego, wystawiłoby na sztych część drugą, pracującą w dalszym ciągu na niwie narodowej i społecznej, i tem samem zwiększyłoby niebezpieczeństwo wtargnięcia demoralizacyi do naszych szeregów i osłabienia obrony naszej narodowej.

Zapewne, że nie należy oddawać się optymizmowi zbyt daleko posuniętemu. Zapewne, że znajdą się wśród naszego obywatelstwa wiejskiego jednostki, które, pod pozorem grożącego jakoby obowiązku utrzymania ziemi, wystrzegać się będą wszelkiej czynnej roli w życiu publicznem. Będą to jednak przeważnie ci tylko, którzy i dotąd nie spełniali zbyt sumiennie swych zadań obywatelskich. Ogół zaś i pod działaniem nowego prawa nie myśli zmieniać dotychczasowego swego postępowania, nie myśli w każdym razie o dezercyi z pod narodowego sztandaru. Nie wyła-

cza to, rzecz prosta, możliwości, a nawet prawdopodobieństwa, że agitacja hałaśliwa, obliczona wyłącznie na efekt zewnętrzny, a nie przynosząca samej sprawie żadnego pożytku, wśród ziemian naszych mniej jeszcze, niż dotąd, znajdzie zwolenników.

Większy niepokój, niż wśród ziemian, oceniających na ogół trafnie położenie, wywołał projekt wywłaszczenia wśród ludności włościańskiej, mniej krytycznej, poddającej się łatwiej wpływowi postronnym i wierzącej chętniej w pogłoski, kolportowane w łatwo zrozumiałym celu przez rozmaite ciemne osobistości. Dzięki jednak wpływowi inteligencji, dzięki przedewszystkiem przestrogom, zamieszczanym w tak rozpowszechnionej u nas prasie ludowej, i wśród włościan naszych zapanował obecnie spokój i machinacye agentów, namawiających lud wiejski do dobrowolnej sprzedaży osad spotykają się z należytą odprawą.

~ Zresztą, wszelkie prawdopodobieństwo zdaje się przemawiać za tem, że rząd pruski, przynajmniej na razie, wywłaszczać nie będzie włościan. Wprawdzie nowa ustawa antypolska przewiduje kredyt w wysokości 75 milionów marek na regulowanie gospodarstw włościańskich, ale regulacya ta odbywać się niewątpliwie będzie w inny sposób, nie przez wywłaszczanie chłopów. Najpierw bowiem nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w wielu wypadkach przymusowe wyganianie włościan z ojczystej ich zagrody nie obyłyby się bez krwawego starcia pomiędzy właścicielami, a rugującymi ich przedstawicielami władzy; a wywołania takich zajść, które naturalnie odbiłyby się odpowiednim echem w całym świecie cywilizowanym, obawia się, bądź co bądź, rząd pruski. Dalej, wywłaszczenie włościan sprzeciwiałoby się zbyt jaskrawo całej dotychczasowej polityce ekonomicznej i społecznej rządu pruskiego, streszczającej się we wzmacnianiu drobnej własności ziemskiej. Wreszcie nabywanie za pomocą wywłaszczenia drobnych względnie kawałków ziemi połączone by było ze zbyt wielkimi zachodami i trudnościami. Prawdopodobnie więc włościanie tam jedynie padną ofiarą nowego prawa, gdzie osady ich okażą się niezbędne do zaakraglenia urządzonych już przez komisję kolonij.

*

*

*

Podług przepisów konstytucyi pruskiej, prawo, uchwalone przez obie izby sejmu, zaczyna obowiązywać po dwóch tygodniach od podpisania go przez monarchę. Ponieważ prawo o wywłaszczeniu podpisane zostało przez króla d. 20 marca r. b., więc uzyskało ono moc obowiązującą w początkach kwietnia i niebawem też działać zacznie nowoczesna ta gilotyna, niebawem komisya kolonizacyjna, wyposażona w nowy ten oręż, rozpocznie swą działalność.

Zaznaczyliśmy już poprzednio, że nie wiadomo dotąd, jakimi motywami komisya kierować się będzie w swej działalności, politycznymi, lub geograficznymi. Skazani jesteśmy pod tym względem wyłącznie na przypuszczenia mniej lub więcej prawdopodobne. Jeśli więc wierzyć można oświadczeniu, złożonemu w izbie panów w toku obrad nad nową ustawą antipolską przez jednego z ministrów, rząd pruski wywłaszczać będzie, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie, majątki, które należą do właścicieli, przebywających stale za granicą. Jeśli chodzi o majątki, należące do tej kategorii, to takich majątków jest kilka w W. Ks. Poznańskiem (Kórnik hr. Jana Zamoyskiego z Zakopanego, Konarzewo hr. Dzie duszyckiego z Galicyi, Gołuchowo ks. Czartoryskiego z Galicyi i inne). Wszystkie prawie te majątki należą do największych, pod względem przestrzeni, tutejszych dóbr ziemskich. Kwestyą jest tylko, czy wywłaszczenie cudzoziemców nie wywoła reklamacyj i zawikłań dyplomatycznych i czy rząd pruski, zwłaszcza w obecnej chwili, gdy państwo niemieckie znajduje się w niezbyt korzystnej sytyacji międzynarodowej, nazywanej optymistycznie „splendid isolation,” będzie się chciał narazić na takie reklamacye. Co się zaś tycze polskich właścicieli ziemskich, poddanych tutejszych, którzy stale, lub co najjnniej większą część roku przebywają za granicą, to jest ich ogółem dwóch, a najwyżej trzech. Ci, podług powszechnego mniemania, padną pierwszą ofiarą nowego prawa.

Ale są to domysły tylko, które potwierdzi lub rozwinie najbliższa już przyszłość. Zbyt długo bowiem zwlekać nie będzie komisya kolonizacyjna z nową swą kampanią, groźniejszą od wszelkich dotychczasowych. Nie ulega zaś najmniejszej wątpliwości, że komisya posiada już dokładny, opracowany w najdrobniejszych szczegółach plan działania z listą polskich właścicieli ziemskich, skazanych na wywłaszczenie.

Swoją drogą wierzyć można zapewnieniom przedstawicieli rządu, danym zarówno w toku obrad nad projektem wywłaszczenia, jak i w rozmowach prywatnych, że rząd pruski postępować

będzie nadzwyczaj oględnie i jedynie w razie koniecznej potrzeby uczyni użytek z przysługującego mu nowego prawa. Zważyć jednak należy, że i w tym wypadku jedynie pierwszy krok jest trudny. Skoro więc rozpocznie się wywłaszczenie, to postępować będzie naprzód w coraz szybszem tempie, aż dopokąd nie znajdzie naturalnej swej granicy w finansowej niemocy państwa.

Wprawdzie nowe prawo zastrzega, że obszar przeznaczony na wywłaszczenie nie ma przekraczać 70,000 hektarów (jest to mniej więcej 10 część polskiej własności ziemskiej w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich). Wprawdzie decydujące w pruskim ciele prawodawczem stronnictwo zachowawcze oświadczyło przez usta swych mówców, że jest to ostatni środek, jaki przyznaje rządowi pruskiemu w jego walce z żywiołem polskim. Ale oświadczenia tego brać nie należy na seryo. Skoro wyczerpie się nowy fundusz, przyznany komisji kolonizacyjnej, skoro wywłaszczone będzie onych 70,000 hektarów, większość sejmu, z zachowawcami na czele, uchwali znów „z ciężkiem sercem,“ nowe środki i nową przestrzeń ziemi polskiej, przeznaczonej na wywłaszczenie.

Nadzieje bowiem, wyrażone również przez przedstawicieli rządu, że rząd pruski wogóle uciekać się nie będzie potrzebował do wywłaszczenia, gdyż znaczna liczba polskich obywateli ziemskich, dobrowolnie ofiarowywać mu będzie swoje majątki—na dość kruchych spoczywają podstawach. Być może, że znajdą się tego rodzaju jednostki, pozbawione wszelkiego poczucia narodowego i lekceważące sobie głos opinii publicznej, piętnującej coraz energiczniej takich wyrzutków. Będą to jednak nieliczne wyjątki tylko; ogół zaś obywateli ziemskich wyczerpie wszelkie środki legalnej obrony, apelować będzie do wszystkich instancyj sądowych, zanim podda się swojemu losowi, a w każdym razie dobrowolnie nie ustąpi ze swego majątku, nie zgodzi się na przyjęcie sumy, ofiarowanej przez komisję kolonizacyjną, lecz czekać będzie, aż go przemocą usuną z ojcowizny.

*

*

*

Odpowiedzieć wreszcie należy na pytanie, jak się ukształtują stosunki w ziemiach polskich w Prusach pod grozą nowego prawa? Przedewszystkiem więc srożąca się od całego już szeregu lat walka narodowościowa zaostrzy się do niemożliwości, a zaostrzenie to da się we znaki nie tylko ludności polskiej, ale i Niemcom, zamieszkującym wschodnie kresy pruskiego państwa. Przewidują to i obawiają się tego Niemcy tutejsi, o ile nie zaliczają się bezpośrednio lub pośrednio do panującej biurokracji, i tem się też tłómaczą liczne i energiczne protesty, przeciw projektowi wywłaszczenia, z jakimi wystąpili tutejsi niemieccy obywatele ziemscy i niemieccy kupcy i przemysłowcy. Co się zaś tycze tak zw. „wielkopolskiej agitacji“, która jakoby skłoniła przedewszystkiem rząd pruski do przeprowadzenia tego potwornego prawa, to agitacja ta, o ile ma istnieć w rzeczywistości, a nie jest fikcją, wykombinowaną w łatwo zrozumiałym celu przez hakatystów i biurokratów, nie tylko nie osłabnie, ale zwiększy się raczej. W każdym razie spokojniejsze i rozważniejsze żywioły tutejszego społeczeństwa, pragnące jakiegoś „modus vivendi“ z władzą państwową, w następstwie nowego tego i ohydneho gwałtu stracą resztę swojego wpływu, skazane będą na milczenie, a kierunek życiu naszemu publicznemu nadawać odtąd będzie skrajny i najskrajniejszy radykalizm narodowy. Nowe to, i haniebniejsze od wszystkich dotychczasowych, pogwałcenie praw naszych najświętszych, otworzyło wreszcie oczy i tym, zresztą coraz mniej licznym jednostkom naszego społeczeństwa, które łudziły się jeszcze jakimiś nadziejami; przekonało ich, że polityka rządu pruskiego dąży konsekwentnie i nie przebierając w środkach do ostatecznego zgnębienia nas, do wyrugowania „per fas“ i „nefas“ żywiołu polskiego z odwiecznych jego siedzib.

Czy dążenie to uwieńczy skutek przewidywany? Rzeczą jest ryzykowną wdawać się w prorocтва. W każdym razie nie należy lekceważyć nowego tego ciosu, który bez naszej winy spadł na naszą głowę. Nie ulega bowiem kwestyi, że z każdą piędzią wywłaszczonej ziemi naszej, ginie ważny bardzo postereunek naszej obrony narodowej. Z drugiej jednak strony nie trzeba popadać w krańcowość przeciwną, przeceniać niebezpieczeństwo i oddawać się rozpaczcy i zwątpieniu. Zresztą o wywłaszczeniu wszystkiej ziemi polskiej w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich nie może być mowy. Stanie temu skutecznie na przeszkodzie brak odpowiednich środków finansowych, nie mówiąc już o tem, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa większość wywłaszczonych polskich właścicieli ziemskich zużyje niezwłocznie

pieniądze, otrzymane za swą ziemię, na zakup majątków ziemskich z rąk niemieckich.

Spółeczeństwo też tutejsze, nie lekceważąc bynajmniej niebezpieczeństwa grożącego mu w następstwie wywłaszczenia, ze spokojem i ufnością spogląda w przyszłość, przekonane, że po tylu ciosach szczęśliwie przetrwanych nie złamie go i nie zgnębi ten cios nowy. Zahartowane w długiej i uciążliwej walce nie dopuści demoralizacyi do swoich szeregów. Przedewszystkiem więc nikt nie myśli o dezercyi, o ucieczce z pod narodowego sztandaru. Wywłaszczeni właściciele ziemscy, nie wyniosą się, jak sobie tego życzą i jak się tego spodziewają nasi wrogowie i gnębiciele, z otrzymanem za swą ziemię wynagrodzeniem, za granicę, lecz pozostaną na miejscu i wyposażeni w odpowiednie środki materyalne, czynną grać będą rolę w obronie narodowej. Tak więc rząd pruski samochcąc wyhoduje przeciw sobie nowy zastęp gotowych na wszystko agitatorów. Rola zaś tych agitatorów będzie tem łatwiejsza, że znajdą oni posłuch tem bezwzględniejszy, iż wskutek straszliwej krzywdy, świeżo doznanej, uczucie głębokiej nienawiści ku krzywdzicielom, nurtuje cały naród, przenika wszystkie jego warstwy i stany.

KAPE.

ŁUNA.

XIX.

W przedpokoju lokaj wręczył Pawłowi, gdy ten wychodził od Kamienieckiego, kartkę Maryńci.

„Odwiedź koniecznie i co rychlej Hanke Skibowską—pisała ołówkiem na jakimś bilecie wizytowym—najlepiej dziś jeszcze, jeśli nie będzie zapóźno. Słyszałam, że tam jest źle, trzeba śpieszyć... obiecałeś... przypominam, proszę...”

To energiczne przypomnienie przyszło w porę. Powrót do domu, który stał się pustym, martwym i jakgdyby cudzym, gdzie widok zwłok byłego życia, które zmarło śmiercią nagłą i niespodziewaną, napełniał go trwogą, a z nużącej zadumy nad przyczyną zgonu i przyszłością nie wynikała nadzieja, nie nęcił Pawła, był więc rad skorzystać z pretekstu... Miał kawał drogi przed sobą. Hanka mieszkała w dzielnicy odległej i mało mu znanej, handlowo-żydowskiej, za ogrodem. Błądził trochę, potem z trudnością odszukał w ciemnościach numer czterdziesty ósmy, a na nieoświetlonych schodach właściwe drzwi. Nie chciano go także wpuścić. Ktoś nieuprzejmie zapytywał o nazwisko i cel przybycia—przez szparę nieufnie przyglądały mu się czyjeś podejrzliwe oczy.

— Jestem hrabia Paweł Naborowski — krzyknął zniecierpliwiony.

Tytuł poskutkował. Wszedł... Potem, gdy zastukał do mieszkania panny Skibowskiej, znowu upłynęło kilka długich chwil. Słychać było szept narady...

— Proszę—zabrzmiał niepewny głos. Ktoś z wewnątrz otworzył drzwi.

W zdumionym wzroku Hanki Paweł wyczytał, że ona go nie poznaje. Musiał przypomnieć się pamięci, potem prezentował się matce, potem usiadł—ostatecznie każda wizyta zaczyna się w ten sposób—i milczał zakłopotany. Nieświatowe czy niechętne panie nie umiały mu dopomóc. W tej chwili, gdzieś na korytarzu, zegar wydzwonił dziesiątą. Była tedy godzina najmniej odpowiednia do składania wizyt...

— Zaskoczyłem panie znienacka—rzekł.—Nie zorientowałem się, że jest tak późno...

Panie milczały w dalszym ciągu.

— Dowiedziałem się dopiero dziś, bardzo niedawno, że pani tu bawi i pilno mi było...

— Dziękuję panu...

— Maryńcia Kamieniecka, moja szwagierka, poleciła mi... pragnęłaby widzieć panią... Byłaby niezmiernie rada, gdyby pani zechciała chociażby jutro...—tłómaczył się Paweł, onieśmielony myślą, że przyszedł niepotrzebnie, że zjawienie się jego o godzinie tak bardzo niestosownej wygląda ekscentrycznie,—a on nie uznawał wogóle dziwactwa,—że jest źle przyjęty i źle widziany...

Hanka słuchała obojętnie. Imię młodzieńczej przyjaciółki, miłe i kochane niegdyś, nie obudziło echa i przesunęło się mimo uszu tak, jak przed wzrokiem przesunęła się nazwisko właściciela cukierni na pierwszym lepszym szyldzie... Maryńcia należała do przeszłości, z którą zerwała wszelki związek, która odsunęła się w dal prawie zaświatową i poprostu przestała istnieć...

Wbrew rzymskiej teorii: in praeteritum non vivitur, wbrew twierdzeniu poety Hanka przekonała się, że niedola zagarnia i obszar minionych lat, czyni tam spustoszenia, obala drogi pamięci przybytek dawnego szczęścia, jadem przeczenia wyżera gromadzone niegdyś w dobrych dniach doli cenne kruszce uczuć, przekonała się, że fałszywym wymysłem czułych autorów była opisywana w powieściach słodycz rozpamiętywania. W niej rdze cierpienia strawiły ogniwo po ogniwie z łańcucha wspomnień. I padły pod siekierą nieszczęścia wysokie drzewa, szumiące niegdyś nad dąbrową młodości i snuło się po spalonej pustce karczunku szyderstwo. Nie było do czego wracać spojrzeniem i myślą. Zapomniała, nie głową wprawdzie, bo zwoje mózgu, niby archiwum, przechowują akta wszystkich spraw, ale sercem, które wypłuło z siebie całą treść przeżytych na szlaku przeszłości zdarzeń. Na chłodnej tabula rasa znaczyła się tylko terażniejszość, zawarta w suchej kronice beznadziejnych dni, w zwięzłych wyrazach bólu, które wyczerpały się rychło, a wówczas nuda pisała jednostajne kreski...

Porzuciwszy rozłogi świata zewnętrznego, życie zamknęło się w celkowem więzieniu duszy, oparło się na stanowiącej zawiązek filozoficznego myślenia prawdzie przeciwstawienia: ja—nie ja... pierwsze miało być realny, wcielony w mękę, drugie, owo nie ja, całokształt otaczających ją rzeczy i wydarzeń, ludzie, miasto, rodzina zlewały się w jakowąś niknącą co chwila z przed oczu i uwagi mgławicę... tworzyły nużący świadomość chaos zjawisk obojętnych, nieskończenie dalekich i nierzeczywistych...

Nie mogła tedy uciec się do skutecznie wypróbowanych środków, w których ludzie szukają zapomnienia, odurzenia, złudzeń, którymi, niby świecącą tkaniną, zasłaniają szpetną albo grozną, lichą albo jałową treść życia, i cierpienie jej polegało, gdy ból hańby i ból kochania wypaliły się w sercu, na owem wyłącznem, nieprzerwanem, przymusowem obcowaniu z duszą... A nieraz pragnęła wyrwać się z ciasnego więzienia... Ale wszystkie nici, wiążące w normalnych warunkach t. zw. normalnego człowieka ze światem, były stargane i wszystko, co niegdyś cieszyło jej wzrok, myśli i serce, znajdowało się poza nieprzebytą granicą w kategorii: *nie ja*, w odległych i mgłą zasnutych przestworach. I było błędne koło. Na wysokim szczeblu poznania, na który dźwignęła ją męka, znalazła się w próżni i, zmierzwiwszy duszę, zatęskniła do życia obleczonego w kształt przemijający, którym gardziła jej wiedza... Niezmiernie nużącym było to rozdwojenie. Daremnie szukała „znaku na niebie czy na ziemi,“ któryby położył kres rozterce i przerażającej, jakgdyby pośmiertnej samotności, przebywaniu w pustce duszy, i z jakimś przeczuciem, w niejasnej nadziei oczekiwała rewolucyi. Wydawało się jej czasami, że w godzinie, w której zabrzmiał wielki dzwon dziejów i w gruzy zapadnie się stary świat, i dla niej nastanie poranek nowego dnia... Z uczuć, któremi dawniej żyło jej serce, nie zostało nic; natomiast wyrosła, niby grzyb na zbutwiałym pniu wywrotu, na pół świadoma nienawiść do starego świata, który napoił ją goryczą, do starych porządków i starej krzywdy... Przypominały się wygłaszane na posiedzeniach partyi bojowe hasła, szumne przepowiednie, doniosłe obietnice, rozległe plany, uroczyste zapewnienia; przypominały się spory z Orkiszem, który „na dłoni“ ukazywał przyszły ustrój powszechnej szczęśliwości, namiętne dytyramby Orkiszowej i gdy matka nie przestawała narzekać i niepokoić się, ona zżymała się na powolny bieg wypadków i potajemnie życzyła, żeby jak najrychlej nastąpiła noc zagłady... Radowały ją znoszone przez gospodynię groźne wieści, z uznaniem myślała o potędze ludzi, na których skinienie stanęły pociągi, fabryki, tramwaje, w których

ręku były życie i śmierć tego miasta; ze zjadliwą uciechą witała widno głodu i rzezi... Rzyźniewskiemu, który onegdaj czy wczoraj, czy może bardzo dawno temu — nie liczyła czasu — roztoczył przed nią mieniające skrzydła ideowe, odpowiedziała chłodnym śmiechem, a sama każdego wieczoru i rana czekała, iż może wreszcie dziś wpadnie do pokoju ktoś zdyszany z okrzykiem, że już się stało, że runęło (co?—nie wiedziała sama), że koniec jest...

To też, gdy niespodzianie, w chwili, gdy matka zabierała się do snu, Paweł zastukał do drzwi, przemknęła w niej dreszczem nadzieja, że to przychodzi zwiastun... Doznała zawodu na widok pospolitego gościa. Przywitała go z niechęcią, przypatrywała mu się z odległości zimno i bezbarwnie, jak Rzyźniewskiemu, jak lokatorowi w palcie koloru electric, którego spotykała na korytarzu. Nie obchodził jej zupełnie, mógł sobie odejść albo i zostać do rana. Ludzie są jak sprzęty w cudzem mieszkaniu, których się nie spostrzega, gdy stoją na zwykłych miejscach, potrzebne na to, żeby nie było przykraj pustki...

Paweł tymczasem opowiadał — zapewne w celu usprawiedliwienia swoich odwiedzin — o stryju Michale, który niezmiernie szanuje „całą rodzinę“ i wspólnej wycieczce do Jaworowa, która zostawiła niezatarte wrażenie, potem zawiązał uprzejmą rozmowę z matką, dopytującą się, jak zwykle, o pociągi. Niezbędna wymiana zdań o rewolucyi, strajku i wyczerpywaniu się zapasów, utyskiwanie matki, wynikające z okoliczności, iż topniały w jej kieszeni ostatnie ruble, z niepokoju o daleki dom... lekceważące wyśmianie warg, wzgardliwy wyraz na twarzy możnego pana, który nie obawia się niczego, który rad jest z siebie i z życia...

— Proszę pana — zwróciła się nagle Hanka do Pawła — to przecież nie rewolucya... Ten wyraz na wszystkich ustach i dziwię się... Nie można wielkiego imienia używać do nazywania rzeczy, która niema najmniejszego podobieństwa. Czasy krwawe przyjdą...

Tkwiał w niej, gdy mówiła, niewyraźny zamiar, złośliwa chęć zgębienia gościa, doczekania się na jego obliczu „bladego“ strachu.

— Czasy krwawe przyjdą, ale nie narodziły się jeszcze... Dopiero początek... Przerazenie padło już dziś na miasto, cóż będzie tedy, gdy wybuchnie na prawdę?... Mali ludzie nie dorosli do rozmiaru zdarzenia... i każdy tylko o katastrofie, o zamęcie, o ruinie ekonomicznej... Nikt niema odwagi zajrzeć w przyszłość a, kto wie, może właśnie ta przyszłość stanie się odrodzeniem dla tych, którzy cierpią... Rewolucya jest dziełem nieszczęśliwych i skrzywdzonych...

Paweł nie zaprzeczył. Stały mu w pamięci wieczory, które spędził razem z Hanką Skibowską na zgromadzeniach w dusznych i zadymionych pokojach, długie, przeciągające się do świtu, ogniste wieczory braterstwa i wiary, które kończył bojowy krzyk tryskającej z piersi sprzysiężonych pieśni — i nie zdziwiły go jej słowa. Te same myśli wypowiadał i on przed tygodniem, przed miesiącem...

— Mama tu ubolewa i pan—ciągnęła dalej Hanka—wszyscy z trwogi zamykają oczy i wszyscy kłamią w obłudnej dbałości o dobro kraju. Szczęście ojczyzny nie zależy od tego, kto będzie właścicielem fabryk i ordynacyj... Ojczyzna, to owo nieśmiertelne marzenie, wykołysane w sercach przez wieki niedoli, to ziemia obiecana sprawiedliwości, o której śnią dusze pokrzywdzonych... Całe pokolenia nędzarzy kładły się do mogiły w oczekiwaniu... Któżby z tych, co pracują i obciążeni są, zniósł nikczemne jarzmo życia, gdyby nie nadzieja, że bliskim jest dzień wybawienia, że ujrzy jeszcze znużonymi oczami... A teraz, gdy nastaje ten dzień, wy, którzy żadnego nie macie prawa, rozpoczynacie litanię skarg...—napadała z żarem.

— Pani została wierną idei—bezbarwnie zauważył Paweł.—Spotykaliśmy się z panią przed rokiem w partyi... pamiętam...

W tej chwili i jej przypomniało się posiedzenie, na którym wśród tłumu nieznanym odnalazła Pawła. Naprawdę tedy toczyła proces przeciw temu, który był towarzyszem broni.

— Nie wiem, czy to jest idea, panie—odparła cicho i zamyśliła się.

Spotykał mnie pan wśród nich, ale nie należałam wówczas... Nie czytałam nigdy programów i nie zawsze rozumiałam, o co im chodzi—mówiła wolno, jak człowiek, który przed samym sobą rozwija nową myśl.—Wydaje mi się, że błędzę, że i oni błędzą. Są tam nieszczerze słowa, sztuczne ozdoby, szyldy, etykiety, jest w samem założeniu fałsz...

— A widzisz!—nieśmiało, ale z zadowoleniem wstawiła matka.

— Nie pojmuję, nie uznaję partyjności wogóle, tembardziej tu... Nasuwało mi się nieraz, gdy przyglądałam się z ubocza, spostrzeżenie, że oni dbają więcej o zwycięstwo stronnictwa, niż o rdzeń celu, że podzieliwszy ludzkość na dwie części, pracują tylko dla tego odłamu, który zapisał się do stowarzyszenia... Miłosierdzie chrystyanizmu ogarniało wszystkich bez różnicy, chyba i dziś należałoby... Przypuśćmy, że zapanował głód w kraju i że właściciel jedynego ocalałego spichlerza rozdaje zboże wyłącznie tym, którzy tę samą, co on, wyznają wiarę...—urwała na chwilę,

jakgdyby ze znużenia.—Głód jest odwieczny i chleba potrzeba... ze wszystkich stron wyciągają się ręce... ci głodni, oni napewno nie bładzą... Nasyceń domagają się biedne tłumy... Każde pokolenie stawia pytanie, każde spodziewa się... odpowiedzi nie było dotychczas i biada temu, ktoby tę odpowiedź dał — blado, bez przekonania kończyła.

Oddawna nie mówiła tak długo. Odczuła znużenie i obojętność... Ostatecznie, co mogło ją obchodzić zagadnienie, czy partya znajduje się na dobrej drodze, czy słuszną jest idea i właściwą taktyka.

— Więc pani przypuszcza, że odpowiedź wypadłaby przecząco—z zajęciem podchwycił Paweł.

— Nie wiem, panie...

Stłumiła poziewanie. Nuda zaglądała do duszy... Nieznośne jej oblicze tkwiło za oknem, przyklejone do szyby. Zaległo milczenie. Pani Skibowska spróbowała coś powiedzieć... Bezbarwne postrzeżenie o socjalizmie przebrzmiało...

Paweł przyjrzał się Hance z uwagą. W twarzy, którą lubił, która pociągała go wdziękiem świeżości, zostały tylko te same oczy, ogromne, zadumane, chwilami wystraszone; dawniejszy niespodziany, trochę przekorny, niezmiernie charakterystyczny ruch głowy podczas rozmowy przypominał także cichą, pełną słodyczy i uroku dziewczynę minionych czasów — zresztą ze znużonego i zboląłego czoła, z cierpkich dziś a niegdyś cudnie po dziecinnemu skapryszonych ust, z przeraźliwego rysunku wychudzonych rąk, z całej złamanej i bezsilnej postaci spojrzenie czytało dzieje trwającej niedoli. Żałosne wrażenie potęgowała jeszcze niedbałość uczesania i ubioru: ten jakiś luźny, bez paska, niedokładnie zapięty stanik, poszarpane koronki u krótkich rękawów, spódnica dziwnego pod starość koloru, jakieś pantofle...

Podniosła na niego spokojny wzrok, nieskrępowana badaniem. Pozwala patrzeć...

— Pani nie odwiedzi Maryńci?—cicho zapytał.

— Nie... niech pan podziękuje...

W głosie był ów sztuczny ton, właściwy ludziom, którzy długo cierpieli w samotności i w milczeniu, którym pamięć bólu dławi gardziel... Paweł pomyślał, że poraby już wyjść, ale wazyło się w sercu, wahało się na ustach pewne słowo, trudne do wymówienia... To słowo było: pomoc... I bez objaśnień Maryńci od pierwszego spojrzenia odgadłby sam, że stan materialny tych pań jest, co się zowie, opłakany... Mówiły o nim trwożne i stroskane oczy matki i ściany pokoju, w którym od szeregu lat nęcza

miała schronienie, i suchy chleb do herbaty, niesprzątniętej ze stołu, i miedziaki na talerzu, para wydeptanych do ostateczności kaloszów... Szczególnie wzruszył Pawła widok futra, które wisało u drzwi, prawdziwie litewskiej „salopy“... Zalatywał od niej zapach naftaliny, zapach owego kufra na dalekiej wsi, w którym spoczywała na samym dnie, otoczona szacunkiem, starannie przechowywana, jako skarb rodzinny, pamiątka wyprawy; w fałdach wytartego jedwabiu, w szerokim odkładanym kołnierzu kryła się opowieść o dawnych czasach i skarga, że przerwano czcigodnemu nieboszczykowi sen i skazano na wycieranie wagonów, że takich w takim otoczeniu chwil doczekać się wypadło... I przypomniały się Pawłowi dzieciństwo, matka, zimowe niedziele, kościół, gdzie panie w podobnych „salopach“ zasiadały w kolatorskich ławach...

— Strajk kolejowy wybuchnął tak nagle—odezwał się i, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy, liczył rozsypane na talerzu miedziaki — że wszyscy, a zwłaszcza przyjezdni... opowiadano mi o ludziach bardzo zamożnych, którzy literalnie bez grosza...

— Proszę pana, ani moja matka, ani ja nie potrzebujemy pomocy—opryskliwie przerwała Hanka.

Na czole jej wystąpiły popolite zmarszczki złości. Gdy gość zaczął rozglądać się po pokoju i szperać w jej twarzy, przewidziała, że na tem się skończy wizyta, zrozumiała, że ten był cel niezwykłych odwiedzin i, bojąc się, żeby matka nie zmiękła i nie rozczuliła się, pośpieszyła dać odprawę. Odezwały się w niej duma ojca i harda buta ubóstwa, które wzdryga się przed pańską łaską. Gryząc sobie wargi, tłumiła wzburzenie i gorzkie słowa o tem, że lepiej umrzeć z głodu... że nie każdy... że nie miał prawa wciskać się do jej życia, szpiegować wścibskimi oczami, dotykać ran człowieka biednego... że nie zawsze jałmużna... że tylko litość brata a nie magnackie miłosierdzie... że może odejść sobie stąd i zapomnieć o jej istnieniu... To wszystko powiedziała gościowi gniewem i odrazą wzroku.

— Miedziaki na talerzu — dodała głośno — to cała nasza kasa... wszystko, co posiadamy... Czy tak, mamó?... A jednak nie skorzystamy z pańskiej dobroci... Poczekamy... Rozstrzyga się los takich, jak my... albo śmierć, albo może...

Zaległa cisza. Paweł zwiesił głowę, zakłopotany, zawstydzony, odrobinę zły...

— Rewolucya zwycięży? — zaczęła go naraz.

— Chyba tak...

— Rewolucya zwycięży! — powtórzyła ze szczególnym naciskiem. — Wierzę i spodziewam się... Gdy pan zastukał do drzwi,

myślałam, że już... Nie za sprawą partji stanie się to, co ma być... Niepotrzebni są wodze, obejdzie się bez programów... To z piersi zdeptanej, to cierpienie podniosło bunt... I skończy się noc...

Zapłonęły jej oczy i zdawało się, że wyrazy płyną namiętą falą uniesienia.

— Chorowałam w tym pokoju, leżałam tygodnie, miesiące... Nie mając co robić, myślałam... Odsłoniły się przedemną dzieje... Z siebie samej przeniosłam wzrok na innych... ogarnęłam liczbę, wojska, całe zastępy... wsłuchiwałam się w płacz stuleci, w skargę wszystkich mogił na ziemi, pojęłam prawdę człowieka, straszliwą krzywdę, którą jest życie...

Zaśmiała się nagle krótko do siebie samej.

— Ja zawsze podawnemu poetycznie... Minęły czasy ciszy... gniewne są oczy, niedola groźnie potrząsa pięścią i staje do walki, nie z wami, którzy trwożycie się o własność, o przemysł i handel, o partye, o szyldy, bo wy—próchno, ale z przeznaczeniem... W ręku pokornych błysnął nóż... Pokazało się, że z kruchych postronków były pęta, że nie trudno je przeciąć, pokazało się, że brać trzeba... Rozwiała się bajka... Są bajki różnego rodzaju: naukowe, religijne, estetyczne, patriotyczne, społeczne... a wszystkie miały na celu usypianie... I naraz z duszy do duszy powędrowało hasło: żyjmy!...

Paweł przysłuchiwał się biernie i ze znużeniem, nie mogąc nadażyć za niespodzianymi zwrotami jej mowy. Zresztą Hanka sama gubiła raz w raz wątek... Słowa sypały się z ust, jakgdyby cudze. W sercu wybuchały uczucia, świeciły przez mgnienie i gasy, niby zapałki—następowała ciemność. Tak samo myśli... Przewodniej nici nie było... Twierdziła i w następnej chwili zaprzeczała, składała najszczerze, rzekłbyś, wyznanie, to znowu z akcentem zniechęcenia wypierała się... budowała i burzyła, gmachy słów rozpadały się... Każda godzina miała inne oblicze... Dusza była, jak scena, która codziennie należy do kogo innego, do tego, kto na niej gra, jak dom bez właściciela, res nullius... Prawdy wstępowały, gościły moment, odchodziły—i pustka trwała...

Ze sztucznym zapałem mówiła gościowi o rewolucyi i miała przed sobą jakiś cel, potem straciła ten cel z oczu... Urwała tak nagle, jak nagle wybuchła. Odwróciła strudzoną wysiłkiem twarz, by ukryć niepokój, patrzyła w ścianę, w to miejsce, które znie nawidziła, w kwadrat nad łóżkiem, gdzie podczas choroby, wodząc palcem po obiciu, wypisała historję niedoli, odczytywała fragment dalekiej, zdawało się, przeszłości. Ptak bólu odleciał,

ale został w pokoju jego cień, zostały niewidzialne dla innych pamiętne wyrazy wyryte na ścianie... Odzywały się do niej głosem czasów minionych... Uprzytomniła sobie, jak wczoraj po wyjściu Rzyżniewskiego, że cierpienie umarło w niej, że rozpoczyna się nowy okres, a zarazem ukazało się błędne koło... Instynkt samozachowawczy spychał ją z przełęczy, ale kędyż miała zejść, gdy wokoło rozpostarła się nicość? Między światem „ja“ i światem „nie ja“ runął most połączenia, urwała się droga powrotu... tam, gdzie przebywała dotąd, nie mogła zostawać dłużej, bo była próżnia, duszą przesycona domagała się pokarmu, jakiegos chleba...

— Co to jest życie?—spytała cicho.

Paweł podniósł na nią zdziwiony wzrok. Spoglądały w niego jej oczy, niby dwa gorejące wyrazy męki.

— Spowiadałam się dawno... ostatni raz... przystępowałam do komunii bez wiary.

— Hanko!—jęknęła matka.

— Odeszłam od stołu pańskiego z uczuciem czczości... oczekiwanie cudu, nadzieja duszy, jakieś fizyczne łaknienie, żądza Boga—i nic... pustka, czczość, ckliwa próżnia... nabożne pochYLENIE głowy, skrzyżowane na piersi ręce... w głowie kilka spostrzeżeń pospolitych...

Nastało milczenie.

— Tak samo z życiem — skończyła — przygotowujemy się, wkładamy świąteczne szaty, spodziewamy się i żaden Bóg nie przychodzi do nas... A gdyby nawet zstąpił... Pamiętam, w dzieciństwie pojąć nie mogłam, że ludzie wprost z kościoła w wielki czwartek wracali do obór, do kuchni, do sprzedaży wieprzów...

Zgubiła wątek i znowu urwała. Nużyło ją niesłychanie to ciągle wikłanie się i krzyżowanie, zachodzenie jednej na drugą myśli. Pragnęła choć raz dotrzeć do rdzenia.

— Przez całe stulecia pracowała, krzątała się, gospodarowała sobie na ziemi ludzkość i przechodziły wieki, jak dni powszednie... Naraz ktoś wysnuł trującą bajkę o życiu-bóstwie, o życiu-uczcie, o radosnem istnieniu i boskiej mocy człowieka... Rozpoczęło się oczekiwanie... sypano jakieś szczyty... tęsknota wybuchła płaczem...

Wiem ja o tem... doświadczyłam na sobie — wyznawała, jak gdyby z lekceważeniem—doszłam do przesyty... Są dwie drogi: zewnętrzna i wewnętrzna... Pierwszej nie znam, ale drugą przemierzyłam i przekonałam się, że krótka jest, że zatacza koło, z którego niema wyjścia, że tron, który ona obiega, że tron ten

ustawiono w centrum chyba tylko po to, ażeby wykazać całą nicosć rozpierającego się na nim monarchy...

Pan zna historię króla, który umarł z głodu dlatego, że każda rzecz w rękę jego przemieniała się w złoto... To samo dziś, zupełnie to samo... czegokolwiek dotkiemy, staje się próchnem, kawałkiem naszego ja... dusza pożera samą siebie i zamknięta w błędnem kole, wciąż powraca do tego miejsca, od którego rozpoczęła pozornie wędrówkę na wyżyny — tłumaczyła coraz bardziej niejasno.

Mówiła to szybko nawałem tryskających skądś, gotowych zdań, to znowu z wysileniem kleciła wyrazy, które umykały... Na czole znaczyły się praca i udręczenie. O słuchaczy, którzy nie rozumieli jej, nie mogli zrozumieć, nie dbała. Zdawało się jej, iż zbliża się do celu.

— Wczoraj chciałam odebrać sobie życie, życie, które nie jest ani uczta, ani radosnem bóstwem, które może być cierpieniem, albo i hańbą... Nie przeraziłam się śmierci, ale było mi wstyd odchodzić, niby z magazynu, gdzie przerzucało się przez kilka godzin towar... ot, tak z pustemi rękami... wypada zostawić po sobie chociażby drobiazg... I zapytałam siebie...

Spojrzała ku matce, potem na Pawła.

— Mama twierdzi, że życie winno być miłością Boga i ludzi—tej miłości nie mam—że dobro, które czynimy, stanowi treść—co jest dobro? że obowiązek, praca i poświęcenie, dogmaty, zasady, słowem kajdany przepisów, więzienie w cudzem państwie... Przez szereg lat dążyłam, wznosiłam własny zamek, tworzyłam siebie, zdobywałam niepodległe królestwo, i właśnie żądają ode mnie, żebym wyrzekła się, poddała i poddała się, uznała klęskę i bezsilność... Bo prawda nie mieszka tam w głębi, ale zapisana jest w jakiejś księżce na dwunastej stronie, bo człowiek, urodzony w niewoli, skazany na niewiedzę, bo słuchać trzeba władzy narzuconej z zewnątrz... Przemyślałam to wszystko... Popadła w zadumę.

— Zrozumiałam—ciągnęła dalej spokojnie, prawie monotownie, jak gdyby bezstronnie zdawała sprawę z jakiegoś zdarzenia, które nie dotyczyło jej samej—że brak mi rzeczy najważniejszej, kamienia węgielnego, jakiejś podpory i osnowy, i zaczęłam szukać... znalazłam próżnię, znalazłam się w błędnem kole... stanęłam na szczeblu, z którego tylko nicość... Bóg doskonały mógłby wystawić świątynię pod własnem wezwaniem, żeby sobie samemu oddawać w niej cześć, ale my, ludzie?... Nie wiem już nic... Wpadam w sprzeczności... Zważyłam o czemś, w co niezachwianie

wierzy każdy człowiek... bez wiary zaś niema życia i to zapewne przyczyna...

Zwracam się tedy do pana — skończyła niespodzianie — niech mi pan wskaże drogę... Zapytuję pana... Nie chcę mądrego traktatu... Pan powie mi poprostu: zrób to albo tamto, idź tam...

W spojrzeniu Pawła odbił się niepokój... Przeniósł wzrok z jej twarzy, szukał ucieczki, liczył poraz drugi miedziaki na talerzu. Hanka dostrzegła tę trwogę oczu i myśli. Niedobry uśmiech wahał się na jej ustach.

— Więc pan... nie spodziewałam się... Gdy pan wszedł tutaj, pomyślałam sobie: ten człowiek nie wątpi nigdy... chodzi po świecie ze swoją prawdą i chętnie udziela zbłąkanyim ludziom objaśnień... życie jego, niby mrówisko, a dnie, jak zadowolone z siebie mrówki... Otóż chciałam skorzystać ze sposobności... poprosiłam o pożyczkę... Pamiętam przed rokiem, spotkał mnie pan na ulicy i wykladał...

Urwała, zmiarkowawszy, iż ton szyderstwa staje się niesmacznym. Gość milczał pokornie i rozbierał... Zgasła w niej dziwna radość, której doznała na widok jego zmieszania.

Była cisza. W pokoju zawisła ciężka chmura, i padał od niej mrok...

— Wydaje mi się, wydaje mi się—rzekła Hanka—że zbliża się zburzenie, że pora jest, że trzeba...

Zatrzymała się w pół myśli i nie chciała kończyć... Nikt nie zapytał, nikt nie zaprzeczył... Tamci milczeli ciągle... Pani Skibowska splotła ręce, jak do modlitwy, spuściła głowę... Wolno płynęły chwile... Hanka wstała, poszła ku oknu, przykleiła twarz do szyby... Nie wracała długo... A oni, matka i gość, siedzieli, nie mówiąc do siebie, jak gdyby w oczekiwaniu... I usłyszeli naraż płacz... Mimowoli oczy Pawła pobiegły w kierunku okna, uczynił jakiś bezradny ruch, niby chciał spieszyć z pomocą, spojrział ku pani Skibowskiej—i wyszedł na palcach, bez pożegnania, uciekł...

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

OSTATNIE DWUDZIESTOLECIE

ewolucyi społecznej w Anglii.

Z wiary waszej — wola wasza,
Z woli waszej czyn wasz będzie!

Z. Krasieński.

Stosunek jednostki do państwa, jako do zorganizowanej zbiorowości, wzajemny do siebie stosunek oddzielnych jednostek i grup, granice ich swobód, i zakres udziału państwa w kontrolowaniu powyższego stosunku i ograniczaniu indywidualnej swobody, dla celów dobra ogólnego — są to normy życia społecznego, zmienne i przekształcające się razem z rozwojem pojęć i powstawaniem nowych potrzeb samego życia. Jako dwie krańcowe doktryny stoją: z jednej strony — „anarchistyczny“ indywidualizm, z idealną swobodą jednostki, nieograniczoną żadnymi zewnętrznymi czynnikami; z drugiej — socjalizm kolektywistyczny, ze ścisłą reglamentacją przez państwo działalności i życia jednostek, dążącą do zniwelowania wszelkich różnic, przyrodzonych i sztucznych. Pierwsza doktryna dla swego praktycznego zastosowania przypuszczać musi tak wysoki poziom moralności indywidualnej, o jakim jeszcze teraz marzyć nie możemy; druga wychodzi z założenia, którego nieomyślność wcale nie jest dowiedziona, że narzucone przez państwo prawa i przepisy, będące wytworem zbiorowego rozumu, potrafią z dobrym skutkiem zastąpić, wszędzie i zawsze, inne działające dotychczas czynniki życia społecznego, jak-to moralność osobistą, inicjatywę prywatną, dobrowolną umowę i. t. p.

Będąc koncepcjami czysto abstrakcyjnymi, nieliczącymi się z warunkami miejsca i czasu, żadna ze wspomnianych doktryn nie może, sama jedna tylko, stanowić podstawy ustroju społecznego i regulować wewnętrznych stosunków. Dla możliwej pomyślności

jednostek, oraz złożonej z nich wspólnoty — państwa, koniecznym jest jednoczesne uwzględnienie obydwóch leżących w naturze ludzkiej pierwiastków: indywidualistycznego i kolektywistycznego; koniecznym warunkiem trwałości ustroju społecznego jest istnienie obok siebie pewnej swobody jednostki i pewnego przymusu państwa. Nadmierna w danej chwili przewaga jednego z wymienionych pierwiastków, pociąga za sobą dezorganizację społeczeństwa i jakkolwiek rozmaitemi drogami, prowadzi je do upadku.

Jednym z przykładów jest polskie społeczeństwo z czasów niepodległości politycznej. Wybujały indywidualizm, którego ostatnim wyrazem było „liberum veto,“ a który znajdował przeciwagę jedynie w *dobrej woli* obywateli, okazał się zbyt słabą spójnią społeczną: nastąpił zanik zdolności do myśli i akcji zbiorowej i państwo, jako takie, w podobnych warunkach istnieć nie mogło. Długoletniego doświadczenia z państwem o ustroju socjalistyczno-kolektywistycznym nie mamy, gdyż zaledwie teraz taka organizacja wytwarza się w Nowej Zelandyi; pomimo jednak krótkiego okresu, już obecnie niektóre jej braki dają się odczuwać. ¹⁾ Natomiast mamy wiele przykładów państw politycznych, w których rząd, jako wyraziciel jednostronnie pojętej idei kolektywistycznej, rozciąga swą opiekę i kontrolę nad wszystkimi czynnościami jednostek i dąży do tego, aby samemu regulować, niemal w najdrobniejszych szczegółach, wewnętrzne stosunki. System taki, ścieśniając swobodę i krępując inicjatywę prywatną, daje również niepomysłne dla całego społeczeństwa rezultaty.

Szukanie należytej równowagi między ideą indywidualistyczną a ideą państwowości, w praktycznym ich stosowaniu, stanowi, można powiedzieć, treść wewnętrznej historii narodów; postęp zaś polega na przekształcaniu się form prawnych i życiowych, — wyrażających wzajemny stosunek obu pierwiastków, — odpowiednio do stopnia umysłowości i moralności danego społeczeństwa, w danej chwili. Jedne narody okupują postęp kosztem dotkliwych ofiar, zmiany form społecznych odbywają się u nich

¹⁾ Przywódca angielskiego socjalizmu Keir Hardie odbył w ciągu ostatniej zimy podróż po angielskich koloniach dla propagandy swych idei; obecnie, w celu powstrzymania emigracji z metropolii do kolonii, ogłosił w piśmie list kierownika australijskich związków robotniczych, Ben Tillet'a, malujący w najczarniejszych kolorach miejscowe warunki: „płace robotnicze spadły do poziomu *norm głodowych*, odczuwa się brak pracy, a panujący system przymusu i głód łamią serca i życia; naród cały pogrążony w nędzy.“ Wiadomym jest także fakt, że kapitały prywatne wycofywają się z Nowej Zelandyi, co przyczyniać się także musi do upadku przemysłu.

drogą rewolucyi i następującej po niej zawsze reakcyi; drugie szczęśliwsze unikają w swem życiu bolesych wstrząśnień i rozwijają się drogą normalnej pokojowej ewolucyi.

Do tych ostatnich należy w Europie społeczeństwo angielskie; potężny, imponujący całemu światu rozrost swych sił: moralnych, intelektualnych i ekonomicznych, zawdzięcza ono taktyce ewolucyjnej, opracowanej w szczegółach, stosowanej umiejętnie i dającej się streścić w następujących wyrazach: najprzód ewolucya pojęć, potem ewolucya życia. Na czele ruchu ewolucyjnego stoją ludzie wiedzy i myśli, którzy, rozporządzając obfitym materiałem faktycznym i bezstronnym aparatem naukowym, usiłują wyjaśnić prawa rozwoju społeczeństw i w ramach tych praw, odnaleźć sposoby rozwiązania najbliższych, stojących na porządku dziennym, zagadnień. Wyniki myśli przodowników postępu pochwytyują ludzie życia praktycznego, członkowie stronnictw politycznych, i organizują gorliwą propagandę nowych pojęć w szerokich masach, za pomocą pism, konferencyj, klubów, meetin-gów i t. p.; ogłaszane są przytem programy nie ogólnikowo-teoretyczne, ale czysto rzeczowe, bezpośredni związek z życiem mające. Opinia publiczna, wytrwale oświecana i przygotowana, znajduje swój wyraz w wyborach do parlamentu, które są też w Anglii, więcej, niż w innych krajach, wskaźnikiem przeważających w społeczeństwie tendencyj i aspiracyj, a nie dziełem przypadku, lub agitacyi charakteru prywatnego. Działalność prawodawcza parlamentu jest ostatniem stadyum odbywającej się ewolucyi: sankcyonuje nieraz dokonane już przez samo życie zmiany i ustanawia prawne normy życia, odpowiadające zmodyfikowanym poprzednio pojęciom i czyniące zadość nowym potrzebom i dążnościom społeczeństwa.

I.

Spółeczeństwo angielskie, jak wiadomo, dzieli się na dwa główne, wielkie stronnictwa: konserwatywne — „torysów“ i liberalne — „whigów.“ Pierwsze jest przedstawicielem idei państwowej, dąży do wzmocnienia państwa na zewnątrz i rozszerzenia kompetencyi rządu w wewnętrznych stosunkach kraju; drugie reprezentuje ideę indywidualistyczną, swobód w szerokiem znaczeniu: swobodnej konkurencyi i dobrowolnej umowy w stosunkach wewnętrznych, wolnego handlu i pokoju — w stosunkach międzynarodowych. Historia Anglii jest obrazem kolejnej zmiany rzą-

dłów to jednego, to drugiego stronnictwa; w chwilach komplikacyj politycznych, kiedy potrzebną bywa manifestacya na zewnątrz silnego rządu, rozum narodu angielskiego powołuje do władzy stronnictwo torysów, posiadających tradycyę stanowczej i energicznej polityki zewnętrznej; przeciwnie, w okresach pokoju międzynarodowego, kiedy dla inicjatywy prywatnej otwiera się obszerne pole działalności w sferze stosunków ekonomicznych i społecznych—władza przechodzi zwykle do whigów, ludzi o szerokim poglądzie, których liberalizm, opierający się na podstawie nagromadzonej wiedzy i doświadczenia, był zawsze najlepszą rękomią rozwoju twórczych sił tego narodu. W drugiej połowie XIX stulecia, obydwie stronnictwa wydały ze swych szeregów dwóch typowych przedstawicieli angielskiego konserwatyzmu i liberalizmu, którzy, zmieniając się kolejno na stanowisku prezesa gabinetu ministrów, w ciągu lat kilkudziesięciu dzierżyli w swych rękach ster polityki państwowej; byli to Beaconsfield i Gladstone. Pierwszy, z krwią semicką w żyłach, w głębi duszy niemal fanatyk, na zewnątrz zimny mówca parlamentarny, zawsze panujący nad uczuciem, poeta siły a jednocześnie rozważny, praktyczny polityk, marzył o wszechświatowem imperyum angielskiem, opartem na rzeczywistych zaletach rasy anglo-saksońskiej i budował trwałe jego podwaliny; drugi—humanista filozof z marzycielską duszą Celta, pełen do samego końca młodzieńczego zapału, mówca unoszący się, wierzył w ostateczny tryumf sprawiedliwości, dla jego urzeczywistnienia pracował, pragnąc, aby Anglia swym przykładem ludzkość całą do lepszej prowadziła przyszłości. Wielka szczerłość wiary w swój ideał ożywiała każdego z nich, cechowała każdy ich czyn i podnosiła skuteczność ich pracy publicznej; na przestrzeni kilku dziesiątków lat wpływy tych dwóch mężów stanu na życie i politykę angielskie wzajemnie się uzupełniały i wytwarzały tę zadziwiającą w stosunkach angielskich równowagę między gorącym uczuciem, a zimnym rozsądkiem, między teoretyczną zasadą niekrępowanej swobody indywidualnej, a realną ideą rządzącej państwowości, między abstrakcyjnym jeszcze wszechświatowym humanitaryzmem, a praktycznym, ściśle określonym, patorytyzmem.

W okresie ostatnich dwudziestu lat: 1886 — 1906, z małą przerwą od r. 1902 do 1905, kierunek polityki angielskiej, wewnętrznej i zewnętrznej, spoczywał stale w rękach stronnictwa konserwatywnego. Wybory do parlamentu w r. 1886, 1895 i 1900 stale dawały znaczną większość konserwatywną — do 500 posłów na ogólną liczbę 670 deputowanych w Izbie gmin—w następstwie

czego teki ministeryalne przechodziły do torysów, na których czele stali, po Beaconsfieldzie, Salisbury, Balfour i Chamberlain. Wojna południowo-afrykańska wzmocniła ich stanowisko i zdawało się, że program konserwatywny odpowiada wymaganiom chwili i ogólnym aspiracyom angielskiego społeczeństwa. Tymczasem ostatnie wybory, w początku 1906 r., niespodziewanie dla wielu, okazały się przynębiającą porażką dotychczasowego stronnictwa rządowego, a świetnym tryumfem zreformowanego stronnictwa liberalnego. W skład nowego parlamentu weszło zaledwie 153 konserwatystów; stronnictwo liberalne zdobyło 375 mandatów, nacjonalści-irlandczycy—83 i stronnictwo robotnicze—53; tworzą oni teraz większość parlamentarną, na której opiera się nowe ministerium liberalne, mając na czele długoletniego popularnego lidera stronnictwa liberalnego, Campbell-Bannermana, człowieka odznaczającego się lojalnością charakteru i idealizmem, zaletami, które wzbudzają dla niego szacunek nawet w obozie przeciwników politycznych. ¹⁾

Oczywiście, w nastroju społeczeństwa angielskiego i poglądach jego na obecne potrzeby nastąpiła poważna zmiana, której przekonywajacem wyrazem są ostatnie wybory. Złożyły się na nią: rezultaty praktycznej działalności stronnictwa konserwatywnego, zasadnicze zmodyfikowanie dawnego programu stronnictwa liberalnego i nakoniec wystąpienie na widownię życia politycznego nowego stronnictwa robotniczego, noszącego nazwę: „niezależnego stronnictwa pracy:“ *Independent Labour Party*. Wszystkie te trzy czynniki razem spowodowały ewolucję pojęć, jaką przebyło angielskie społeczeństwo w ciągu ostatnich 20 lat i która powinna znaleźć dla siebie realne formy życiowe w prawodawczej działalności obecnego parlamentu. Przypatrzmy się teraz z osobna każdemu ze wspomnianych czynników.

¹⁾ Szczegóły wyborów są następujące. W Anglii, jak wiadomo, nie ma powszechnego, równego głosowania; przy ogólnej liczbie ludności 45 milionów, z prawa wyboru do parlamentu korzysta przeszło 6 mil. osób (w Niemczech, przy powszechnym głosowaniu do parlamentu, na 61 mil. ludności jest 12½ mil. wyborców); przy ostatnich wyborach złożonych było 5,600,000 kartek wyborczych; z nich 2,800,000 na kandydatów liberalnych, 2,300,000 na konserwatywnych i 500,000 — na robotniczych; pomiędzy wyborcami okazało się 34,309 czyli 0,6% nieumiejących pisać.

Stronnictwo konserwatywne, wierne idei państwowości, za główne swe zadanie stawia: rozszerzenie interwencji państwa w sferze stosunków wewnętrznych i wzmocnienie stanowiska państwa w stosunkach międzynarodowych. Wypływa stąd z jednej strony program prawodawstwa socyalnego, ograniczającego swobodę dobrowolnej umowy i konkurencji; z drugiej — program reform militarnych, a przede wszystkim wytworzenie ściślej łączności metropolii angielskiej z koloniami drogą traktatów handlowych, ograniczających dotychczasową wolność handlu. Obietnicą reform socyalnych stronnictwo konserwatywne pociągnęło do siebie klasę robotniczą, a wizją wszechświatowej federacji anglosaksońskiej — szerokie masy, w których, obok realnych interesów chwili, żyje głębokie, sięgające w dalszą przyszłość, uczucie patriotyzmu. Tem się objaśniają zwycięstwa, odniesione przez stronnictwo konserwatywne przy wyborach do parlamentu w r. 1874, po dwudziestoletnich rządach gabinetu liberalnego, i następnie w latach 1886, 1895 i 1900. Sposób jednak wykonania programu, oraz rezultaty, osiągnięte przez rząd torysów, zawiodły pokładane w stronnictwie konserwatywnem nadzieje i przyczyniły się do jego upadku w r. 1906.

Rzeczywiście, z szeregu zapowiedzianych reform socyalnych, wykonanemi zostały bardzo nieliczne i niemające przytem doniosłego znaczenia. Najważniejszymi z nich są: w r. 1892 *Small Allowments Act* — prawo ułatwiające, ze znacznymi jednak ograniczeniami, powstawanie drobnej własności ziemskiej; prawa z r. 1893 i 1897 o cywilnej odpowiedzialności pracodawców za nieszczęśliwe wypadki z pracownikami;¹⁾ prawo z r. 1895, dopełnione w r. 1902, regulujące pracę kobiet i dzieci, oraz ustanawiające pewne ogólne przepisy higieny i bezpieczeństwa pracy w fabrykach. Po nowych wyborach w r. 1900, kiedy do parlamentu weszli w znacznej liczbie przedstawiciele kapitału i przemysłu (163 właściciele ziemskich, 60 bankierów, 164 przemysłowców i kupców), zajął on, można powiedzieć, wręcz nieprzychylnie względem klasy robotniczej stanowisko; rozpoczęła się wyraźna akcja przeciw Trade-Unionom. Organ stronnictwa konserwatywnego *Times*, w szeregu artykułów,

1) W Anglii prawo odpowiedzialności pracodawcy za nieszczęśliwe wypadki rozciąga się i na służbę domową; do nieszczęśliwych wypadków, dających prawo do odszkodowania, zaliczone są także niektóre choroby profesyjne.

zatytułowanych „Kryzys angielskiego przemysłu,“ w r. 1901—1902, zarzuca wprost związkom robotniczemu, że członkowie ich trzymają się systematycznie przy pracy tak zwanej metody: „*ca'canny*,“ t. j. opieszałości w robocie („obstrukcyja“ — według naszego, „sabotage“—według francuskiego wyrażenia), że są przeciwni rozwojowi mechanicznych urządzeń w fabrykach, opierają się stosowaniu płac akordowych i takim postępowaniem powodują napływ do kraju wyrobów niemieckiego przemysłu („*made in Germany*“). Na zasadzie wyroku najwyższej w Anglii instancji sądowej, osobnej komisji Izby lordów („*law lords*“), Trade-Uniony zostały kilkakrotnie skazane na wysokie kary za szkody wyrządzone przez strejki wybuchłe bez uprzedzenia; tak np. w r. 1901 Trade-Union pracowników kolejowych linii Tafftal, w okolicach Cardiffa, musiał wypłacić dyrekcji sumę 23,000 funt. szterl. ¹⁾ W końcu, od r. 1903, doszło do tego, że parlament systematycznie odrzucał wszystkie projekty praw, wnoszone przez przedstawicieli stronnictwa robotniczego, jak to: projekt uregulowania prawodawstwa o związkach (odpowiedzialność związku za postęпки oddzielnych swych członków), projekt prawa o zakładaniu kolonij robotniczych, o reglamentacji długości dnia roboczego w kopalniach i t. p.

Reformy wewnętrzne, od których klasy niezamożne spodziewały się polepszenia warunków życia, znikają stopniowo z programu parlamentarnego, a miejsce ich zajmują albo projekty praw, korzystnych dla kapitalistów i przemysłowców, np. *Licensing Act*—prawo znoszące dawne ograniczenia w handlu spirytualiami, albo też kwestye, związane z polityką zewnętrzną. Stronnictwo torysów przestaje być „stronnictwem reform,“ a przekształca się wyłącznie w stronnictwo „unionistyczne,“ czyli imperyalistyczne. Minister kolonij, Chamberlain, człowiek posiadający, obok umysłu praktyczno-utylitarnego, przysłowiową dumę angielską i fanatyczną wiarę w posłannictwo rasy anglo-saksońskiej, podejmuje spuściznę ekonomiczno-politycznych teoryj Beaconsfielda, nadaje im formę realnego programu i sam występuje w roli apostoła idei imperyalistycznej: „*missionary of Empire*,“ jak sam się o sobie wyraża. Pierwszym krokiem do przyszłej unii politycznej całego świata anglo-saksońskiego ma być teraz unia celna, rodzaj nie-

¹⁾ Podobny wyrok, skazujący związek robotniczy na zapłatę szkód, wynikłych z ogłoszonego „bojkotu“ wydał świeżo (w lutym 1908 r.) najwyższy trybunał w Stanach Zjednoczonych.

mieckiego Zollverein'a; potrzeba jej daje się już obecnie odczuwać. Przemysłowi angielskiemu coraz bardziej zagraża konkurencja z przemysłem Niemiec i Stanów Zjednoczonych, rozwijającym się pod opieką ceł ochronnych; eksport produktów angielskich, oprócz maszyn, węgla i koksu, w ostatnich latach stale się zmniejsza; co zaś do rolnictwa angielskiego, to jest ono w stanie wyraźnego upadku, wskutek wolnego, bez cła, dowozu do kraju produktów rolnych. Należy więc bronić przemysł angielski, stwarzając dla niego za pomocą traktatów handlowych i towarzyszących im ceł dyferencyalnych (różniczkowych) uprzywilejowane rynki zbytu w koloniach i jednocześnie podnieść rolnictwo angielskie, ustanawiając cła wwozowe na zboże i mięso, dowożone do metropolii z innych krajów, z wyjątkiem kolonij angielskich.

Propaganda unionistyczna prowadzoną była energicznie za pomocą pism, broszur, poważnych opracowań statystyczno-ekonomicznych, meetingów i osobistych konferencyj Chamberlaina; początkowo obudziła ona entuzjazm, olśniewając wyobraźnię angielską widzeniem przyszłej potęgi wszechświatowej; Chamberlaina spotykano w rozmaitych miastach owacyjnie; na wezwanie jego do ofiar, jakie ponieść wypadnie dla urzeczywistnienia jedności świata anglo-saksońskiego, odpowiadano okrzykiem: „*Empire for ever.*“ Pierwsze uniesienie patryotyczne jakby zagłuszyło na razie wrodzoną narodowi angielskiemu niechęć do wszelkich gwałtownych, zasadniczych zmian istniejącego systemu; potem jednak przyszła rozważa i zaczęto zastanawiać się nad realnymi następstwami „wielkiego projektu.“ Podniesienie się kosztu życia w Anglii przez wprowadzenie ceł wwozowych na materiały spożywcze, oraz zwiększenie się wydatków wojennych na utrzymanie potęgi państwa, a więc i konieczność podniesienia stopy opodatkowania—przedstawiły się, jako fakty, nieulegające wątpliwości i bezpośrednio najdotkliwsze dla niezamożnej części narodu; tymczasem ogólne korzyści ekonomiczne, dla których ofiary powyższe miały być ponoszone, pozostają, jak w chwili obecnej, tak i na przyszłość, tylko mniej lub więcej prawdopodobnymi przypuszczeniami i nie mogą być za niezbite pewniki uważane.

Z powstałych w umysłach wątpliwości skorzystało stronnictwo liberalne i przedstawiło opinii publicznej swój program, który nie żądając od społeczeństwa nowych ofiar, podaje inne sposoby dla zapewnienia rozwoju przemysłu i podniesienia rolnictwa w Anglii. Wyniki wyborów do parlamentu z r. 1906 dowiodły, że imperyalistyczna propaganda, z projektem ograniczenia wolności handlu, nie pozyskała dla siebie większości narodu; wię-

kszość ta stanęła po stronie nowego programu stronnictwa liberalnego. ¹⁾)

Gdy do stronnictwa konserwatywnego należą przeważnie w Anglii przedstawiciele arystokracji rodowej i pieniężnej, natomiast stronnictwo liberalne ma charakter demokratyczny i w skład

¹⁾ Ogólnem dziś zjawiskiem we wszystkich krajach Europy jest wzrastająca stale drożyzna przedmiotów pierwszej potrzeby, będąca następstwem polityki celnej, koniecznej ze względów finansowych; cła bowiem stanowią jedno z głównych źródeł dochodów każdego skarbu. Skutkiem drożyzny cierpią głównie niezamoże klasy narodu i np. w Niemczech dopominają się teraz energicznie zniesienia ceł wwozowych na produkty spożywcze. Tymczasem, w Anglii, dzięki jej polityce celnej, t. j. dzięki dowozowi bez cła, ceny spożywczych materiałów nie ulegają stałej zwyżce, jak to widać z następującej tablicy, w której, dla łatwości porównania, ceny z r. 1900, przyjęte są za 100:

	w r. 1885	w r. 1890	w r. 1895	w r. 1900	w r. 1903
Cena chleba	110	121	85	100	111
„ kartofli	146	125	146	100	109
„ mięsa wołowego	126	96	96	100	101
„ „ baraniego	126	115	96	100	106

Projektowane przez Chamberlaina cła wwozowe, podnosząc ceny chleba i mięsa, zwiększyłyby przypuszczalnie odpowiedni wydatek na *jednego* mieszkańca Anglii o 2¹/₂ schel., t. j. mniej więcej o 1,20 rb. rocznie.

O rozmiarach handlu angielskiego dają pojęcie niżej przytoczone cyfry, wyrażające w niemieckich markach wartość wwozu i wywozu kilku ważniejszych państw w r. 1906.

	wartość wwozu	wartość wywozu
Stany Zjednoczone	4.931 mil. mar.	7.215 mil. mar.
Niemcy	7.851 „ „	6.125 „ „
Francya	4.236 „ „	4.085 „ „
Rosya	1.257 „ „	2.262 „ „
Anglia	12.421 „ „	7.675 „ „

Za ostatni 1907 rok cyfry angielskiego handlu są wyższe, niż w r. poprzednim, a mianowicie:

Wwieziono do Anglii rozmaitych towarów za sumę	645.904.175 funt. szterl., czyli 13.176 mil. mar.
Wywieziono z Anglii rozmaitych towarów za sumę	426.204.597 „ „ „ 8.692 „ „

Z ogólnej sumy wwozu przypada: 45% na produkty spożywcze, 35% — na surowe materiały do fabrykacji (np. bawełna) i 20% na wyroby gotowe; co zaś do wywozu, to 12% stanowią materiały surowe, głównie węgiel i koks, a reszta, t. j. 88% — różne gotowe wyroby fabryk.

jego wchodzi, obok stosunkowo niewielkiej liczby lordów — potentków dawnych whigów—większość przedstawicieli swobodnych profesyj i cała masa drobnej burżuazji.¹⁾ Przewodnią ideą stronnictwa jest idea indywidualistyczna, z której logicznie wypływa ograniczenie kompetencji państwa do ściśle określonych funkcji, a natomiast rozszerzenie swobód indywidualnych i zakresu działania prywatnej inicjatywy, jako najsilniejszego czynnika postępu społecznego. Nie przyznając państwu prawa kontrolowania „dobrowolnej umowy,“ *klasyczny* liberalizm pozostawia szerokie pole dla „wolnej konkurencji“ i „wolnej wymiany,“ wierząc, że one same są w stanie skutecznie regulować wewnętrzne stosunki i doprowadzić do pożądanego dla ogólnego dobra harmonii prywatnych interesów. Doktrynerzy liberalizmu, jak np. Spencer, dochodzili do tego, że pauperyzm uważali za nieunikniony, a nawet do pewnego stopnia pożyteczny w życiu społecznym czynnik, który usuwa słabe pierwiastki (leniwych i nieprzezornych) i w ten sposób wzmacnia organizm narodowy. Do wyznawców „klasycznego“ liberalizmu należał także Cobden, człowiek czynu więcej niż naukowych teorii, „apostoł taniego chleba i międzynarodowego pokoju“—jak go w Anglii nazywają, którego wytrwałej propagandzie Anglia zawdzięcza zniesienie ceł zbożowych i wogóle wprowadzenie w życie zasady wolnego handlu.

Z biegiem czasu, pod wpływem z jednej strony humanitaro-filozoficznych poglądów takich myślicieli, jak Carlyle, Ruskin, z drugiej pod wpływem ogólnych ekonomicznych teorii Stuarta Milla i Bentham, oraz szczegółowych statystyczno-ekonomicznych badań życia (np. prac C. Booth i Rowntree), początkowy liberalizm uległ znacznym modyfikacyom. Zachwiana została wiara w nieomyślność zasady wolnej konkurencji, a nawet w nienaruszalność zasady prywatnej własności; w łonie stronnictwa wytworzyła się grupa o odcieniu radykalnym, która wkrótce zdobyła w niem przewagę. Zmieniły się teoretyczne podstawy liberalnego

¹⁾ Typowym przedstawicielem jednego, względnie nielicznego, odłamu angielskiej arystokracji jest Balfour, następca Salisburego na stanowisku prezesa ministrów. Spadkobierca umysłowej kultury całego szeregu pokoleń, arystokrata myśli i estetyk, którego obchodzą żywo najwyższe zagadnienia religii i nauki, nie posiada on już zdrowej energii czynu, charakteryzującej ogół angielski, gdyż paraliżuje ją wyrafinowany Hamletowski sceptycyzm. Brakiem jasnego programu, oportunistem w polityce, wyniosłą obojętnością w traktowaniu spraw życiowych i ludzi, kompromituje swe stronnictwo, zraża opinię publiczną i przyczynia się do upadku gabinetu.

programu i stracił on swój ogólnikowy doktrynerski charakter; reformy socyalne zajęły w nim pierwsze przed reformami politycznymi miejsce i sam program stał się zbiorem praktycznych, utilitarnych projektów. Wydana w r. 1902 z przedmową Asquitha, obecnego ministra finansów, książka H. Samuela, p. t. „*Liberalism*,” będąca jakby manifestem wyborczym stronnictwa, daje dokładne pojęcie o ewolucyi, jaka się odbyła w ostatnich latach w „*National Liberal Federation*.” Zawiera ona nietylko odpowiedzi na realne zagadnienia chwili, ale jeszcze obraz ustroju społecznego, odpowiadającego ideałowi stronnictwa i wskazuje drogi wiodące do jego urzeczywistnienia. Dla charakterystyki głównych zasad nowego programu liberalnego, któryby można nazwać „liberalno-radykalnym,” przytaczam tu niektóre z wypowiedzianych w wspomnianym „manifestie” poglądów na kwestye społeczne.

Przedewszystkiem stronnictwo nie chce się uważać za przedstawiciela jednej tylko grupy lub klasy społecznej, ale za przedstawiciela wspólnych interesów całego narodu, gdyż „przyszły postęp powinien być postępem wszystkich.” W obecnej chwili warunki życia są takie, że swoboda indywidualna istnieje tylko w teorii, w rzeczywistości zaś, pomimo sankcyi prawnej, jest złudzeniem. Tak np. robotnik jest niewolnikiem swego otoczenia, złego mieszkania, długiego dnia pracy, a głównie braku wykształcenia i oświaty.

Tak zwana „wolność pracy,” prawo robotnika do jej zmiany, do zawierania „dobrowolnej” umowy — są to teoretyczne przywileje, z których robotnik w rzeczywistości korzystać nie może, podobnie jak podróżny nie może opuścić pędzącego z nim pociągu, lub zmienić tegoż szybkości.

W imię więc samej swobody, interwencya państwa jest usprawiedliwioną, jeżeli ma na celu oswobodzenie jednostki od czynników, swobodę indywidualną krępujących. Interwencya ta jednak powinna się ograniczyć tylko do zaoszczędzenia jednostce nadzwyczajnego wysiłku, nadzwyczajnego zużycia energii przy pokonywaniu życiowych trudności, ale nie powinna przekształcić się w protegowanie niezaradności i nieprzezorności i osłabić zaufanie jednostki do własnych swych sił.

Dotychczasowa zasada życia ekonomicznego: „laissez faire, laissez passer” musi, ze względu na dobro ogólne, być zastąpiona przez odpowiednie prawodawstwo socyalne, dążące do wytworzenia możliwie jednakowych dla wszystkich warunków zewnętrznych rozwoju i życia, gdyż dopiero wtedy „wolna konkurencya” da zwycięstwo tym, którzy są rzeczywiście najlepszymi i najzdol-

niejszymi. Swoboda indywidualna może być tylko środkiem; celem zaś powinno być zapewnienie wszystkim możliwie najlepszego życia. Do takiego celu zmierzać winny usiłowania oddzielnych jednostek, a również działalność państwa, jako organizacji, przeznaczonej do akcji zbiorowej; po okresie indywidualizmu anarchistycznego następuje era wolnych asocjacji pod kontrolą państwa: niemoc wysiłków indywidualnych zastąpi harmonia sił zgrupowanych.

Z przytoczonych ustępów widzimy, że program neo-liberałów otwiera sięgające daleko perspektywy reform socjalnych, mających głównie na celu warunki życia klas pracujących. To samo stronnictwo, które w 1874 r. wskutek upartej niechęci Gladstona do interwencji państwa w sprawie prawodawstwa o związkach i reglamentacji pracy kobiet, straciło sympatyę robotników, a następnie władzę; które powtórzyło takąż omyłkę w r. 1886—podejmuje obecnie, wystawiony początkowo przez torysów, ale w ostatnim czasie przez nich porzucony, program reformatorski i zbliża się dla wspólnej pracy do parlamentarnego stronnictwa robotniczego. „Wielkiemu,“ ale zasłoniętemu mgłą niewyraźnej jeszcze przyszłości, projektowi koalicji unionistycznej, który za pomocą ceł ochronnych i traktatów handlowych chce zapewnić ogólną pomyślność i jednocześnie potęgę militarną, stronnictwo liberalne przeciwstawia realny, dążący do tegoż celu, ale wykonalny niezwłocznie program reform: agrarnej, oświaty ludowej, systemu opodatkowania i prawodawstwa robotniczego.

Będąc stanowczymi przeciwnikami nacyonalizacji ziemi, neo-liberali uważają jednak za konieczne rozdrobnienie własności ziemskiej, obalenie monopolu landlordów i wytworzenie małych gospodarstw rolnych, czy to na prawach własności, czy też czynszu wieczystego, chociażby nawet drogą wywłaszczenia, do którego powinny mieć prawo Rady Okręgowe (*County Councils*), jak obecnie już z niego korzystają zarządy miejskie, na zasadzie *Small Holdings Act*. W ten sposób, bez ceł wwozowych na zboże i mięso i bez podrożenia życia, rolnictwo krajowe może być podniesionem.¹⁾

¹⁾ *Small Holdings Act* daje zarządom miejskim prawo wywłaszczać, w niektórych wypadkach, na potrzeby miast, np. na budowę kolonij robotniczych, pewne kategorie gruntów, głównie leżące odlegiem; nie podlegają wywłaszczeniu: parki, ogrody, uprawne grunta folwarczne i t. p. Pomimo zasadniczej różnicy, jaka istnieje między angielskim prawem, a pruskim projektem wywłaszczenia polskich właścicieli ziemskich przez komisję kolonizacyjną, co do przyczyny, sposobu stosowania i celu wywłaszczenia, ministrowie pruscy dla usprawiedliwienia rządowego projektu powoływali się na *Small Holdings Act*.

W oświacie ogólnej i wykształceniu fachowem neo-liberali widzą skuteczniejszy od traktatów handlowych środek dla rozwoju krajowego przemysłu. Różniąc się w poglądach z konserwatystami, uznają za celowe dążyć do zmniejszenia wydatków wojennych, aby zaoszczędzone sumy zużytkować na szerzenie oświaty i założenie brakujących w Anglii szkół profesjonalnych dla robotników; za pomocą odpowiednio uzdolnionych robotników, spodziewają się zwalczać z powodzeniem konkurencyą przemysłu niemieckiego i amerykańskiego. ¹⁾

Ze względu również na dobro ogólne, program liberalny przewiduje potrzebę prawnego ograniczenia handlu spirytualiami, zniesienia ustanowionego przez konserwatywny parlament korzystnego dla handlujących prawa: „*Licensing Act*,” a natomiast rozszerzenia kompetencyj Rad Okręgowych („*County Councils*“) w wydawaniu miejscowych przepisów w celu popierania wstrzemięźliwości. Według przedstawionego już parlamentowi przez ministra skarbu Asquitha projektu nowego prawa, w ciągu 14 lat będzie skasowanych w Anglii do 30.000 patentów na handel spirytualiami, czyli $\frac{1}{3}$ ogólnej ich liczby. ²⁾

W kwestyi podatków, neo-liberali dążą wogóle do sprawiedliwszego ich podziału między rozmaitemi klasami, względnie do stopnia ich zamożności; tak np. dla zmniejszenia ciężaru podatku dochodowego (*Income Tax*), przypadającego na klasę stosunkowo uboższą, projektują podniesienie normy osobistego dochodu

¹⁾ Według przedstawionego teraz parlamentowi przez liberalny gabinet budżetu na r. 1908/9 wydatki na armię lądową mają wynosić 27.459.000 funt. szterl., t. j. o 300.000 f. st. mniej, niż w roku poprzednim; wydatki na flotę wyniosą 32.319.000 f. st., czyli o 900.000 f. st. więcej, wskutek podrożenia materiałów (np. węgla) i podniesienia płac; w poprzednich latach wydatki na flotę były jeszcze wyższe.

²⁾ O ekonomicznem znaczeniu nowego prawa można sądzić z tego, że w Anglii w browary i gorzelnie włożonym jest kapitał do 300 mil. funt. szterl. a w przemyśle tym pracuje około $1\frac{1}{2}$ mil. ludzi; zainteresowani przemysłowcy postanowili w całym kraju prowadzić energiczną propagandę przeciw rządowemu projektowi i zbrali na ten cel sumę 100.000 funt. szterl. Dołącza się tu jeszcze do względów ogólnej wstrzemięźliwości, konkurencyja między fabrykantami piwa i wódki, a fabrykantami kakao i czekolady, gdyż ci ostatni chcieliby swemi wyrobami zastąpić spożycie spirytualii. Oprócz prawa, ograniczającego handel spirytualiami zasługuje jeszcze na uwagę bill, wniesiony do parlamentu, zabraniający sprzedaży tytoniu dzieciom do lat 16, a tym ostatni palenia tytoniu na ulicach i w miejscach publicznych.

rocznego, nie podlegającego opodatkowaniu, ze 160 funt. szt., jak to jest obecnie, do 300 funt. szerl.

W sprawie upaństwowienia rozmaitych gałęzi przemysłu (kolei, kopalni i t. p.), neo-liberali dalecy są od socjalistycznej doktryny, której słuszność nie jest według nich wcale dowiedziona, że państwo potrafi uczciwiej, lepiej i korzystniej dla społeczeństwa prowadzić przedsiębiorstwa przemysłowe, niż to czynią osoby prywatne. Podczas niedawnych rozpraw w Izbie gmin, z powodu wniosku o upaństwowieniu kolei w Anglii, na wzór, jak to już zrobiono w Prusach i Włoszech, minister handlu, Lloyd George odpowiedział, że jest to kwestya nie socyalnej reformy, ale czysto tylko ekonomiczna i zanim będzie powzięta jakakolwiek akcyja prawodawcza, musi być poprzednio jeszcze zebrany faktyczny materyał dla należytego wyjaśnienia zalet oraz wad, zarówno prywatnej, jak i rządowej gospodarki na kolejach.

W ogólnej kwestyi ordynacyi wyborczej, stronnictwo liberalne jest w zasadzie za stopniowem rozszerzeniem prawa wyborczego i nawet za udzieleniem go także kobietom; nie uważa jednak tej kwestyi za pilną. Ze swej strony angielskie „sufrażystki“ prowadzą teraz bardzo energiczną i głośną propagandę dla przyspieszenia decyzyi parlamentu, a wobec wypowiedzianych przez kilku ministrów (Asquitha i Haldana) nieprzychylnych zdań, upatrują w liberalnej Izbie gmin i w liberalnym gabinecie większego nieprzyjaciela swych dążności, niż w izbie lordów.

Program prawodawstwa robotniczego jest bardzo obszerny; porusza wszystkie żywotne dla klasy robotniczej sprawy, jak to: ubezpieczenie na starość, długość dnia pracy, kwestyę tanich mieszkań i t. p. O szczegółach programu będzie mowa niżej; tu zaznaczyć tylko trzeba, że stronnictwo liberalne w silnym stopniu uwzględnia teraz potrzeby i aspiracye klasy robotniczej; w ostatnich czasach, w parlamencie, stronnictwo głosowało zawsze, jakkolwiek bez pomyslnego skutku ze względu na większość konserwatywną, za projektami praw, wnoszonymi przez „niezależne stronnictwo pracy.“ Porozumienie obu stronnictw jest widocznem i przyczyniło się niewątpliwie do zwycięstwa liberałów przy wyborach do parlamentu w r. 1906. Imponującą manifestacyą zawartego przymierza był zorganizowany przez liberałów w całej Anglii w r. 1904 uroczysty obchód setnej rocznicy urodzin Cobdena. Przy oddaniu hołdu pamięci człowieka, który chociaż był przeciwny interwencyi państwa do wewnętrznych stosunków życia przemysłowego, odczuwał jednak silnie potrzeby swego czasu i przyczynił się potężnie do podniesienia dobrobytu klas pracujących — spotkali się

z jednej strony członkowie rozmaitych stowarzyszeń liberalnych i klubów radykalnych, przedstawiciele inteligencji, burżuazji i kupiectwa, z drugiej przedstawiciele związków robotniczych (*Trade-Unions*) i stanu włościańskiego (*tenant farmers*).

II.

Najważniejszym, być może, czynnikiem ewolucji społecznej w Anglii, w ostatnim dwudziestoleciu, jest coraz większy udział w życiu publicznym klasy robotniczej, reprezentowanej w parlamencie przez „niezależne stronnictwo pracy“ (*„Independent Labour Party“*); pod wpływem tego stronnictwa zmieniały się programy liberałów i konserwatystów; ono też wysunęło na pierwszy plan program reform socyalnych.

Obecne znaczenie *Labour Party* jest logicznym następstwem tej doskonałej organizacyi, do jakiej doszły angielskie związki robotnicze (*Trade-Uniony*) i tej rozumnej taktyki, jaką w swym postępowaniu przyjęły. Z jednej strony życie związkowe, ze swym kształcącym wpływem, z drugiej — nabyte przez szereg lat doświadczenie i umiejętność wyprowadzania z tegoż pożytecznych wniosków, sprawiły, że dziś klasa robotnicza w Anglii nie stanowi już „państwa w państwie,“ nie wyodrębnia się, jak to jest jeszcze w innych krajach, pod wpływem jednostronnych doktryn, od reszty społeczeństwa, mając jedynie klasowy interes na celu, ale w silnem poczuciu solidarności z innymi warstwami narodu, staje do wspólnej pracy nad stopniowym doskonaleniem społecznego ustroju. Dla robotnika angielskiego źródłem energii czynów nie jest już hasło nienawiści klasowej, obliczone na rozbudzenie drzemiących w człowieku namiętności i instynktów drapieżnych; nie jest również dogmatem, obliczona na krótkowidztwo ograniczonego umysłu, rewolucyjna doktryna „akcyi bezpośredniej“ (*action directe*), czyli bezwzględnej walki klasowej, będącej jakoby jedynym skutecznym środkiem dla zdobycia lepszych warunków bytu klasy robotniczej. Miejsce dawnych „wierzeń“ i oderwanych formułek zajęło wysnute z samego życia przeświadczenie, że trwały postęp zdobywa się powoli, a kwestya robotnicza jest tylko jedną z wielu w całokształcie wewnętrznych stosunków społeczeństwa i od tegoż całokształtu zależną; koniecznym zaś warunkiem pomyślności klasy robotniczej jest wzmożenie się jej własnych sił: moralnych, intelektualnych i materialnych.

Zasady takie od pewnego czasu kierują działalnością angielskich Trade-Unionów i wpływ ich rozciąga się jeszcze na liczne szeregi robotników, oficjalnie do związków nie należących.

Historia ruchu robotniczego w Anglii, czyli historia rozwoju Trade-Unionów, zawiera dużo pożytecznych nauk i dla innych społeczeństw; trzeba tylko umieć z nich korzystać. Nie zawsze była ona pogodną, jak obecnie; miała także swoje okresy zamętu i zaślepienia, podobne do tego, jaki my obecnie przeżywamy, ale ostatecznie angielski organizm społeczny wyszedł z prób zwycięzko. ¹⁾

Początku Trade-Unionów szukać należy jeszcze w XVIII wieku; upadek średniowiecznych korporacyj cechowych, które, chociaż krępowały do pewnego stopnia swobodę jednostki, rozciągały jednak nad nią skuteczną opiekę; powstanie, wskutek wprowadzenia maszyn, na miejscu dotychczasowych rzemiosł, *wielkiego* przemysłu, o charakterze kapitalistycznym, z teoretyczną zasadą „wolności pracy,” ale bez jakiegokolwiek opieki nad pracownikiem;—takie były przyczyny, które zmusiły robotników wszędzie, a najpierw w Anglii, do tworzenia stowarzyszeń zawodowych dla obrony swych interesów i zdobywania lepszych warunków pracy. Akt parlamentu angielskiego z r. 1825 przyznał robotnikom prawo łączenia się w związki dla celów ekonomicznych, sankcjonował istnienie powstałych już poprzednio stowarzyszeń i ułatwił tworzenie się ich na przyszłość.

Rzeczywiście pod wpływem nowego prawa, we wszystkich gałęziach przemysłu mnożą się związki pracowników i pracodawców, ale stają przeciw sobie, jako wyraźni wrogowie; jedna strona chce drugą pokonać, narzucić swą przewagę i zmusić do bezwzględного posłuszeństwa; tak pojmuje każde swe zadanie i swój pożytek. W pierwszym tym okresie, który trwa niemal do siódmego dziesiątka lat przeszłego stulecia, walka toczy się na całej linii, wypadając najczęściej zwycięzko dla pracodawców, a kończąc się bolesną porażką robotników; środkami walki są lokauty,

¹⁾ Historia w ogólnych zarysach wszędzie się powtarza; można więc myśleć, że społeczeństwa, które pozostały w tyle za Anglią na drodze rozwoju przemysłowego (w tej liczbie — i nasze), będą w swym postępie przeżywały te same fazy i przekształcenia stosunków wewnętrznych, jakie już Anglia przeżyła; chodzi tylko o to, aby mając już sobie jakby wskazaną drogę i kolejne na niej etapy, społeczeństwa te umiały korzystać z cudzego doświadczenia i okupywały swój postęp możliwie najmniejszą stratą własnych sił, możliwie najmniejszą sumą własnych cierpień i ofiar.

bojkoty i strejki; zdarzają się oddzielne akty teroru, oddzielne zbrodnie, nie przechodzą jednak w groźną epidemję. Od zapowania anarchii bronią społeczeństwo angielskie: wielka żywotność narodu, opierająca się na moralności i rozwadze, zdrowa opinia publiczna, kierująca się nie chwilowem uniesieniem i przejściowemi sympatjami, ale stałą ideą prawa i sprawiedliwości i nakoniec, w niektórych razach, energiczna interwencya rządu, dbającego prawdziwie o utrzymanie wewnętrznego pokoju.

Walka wycieńcza obie strony i nawet zwycięzcom nie daje owoców, któreby odpowiadały poniesionym stratom; powoli też następuje zasadnicza zmiana nastroju i poglądów. Przemysłowcy schodzą ze stanowiska absolutnych „*Herrn im Hause*“ — według niemieckiego wyrażenia — godzą się z myślą, że stosunek między kapitałem a pracą musi się stopniowo zmieniać i byłoby rzeczą daremną takiej ewolucyi się opierać; robotnicy przekonywują się, że „akcja bezpośrednia“ nie doprowadza do pożądanego celu poprawy ich bytu; nakoniec jedni i drudzy przychodzą do wniosku, że pomimo pozornej sprzeczności, wspólny interes łączy przemysłowca i robotnika przy warsztacie pracy, a wzajemne zaufanie i pokojowy stosunek są dla obu stron jednakowo pożądane. Pierwiastek „konstytucjonalizmu“ zdobywa sobie prawo obywatelstwa w życiu przemysłowem, w stosunku między kapitałem, a pracą.

Reforma pojęć, a za nią reforma realnych form życia postępuje pomyślnie; do wykonania jej bowiem biorą się w Anglii nie sentymentalni teoretycy, ale ludzie wiedzy i praktyki, których jednak praca fachowa nie pozbawiła ani umiejętności orientowania się w sprawach społecznych, ani też zdolności odczuwania konieczności historycznych (np. Mundella, przemysłowiec i minister angielski). Jednocześnie życie związkowe wysuwa na kierowników klasy robotniczej, tak zwanych „sekretarzy“ związkowych, nie ambitnych agitatorów, lub ograniczonych doktrynerów, ale ludzi rozważnych, obeznanych z warunkami przemysłu i techniki, i zarazem o szerszych poglądach na stosunki ekonomiczne, *men of large ideas*, jak to przyznają przemysłowcy angielscy. Ustawy Trade-Unionów są pod tym względem bardzo wymagające; od każdego robotnika, zanim będzie zapisany do liczby członków, żądają kilku lat praktyki w obranym zawodzie i jednego roku próbnej pracy; co zaś do kandydatów na „sekretarzy“, to zanim ich wybór będzie zadecydowany przez powszechne głosowanie członków, muszą się oni poddać specjalnemu, trwającemu kilka dni, egzaminowi i w ten sposób złożyć dostateczno dowody, że nie tylko są dokładnie obeznani z techniką i rachunkowością da-

nej fabrykacji, ale posiadają jeszcze odpowiednie wiadomości z zakresu stosunków ekonomicznych i prawodawstwa robotniczego, oraz zalety charakteru (spokój, rozwagę, takt dyplomatyczny), potrzebne dla skutecznego reprezentowania interesów robotniczych i prowadzenia pokojowych z przemysłowcami pertraktacyj¹⁾.

Ruch pojednawczy w przemyśle wzmógł się szczególnie w okresie ostatnich 20-tu lat; ustawy większości Trade-Unionów zawierają teraz wyraźną wskazówkę, że jednym z zadań związku robotniczego jest utrzymanie dobrego stosunku między pracodawcami a pracownikami: *to promote reciprocal good feeling between employer and employed, to prevent, by just and equitable means, contests between employers and employed, to endeavour to settle disputes amicably without strikes* i t. d. We wszystkich ważniejszych gałęziach przemysłu, jak: górnictwo, hutnictwo, przedzielnictwo, budowa statków i maszyn, zostały zawarte między pracodawcami i robotnikami szczegółowe umowy, określające dokładnie wzajemne prawa i obowiązki i wskazujące drogi i sposoby do pokojowego załatwiania wynikających sporów. Umowy te są prawdziwymi „aktami konstytucyjnymi;“ o jednej z nich, noszącej nazwę *Brooklands Agreement* i zawartej w r. 1893 między dwoma wielkimi związkami przemysłowców i robotników w przemyśle bawełnianym (*Federation of Master Cotton Spinners Association* i *Amalgamated Association of the Cotton Operatives Trade-Unions*), Anglicy wyrażają się, że jest to „możliwie najlepszy traktat, jaki był kiedykolwiek zawarty między pracodawcami i pracownikami“ (*possibly the finest treaty ever concluded between employers and workpeople*). Ostatnim podobnym traktatem jest umowa, zawarta na sześć lat, w listopadzie 1907 r., między dziesięcioma dyrekcjami dróg żelaznych w Anglii i Trade-Unionami pracowników kolejowych, liczącymi około 200.000 członków; oprócz nich pracuje na kolejach angielskich jeszcze do 500.000 robotników i oficjalistów, do związków nie należących, ale umowa powyższa jest również dla nich obowiązującą.

Następstwem zawartych umów było powstanie w Anglii całej sieci instytucji pojednawczo-rozjemczych w przemyśle, które

1) Z pomiędzy tych „sekretarzy“ związkowych wybierani są głównie posłowie robotniczy do parlamentu; w obecnym parlamencie zasiada 12-tu sekretarzy Trade-Unionów górniczych (Abraham, Burt, Tenwick i in.), dwóch od Trade-Unionów hutniczych (Macpherson i Henderson), od związku cieśli, tkaczy bawolny, robotników warsztatowych, od Trade-Unionu robotników nie mających specjalności (*manoeuvres*) i t. d.

złożone są w równej liczbie z przedstawicieli pracodawców i robotników i mają za zadanie rozpatrywać i załatwiać wszelkie spory, indywidualnego oraz zbiorowego charakteru. Noszą one rozmaite nazwy: *Boards of Conciliation and Arbitration*, *Trade-Boards*, *Councils* i t. p., różnią się między sobą szczegółami swej organizacyi, ale zwykle przedstawiają kilka instancyj, przez które sprawa kolejno przechodzi. Kierując się zasadą życia angielskiego, że *Conciliation is much better, than arbitration, but arbitration is better, than open warfare* — porozumienie jest dużo lepsze od sądu rozjemczego, ale sąd rozjemczy jest lepszy niż otwarta wojna—instytucye wspomniane usiłują przedewszystkiem doprowadzić strony do ustępstw i porozumienia; dopiero, jeżeli zgoda nie mogła być osiągnięta, wydają ostateczny wyrok sądu rozjemczego, dla obu stron obowiązujący. Do kompetencyi tychże instytucyj należy jeszcze w pewnych gałęziach przemysłu, np. w górnictwie i hutnictwie, ustanawianie płac robotniczych na pewien z góry oznaczony okres czasu i modyfikowanie ich w razie potrzeby. Wydane przez parlament w roku 1896 prawo, noszące w skróceniu nazwę: *Conciliation Act*, uznało istnienie powstałych z inicjatywy prywatnej instytucyj pojednawczych, stworzyło podobne instytucye na pół urzędowe i rozszerzyło kompetencyę rządowego Departamentu Handlu (*Board of Trade*), wkładając nań obowiązek pośredniczenia i współdziałania przemysłowcom i robotnikom w ich dążnościach do załatwiania sporów na drodze „przyjacielskiego“ porozumienia (*friendly negotiation*).

Wszystkie wyliczone instytucye zapewniają teraz przemysłowi angielskiemu pokojowy normalny rozwój; wstrząśnienia, wynikające z ostrych konfliktów między pracą a kapitałem, stają się tu coraz rzadszemi; strejki i lokauty, jeżeli jeszcze czasem wybuchają, nie trwają długo i nie mają charakteru burzącego żywiołu. Oczywiście, rezultat taki mógł być osiągnięty tylko dzięki rozwojowi związków robotniczych, które ujęły rzesze robotnicze w karby dyscypliny moralnej i zastąpiły abstrakcyjne teorye—realnym programem, a walkę chaotyczną—akcyą pokojową, planową i świadomą swego celu. Liczba robotników, zapisanych do Trade-Unionów, stale w Anglii wzrasta; obecnie jest ich około dwóch milionów, na ogólną liczbę do 10-ciu milionów w całym kraju (w tem 150 tys. kobiet), czyli na pięciu robotników w Anglii jeden należy do związku (w Niemczech jeden na 10, we Francyi jeden na 20). Ogółem jest do 650 lokalnych Trade-Unionów; są one połączone w rozmaite federacye (*Amalgamated Associations*), które obejmują szersze koła danego przemysłu, czasem na obszarze całego kra-

ju i pozostawiając lokalnym związkom znaczną autonomię, nadają jednak ogólny kierunek ich działalności i wzajemnie między sobą się porozumiewają. W r. 1906 ze składek opłacanych przez członków związków, wpłynęło przeszło 27 mil. rb.; wydatki zaś na administrację, na wsparcia podczas choroby i bezroboci, oraz na emerytury i koszty pogrzebów, wyniosły do 23 mil. rb.; w kasach Trade-Unionów znajduje się kapitał przeszło 50 mil. rb. Wobec tych cyfr jest zrozumiałem, że Trade-Uniony przedstawiają teraz poważną siłę w wewnętrznym życiu Anglii; mając pod swemi bezpośrednimi rozkazami zorganizowaną i karną armię dwumilionową, oddziaływiają jeszcze swą polityką na nastrój i postępowanie całej klasy robotniczej. Charakterystycznymi zaś rysami tej polityki, które odróżniają angielskie Trade-Uniony od związków robotniczych w innych krajach, są: w wewnętrznym w przemyśle stosunkach—dążność do pokojowego porozumiewania się z pracodawcami w celu uzyskania bezpośrednich korzystnych zmian w warunkach pracy; na zewnątrz—zaufanie do akcji parlamentarnej, która na drodze prawodawczej może przyczynić się do poprawy ogólnych warunków bytu robotnika.

Bezpośredni udział klasy robotniczej w życiu parlamentarnym Anglii datuje od r. 1868, kiedy została zmieniona zasadniczo dotychczasowa ordynacja wyborcza i większość robotników uzyskała prawo głosu przy wyborach do parlamentu. Z nowego prawa Trade-Uniony nie omieszkały skorzystać i przy pierwszych ogólnych wyborach w r. 1874 wystawiły 17-tu swych kandydatów, z których weszło do parlamentu dwóch; byli to pierwsi posłowie robotniczy; tak zwani *Labour Members*. W następnych latach liczba ich się zwiększała; w parlamencie z r. 1880 było ich 3-ch; w r. 1886—11-tu; w r. 1892—15-tu; w r. 1895—12-tu; w r. 1900—11-tu; w obecnym parlamencie z r. 1906 zasiada już 53-ch przedstawicieli robotników, z ogólnej liczby 85-ciu wystawionych przez związki robotnicze kandydatów. Charakterystyczną cechą angielskich stosunków jest, że wszyscy ci posłowie są to zawodowi robotnicy, prawdziwi *Self made men*, którzy przebyli sami ciężką szkołę życia robotniczego i są doskonale z jego warunkami obeznani. W Anglii klasa robotnicza nie potrzebowała nigdy dla reprezentacji swych interesów uciekać się do pomocy innych klas, jak to się dzieje we wszystkich krajach Europy; przeciwnie tylko w swoich szeregach szukała i znajdowała odpowiednich przedstawicieli, którzy, obok praktycznych wiadomości, posiadają i niezwykły takt polityczny i nieraz zadziwiające wprost talenty mówcy i działacza społecznego.

W początku reprezentacya robotnicza w parlamencie nie ma własnego programu; *Labour Members* należą do skrajnej grupy radykalnej i razem z nią głosują. O reformach socyalnych, w ścisłym znaczeniu wyrazu, mowy niema; główne miejsce zajmują ogólne reformy polityczne, mające na celu zniesienie przywilejów, organizacyę szkolnictwa, obniżenie podatków pośrednich (niestałych) i t. p. Robotnicy wierzą jeszcze w nieomylność ekonomicznego prawa „zaofiarowania i popytu,” jako jedyne go czynnika regulującego płacę na rynku pracy i dla obrony swych interesów wnoszą tylko projekty przepisów, ograniczających udział kobiet i dzieci w pracy fabrycznej, oraz praw, ułatwiających emigracyę z Aglii. Kiedy w dziewiątym dziesiątku lat ubiegłego stulecia Beaconsfield i Churchill wprowadzają jawnie do programu torysów reformy socyalne, a do programu rządowego obowiązek opiekuńczej interwencyi państwa w sferze stosunków między pracą a kapitałem—robotnicy stają po ich stronie, opuszczają w r. 1886 stonniectwo radykalne, zapisują się gromadnie do klubów konserwatywnych, głosują na kandydatów konserwatywnych tam, gdzie nie mogą przeprowadzić swych własnych i w ten sposób przyczyniają się do zwycięstwa torysów przy wyborach w r. 1886 i następnie do utrzymania ich przy władzy w ciągu ostatnich lat dwudziestu.

Równolegle z udziałem w życiu parlamentarnem, wzrastał także udział klasy robotniczej w organizacyach miejscowego samorządu *County Councils* i *Town Councils*, szczególnie zaś w tych ostatnich. Pod wpływem uczestniczących w radach miejskich wybranych przedstawicieli robotniczych o odcieniu socyalistycznym, zarządy miast dążą do rozszerzenia zakresu gospodarki miejskiej: wodociągi, oświetlenie, tramwaje i inne gałęzie przemysłu (tak zwane *industries municipales*) przechodzą z rąk prywatnych przedsiębiorstw do administracyi miejskiej. Miasta nabywają znaczne przestrzenie gruntów, zapewniające im dalszy rozwój, budują na nich kolonie robotnicze, zakładają rozmaite kosztowne instalacye ogólnego pożytku; budżety wydatków i dochodów miejskich ogromnie wzrastają; odbywa się wyraźna „socyalizacya municypalności,” która wielu w Anglii zatrzaża¹⁾. „Municypalizacya“

¹⁾ W r. 1883 zawiązała się w Anglii „Liga dla obrony wolności i własności;“ jednym z jej zadań jest walka z socyalizmem municypalnym; przed paru laty gazeta „*Times*“ zarządziła w tej sprawie ankietę i wydała w osobnym tomie zebrany materiał, wogóle niekorzystny dla obecnej gospodarki miejskiej w Anglii. W maju 1903 r. była złożona rządowi petycya, protestu-

przemysłu na potrzeby miast, kosztem prywatnych kapitalistycznych przedsiębiorstw, oraz interwencya państwa dla regulowania warunków pracy, stanowią dla Anglii dwa charakterystyczne realne objawy stosowania doktryny socjalistycznej.

Osiągnięte w parlamencie i w zarządach miejskich rezultaty utwierdziły w klasie robotniczej poczucie swych sił i obudziły potrzebę wytworzenia samodzielnego stronnictwa politycznego i sformułowania własnego programu. W r. 1892 powstaje organizacya *Independent Labour Party*, mająca na celu połączyć dla wspólnej akcji wszystkie związki robotnicze ¹⁾. Oprócz znacznej liczby *Trade-Unionów*, do składu jej weszły od początku: *Social Democratic Federation* — stowarzyszenie, założone w r. 1886 przez wyznawców teoryi K. Marksa i *Fabian Society* — towarzystwo socjalno-radykalne dla badania kwestyj społecznych. Wpływ tych dwóch stowarzyszeń, oraz udział powstałych w r. 1889 *Trade-Unionów* niewykwalifikowanych robotników (*unskilled workmen, labourers*) nadają *Labour Party* pewne zabarwienie socjalistyczne, co zraża do niej i powstrzymuje od przystąpienia dawne „arystokratyczne“ *Trade-Uniony*; tak np. dotychczas nie należy do niej związek górników (*Miners Federation of Great Britain*), pierwszy z pomiędzy *Trade-Unionów*, pod względem liczby swych członków (do 400 tys.) i swych pieniężnych zasobów (do 12 mil. rb.). Pomimo to, *Labour Party* połączyła już w sobie do obecnej chwili więcej, niż połowę wszystkich zorganizowanych sił robotniczych; zwołuje corocznie kongresy, na których rozpatrywane są sprawy klasę robotniczą obchodzące, wyjaśniane zadania i cele stronnictwa i dyskutowane szczegółowo projekty najbliższych reform socyalnych; w ostatnim kongresie, który się odbył w końcu stycz-

jąca przeciw rosnącej „municypalizaacyi,“ t. j. przeciw zagarnianiu przez zarządy miast rozmaitych gałęzi przemysłu ze szkodą dla prywatnych przedsiębiorstw. Rezultaty socjalistycznej gospodarki w wielu miastach włoskich i ostatnio w St.-Francisco okazały się bardzo ujemne; o miastach angielskich dotychczas zdania tego z całą stanowczością wypowiedzieć nie można.

¹⁾ Ta sama dążność do samodzielności politycznej przejawia się obecnie także w klasie robotniczej w Stanach Zjednoczonych; istniejąca tu „*Federation of Labour*“ — ogólna federacya związków robotniczych — zwołuje teraz kongres delegatów związków dla opracowania programu osobnego stronnictwa robotniczego, niezależnego od dwóch wielkich stronnictw amerykańskich: demokratycznego i republikańskiego, oraz od socjalistów; zamiarem federacyi jest również, przy nadchodzących wyborach, wystawić własnego kandydata, prawdopodobnie swego przewodniczącego, Samuela Gompers, na stanowisko prezydenta Unii.

nia b. r. w Hull, wzięło udział przeszło 400-tu delegatów, reprezentujących 273 stowarzyszenia z 1.072.413 członkami. „Stronictwo pracy“ posiada swój organ prasowy, tygodnik *The Labour Leader* i stały komitet wykonawczy, noszący nazwę: *Labour Representation Committee*; zadaniem jego jest prowadzić akcję wyborczą i kierować akcją parlamentarną.

Niedotrzymanie przez ministeryum konserwatywne danych obietnic reform socyalnych, a z drugiej strony szerokie uwzględnienie tych ostatnich w nowym programie stronictwa liberalnego, skłoniło *Labour Party* do zawarcia z liberałami przymierza; następstwem tegoż były: wybór w r. 1906 do parlamentu 53-ch posłów robotniczych i wstąpienie jednego z nich, Johna Burnsa, do gabinetu Campell-Bannermanna, w charakterze ministra do spraw miejscowego samorządu (*Local Government Board*).

Pomimo wszystkich, podejmowanych dotychczas, usiłowań, reprezentacya robotnicza w parlamencie nie jest jeszcze jednolita, lecz rozpada się na grupy, zgodne, prawda, między sobą co do treści najbliższych i najpilniejszych reform socyalnych, ale różniące się co do dalszych ogólnych celów, a nawet niekiedy i co do taktyki postępowania ¹⁾. Z liczby 53 *Labour Members*, zaledwie 29-ciu należy oficjalnie do „niezależnego stronictwa pracy“ (*Independent Labour Party*) i w czerwonych krawatach zasiada w parlamencie na ławach opozycyi; pozostali 24-ch tworzą oddzielną grupę *Liberal Labour Party*, nazywaną w skróceniu *Lib-Lab*, która wchodzi w skład liberalno-radykalnej większości ministerjalnej. Są to przedstawiciele rozmaitych związków robotniczych, nie należących do *Labour Party* i w liczbie ich jest 12-tu przedstawicieli Trade-Unionów górniczych. Pomędzy tymi weteranami ruchu Trade-Unionistycznego znajduje się także wyżej wspomniany John Burns, niegdyś czynny członek krańcowej *Social Democratic Federation*, założyciel socyalistycznych związków robotników, nie mających specjalności i organizator w 1889 r. olbrzymiego, czterotygodniowego strejku robotników w porcie londyńskim, a dziś przedstawiciel umiarkowanych tendencyj i minister w gabinecie liberalnym ²⁾.

¹⁾ Od r. 1895 istnieje osobna komisya: *Advisory Board*, z przedstawicieli rozmaitych organizacyj robotniczych, mająca za zadanie utrzymanie jedności w działaniu wszystkich *Labour Members*, niezależnie od ich osobistych poglądów.

²⁾ Ze względu na to, że deputowani w Anglii dotychczas nie pobierają od rządu żadnego wynagrodzenia, związki robotnicze z własnych funduszków płacą swym posłom pensję 300 funt szterl. rocznie, taką, jaką bill wniesiony

Z pomiędzy 29-ciu deputowanych *Labour Party*, zaledwie kilku może być zaliczonych, pod względem pojęć, do stronnictwa socjalistycznego w znaczeniu przyjętem na stałym lądzie Europy; większość reprezentuje zmodyfikowany specjalny socjalizm angielski, który, będąc dalekim od wszelkiego doktrynerstwa i dogmatyczności, jest raczej połączeniem, na polu reform socjalnych, utylitaryzmu politycznego z idealizmem religijnym.¹⁾

„Stronnictwo Pracy“ broni się od nazwy stronnictwa socjalistycznego; długoletni przewodniczący grupy robotniczej w parlamencie i redaktor *Labour Leader*, Keir Hardie, który uważany jest zarazem za kierownika ruchu socjalistycznego w Anglii, na meeingu w Peckham, 13 lutego 1906 r. w ten sposób określił stanowisko deputowanych robotniczych: „Grupa nasza nie jest związana ze stronnictwem socjalistycznym, ani też przedstawiciele robotników w parlamencie nie są socjalistami. *Labour Party* jest tylko koalicją, uczciwą i lojalną, stronnictwa socjalistycznego i Trade-Unionów, dla obrony i popierania interesu klas pracujących.“ Jak wielu działaczy społecznych w Anglii, Keir Hardie jest z pochodzenia Szkotem; w dzieciństwie i w młodości pracował w kopalniach; od r. 1882 oddaje się wyłącznie pracy publicystycznej i parlamentarnej; jest on jakby uosobieniem siły religijnej, która ożywia socjalizm angielski; wyznaje zasady socjalizmu chrześcijańskiego i w swych częstych przemówieniach publicznych zaznacza zawsze zgodność ideałów socjalistycznych z nauką Chrystusa.

Zastużonym sekretarzem *Labour Representation Committee* i energicznym rzecznikiem sprawy robotniczej w parlamencie, jest Ramsay Macdonald; syn ubogiej rodziny rybackiej z wybrzeży szkockich, pomimo ciężkich warunków życia, zdobył on stosunkowo wysoki stopień wykształcenia i wyrobił w sobie jasno określoną indywidualność, w której łączy się idealizm religijny z realizmem politycznym. Znając instynktowną nieufność robotnika angielskiego do doktryn abstrakcyjnych i zarazem wrodzoną skłonność do

do parlamentu jeszcze w r. 1906 projektuje dla wszystkich deputowanych. Z innych krajów Europy nie pobierają jeszcze żadnego wynagrodzenia posłowie we Włoszech, Hiszpanii i Portugalii, korzystając jedynie z bezpłatnego przejazdu po kolejach; największe zaś otrzymują: we Francji 15.000 franków i w Stanach Zjednoczonych 5.000 dol. rocznie.

¹⁾ Jednym z pism najwięcej poczytnych w sferze robotniczej w Anglii jest *The Christian Socialist*.

organizacji i wy wpływającej ztąd dyscypliny, umie on za pomocą odpowiednio ułożonych statutów związków i stowarzyszeń wyzyskać dla wspólnej pracy i pogodzić z sobą nieprzejednany dogmatyzm niektórych działaczy społecznych i konserwatywną ostrożność Trade-Unionów. Swoje wyznanie wiary Macdonald wypowiada w następujący sposób (*Independent Review* — marzec 1906 r. i *Morning Post* — 22 stycz. 1906 r.): „socjalizm nie jest doktryną nieruchomą, nieomylnym dogmatem, ale może być tylko tendencją, ideą kierowniczą dla prawodawstwa i administracji praktycznej. Obecny ustrój społeczny i podział bogactw pod wielu względami nie odpowiadają ani interesom ekonomicznym, ani sprawiedliwości: klasy społecznie bezużyteczne nie powinny istnieć kosztem klas użytecznych, ale te ostatnie, wszystkie, mają równe prawo do życia. Inicytywa prywatna i ogólna solidarność stanowią niezbędny czynnik rozwoju indywidualnego i społecznego. *Labour Party* nie jest stronnictwem rewolucyjnym, lecz chce być tylko bezpośrednią reprezentacją interesów klasy robotniczej; „stronnictwo pracy“ popełniłoby omyłkę, gdyby teraz dążyło do zdeorganizowania stronnictwa liberalnego, przestępstwo — gdyby nie ustępowało koniecznościom politycznym.“

Jedną z osobistości najwięcej popularnych w sferach robotniczych i jednym z najwięcej oklaskiwanych mówców w parlamencie jest Will Crooks, deputowany robotniczy Woolwicha, uczestnik wszystkich kongresów religijnych i gorący propagator Ewangelii. Na meetingu, zorganizowanym przez wyborców w początku 1906 r., w następujących słowach określił on zadanie *Labour Party*: „Wstąpienie do parlamentu znacznej liczby przedstawicieli robotniczych budzi pewne obawy; my jednak wcale nie myślimy o burzeniu państwa, zburzylibyśmy tylko chętnie niezdrowe, tchnące zarazą, dzielnice naszych miast (*slums*). My chcemy tylko budzić opinię publiczną, nie dopuścić, aby społeczeństwo zasnęło w spokoju; najbliższem zaś zadaniem *Labour Party*, które samo się jej narzuca, jest wychowanie narodu, oraz zreorganizowanie maszyny administracyjnej i parlamentarnej, aby nie była zmonopolizowana przez arystokrację.“

T. W. Jowett, utalentowany mówca meetingów i konferencyj robotniczych wyraźnie mówi (*Morning Post* — 5 lutego 1906 r.): „Nikt nie skłoni teraz *Labour Party* do wypowiedzenia się na korzyść socjalizmu; pozostawiamy to logice wypadków; obecnie chcemy tylko dojść do tego, aby robotnicy mieli własny pogląd na kwestyę robotniczą, a ich wybrani w parlamencie przeprowadzali pożyteczne dla klasy robotniczej reformy prawodawcze;“

wyliczane następnie przez Jowetta reformy zgadzają się z programem neo-liberalnym.

Jeden z najdalej posuniętych w stronę doktryny Marksa, deputat robotniczy Snowden, prezes *Labour Party*, jest w zasadzie zwolennikiem rozwoju socjalizmu municypalnego, nacyonalizacji ziemi i upaństwowienia rozmaitych gałęzi przemysłu i handlu (koleje, kopalnie, banki, asekuracje i t. d.), objaśnia jednak, (*Daily Mail* — 22 stycz. i *Jorkshire Post* — 26 stycz. 1906 r.); „że stronnictwo robotnicze w parlamencie, zachowując sympatyczą niezależność względem stronnictwa liberalnego, powinno na razie zadowolnić się, jeżeli wprowadzi parlament na drogę reform socjalnych i zaufać stopniowej ewolucyi, t. j. stałemu działaniu sił ekonomicznych i intelektualnych, które sprawiły już zjednoczenie klasy robotniczej, a w przyszłości połączą cały naród dla dokonania wielkiego dzieła społecznego.“

Przytoczyliśmy tu zdania wybitnych członków stronnictwa robotniczego w Anglii, albowiem dają one pojęcie o charakterze i taktyce *Labour Party*; co zaś do realnego programu reform socjalnych, wchodzących w zakres prawodawstwa robotniczego, to główne jego punkty są następujące ¹⁾.

Stanowisko Trade-Unionów, jako osób prawnych, nie jest dotychczas jeszcze pod wielu względami należycie określone: nie jasnym jest stosunek związku do swych członków i do osób trzecich (np. odpowiedzialność związku względem osób trzecich za postęпки oddzielnych członków). *Labour Party* dopomina się wyraźnego prawodawstwa o Trade-Unionach, jak również rozszerzenia swobody zawiązywania stowarzyszeń, prawa do bezrobocia z zachowaniem jednak warunków unowyy, a *nie prawa do bezkarnego zrywania umów*, wolności agitacyi strejków i bojkotów i t. p.

¹⁾ Po ustąpieniu Kair Hardie, z powodu choroby, ze stanowiska prezs parlamentarnej grupy robotniczej, miejsce jego zajął teraz Henderson, Szkot z pochodzenia, robotnik z przemysłu żelaznego; odznacza się on taktem dyplomatycznym i poczuciem sprawiedliwości, wskutek czego był kilkakrotnie wybierany na sędziego rozjemczego w zatargach między pracodawcami i robotnikami. Vice-prezesem jest Barnes, generalny sekretarz związku robotników warsztatowych (*Amalgamated Society of Engineers*); jego inteligencyi, oraz zdolnościom finansowym i organizacyjnym, związek zawdzięcza swój rozwój i liczy obecnie do 150 tys. członków, posiada kapitał przeszło 6 mil. rub. i wydaje poważne swe pismo specjalne. Sekretarzem grupy parlamentarnej jest wspomniany wyżej Macdonald. Pierwsi dwaj są wyraźnymi przedstawicielami umiarkowanej polityki Trade-Unionów.

Zabezpieczenie pracowników na starość, w okresie niezdolności do pracy dotychczas było pozostawione w Anglii wyłącznie Trade-Unionom, które jakkolwiek wydają na ten cel około miliona funt. szterl. rocznie, nie są jednak w możności zadość uczynić wszystkim potrzebom. Obecnie ogół angielski, nie tylko *Labour Party* i stronnictwo liberalne, ale także znaczna część konserwatystów, uznaje, że funkcya powyższa należy do obowiązków państwa. Odpowiedni projekt jest już przez gabinet opracowany i ma być wkrótce przedstawiony parlamentowi. Gdy np. w Niemczech i jak to teraz zamierzają we Francyi, fundusz emerytalny, niezależnie od kapitału zakładowego, dostarczonego przez skarb państwa, jest zasilany jeszcze przez stałe potrójne wkłady: pracodawców, pracowników i państwa — w Anglii samo tylko państwo ma przyjąć na siebie cały ciężar wypłacania emerytur, bez uprzedniego pobierania jakichkolwiek składek od przyszłych emerytów. Na wytworzenie kapitału emerytalnego mają być obracane nadwyżki budżetowe i na początek w r. 1908,9 ma być użyta suma 8 mil. funt. szterl. W ten sposób projekt angielski staje się już nie ubezpieczeniem w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, ale nowem prawem cywilnem każdego pracownika do pewnej renty państwowej po dojściu do pewnego wieku. Szczegóły projektu nie są jeszcze ustalone; chodzi głównie o określenie wieku, dającego prawo do emerytury (55 lat według *Labour Party*, 70 — według konserwatystów) i o zdecydowanie, czy wszyscy bez wyjątku pracownicy mają z emerytury korzystać, czy też tylko tacy, którzy jej rzeczywiście potrzebować będą. Wysokość emerytury ma być od 5 do 10 sch. tygodniowo (2½ do 5 rb.), a cały nowy wydatek skarbu, według przybliżonego obliczenia, wyniesie rocznie do 20 mil. funt. szterl.

Nie mniej ważną jest kwestya zabezpieczenia pracowników na czas przymusowego bezrobocia (*Chômage*), wskutek braku pracy. Kwestya ta zajmuje nietylko *Labour Party*, ale cały ogół angielski, gdyż liczba „bezrobotnych“ (*Sans-Travail*), t. j. ludzi, nie znajdujących dla siebie roboty, jest ciągle znaczna i wynosi 3 do 6% wszystkich, zapisanych do Trade-Unionów, robotników. Dotychczas z pomocą bezrobotnym przychodzą Trade-Uniony, które wydają na ten cel rocznie do 700.000 funt. szterl. i rozmaite instytucje humanitarno-społeczne, które w różnym stopniu wspierają rocznie około 700.000 potrzebujących. Według zdania stronnictw pracy i liberalnego, obecna pomoc jest niewystarczająca i potrzebna jest interwencya państwa: powinny być stworzone kasy ubezpieczeń i państwo powinno zająć się energiczniej, niż

dotychczas, losem bezrobotnych. Niewątpliwie zło powyższe istnieje w Anglii; jest ono następstwem nieuniknionych przesileni w rozmaitych gałęziach przemysłu, a także zwiększającej się stale emigracji ludności robotniczej ze wsi do miast i przyływu do Anglii robotników cudzoziemców. Konserwatyści widzą ratunek w nałożeniu ceł ochronnych na wyroby przemysłu zagranicznego i w utrudnieniu wstępu do Anglii cudzoziemskim emigrantom; socjaliści zaś — w obaleniu obecnego ustroju kapitalistycznego. *Labour Party* i radykalny odłam stronnictwa liberalnego mają szerszy na tę kwestję pogląd i w przedstawionym do parlamentu bill'u projektują szereg środków dla usunięcia zła. Bill ten rozróżnia trzy kategorie bezrobotnych; do pierwszej należą robotnicy wykwalifikowani, którzy chwilowo nie znajdują dla siebie zajęcia; dla nich wystarczy czasowa pomoc odpowiednich kas. Drugą, najliczniejszą kategorię stanowią robotnicy niewykwalifikowani, którzy tracą zajęcie na stałe, np. wskutek wprowadzenia maszyn i zastąpienia nimi pracy ludzkiej; dla pomocy takim bezrobotnym powinny być organizowane roboty państwowe, a przede wszystkim zarządzane na gruntach, należących do korony i do kongregacyj duchownych, a nawet na prywatnych ziemiach landlordów, małe gospodarstwa rolne, połączone z drobnym przemysłem; w ten sposób można będzie pewną część robotników odciągnąć od miast i wielkiego przemysłu. Nakoniec jest jeszcze trzecia kategoria robotników, którzy nie biorą się do pracy wskutek lenistwa i nałogów; do nich powinna być stosowana kara sześciomiesięcznej pracy przymusowej w koloniach poprawczych. Jak widzimy, bill łączy kwestyę bezrobotnych z reformą agrarną¹⁾ i następnie, jako jeden ze środków skutecznych w walce z klęską bezrobotnych zaleca jeszcze stopniowe upaństwowienie, czy też umiastowienie niektórych gałęzi przemysłu. Ponieważ w mowie

¹⁾ Pomimo przepowiedni Karola Marksa, że drobna własność ziemska zniknie zupełnie w Europie w ciągu 19-go wieku, w rzeczywistości nie tylko ona istnieć nie przestała, ale jeszcze rozszerza się kosztem własności wielkiej i prawodawstwa wszystkich krajów starają się współdziałać tej naturalnej ewolucji stosunków. Zjawisko szczególnie widoczne jest we Francji, gdzie jednocześnie powstała nowa szkoła socjalno-ekonomiczna: *Morcellisme*, która wyznaje zasadę, że przez wytworzenie się drobnej własności ziemskiej mogą być usunięte niesprawiedliwości dzisiejszego ustroju kapitalistycznego i może nastąpić odrodzenie społeczeństwa. Szczegóły tej doktryny wyłożone są w książce gorliwego jej propagatora G. Sabatier: „Le socialisme libéral ou morcellisme” (Paryż 1905 r.).

tronowej przy otwarciu obecnej sesji parlamentu nie było wzmianki o projekcie rządowym prawa o bezrobotnych, okoliczność ta wywołała protest ze strony *Labour Party* i odpowiednią, zaprojektowaną przez nią w tym duchu, zmianą odpowiedzi parlamentu na mowę tronową, została odrzucona tylko większością 45 głosów; dowodzi to jasno, jakie znaczenie nadaje parlament powyższej kwestyi. Podczas rozpraw minister Burns, sam były robotnik, oświadczył, że gabinet opracowuje projekt prawa o organizacji pomocy bezrobotnym, jak również prawa o tanich mieszkaniach robotniczych; wyraził przytem nadzieję, że przez wprowadzenie emerytur dla starych robotników, instytucje miejscowego samorządu będą zwolnione od dotychczasowych wydatków na utrzymanie inwalidów i zaoszczędzone środki będą mogły użyć na rozszerzenie domów pracy (*workhouses*), w których bezrobotni znajdą dla siebie odpowiednie zajęcie ¹⁾.

W sprawie reglamentacji samej pracy w zakładach przemysłowych, interwencya państwa w Anglii przez długi czas ograniczała się tylko do wydawania ogólnych obowiązujących przepisów higieny i bezpieczeństwa robót, oraz do określania warunków, na jakich pewne gałęzie przemysłu korzystać mogą z pracy kobiet i niepełnoletnich. Pod tym ostatnim względem prawodawstwo angielskie jest nawet ściślejsze i rozciąga skuteczniejszą opiekę nad wspomnianymi dwoma kategorjami robotników, niż to dzieje się w innych krajach. Obecnie w Anglii kobiety i niepełnoletni do lat 18-tu nie mogą, z małymi wyjątkami, być zatrudniani w nocy i praca ich nie wynosi więcej, niż 55½ godzin tygodniowo, a dla dzieci od 12 do 14 lat nie więcej, niż 32½ godzin. Co się tyczy pracy pełnoletnich robotników, to normowanie jej zasadniczych warunków, jakimi są: wysokość płacy i długość dnia roboczego, pozostawione dotychczas było całkowicie dobrowolnej umowie stron, bez wszelkiego udziału i kontroli państwa. Głównie drogą pokojowego porozumienia się pracodawców i pracowników, a tylko w kilku pojedynczych wypadkach w następstwie strejków, długość dnia roboczego została stopniowo zredukowana do 9-iu godzin i obecnie w Anglii, w rozmaitych gałę-

¹⁾ Grupa bezrobotnych z Manchesteru zwróciła się do króla z prośbą o oddanie jej gruntów, należących do korony, dla założenia na nich kolonii rolniczych; wskutek nieotrzymania odpowiedzi, niektórzy z bezrobotnych postanowili teraz, powstrzymując się od wszelkich gwałtów, przebywać na placach publicznych i głodzeniem się zwrócić na siebie uwagę ogółu.

ziach przemysłu, robotnik pracuje od 48 do 54 godzin na tydzień; wysokość zaś płacy regulują albo oddzielne umowy, albo też zawierane między związkami pracodawców i pracowników „kontrakty zbiorowe,” za pomocą szczegółowych „taryf” i tak zwanych „skal ruchomych” (*sliding scales*), określających automatycznie płacę robotniczą w zależności od cen rynkowych wyrobu; jak taryfy, tak i skale uwzględniają minimum koniecznego dla pracownika zarobku, tak zwane *Standard of life*. Nie zadawalniając się osiągniętymi już rezultatami, stronnictwo pracy zamierza wprowadzić do stosunków w przemyśle nową w Anglii zasadę prawodawczej reglamentacji długości dnia roboczego; pierwszym krokiem na tej drodze jest opracowany przez gabinet, mianowicie przez Gladstona, ministra spraw wewnętrznych, projekt, zgodny z wnioskami *Labour Party*, według którego długość dnia roboczego w kopalniach (obecnie 9 godzin) ma być na r. 1909 zredukowaną o $\frac{1}{2}$ godziny, a od r. 1910 stanowić będzie tylko 8 godzin ¹⁾. Projekt ma być wkrótce powtórnie przedstawiony parlamentowi; pierwszy raz był przedstawiony 1 sierpnia 1907 r.; wywołuje on gorącą wymianę zdań za i przeciw; wogóle sfery przemysłowe są mu przeciwnie, utrzymując, że przy podobnem ograniczeniu pracy w kopalniach, produkcya węgla w Anglii spadnie o 4^o/_o, a cena znacznie się podniesie, co wpłynie ujemnie na przemysł, handel i całe życie ekonomiczne. Dodać trzeba, że *Labour Party* nie jest bezwzględna zwolenniczką socjalistycznej formułki „potrójnej ósemki” (8 godzin na pracę, 8—na sen i 8—na odpoczynek i rozrywkę) i nie dąży na razie do wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy we wszystkich gałęziach przemysłu.

Jeżeli robotnicy, pracujący w zakładach przemysłowych i zorganizowani w związki, mogą już teraz w Anglii oddziaływać, na drodze pokojowej, na modyfikowanie, w kierunku dla nich korzystnym, warunków pracy — to w gorszym daleko położeniu są dotychczas rzemieślnicy, którzy robotę dla rozmaitych zakładów wykonywają nie na miejscu w zakładzie, ale u siebie w domu. Konkurencya między samymi pracownikami na polu „pracy domowej” („*Heimarbeit*”—według niemieckiego wyrażenia) tak obniży-

¹⁾ Wprowadzenia 8-mio godzinnego dnia pracy w kopalniach dopominają się związki robotnicze górnicze także w innych krajach, np. w Niemczech i w Belgii. We Francji, na zasadzie przyjętego przez Izby prawa Boudennot, praca w kopalniach węgla, od 1 stycz. 1908, trwa już tylko 8¹/₂ godzin dziennie, a od 1 stycz. 1910 ma być zredukowaną do 8-iu godzin.

ła zapłaty, które tu muszą być z natury rzeczy akordowemi, że sam ten system produkcji przemysłowej otrzymał w Anglii nazwę: „*Sweating-System*“ (w Niemczech — „*Schwitzsystem*“), t. j. systemu pot pracujących wyciskającego.¹⁾ Istniejące zło ma znaczenie jeszcze ogólnie społeczne, albowiem nietylko wyzyskiwani są dorośli robotnicy i robotnice, ale nadto, dla powiększenia w rodzinie zarobku przy niskich płacach, obarczane są nieodpowiednią pracą także i dzieci, przez co naturalnie podkopuje się zdrowie przyszłych pokoleń. Przed kilku laty, dla zwalczania systemu zawiązała się w Anglii: „*Antisweating-League*“, a w jesieni 1906 r. odbył się w Londynie kongres dla opracowania skutecznych środków walki: wzięli w nim udział: przedstawiciele rządu (między nimi minister skarbu Asquith), uczeni ekonomiści, wszyscy niemal *Labour Members* z parlamentu i nakoniec 341 przedstawicieli Trade-Unionów metropolii i kolonij, reprezentujących ogółem 1.955.000 robotników. Kongres powziął rezolucję, że podobnie, jak to już jest w koloniach Australijskich, interwencja państwa w sferze stosunków „domowej pracy“ jest konieczną ze względu na ogólne dobro społeczne i rząd powinien, na drodze prawodawczej, zmienić i unormować dzisiejsze, szkodliwe w swych następstwach, warunki tej pracy, przyjinując za podstawę reglamentacji zasadę, że każdy pracownik ma prawo do pewnego niezbędnego dla życia *minimum* zarobku; jednocześnie kongres wyraził życzenie, że pożądanem jest dążyć do możliwego ograniczenia w przemyśle stosowania „domowej pracy.“ Zgodnie z powyższą rezolucją, obecnie (w marcu 1908 r.) został wniesiony do parlamentu przez „Stronnictwo pracy“ bill, proponujący utworzenie instytucji kolegialnych, tak zwanych „*Wages-Boards*“, złożonych w równej liczbie z przedstawicieli odnośnych fabrykantów i robotników, któreby oznaczały *najniższe* płace akordowe za roboty, wykonywane przez rzemieślników w domu; na początek i w formie próby, „*Wages-Boards*“ mają być w Londynie zastosowane w krawiectwie i szyciu bielizny, jako w dwóch najwięcej rozpowszechnionych gałęziach „pracy domowej.“ Bill przy pierwszym czytaniu był przyjęty i oddany do komisji dla opracowania w szczegółach; zapewne stanie się prawem jeszcze podczas obecnej sesji parlamentu.

¹⁾ Znamą jest wszystkim rzewna pieśń angielskiego poety Thomasa Hood'a „o koszuli“ z przed lat kilkadziesiąt, ilustrująca rozpaczliwe położenie pracownicy igły, która przy szyciu koszuli traci wzrok i zdrowie, a nie jest w stanie nawet zdobyć sobie najskromniejszych koniecznych środków do życia.

III.

Charakterystycznymi rysami rozwoju życia społecznego w Anglii w ciągu ostatnich 20-tu lat, są, jak widzieliśmy: ewolucja stronnictwa konserwatywnego w kierunku imperyalizmu, z ideałem utworzenia unii celnej i politycznej, któraby połączyła w jedną całość państwową Anglię i jej kolonie; ewolucja stronnictwa liberalnego w kierunku radykalnym, z programem daleko sięgających reform socyalnych, któreby się przyczyniły do poprawy warunków bytu klas pracujących i nakoniec zorganizowanie się klasy robotniczej w samodzielne stronnictwo o własnym swym programie, któreby samo było bezpośrednim przedstawicielem interesów i dążności szerokich warstw narodu.

W chwili obecnej stronnictwo robotnicze stanowi już poważną siłę w parlamencie i życiu, z którą dwa dawne stronnictwa historyczne liczyć się muszą i która niemal decyduje o zwycięstwie jednego lub drugiego; aspiracye jednak nowego stronnictwa sięgają dalej: dąży ono wyraźnie do władzy politycznej; jedna teka ministeryalna, jak to jest teraz, wkrótce mu wystarczać nie będzie. Prezydent *Labour Party*, Snowden, uważa obecne stronnictwo robotnicze za zarodek przyszłego wielkiego „stronnictwa narodowego.“ Sekretarz stronnictwa, Macdonald, wypowiada podobne zdanie i zarazem wskazuje taktykę parlamentarnego postępowania; dając za przykład skromne bardzo rezultaty, osiągnięte przez nacyonalistyczne stronnictwo irlandzkie, nazywa on wprost śmieszną taką politykę, kiedy słabsze stronnictwo waha się między dwoma drugimi prawie równej siły i chce wytargować požądane dla siebie prawa przez rzucanie swych głosów to na jedną, to na drugą szalę. *Labour Party*, jeżeli ma się rozwinąć, powinna, zdaniem Macdonalda, trzymać się własnego programu i pamiętać, że są pewne chwile, w których trzeba stawiać ogólne zasady, odpowiadające aspiracyom i uniesieniom i są inne, kiedy należy już formułować ściśle plany i projekty; jeżeli stronnictwo pracy z obydwóch momentów korzystać będzie, stworzy wtedy nową opinię publiczną i stanie się rzeczywistym przedstawicielem demokracji intelektualnej i moralnej ¹⁾.

¹⁾ Cytata powyższa, (jak również niektóre inne) wzięta jest z zajmującej książki L. Bardoux: „Essai d'une Psychologie de l'Angleterre Contemporaine“ (Paryż 1907 r.).

Ukształtowanie się dalsze wewnętrznych stosunków Anglii, charakter przyszłej większości parlamentarnej po nowych wyborach, a więc i charakter działalności rządu, zależą od stanowiska, jakie zajmie stronnictwo pracy względem doktryny sycyalistycznej, od tego, czy zwyciężą w klasie robotniczej konserwatywne tradycje Trade-Unionów, czy też przeważą rewolucyjno-kolektywistyczne teorie niewielkiej liczebnie grupy wyznawców nauki Karola Marksa. Prądy te nie przestają się ścierać w życiu organizacyj robotniczych, czego wyraźnym dowodem jest przebieg ostatniego dorocznego kongresu *Labour Party* w Hull.

Dnia 21 stycznia przez frakcję socjalno-demokratyczną kongresu postawiony był wniosek zmiany w ustawie „stronnictwa pracy“ w tym sensie, że „zadaniem *Labour Party* jest zapewnienie wszystkim pracownikom całkowitego wytworu ich pracy, co może być osiągnięte tylko przez obalenie obecnego ustroju kapitalistycznego i upaństwowienie zarówno wszelkiej własności prywatnej, jak i wszystkich środków produkcji.“ Propozycja podobna czyniona była na każdym kongresie, np. na poprzednim, w Belfast, w lutym 1907 r., lecz zawsze była odrzucana; to samo stało się i teraz: wniosek upadł większością 951 tys. głosów przeciw 91 tys. Tymczasem, zaraz dnia następnego, przyjęto większością 514 tys. przeciw 469 tys. ogólnikową, ale nie mniej zasadniczą rezolucję, że „*Labour Party* w obecnej chwili uznaje socjalizm za ostateczny cel swej organizacji.“ Wynik głosowania był powitany entuzjastycznie przez socjalno-demokratyczną grupę członków kongresu: zaintonowano chóralną pieśń „czerwonego sztandaru“ („*The red flag*“); a jednak nie można wątpić, że wynik ten będzie miał tylko ujemny wpływ na rozwój i znaczenie *Labour Party*. Pomiędzy zapewnieniami organu stronnictwa (*The Labour Leader*), że przyjęta przez kongres rezolucja ma charakter czysto platoniczny, tyczy się celu, a nie programu, i nie pociąga za sobą żadnej zmiany ani w postępowaniu stronnictwa, ani w jego najbliższych zadaniach — opinia publiczna angielska została nią silnie zaniepokojona i rezolucja wywołała niezadowolnienie w Trade-Unionach. Sekretarz ogólnego związku tkaczów i zarazem wice-przewodniczący *Labour Party*, Shackleton, człowiek, któremu wszyscy przyznają niezwykłą trzeźwość sądu, zaraz po przyjęciu rezolucji, zwrócił uwagę zebranych na szkodliwe jej następstwa: ogół w Anglii zrozumie ją nie jako oddalony cel, ale jako realny program; z drugiej zaś strony, rezolucja niweczy tę doskonałą zasadę, jaką dotychczas rządziło się „stronnictwo pracy,“ nie narzucając socjalizmu nikomu, kto sam się do tego nie przygotował; obec-

nie zaś, jeżeli ma być być konsekwentną, *Labour Party* od każdego swego kandydata do parlamentu żądać będzie musiała wyznania wiary socjalistycznej.

Umysł narodu angielskiego, wychowany stuleciami kulturalnego życia w poszanowaniu prawa i tradycji, odstrasza ją abstrakcyjne teorie reformatorskie; zamiast oderwanych systemów i formułek, budujących plany dalekiej przyszłości, wymaga on realnych i niezwłocznie wykonalnych projektów środków praktycznych dla usunięcia istniejącego zła i poprawy wewnętrznych stosunków. Obudzony w 80-tych latach przez gorliwą propagandę wyznawców nauki Marksa (Hyndman, Aveling, Morris) oraz przez propagandę H. George ekonomicznej teorii nacyonalizacji ziemi, ruch socjalistyczny nie mógł rozwinąć się i wzmódz na gruncie angielskim; jeżeli bowiem myśl angielska, w swej dążności do konkretnych poglądów życiowych, wyzwoliła się, z biegiem czasu, z więzów klasycyzmu Manchesterskiej szkoły ekonomistów, tembardziej nie mogła pójść w niewolę komunistycznej doktryny Marksa, tak niezgodnej z charakterem narodu i duchem całej jego historii.

Prawowierny socjalizm, według formuły Marksa, ma zwolenników tylko w ciasnym kółku doktrynerów z *Social Democratic Federation* i w stosunkowo nielicznej młodszej generacji robotniczej, szczególnie zaś w Trade-Unionach niewykwalifikowanych robotników (*unskilled*).¹⁾ Ogół społeczeństwa: nietylko burżuazya, ale i klasa robotnicza w przeważającej swej masie, są wrogo dla socjalizmu usposobione; ustrój bowiem kolektywistyczny, zastępujący wolę i inicjatywę indywidualną despotycznymi rządami zbiorowości, przeczy wszystkim tradycjom i ideałom życia angielskiego. Praktyczny umysł angielski uznaje potrzebę ograniczenia prywatnej własności i swobody osobistej dla celów dobra ogólnego, ale nie może się zgodzić z zasadniczym zniesieniem tych dwóch podstaw życia społecznego; przyznaje również, że w niektórych pojedynczych wypadkach, prowadzenie pewnych gałęzi przemysłu przez zbiorowości (np. municypalitety), lub nawet przez państwo, może dać dobre rezultaty, ale widzi także nieuniknione wady podobnego systemu w porównaniu z przedsiębiorstwami prywatnymi (kosztowność administracji, łatwość na-

¹⁾ Dla szerzenia swej doktryny, *Social Democratic Federation* posiada swój własny organ: „*The Justice*”; ten sam charakter ma także pismo: „*The Clarion*,” wydawane przez gorącego marksistę, R. Blatchforda.

dużyć, nepotyzm i t. p.) i powstrzymuje się od powszechnego stosowania zasady kolektywizmu, od fantastycznych projektów upaństwowienia całego przemysłu. W kraju, gdzie pragnieniem każdego robotnika jest nabycie prywatnej własności nieruchomości, a ambycją — być gentleman'em, gdzie uczucie zazdrości i nienawiści klasowej już przebrzmiało, a obok panującego w masach głębokiego uczucia religijnego, utrwaliła się praktyka pokojowego załatwiania zatargów między kapitałem i pracą — komunistyczny socjalizm, według koncepcji Marksa, przeobrażony dziś na stałym łądzie Europy w „syndykalizm“ rewolucyjny, nie może pozyskać dla siebie licznej armii wyznawców.

Pomimo to, widno socjalizmu, jako żywiołu burzącego, mogącego paraliżować normalny postęp, stoi przed wyobraźnią społeczeństwa angielskiego; wspólna dla wszystkich jego warstw obawa przed wywrotowymi teoryjami kolektywizmu jest wyzyskiwana stale dla celów kampanij wyborczych. Pisma konserwatywne zarzucają stronnictwu liberalnemu jego powolność dla *Labour Party* i ostrzegają społeczeństwo przed niebezpieczeństwem koalicji liberalno-socjalistycznej. Agitacja dała już widoczne rezultaty; wybory do zarządów gminnych (municipalności) w końcu 1907 r. wypadły mniej pomyślnie dla „stronnictwa pracy,“ niż było dotychczas; przy czterech uzupełniających wyborach do parlamentu, w styczniu i lutym b. r., konserwatyści wszędzie odnieśli zwycięstwo, przeprowadzając swych kandydatów — zwolenników unionistycznej polityki Chamberlaina. Stronnictwo liberalne straciło taki okręg wyborczy (*Mid-Devonshire*), który od kilkadziesiątu lat do niego należał; porażka była niespodziewana i wywarła nadzwyczajne wrażenie; doszło nawet do tak rzadkich w Anglii na ulicach krwawych rozruchów, podczas których jedna osoba była zabita ¹⁾. Nakoniec przywódca konserwatywnej mniejszości w parlamencie, Balfour, zwraca się do liberałów z propozycją zawarcia przymierza i stworzenia koalicji przeciw stronnictwu socjalistycznemu.

Możliwemi w Anglii są dalsze modyfikacje ogólnego nastroju, jak również zmiany stronnictw, stojących u steru władzy; ale jednakowo niemożliwe są i uparta, zaślepiona reakcja, i lekkomyślna rewolucja. Od tych krańców bronią społeczeństwo jego kultura, temperament narodowy i ten wyrobiony historycz-

¹⁾ Do porażki stronnictwa liberalnego przyczyniła się także w pewnym stopniu agitacja „suffrażystek,“ niechętnych dla obecnego gabinetu.

nem doświadczeniem utylitaryzm polityczny, który, będąc dalekim od wszelkiej wyłączości i doktrynerstwa, nie hołduje ani samemu tylko dogmatom, ani też samemu tylko oportunistowi, lecz umie połączyć teorię i praktykę w jedną harmonijną całość. Tylko wielki kryzys ekonomiczny, sprowadzając cierpienia mas i budząc groźne namiętności, mógłby wytrącić społeczeństwo angielskie z równowagi i zepchnąć je na manowce z dzisiejszej drogi normalnego postępu.

Francuzcy socyologowie najnowszej szkoły Le Play (H. de Tourville, E. Demolins, L. Poinard) w życiu współczesnym narodów Europy upatrują jawne oznaki upadku (*décadence*), pochodzącego z dezorganizacji społeczeństwa: ze zniszczenia dawnych naturalnych „wspólnot“ (*Communautés*), przedewszystkiem rodziny, jako podstawowej komórki wszelkiego ustroju i nie wytworzenia się na ich miejscu nowych, racjonalnych, odpowiadających rzeczywistym potrzebom, form ludzkiego zgrupowania. Za jedną z przyczyn rozkładu uważają bystry rozwój wielkiego przemysłu o charakterze kapitalistycznym i na potwierdzenie słuszności takiego poglądu przytaczają przykład obecnej anarchii wewnętrznych stosunków w Rosyi. Wyjątek z ogólnego obrazu stanowią, według nich, społeczeństwa anglo-saksońskie, które potrafiły zorganizować się w oddzielne grupy żywotne, połączone węzłem wspólności interesu i posiadają teraz stosunkowo najmniejszą ilość żywiołów luźnych, pochopnych do akcyi rewolucyjnej, a mało zdolnych do twórczej pracy ewolucyi. Objaśnienie tej wyższości rasy anglo-saksońskiej socyologowie francuzcy znajdują w panującym u niej systemie wychowania, które ma za zadanie nietylko udzielać młodzieży pewną sumę potrzebnych w życiu wiadomości (*enseignement*), ale przedewszystkiem jeszcze dąży do ukształtowania charakteru i woli jednostki (*éducation*). WYROBIONY PRZEZ TAKIE WYCHOWANIE TYP LUDZKI, KTÓRY FRANCUZI NAZYWAJĄ „*type particulier*,” posiada wysoce rozwiniętą indywidualność, silne poczucie odpowiedzialności i inicjatywy i jest w stanie rozwinąć w życiu ogromną energię i działalność; tem się tłumaczą zadziwiające rezultaty, jakie narody anglo-saksońskie osiągnęły we wszystkich kierunkach życia społecznego.

Jeżeli jednak zastanowimy się głębiej nad źródłem, z którego płyną zdrowie i siła społeczeństw anglo-saksońskich, nad temi właściwościami charakteru narodowego, które zbudowały i doskonały system wychowania i lepsze, niż gdzieindziej, stosunki we-

wewnętrzne, przyjdziemy do wniosku, że źródłem tem jest szczerze i poważne, panujące nad całym życiem, uczucie religijne. Prawdą jest, że wierząca dusza „purytańska“ stworzyła dzisiejszą wielkość Anglii i Stanów Zjednoczonych; religia dla niej nie jest ani rytuałem form, ani metafizyką filozoficzną, ale „żywą wiarą,“ prawdziwą „magistra vitae.“ Z poczucia obowiązku względem Wyższej Istoty wpływa tu chrześcijańskie pojęcie obowiązków względem bliźniego; religia określa zasady indywidualnej i społecznej moralności i na tle religii odbywa się ewolucya społeczna. Wierzącym w Anglii jest każdy: prezes gabinetu ministrów, trybun ludowy-socjalista, przedstawiciel burżuazji i robotnik. Wielki Gladstone — „*Grand Old Man*“ pisze rozprawy teologiczne, Keir Hardie wygłasza biblijne kazania, górnik południowej Wallii, przy blasku nocnych pochodni, w przydrożnej kaplicy, śpiewa hymny pobożne i publicznie spowiada się z grzechów! Uczucie religijne wytwarza ten wewnętrzny spokój i tę wytrwałość woli, które światu w Anglikach imponują; z niego też płynie poważne zapatrywanie się na życie i obowiązki i Anglia nie zna prawie tak rozwielmożnionego w innych krajach typu życiowego komedyanta i parlamentarnego żonglera.

Od kilku lat Anglia przeżywa okres niezwykłego napięcia uczucia religijnego we wszystkich bez wyjątku warstwach społeczeństwa. Obok silnego ruchu katolickiego, państwowy kościół anglikański i rozmaite istniejące w Anglii kościoły protestanckie prowadzą, za pomocą kazań, konferencyj, pism, gorącą propagandę Ewangelii; zawiązują się stowarzyszenia i odbywają kongresy religijne, w których żywy udział biorą deputowani robotnicy. Entuzjazm religijny obejmuje szerokie masy ludności i oddziaływa korzystnie na stosunki życia codziennego. Tak np. w południowej Wallii, pośród ludności górniczej, zjawia się (w r. 1905) przejęty zapałem reformatora, kaznodzieja, syn miejscowego robotnika, Ewan Roberts; obchodzi on wsie i miasteczka, wzywając do poprawy życia, wyznania grzechów i słuchania natchnień Świętego Ducha; pod wpływem jego nauk zmniejsza się w okolicy pijactwo, spada ogromnie występność, podnosi się wyraźnie moralność, zmniejsza liczba spraw sądowych, a związki robotnicze przestają nawet odbywać swe zebrania w lokalach, gdzie się sprzedaje spirytualia. ¹⁾

¹⁾ Wspomnieć jeszcze tu trzeba o „armii zbawienia“ generała Bootha, która w Anglii rozszerza ciągle pole działania i utrzymuje w wielu miastach swe religijno-humanitarne instytucje.

W drugim państwie, utworzonym przez rasę anglo-saksońską, w Stanach Zjednoczonych, pomimo zmateryalizowania wyższych klas, uczucie religijne w szerokich masach narodu jest nie mniej silne i stanowi prawdziwą spójnię życia społecznego. Tocqueville w swem klasycznym dziele: „*Démocratie en Amérique*“ wypowiedział następujące zdanie: „*La religion est beaucoup plus nécessaire dans la république, que dans la monarchie et dans les républiques démocratiques, que dans toutes les autres. Comment la société pourrait-elle manquer de périr, si tandis que le lien politique se relâche, le lien moral ne se resserrait pas?... Que faire d'un peuple maître de lui même, s'il n'est pas soumis à Dieu?*“ Wielką doniosłość wypowiedzianej przez Tocqueville'a prawdy rozumieją praktyczni yankees'i i rządzą się nią w swem życiu społecznem. ¹⁾)

*

*

*

Jakże odmiennym jest obraz naszego społeczeństwa w dobie dzisiejszej, jak dalecy jesteśmy od zdrowia duszy angielskiej! Na rozstrój naszej myśli, a następnie i samego życia, złożyły się różnorodne czynniki zewnętrzne, niezależne często od naszej woli, przeciw którym skrupowany organizm narodowy nie mógł w należyty stopniu reagować. Pod względem uczuć religijnych, znaczna część naszego społeczeństwa znajduje się jeszcze w okresie, który dla Zachodu prawie już minął, w okresie płytkiego ateizmu lub obojętności, połączonej z quasi-filozoficznym agnostycyzmem. U nas zachodni pozytywizm, który był tylko metodą naukową, zamienił się stopniowo w doktrynę materialistyczną, która w najgrubszej często formie, ogarnęła szerokie warstwy społeczeństwa; dezorganizujące, rozkładowe jej działanie spotęgował jeszcze idący ze Wschodu nihilizm—doktryna zwątpienia i rozpacz. Kiedy właśnie dla wytrwania w ciężkiej walce o byt i aby w niej nie

¹⁾ Przypomina się tu zdanie wypowiedziane przez wybitnego publicystę szwajcarskiego, *Talichet*, w jednym z miesięcznych sprawozdań politycznych w „*Bibliothèque Universelle et Revue Suisse*“, że skutecznym środkiem dla wyratowania społeczeństwa rosyjskiego z obecnej anarchii byłoby sprowadzenie do Rosyi amerykańskich misjonarzy dla propagandy religijno-chrześcijańskiej.

upaść, trzeba było silnego uczucia religijnego, t. j. gorącej wiary w Ideał i w Sprawiedliwość, kierującą dziejami świata — słabym, a jest ich wielu, wydało się, że wiara ta jest przeszkodą dla osiągnięcia powodzenia życiowego, ciężarem tylko, który utrudnia wypłynięcie na powierzchnię fali życiowej. Porzucono więc wiarę, a z nią nienaruszalne zasady moralności, podstawy życia społecznego; miejsce ich zajął chwiejny oportunizm, celem życia stało się użycie. Nie chcę tem powiedzieć, że w podobny sposób postąpili wszyscy, bo gdyby tak było, społeczeństwo nasze, jako takie, przestałoby już istnieć; ale trzeba, niestety, przyznać, że dezertarów z pod chorągwi obowiązku, którego poczucie połączone jest z wiarą, było nie mało i odstępstwo ich przyczyniło się do zwiększenia zamętu naszego życia.

Tymczasem nie sama jedna spekulacya abstrakcyjna, ale nadto materyalne dowody z historii świata przekonywują dobitnie, że tylko uczucie religijne, rozszerzając widnokrąg ludzkich myśli i aspiracyj po za granice zmysłów i namiętności, nie ciasny utilitaryzm chwili, zlewający się z materyalizmem—ale głębokie poczucie odwiecznej Prawdy, porywające dusze ku Ideałowi, stanowią *realną* siłę, która zdolna jest stworzyć trwałe dzieła i obronić ludzkie społeczeństwa od rozkładu i upadku. Doświadczenie dziejowe uczy, że uczucie religijne, skryształizowane w wierze, jest niezbędnym czynnikiem rzeczywistego, wszechstronnego postępu: sam jeden postęp nauki, jeżeli mu towarzyszy tylko sceptycyzm i agnostycyzm, nie zapewniają jeszcze ogólnej pomyślności. Rozumieją to dobrze Anglicy, a wiedząc zarazem, że z chorych jednostek nie może powstać zdrowe społeczeństwo, starają się za pomocą wychowania pielegnować indywidualne zdrowie duszy i rozwijać uczucie religijne, jako konieczny warunek tego zdrowia. Wiara formuje charakter człowieka, jest źródłem woli i czynów indywidualnych, z których składa się całokształt życia społecznego. Myśl tę wyraził nasz poeta-filozof w słowach:

„Z wiary waszej — wola wasza,
Z woli waszej czyn wasz będzie!”

Słowa wieszczka i realny przykład Anglii wskazują drogę dla wyjścia z chaosu i założenia trwałych podwalin postępu społecznego.

M. ŁEMPICKI.

SŁOWACKIEGO LATA OSTATNIE

1843 — 1849.

III.

Wizjonerstwo we śnie i na jawie. Walka z Krasieńskim.

Niewątpliwym chyba jest dziś fakt, że w literaturze od Jagiellonów do Sasów religia, za Stanisława Augusta i Księstwa Warszawskiego poglądy wieku Encyklopedystów, za Królestwa Kongresowego i na emigracyi filozofia idealistyczna i mistyczna nurtowały niejako na dnie twórczości, wywoływały najżywsze poruszenia w indywidualach i pokoleniach, stwarzały niezwykle zjawiska w zakresie inteligencyi, uczuciowości, wreszcie woli jednostek, które utrwały się raz w prozie, raz w poezyi, a zawsze potężnie i oryginalnie. Wielkość romantyzmu, to jego treść metafizyczna, to moc płomieni lirycznych, które przybierają formy obrazowe i rytmiczne, a zawierają wykłady i symbole nieznanego i niepojętego.

Odrywały się te płomienie niejako od tych, którzy je wydały, i oziębiały w kształty, które podziwiamy dziś, choć nie rozumiemy często ich treści i dziwimy się im, jakby były meteorami spadłymi z przestrzeni międzyświatowych. A przecież romantycy wyrażali tylko nastrój czasu, w swym smutku i nieokreśloności pragnień szukali tylko wszędzie zagadki bytu i przeznaczenia. Szukali rozwiązania zwłaszcza siebie samych, swych uczuć, swego życia indywidualnego, końca tego życia i tego, co jest poza końcem. Szukali przyczyny bytu wszystkiego co ich otaczało, pytając o odpowiedź nie tylko filozofów ale i własnych serc, zjawisk i zmian w własnej osobowości, które niejednokrotnie bywają i dziś zagadką. Niepokój metafizyczny przytłumiał w nich zdolność

czynu, objawiał się wszędzie, łamał formy, wiersz, język, wznosząc się w tęsknocie za nieskończonością tak daleko, że oczy przywiązane do rzeczy ziemskich śledzić ich mogą tylko z wysiłkiem i nie dośledzą nawet. Dawna poezya żyła więcej zewnętrżnością, teraz żyło się wewnętrżnie i w sobie.

Z siebie czerpano pewność, wszystkie rozstrzygnięcia i wartości myślowe poczytywano za wynik wewnętrżnej świadomości, niepoczytującej niczego za nierozwiązalne. Jakieś niepowstrzymane natężenie uczuciowości pchało romantyków do nieskończonych spekulacyj, które nie były w żadnym związku z rzeczywistością, nie opierały się na żadnych pewnikach naukowych, lecz stanowiły tylko rozwinięcie teoryj raz wprowadzonych do filozofii i wyzyskiwanych odtąd bez miary. Zmysły nie miały tu żadnego udziału; wewnętrzną sferę duszy uznano za źródło świadomości, szczyt wielkości, dzieje a nie system sił, których byt ziemski jest tylko chwilą między przedistnieniem, będącem emanacją bóstwa, a poistnieniem, będącem powrotem do bóstwa. Byt ziemski ducha dokonywa się miłością, duch stwarza wiedzę bytu i jedność miłości, prowadzi lud wybrany uduchowionych i cierpiących do królestwa Bożego.

Duch opanowuje wszystko, co jest myślą całego romantyzmu, bo jest jedynym realnym czynnikiem. Im delikatniejszą jest powłoka materyalna, tem ściślejszy związek z bytem. Od zamierzonych czasów ludzkości sen uważano za rodzaj przedstawiania ze światem zaziemskim, by przypomnieć podania indyjskie i biblijne. Wedle przodka mistyków, Platona, we śnie występuje wprawdzie zwierzęcość natury ludzkiej, ale można ją pokonać, gdy się wiedzie życie wstrzemięźliwe i uregulowane, życie wyzwolone od zmysłów, oddane rzeczom ducha i ćwiczeniom w rozmyślaniach zbawiennych. Wtedy duch tylko czuwa i jest bliżej prawdy niż kiedykolwiek ¹⁾, co powtarzał Plotyn i mistycy średniowieczni. A mistyków romantyzmu nie zadowalał również żaden dogmat określony, pytali się o religię przyszłą na jawie i we śnie. Nadzwyczajność obrazów, niejasność symboliki, to forma ich dociekań; treścią odczytywanie w sobie i w naturze przełomów, które poprzedzą powrót duchów na łono wszechboskości.

Poglądy te, rozwijane od starożytności, przedostawały się do Boehmego, który uświadomił je sobie w stanie ekstazy ²⁾, na ja-

¹⁾ *L'état ou le république de Platon*, traduction de Grou revue et corrigée sur le texte grec d'Em. Bekker, Paris, 1840, str. 594.

²⁾ Dr. H. Höffding: *Dzieje filozofii nowożytnej*. T. I. Warszawa, 1907, str. 594.

wie i we śnie. Życie boskie, mówił on, gra w nas; wszystko jest boskiem, poruszenia wewnętrzne w nas są boskie, a więc i sen, w którym zdobywa się prawdę. Wedle Mickiewicza, który zapożyczał swe poglądy od Boehnego, człowiek styka się z wszystkimi żywiołami czynności boskiej, ducha stara się wydobyć z materji, która, jak w ogóle świat widzialny, jest wynikiem działania nienormalnego i buntu, wyszła z ciemności, które nie mają nic wspólnego z światłością boską. Bo tylko duchy buntu weszły w ciemności¹⁾, gdy chciały zdobyć miłość przez siłę i starały się stworzyć same środek świata, czyli wszechboskość. O czemś podobnem opowiadał i Słowacki, gdy w swej modlitwie rozróżniał, jak zauważyłem, duchy świetlane i ciemne, gdy opowiadał, jak Boehme, o nieustannej walce ducha z materją, o swym charakterze boskim. Synem Boga, wedle Boehnego, jest bowiem człowiek, gdyż ma w sobie siły boskie, czerpie swe siły z Boga, panuje nad przyrodą materjalną. Kto wpadł tedy w nieświadomość duchową, to jest pod wpływ materji, kto obudził się owinięty w ciało ziemskie, musi dążyć do boskiego środka, co Boehme rozwiązywał w sposób, odpowiadający dogmatom chrześcijańskim i tłómaczył tylko swobodnie.

W snach, mówił ulubiony mistyk romantyków, reminiscencye życia przedwiekowego rysują się wyraźnie; w snach, mówił za nim Mickiewicz, rozwija się życie nasze bez dwoistości, dusza wyprowadza z nicstwa światy nowe i objawia prawdy nieznanne czuwającemu. We śnie, wedle romantyków, następuje jakby wewnętrzne przebudzenie, zwolnienie od zmysłowej świadomości, połączenie z nieświadomem, co odnosi się również do somnambulizmu. Nic tedy dziwnego, że w czasie największej wiary w sny mistyków romantycznych²⁾, szukano w nich rozwiązania dręczących zagadnień, skoro Kant już wyrzekł, że spoczynek zmysłów budzi we śnie dusze. Wszystkie myśli przyjmowały tu formę obrazów, myśli wypływały niejako ze snów i były snami naprawdę. Duch nigdy nie błądzi, mówiono sobie z wiarą, choć zmysły są w nieporządku, duch rozwiązuje wszystko w duchu panteistycznym, który obowiązywał w epoce idealizmu filozoficznego, który pociągał swedenborgizującego Słowackiego już w Genewie, także i później. Objawiać stało się wtedy zwyczajem; kto dąży do prawdy, wedle Schellinga, ma ją. Filozof romantyków głosił, że w ludziach tkwi prawda; w magicznym kręgu ich świadomości spoczy-

1) *Rozprawa Mickiewicza o Jakóbie Boehmem.* Warszawa, 1898, str. 11 i 13.

2) *Die Philosophie der Mystik,* str. 45.

wa rozwiązanie; w nieświadomem, w przeciwieństwie do świadomości zmysłowej, wytwarzaniu idei kryje się tajemnica, do której wstęp otwiera ciemna brama snu.

Nieświadoma transcendentalność polega na działaniu wiecznego rozumu, ten rozum objawia się w nieświadomości, co rozbijało granicę między rozumowaniem na jawie a wyobraźnią senną i snem. Tam piękność, gdzie świadomość nieznanego, gdzie duch oddziela się od materii, gdzie tajemnicę bytu swego i innych oświeca. Wiadomo, że próbował tę tajemnicę rozświecić w mistycznej modlitwie Słowacki, poetyzując pogląd schellingiański Mochnackiego, do którego dołączyli się jeszcze: Platon, Boehme, Lamarek. Duch pracował w nim odtąd niewzruszenie, by rozwiązać wątek nawiązany i tworzyć spekulacje, które były niejako owocem tego stanu nieświadomego, wizją nieznanego, płodem snu wewnętrznego. Nic nie mogło zaciężyć teraz duchowi, który odsunął się całkowicie od zmysłowości, świat uważał za poemat, siebie i swoje myśli za rzeczywistość. Wyobraźnia, która nie osłabła w nim nigdy, a teraz tylko wchłaniała nowe pierwiastki, by stworzyć ostatni i największy poemat życia, czerpała w tych latach wizyj poetyckich i filozofowań twórczych, niejako pokarm w snach. Wizje poetyckie nie wcielały się, jak świadczył poemat o Zborowskim, w utwory skończone, filozofowanie nie oparło się na granitowym zrębie narodowych dziejów, które od młodości nęciły ten umysł, i wisiało niejako w powietrzu.

Wizjonerstwo dogadzało przecież jego dumie, sprawiało mu rozkosz estetyczną, która była głęboką i ogromną. Duch artysty nie zatrzymywał się przy żadnym systemie, czerpał ze wszystkich, wszystko piętnował indywidualnie. Czytając jego listy, zapiski, poezye, jest się zdumionym obfitością poglądów, szuka się z trudnością związku między nimi, co razem doprowadza do wniosku, że ma się do czynienia z pomysłami dyletanta, obdarzonego tylko geniuszem poetyckim. Naiwność tu nie razi, taka jest pierwotna i pełna siły; entuzjazm nie drażni, bo nie znać w nim nigdy znużenia i wysiłku. W jego wizjonerstwie nie ma tak częstej wtedy sztuczności; mglistość i chwiejność przeważają i wymagają dużego wysiłku, który rozplątywa zbyt zawikłane dla sceptyka nici. W dziedzinach, do których wzniósł się poeta, nie było miejsca na wyjaśnienia i uzupełnienia, wszystko tonęło niby w halucynacji mistycznej, nasiąkało jakimś fluidem świetlanym, jak obłoki w blaskach zachodu. Mistyczny i idealny pogląd na świat nie liczył się z prawdą dziejów, ustalał się silnie w duchu pełnym wewnętrznego spokoju, otrząsającym się z małych uczuć, czującym w sobie miłość odkrywającą wszystkie tajemnice.

„Tymczasem ja—pisał 16 kwietnia 1844 r.—prosty teraz człowiek, odzyskałem nawet ten czar, który miłością ludzi uderza i wiąże ich w jeden wieniec... czar, który dawniej zostawiony był instynktowi i rozwijał się lub gasnął w człowieku, jak lampa.“ Uważał się poeta za zdobywcę duchowego, czuł w sobie pewność, niby drugą wiosnę w duchu, pragnął tylko wyzuć się ze wszystkiego na ziemi, bo każdy winien jest smutku, który go uciska. Rozwidniał mu świat, więc radował się jako najwyższy duchem i jako prostak, gdyż czuł się pod ręką Boga. A choć zazdrościł swoim ukraińskich kwiatów, lasów dębowych, cichości stepu, w którym czuł niegdyś Boga, duszę nauczył pokoju i dawna tęsknota nie pochłaniała go teraz, gdyż czuł się uduchowionym i, jako taki, panem świata. Pobyt nad morzem zdawał się hartować strudzone wizjami i ekstazami ciało, które niegdyś w burzach młodości osłabił tak, że chciał przed laty zasnąć na obczyźnie snem anhellicznym. Teraz odradzał się, choć miewał też chwile osłabienia, po których marzył, by stać się pięknocią i mocą ducha podobnym Chrystusowi.

I innych myślał uczynić silnymi tem, co im dawał; sam uczuwał ogniste powiewy niewidzialnego świata, dla których nie zważał na cielesne słabości, na powszednie przykrości. Z wizyj, które go wtedy nawiedzały, najwięcej wstrząsała nim ta, w której, jak opowiadał, oświeciły go ognie niebieskie i „bez najmniejszego krwi poruszenia, ani rozegrzenia, przerażony zostałem mocą Chrystusa, już na ten świat nadchodzącego, przymuszony wymówić słowa, których nigdy w życiu nie używałem. Szelestem ogni tych, wichrem niby Bożym zewsząd owiany i zagrożony, prawie umarły... a ze zniknięciem onych w jednym oka mgnienu powrócony zimnej rozwadze... i przytomności.“ Uważał tę wizję za wybicie się ducha, wszystko, co wypływało mu z pod pióra, za utwór nie zimnej myśli i utworzenia rozumowego, ale prawdy wewnętrznej. Wyobrażenia, uczuciowość znajdowały się w stanie rosnącego podniecenia, cały człowiek drżał niejako i w tym stanie dalekim od spokoju i panowania nad sobą rzucał na papier rzeczy mało rozważone ale mające czar bezpośredniości, wydające jakby woń uroczystą uastroju wzniesionego i wyanielonego niezmiernie.

Sniła mu się jakaś wielka powieść, w której lud jego krwią błagał Boga o litość, i modlił się, by powieść do końca doprowadzić i nie zmącić żadną doczesną myślą. Chciał opisać przeświète żywoty bohaterów, którzy, jak święci dantejscy, zwracają w złotym słoneczniku twarze ku Bogu, chciał wywołać płaczący dzień kraj sarmackiej wolności. Takim bohaterem wydał mu się Za-

wisza, który dostał serdecznego śmiechu na widok krzyżów na płaszcach krzyżackich. Więc Jagiełło śle go na Turków, choć starosta sanocki chciałby go widzieć mężem synowicy Laury. Ale rycerza nawiedzają wizye, sny, żądza odsunięcia się od świata, jakby mistyka średniowiecznego; nie wie sam, co się z nim dzieje i walczy z sobą nieustannie:

Od jakiegoś czasu

Jestem przez ciemne duchy... za ramiona chwytny,
Oczy mam pełne ognia — a hełm pełen hałasu...
Szumi w nim burza jakaś — jak zhukane bałwany
Pchane wiatrami Boga — o brzeg czarny bijące;
Czasem w oczach ogromne krwawe miesiące
Płoną, a ua miesiącach — krzyż czerwony zagore...

Nie wie, czem jest, łono mu się rozdziera i serce płonie, myślą w dzień i w nocy, jak poeta, pracuje tak, że tylko Turczyn Manduła może ukoić burze ducha muzyką.

Już w mistycznej modlitwie była wzmianka, że duchy ofiarowały się na śmierć, by przebudzić się w doskonalszej formie. Fakt ten wydał niezliczone potomstwo kształtów i cuda tworów. A więc i Zawisza mógł być zapewne także ofiarą, gdyż chór śpiewa, że niczem są prace doczesne, gdy

Ofiara jedna tylko wzlata nad kurhany
I lampą jest narodu — duch ofiarowany.

To zapewne idea tragedyi. A tymczasem Zawisza ma nieść chorągiew z krzyżem, gdy ruszą wojska cesarskie. Pierwej jednak stacza gdzieś w stepach boje z Tatarami, bo ranny staje znów na zamku sanockim, gdzie Laura opatruje jego ranę. Na wojnę zbiera się powoli, bo wątpi, czy warto gonić za sławą, bo sława nie warta tyle, co anielstwo, i

kto się w taką tęczę za młodu umota,
To go na niej fortuna, jak na pasku, wodzi...

A może wstrzymuje go miłość dla Laury, choć uczynił niegdyś ślub, że dbać będzie tylko o sławę mieczem zdobywaną, że nigdy o osobiste szczęście się nie upomni. Okazuje się, że o Laurę ubiega się też książę niemiecki w przebraniu żebraka, więc Zawisza boleje nad wszędzie przenikającą zdradą, drży o przyszłość zagrożonej ojczyzny,

Bo we mnie wszystkie są dla niej miłości,
Jak gwiazdy w taki uwiązane snopek,
Że razem król ja ojczyzny i chłopek.

Miłość za grzech uznał, złotem i wczasami pogardził, choć
 żał mu było, jak poecie, cichego żywota, przykrzyła się anielska
 dola, choć

śmiertelny

A tak przed śmiercią nie drżący
 I tak gotów do ofiary,
 I tak wszystko kochający
 Bez wagi w sercu i miary...

Ma sny, przeczucia, widzenia; głosy powietrzne wieszczą
 śmierć jego wojsku cesarskiemu, które osieroca prędko, skoro
 Laura, przebrana za trynitarza, mówi, że on na wzgórzu

Samotny... w błękiecie słyszy
 Każdej srebrnej gwiazdy ton,
 Każdego świerszczka śpiewanie
 Bo czujny...

I dramat urwał się, choć nie rozwinął żadnego momentu
 szerzej, by przytoczyć walkę z sobą samym Zawiszy, lub rywali-
 zującą o posiadanie serca bohatera Laury i kryjącej się pod imie-
 niem Manduły Turczynki.

Temat był zaś niepospolicity. Miał zapewne uwiecznić pa-
 mięć czynów bohatera, miał odtworzyć dążności epoki, miał ideą
 wstrząsnąć, jak mówi Mickiewicz, umysły opieszale. Zaczynał
 się od przedziwnego wstępu, w którym poeta chciał usłyszeć
 wielkie serce w sobie bijące, być kaznodzieją mistycznym, opisać
 przeświète żywoty duchów. I chóry, pełne powagi i siły, zapo-
 wiadają rzecz niepoślednią, dzieje jednego z królewskich duchów,
 o których mówił Mochnacki. Zawisza ma istotnie kształty wiel-
 koluda, wyrósł nad miarę codzienną, jest jakby wcieleniem chrze-
 ścijańskiego rycerza, którego wzór istniał u Calderona, który
 wiarę, miłość, cześć, lojalność cenił nad wszystko. Ale on jest
 i mistykiem, który ma związki z światem niewidzialnym, ofiaro-
 wuje się na bój, jak jeden z duchów genezyjskich, stacza walkę
 z ciemnymi duchami, którym do pomocy przybywa jeszcze świe-
 tłana piękność Laury. Nie daje się jej uwieść, jak calderoński
 Cypryan, marzący o posiadaniu Justyny; pozostaje czysty i wierny
 obowiązкови, choć tego poeta należycie nie pokazał, choć pocią-
 gany niewątpliwie pomysłami spekulacyjnymi, nie osiągnął jedno-
 ści, nie sprzągnął scen ściślej. Własne przejścia, osobiste marze-
 nia o swej roli anielskiej, pojęcia mistyczne, skupiły się w postać,
 która rzuca tajemniczy cień na inne, wydaje się zagadkową

i niepokojącą, bo nie wie się, co Zawisza uczyni w końcu, co pocznie Laura.

Przepych wyrażenia, głęboki ton liryczny, olśniewają jednak, dramat jest istotnie jakby odbiciem zaświatowych sfer. Jego bohatera oprowadza poeta po różnych stronach, jak niegdyś Beniowskiego, otacza jakimś nimbem nadziemskim w przekonaniu, że jest on aniołem Bożym, którego miłość, jak Słowackiego dla Browej, uwieść mogła daleko, ale który, jak mówi chór,

Prędko wielkiego ducha wyrwa z niewoli
Tak, że te więzy wszystkie rwie — choć serce boli.

Zawisza góruje swą wielkością nietylko fizyczną, jest pierwszą próbą stworzenia bohatera na miarę późniejszych, jak Popiel, Mieczysław, Bolesław Śmiały, rodzajem ucieleśnienia idei narodowej w pewnym okresie dziejowym. On rwie się nad poziom, chce być ofiarą, chce walczyć choćby z piorunami, jeżeli ludów nie stanie. Ale może legenda pociągnęła go za mała, może nęciły go więcej królewskie postaci dziejów, może odrywały go próby filozofowania lub zagadnienia chwili, z których powodu miał zetrzeć się z Krasieńskim. Rzucając bowiem pomysł godny jego poezyi, pogłębił za mała obie postaci kobiece, porzucił myśl złożenia całości, której szczegóły przypominają najlepsze chwile jego calderonizmu. To fragmenty duszy raczej niż dzieła, duszy pod słuchującej wszędzie szmery życia boskiego i nie mogącej, jak dawniej, oddzielić się od swych bohaterów. Mistycyzm wzrastał w tej duszy żywiołowo, wprawiał ją w stan takiego podniesienia, że osłabiał niejako zdolność nie twórczą, ale organizacyjną.

Z rozpalonej wizjami wyobraźni wybiegały płomienie, które nie układały się jednak w zarysy zgodne z wymaganiami sztuki. Wykończony dramat stanowiłby niewątpliwie jedno z największych arcydzieł; poeta był już jednak wtedy mistykiem zupełnym, był przekonany, że otrzymuje objawienia, prawdy, które nie potrzebują stosować się do konwencji dramatycznych. I jak mistycy wogóle, sądził, że będąc osobiście wyanieleny, objawia te prawdy dla drugich, prowadzi ich w ten sposób na drogę podobnego wyanielenia. Nie można przypuścić nawet, gdy się zna ówczesne poglądy, by na chwilę chciał ludzi kogokolwiek. Jego chwile tworzenia musiały być jakby stanami półświadości, po których wracał, jak ekstacy, do stanu normalnego. W tych stanach ekstazy wyobraźnia działała bez żadnego hamulca, wyobraźnia przywiązywała się do jednej czynności, czyli objawiania prawd, które obchodziły ekstatyka niezmiernie. Zdawał się w tym

stanie oderwany od całego świata, otoczony swą wizją bytu, urzeczywistniająca tę wizję nieustannie, co dawało mu rozkosz niesłychaną. Ale i cierpiał, jak ekstatycy, uważał się za ofiarę, której poddał się przez miłość. Jego filozofia uważała tę ofiarę, jako czynnik podnoszący ofiarującego, jako stygmat wyanielenia.

„Dziwny mój los — pisał 20 stycznia 1845 r. — że ja wonią dalekich serc żyć muszę, a tu samotny, zostawiony tak przez Boga wielkim wewnętrznym boleściami, bo ja nad światem cierpię, jak matka, i pokarmu mi wielkiego potrzeba, a czasem ludzie karmią tylko zdaleka kwiatkami rzucając.“ Przywiązywał się tedy do swej idei objawienia, do swej idei ofiary i cierpienia, która była dla niego rzeczywistością zupełną, dla której wzruszenie uczuciowe było tak silne, że drżał we wszystkich fibrach swego delikatnego i wrażliwego organizmu. Natężeniem półświadomej ekstazy tłómaczą się fragmenty, które rzucał na papier, tłómaczą się mglistości i niepewności fabuły, tłómaczy się gorący koloryt i drżąca a pełna podlotów i spadków nastrojowość. Poeta pragnął umieścić swe sny bądź co bądź na zrębie dziejów, które, dzięki obudzonemu badaniu nad przeszłością narodów słowiańskich, rozszerzały się niejako, zlewały z sobą poniekąd. Mickiewicz już mówił, że poeci słowiańscy spotykali się u tych samych źródeł natchnienia, składali jakby ogólny rapsod, gdy chodziło naprzykład o Ukrainę ¹⁾. Czemu Słowacki nie miałby wziąć tematu z dziejów ruskich? Wszak Wielki Nowogród miał formę republikańską rządu, której on był zwolennikiem, miał ustrój demokratyczny, którego on był wieszczem w zakończeniu anhellicznej wizyi.

Uderzał jego wyobraźnię świat, który pokazał Karamzin, przez który chciał wykazać, jak mocą bezwzględnego jedynowładztwa powstał organizm najpotężniejszy ze słowiańskich. A jemu imponowała moc ciała i ducha, bohaterskość i nadzwyczajność postaci, które od Ruryka przesuwają się przez wieki, by wyswobodzić państwo od jarzyna tatarskiego i rozszerzyć je daleko za pierwotne granice. Karamzin dawno już nęcił jego wyobraźnię, skoro zachwyty dla niego wypowiedział jeszcze przed laty trzynastu, skoro ponowne nad nim studia utwierdziły w nim nie tylko zajęcie dla potężnych postaci wielkich kniaziów, które historyk umiał oblać światłem poezyi, by przypomnieć Andrzeja Bogolubskiego, Wsiewołoda III, Iwana Kalitę, Iwana III, ale i przedstawić w całej grozie i prawdzie Iwana Groźnego, Godunowa lub Szujskiego. Patryotyzm karamzinowy, mimo swego uwielbienia

¹⁾ *Literatura słowiańska*. T. II. Poznań, 1865, str. 6.

dla jedynowładztwa, miał żar i siłę, a mając za dewizę, że *gdzie nieć lubwi, nieć duszi*, pociągał niepospolicie wrażliwego poetę, w którym Mickiewicz budził nadto nadzieję, że zmieni się bieg dziejów Rosyi, że zbliża się palingeneza ogólnej historii, że Słowianie zabiorą głos w dziejach, bo nie nadużyli jeszcze słowa. Polska, wedle Mickiewicza, była uosobieniem idei przeciwnych rosyjskim, które zgniotły przeciwniczkę, ale nie zgniotły idei, mogącej się wcielić na nowo, bo jest ideą boską. I Mickiewicz wywołał entuzjazm dla Karamzina, który ma duszę i prawdę, bo uczuł bezpośredni wpływ Boga na sprawy ludzkie, choć nie uznawał moralności w polityce.

Filozofia rosyjska, wedle Mickiewicza, nie sformułowała żadnej idei, mesyanizm polski przyznaje Polsce posłannictwo, które ma wyobrażać jeden człowiek ¹⁾. Rosya ma jeszcze ton mongolski, Polska—chrześcijański i łagodny, a więc poeta słowem wznieś się ton wyżej od rosyjskiego, który jest mongolskim. Idee podobne zapadały w ducha poety, któremu już Mochnacki mówił, że człowiek przechodzi zwolna do refleksyi rzeczywistej i jasnej, do filozofowania i uznania siebie samego w jestestwie swoim, do rozszerzenia swej indywidualności, która niknie w ogóle, ale i ogół w sobie mieści. Wieki są jakby obszerne place, gdzie z zawiązków rozkwitają pewne idee, więc były idee w dziejach Rosyi, były w dziejach Polski, jak idea Bolesława Chrobrego, która sprzeciwiła się idei germańskiej. Związek między dawnymi a nowymi ideami zadzierzgać się musi, a więc i między słowiańskością dawną i dzisiejszą, co powtarzał sobie i Słowacki, gdy śladem Karamzina roztaczał wątek dziejów walk Mongołów z Rusią północną.

Strach pada tedy na lud nowogrodzki, bo Dymitr Michajłowicz Twerski przychodzi wywrzeć zemstę za sympatyę moskiewskie grodu. Tylko biskup ma moc wytrwania, bo nie oślepiea go blask tarczy najezdźcy. On jest człowiekiem wolnym, sługą Bożym, który patrzy bez lęku na upadek grodu,

Gdzie wolność, matka rosyjskiego rodu,
Mieszka od wieków...

Bóg karze ją pożarami, zarazą, głodem, napadami książąt Tweru i Moskwy, w których przeszedł, jak trzeba się domyślać, duch mongolski zniszczenia i kary. Nie wiadano dawniej, skąd przychodzi azyjskie plemię, teraz wiadomo i położenie odczuwa

¹⁾ Tamże, str. 371

się tem boleśniej, że na Rusi wre walka bratobójcza, walka o panowanie nad grodem, na który patrzą pożądliwie mocarze krwi ruskiej. I Dymitr ulega czarowi słów biskupa, choć przestał być człowiekiem wśród krwi zawieruchy. Wiek cały nieszczęść ojczy-
stych przemówił do niego, ale żal do grodu w nim huczy i zwraca się przeciw książętom moskiewskim, którzy w grodzie siedzą. Nie ustąpi, póki mu ich nie wydadzą, więc chór grozi mu, że duchy pomogą książęciu moskiewskiemu Jerzemu, bo Dymitr na wolnych ludzi rękę podniósł i wywołał interwencyę hufca anielskiego.

Zjawia się chan Uzbek, depczący po głowach kniaziów, którego tron w płomieniach i krwi oceanie, a

Stopnie ma podobne trunom,
Nakrycie ognistym piorunom,
Zamknięty jak los... Ale kiedy się otworzy
I na nim siądę straszny, zielony — gniew Boży!

Uzbek jest posłańcem Boga, kąpie się we krwi po szyję i

Na duchu królem ludów naznaczony,
W ciału odziany psie, takie jak oni...
Jam jest polano w Pana Boga dłoni,
Gniew jego czarny, duch jego czerwony,
Gdybym nie bożym był, czyżby Stworzyciel
Zniósł mnie...

Nie ma litości dla nikogo, natężony przeciwko sile duchów, ulega dopiero niewidzialnym siłom wewnętrznym, by zgnieść zachodnie ludy, gnijące w ciemności, by pokarać je za grzechy, by zrobić z świata cementarz i wygubić życie do szczytu. I znów fragment filozofii dziejów poety, który stwarza postać chana jako wcielenie kary za zboczenie z drogi prawdziwej. Nie wyda się ona dziwna, gdy zważymy, że wyszła z głowy mistyka, że nęciła swą niezwykłością, że postać chana zwłaszcza wydawała się w niej opatrnościową, gdyż, jak mówił Mickiewicz, dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia. Tworzył się zarys na dramat ponury, ale skrzący się potokiem scen pełnych tragizmu, dramat istotnie wspaniały i pełen treści. Ale nastrój poety był zbyt nierówny, by pomysł mógł oblec kształty skończone. Chwiało się w jego duszy wszystko, czasem tracił nawet swą drogę, gdy marzył już o pociągnięciu tłumu za sobą.

A teraz miał koło siebie ledwo kilku mistyków, mniej daleko wyanielsonych od niego. „Zlituj się ty nademną—pisał do ma-

tki w lutym 1845 r. — i bądź mi miłosną na wieki, bo nie wiem, do kogo się obrócić... Słudzy moi, którzy mię co dnia widzą, umiłowali mnie i ci jedni w pokorze swojej odkupują czasem winy całego świata, że mnie miłują. Oni wierzą, że ja mam moc nawet po śmierci wziąć je z sobą i chcą iść za mną i często proszą, abym pamiętał o nich, czy to do ciebie idąc, czy do Boga idąc, odejść.“ Ale było to uczucie tylko chwilowe, gdyż czuł nieustanne ogniste powiewy z zaświata, wybijał się siłą nad słabość ciała, czuł się rządzony przez najwyższą sakramentalną siłę Chrystusa i zatapiał w lekturze biblijnej, która jego stylowi nadawała charakter osobny. Nigdy nie wydawał się bardziej poetą, gdy zatapiał niejako w widzeniach, gdy wydobywał z siebie poezję wewnętrzną, osobistą, ekstatyczną, pełną żaru i podniesienia. I lektura jego utworów ówczesnych stwarza nieustannie nowe myśli, nie daje się wyczerpać od jednego razu.

Miewał już teraz widzenia na jawie, jak owo ognia ogromnego nad głową ¹⁾, do którego przywiązywał znaczenie symboliczne i doniosłe. W ten sposób, jak sądził, zbliżał się niejako do Boga, w ten sposób widział w stanie ekstazy, co chciał, tak wizja była silną, tak dawała mu wrażenia zupełne rzeczywistości. Przypominają się widzenia świętej Teresy, które stawia na właściwym gruncie współczesny filozof Dumas ²⁾. Widzenia te tłómaczą nam, że w takich warunkach nic nie ograniczy i nie zatrzyma w poecie autosugestyi, że uczuciowość jego będzie spadać od stanu najwyższego napięcia do osłabienia i odrętwienia. Wywoływały ten stan podrażnienia także okoliczności zewnętrzne, jak ówczesne wypadki we Francyi, działania emigracyjne, wreszcie słynna dążność towiańczyków do porozumienia z Rosyą, co spowodowało rodzaj protestu w formie listu do Mickiewicza. Wypadek ten oddzielał jeszcze bardziej poetę od dawnych przyjaciół, skazywał go na dalszą samotność i snucie samodzielne pomysłów wszelkiego rodzaju. Dziwna tragedia była bowiem udziałem człowieka, który marzył o zjednoczeniu wszystkich, a był bardziej osamotniony, niż ktokolwiek.

Duch zatrzęsł się w nim jednak na myśl, że towiańczycy wyczekiwali zbawienia od jedynowładcy. Wywołało to znowu

¹⁾ *Poezye, utwory dramatyczne i proza*. Wydanie Józefa H. Rychtera. Kraków, 1889. str. 307.

²⁾ *Revue des deux Mondes*, livraison du 1 Mars 1907, str. 219.

³⁾ *Pisma pośmiertne*. T. I, Lwów, 1866, str. 85 — 86.

wizję pełną grozy dantejskiej i wyraz oburzenia, zwłaszcza przeciw wodzowi gromadki, którym był dawny rywal w poezyi, a który teraz mierzył ojczyźnie

W serce, gdzie ona święty ogień trzyma,
Swemi sztyletowcami utkwiwszy oczyma.

co nie sprawiało mu jednak, jak sądzę, ukrytej radości, gdyż od osobistych niechęci wolny był teraz zupełnie. Wizjami żył przecież ciągle, stawały się one teraz silniejsze, niż dawniej. Raz uderzony był światłami niebieskimi tak silnie, że, jak pisał, chyba „po śmierci coś podobnego uczuję... bo w ciele więcej bym nie wytrzymał.“ Opisać tych wizyj dokładnie nie umiał, były one niejako niezależne od jego woli, która gięła się pod działaniem powiewów zaświatowych. Nie były one intelektualne; raczej coś nieokreślonego uderzało podrażnione zmysły, trwało krótko, wprowadzało przecież uczuciowość poety w taki stan nienormalny, że pozostawiało wstrząśnienie w całej istocie. Można sobie wyobrazić, jak ascetyczne i podkopujące fizyczne siły prowadził życie mistyk, skoro psychologia jego takie wykazywała objawy. Nie pytał nawet, czy to halucynacje, tłumaczył je sobie, jako przestawanie z Bogiem, co napełniało go szczęściem niewymownem. Były to wizje wzrokowe, a nie słuchowe przeważnie, bez szczególnego znaczenia symbolicznego, bez myśli, wyrażonej otwarciem. Byłyby na miejscu w murach klasztoru, który pociągał samotnika, nim zetknąwszy się z nim w czasie letnich wczasów, nie spostrzegł, że nie zamyka on ludzi istotnie uduchowionych i wyanielonych. Czynił, co mógł, żeby być czystym i nieskalanym, by napotkanych ludzi do swego widzenia rzeczy pociągnąć. Nawet rzeczy martwe gadały teraz do niego dziwnym językiem, wszystko, co pisał, uważał za poczęte w mocnym drgnięciu ducha, za normalne i nie podlegające żadnej wątpliwości.

Gardził ciałem, odpędzał złe przeczucia, żył cały życiem zaświatowem i zawieszonem nad przepaścią, bo ta przepaść, jak mówił, jest „prawdziwym, ruszającym się, idącym ciągle do celu światem, a ten świat jest to dywanik na wywrót widziany, gdzie wszystkie nitki wylazą i giną bez celu i bez potrzeby... z tamtej strony są kwiaty i rysunek.“ Nadzwyczajna wrażliwość, niezmierna żywość wspomnień, objawiały się w nim wtedy nieustannie, moralny stan dałby się tylko porównać ze stanami mistyków chrześcijańskich, podnoszących uszczęśliwiający wpływ wizyi, któ-

re uważają za rodzaj boskiego szczęścia na ziemi ¹⁾). Znaczyło to, że poeta był jakby podwojonym teraz, że żył tylko połową istoty w świecie widzialnym, że, im więcej zewnętrzny człowiek zamierał, tem silniejszy był wewnętrzny. Podzielał pewnie zapamiętanie Platona, że, jeżeli coś jasno pojąć chcemy, trzeba oczyma duszy patrzeć na rzeczy, że geniusz jest najwyższem ustąpieniem refleksyi, że siły duchowe rozwiązują się z chwilą osłabienia ciała, że, jak mówi Kant, zdrowie nie dopuszcza poznania. Był już wtedy całkiem zmieniony, nawet zewnętrznie, rozgorączkowany, podniecający się nawet narkotycznymi środkami ²⁾). Wybuchał często płaczem, jak człowiek rozstrojony zupełnie nerwowo, co zdarzało się zapewne po wizjach, kiedy ziemską powłoką odzyskiwała swe prawa. Składał się wtedy jakby z dwóch ludzi, z których jeden nie bywał zupełnie obojętny na sprawy świata, drugi, wywoływał magiczne siły duszy, o których naczał się u mistyków.

W duchowym świecie, mówił Swedenborg, są aniołowie, w materyalnym, ludzie, więc wyanielony poeta żył głównie w pierwszym, gdy pisał, że

Kiedy pierwsze kury Panu śpiewają,
Ja się budzę — i wzrok do gwiazd niosę;
Kiedy kwiatki w rosie czoła maczają,
Ja ożywam, Pańską pijąc rosę.
Cherubiny wtenczas rzędem stoją
I puklerze z ognia — złotowłose
Przeciw duchom złym mają zwrócone. ³⁾

Przypominał wtedy człowieka Plotyna, który tylko nogami stoi w wodzie, czyli żyje w ciele, wyższa część istoty znajdowała się w świecie nadziemskim. Ale tej podwójnej istoty część materyalna cierpiała w tej pozycji bardzo, choć poeta starał się kryć może z dumy swój stan. Antagonizm obu części spowodował upadek tej, bez której duch istnieć, na ziemi przynajmniej, nie może. Jak Plotyn, wstydział się poeta niejako ciała, ukrywał jęgo choroby, żył jak sonnambulik, cały w snach, widzeniach, przeczuciach, wolny metafizycznie i myślący często o śmierci fi-

¹⁾ *Revue de l'histoire des religions* publiée sous la direction de M. Jean Réville. Paris, 1907, T. XV, № 1, str. 44.

²⁾ *Genesis z Ducha. List do J. N. Rembowskięgo...* Wydanie dr. H. Biegeleisena. Warszawa, b. r. str. XXVII.

³⁾ Tamże, str. XXVIII.

zycznej, która rozwiąże obie części i wyzwoli ducha na byt przedwiekowy. Tęsknił do nieśmiertelności, od której oddzielała go już wąła ściana, pysznił tą nieśmiertelnością, w którą wierzył niezachwianie. Dla romantyka była ona niejako kwestyą bytu, podstawą wzlotu w transcendentalne regiony, do których już Kant stworzył drogę, gdy mówił, że człowiek należy do widzialnego i niewidzialnego świata. Tu konieczność, tam wolność, tu droga do transcendentalnego rzeczy porządku, tam ten porządek w istocie i prawdzie.

Na tę myśl niewymowna radość chwytiała to osamotnione serce, które wystarczało, jak dawniej, sobie, notując swój stan dokładnie:

*Gdybym się nie czuł nieśmiertelnym duchem,
Rozrzuciłbym świat grzechów mych wulkanem!...*
Ha! Gdybym nie czuł się natury panem
A czuł naturę na woli łańcuchem,
To hym się rzucił, jak lew, na to ścierville
Ciał i gryzł żywcem, gryzł nawet trupa.
Ha! Moja biedna gliniana chałupa,
Gdziem żył, jak wilk, a światowe czerwie
Pozwalał, że mi toczyło powoli,
Póki nie doszło aż do serca rdzeni,
Teraz ta chata, jak pałac z płomieni,
Wachlarzem wolnych zlocistych topoli
Od różanego księżyca zakryta
Niby dziewica...¹⁾

Dawny indywidualista, którego odbicie Arab niszczył wszystko po drodze, objawił się tu potężnie, ale spętany swą doktryną, która jego temperament zamknęła we właściwe granice. Pijany duchem Bożym dawał swej filozofii charakter czysto świecki, przeciwstawiał ją urzędowej nauce wiary, by przypomnieć luźne docinki księżom i zakonom. Jego dumna i melancholijna natura oczyściła się, ale nie zatarła; w mistycyzmie przypominała najświetniejszych jego przedstawicieli, tyle było w nim stałości w poglądach, tyle pogardy dla materyalizmu, tyle świadomości ideowej, którą dzielił z romantykami. Nie wypada bowiem, jak się to dzieje dziś jeszcze, wyjaśniać jego stanu tylko roz biciem nerwów, rozstrojem organizmu. To romantyk w pogoni za prawdą,

¹⁾ *Pamiętnik Juliusza Słowackiego*, wydanie dr. Biegeleisena, Warszawa, 1901, str. 135 — 136.

raz rozumujący w sposób mniej lub więcej oderwany, raz tworzący dramaty, które kryły najgłębsze myśli jego czasu.

Że zaś siła ducha, wedle romantyków, uwydatnia się najlepiej w poezyi, więc jego poezya ma być jutrzenką, która każe mówić nemnonowym posągom przyrody. Ma budzić śpiących, ma wpuszczać z genezyjskich otchłani wiatr orzeźwienia i młodości, ma objawiać, co o Boga myślą rozumie¹⁾. Przez podniesienie jednego ducha podniesie się całe stworzenie, w świętości ducha kryje się jego wyzwolenie i moc przyszła, w widzącej wierze i w uczuciu nieśmiertelności tkwi cała godność natury ludzkiej. Pogląd ten przewija się nieustannie w jego wyznaniach, stanowi całe piękno jego poezyi, jej największe piękno przedewszystkiem. W tym poglądzie skupił się jego estetyczny dogmat, skupiła się jego etyka, jego filozofia, bez której niepodobna rozumieć jego poezyi. I dziwne melode, nieznane rytmy, grały w jego duszy mrocznej i dumnej, która przypomina mocno Pascala. Z ciemnych nastrojów, z zmierzchu mistycznego, z snów i widzeń zdawał się utkanym być poemat, w którym ten umęczony i płomienny duch wypowiedział się z całą goryczą, z całą wiarą w postęp ku udoskonaleniu, z całą doktryną, której pierwiastki zaczerpnął z swej wiedzy mistyka. Z takim poematem wystąpił nie tylko na tle dziejów poezyi tego czasu, ale i narodu, bo czynem narodowym, czynem historycznym było to, co pisał

Z piersią czystą, choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą,
Z twarzą smętną, ale białą,
Chrystusową, choć zwiędniałą,
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym bożym czarem.
Takim duchem i sztandarem,
Być na ziemi — jest być w niebie!

To nastrój jego w r. 1845.

Czynem historycznym był jego poemat, bo republikanizm i demokratyzm stanowiły hasła najliczniejszej partii francuskiej, bo antyklerykalizm należał do nich także, skoro kler uważano za sprzymierzeńca legitymistów. Chciano już nie reform, ale przemiany społecznej, którą przewidywano od lat szeregu²⁾. We

¹⁾ Tamże, str. 60.

²⁾ *Histoire générale du IV siècle à nos jours* publiée sous la direction de M. M. Lavissee et Rambaud. Paris, 1898, Tome X, p. 409.

Francyi, gdzie rozwój przemysłu dokonał się nader szybko, doniosłą stała się kwestya robotnicza; w Polsce, której swobodę myśli wyrażała emigracya, kwestya włościańska ¹⁾. Od czasów Leszczyńskiego zjawiała się ona w literaturze, było głównem zadaniem demokracji rozwiązać ją, zadaniem zwłaszcza tego licznego gminu szlacheckiego, który miał poczucie niezależności osobistej, poczucie obowiązku, ciężącego na nim wobec grożącego osłabienia narodu przez ograniczenie go na szlachtę, wobec tradycyi kościuszkowskiej, która ograniczyła pańszczyznę i wiodła, naturalnym rzeczą porządkiem, do jej zniesienia. Że zaś duszą narodu, jak mówił Mickiewicz, była jego emigracya, więc demokratyzm objawiał się w niej silniej, niż w kraju, zamykał w dążeniu zjednoczenia wszystkich w jedność bez podziałów i warstw. Poeci, jak Goszczyński, pracujący czas jakiś w Galicyi, Mickiewicz lub Słowacki, byli też synami owego gminu szlacheckiego, który robił powstania, zaludniał Syberyę, uciekał za kresy kraju, by tam dalej snuć myśl wyzwolenia politycznego i społecznego.

To, co teraz się mówiło i pisało, było niejako odbłaskiem idei ogólnych. Ruch rozpływał się na razie po stronach poznańskich, przenikał do Galicyi i dalej, usiłując utrzymać związek z międzynarodowym ruchem wolnościowym i żywiąc nadzieję, że ogólna rewolucya zmieni też porządek rzeczy w Polsce. Na chorałwi rycerza w anhelicznej wizyi wypisano wyraz lud, co odpowiadało dążeniu partyi demokratycznej, że jedynym władcą jest lud, jedynym rządem ludu prawo, jedynym prawodawcą wola ludu. Czyniono szlachcie zarzut, że z jej winy przyszły niepowodzenia powstania. Jeden z działaczy głosił nawet, że zwycięstwo przyniesie tylko ogólne powstanie. Obudzić lud, stało się dogmatem demokratycznego katechizmu, który głosił, że święte imię wolności obudzi zapał powszechny ²⁾. Nienawiść despotyzmu, który przedstawiały rządy monarchiczne, poczucie potrzeby rozszerzenia świadomości narodowej w ludzie, oto zasady, które nie odłączały wolności od równości, nie oddzielały powstania od rewolucyi społecznej, która będzie środkiem powstania ³⁾. Za leniwie szły dotąd reformy, walka bez krwi obejść się nie może, jeżeli

¹⁾ *Rozwój przekonań demokratycznych w narodzie polskim*. Cztery wykłady dr. Bolesława Limanowskiego. Kraków, 1906, str. 10 — 27.

²⁾ *Katechizm demokratyczny, czyli opowiadanie słowa ludowego*, przez Filareta Prawdowskiego. Paryż, 1845, str. V.

³⁾ Tamże, str. 33.

szlachta nie powtórzy hasła wolności. Powinna ona lud umiłować, pogodzić się z rozdaniem ziemi, bo, kto chce celów, musi chcieć środków, musi stanąć na czele ruchu. Nie ma mowy o zemście ludowej, kara nastąpi tylko za niesposuszeństwo. Wszystko z ludu wychodzi, lud jest źródłem potęgi, która wskrzesi Polskę ludową.

Ten sam katechizm głosił, że apostoł wiary ludowej winien budzić w narodzie poczucie własnej godności, potrzebę rewolucji społecznej, konieczność ofiary, którą podkreślał Słowacki jako prawo następnej twórczości, jedyną drogę do rozwidnień i oświeceń, środek do królestwa Bożego wiodący. Już dawniej zapowiadał w wersetach końcowych swej anhelicznej wizyi, że lud wyrzuci zemstę na królach, teraz namiętności ówczesne porwały go z sobą tak, że utożsamiał się z nimi i odnosił do królów i arystokratów z niechęcią. Lud wypisany na chorągwi rycerza stawał się, jak w katechizmie demokracji wersalskiej, jego ideałem. On uczynił tylko z oschłego programu wizję poetycką, napełnił surowe zarysy gorejącem światłem wyobraźni, przepoił chłodne linie gorącym powiewem uczucia. To uczucie lubiło się rozlewać, lubiło ogarniać szerokie warstwy narodu, gdyż całe dzieje były dla poety rodzajem wskrzeszenia, wydobycia z materii, podniesienia z stanu nieświadomości, co odnosiło się i do ludu, który rozwinie się tylko przez wolność i równość. Natchnął go już temi ideami niegdyś Lamennais, więc teraz, gdy dawny przyjaciel, którego zwykł był cenić ogromnie, który go rozumiał najlepiej, zerwał z nim niejako stosunki osobiste po owem fatalnem spotkaniu się na ulicy i przeciwstawił świętej figurze ludu bohaterskość szlachty, w której imieniu piętnował złe środki dla osiągnięcia wielkiego celu, zerwało się w nim natchnienie. Zerwało się i biegło szybko, raz rzucając ironią, raz przemawiając podniośle, raz rozlewając się w pogodę i rzewność, w czem pozytywnej doktryny nie było wcale, ale była tendencja demokratyczna i obrazowość, która zamykała w genialne formy tendencję.

Wyobraźnia była pryzmatem, przez który widział lud i sprawę ludową, uczucie dołączało się jeszcze, by stworzyć rzecz jedyną w naszej poezyi, a drżącą życiem i wzruszeniem. Trzeba wcielić się w duszę jego pokolenia, by odczuć ten wiersz, który powstawał po świeżych bohaterstwach Zaliwskiego, Dziewickiego, Zawiszy, Wołłowicza, Konarskiego, trzeba upamiętnić sobie to pokolenie, które widziało przeszłość i przyszłość pod kątem poezyi, trzeba uprzytomnić sobie idee, około których skupiano się, jak organizm koło duszy. W pragnieniu widzenia wielkich rze-

czy poeta powiększał wszystko, czego dotknął; powiększył i winę Krasińskiego, gdy wyrzucił mu, że jest niekonsekwentny, gdy pragnie znieść stan niewoli i woła o czyn, a boi się wystąpienia ludu. Psalmista chciał dać przewodnictwo szlachcie, gdy miną fale godzin, jego przeciwnik żądał widocznie powstania na bliższą metę i wyrzucił mu, że nie idzie z prądem czasu, że narzuca się swą osobą.

Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala,
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki Boże...

Krasiński prowadzi, zdaniem poety demokracji, politykę kasty, lęka się mar, odsuwa od ludu, bo ma serce i rdzeń z próchna. Więc drwił z niego, gdy ironicznie nazywał go młodym, przemawiał z namiętnością bezprzykładną, gdy porównywał lud do ojca, którego nie wolno obrażać i groził zemstą duchów walczących z ludem, bo

Jeno wszczynający ruch,
Wieczny rewolucjonista,
Pod męką ciał—leżący duch!

To część polemiczna wiersza.

Stworzyć ją mógł tylko poeta, którego rzeczywistość porwała na chwilę, ale nie zatrzymała. Usiadłszy na chwilę na jej skale dał się porwać znów jakby zachwyceniu mistycznemu, uczuł się niby olśnionym swą wizją wewnętrzną. Bo mistyczną jest część, która następuje, miękka i podniosła w tonie, rozptywająca się w modlitwę o zwycięstwo ducha, o zdobycie nieśmiertelności, o połączenie w miłości, gdy Bóg nagnie na swój ton

Wszystkie wieku twego struny,
Złączy dźwięki i pioruny
Świat, co kocha i przeklina...

Mystyk zdradził się tedy w programie demokratycznym, w całej pełni, mistyk, który wieścił końcowe zwycięstwo ducha, zwycięstwo utożsamione ze sprawą ludową. Impet polemiczny rozwinął się w połowie, by ustąpić miejsca widzeniu przyszłości, modlitwie o lepszą przyszłość w nagrodę za wytrwanie pod chłostą, za utrzymanie ducha, który walczy i nie podda się nigdy. Mystyk objawił się tu zupełnie, gdy mówił o swej głowie noszącej

gwiazdę myśli, o swej samotności, o swem paleniu się wewnątrz-
nem. Mistyk widział też myśl Bożą urzeczywistnioną przez mon-
golskie plemię chana Uzbeka, co nie przeszkadzało mu nazwać
psalmisty upiorem szlacheckim. wyrzucać mu brak ducha Bożego,
grozić stanięciem w poprzek jego charonowej łodzi obrońcy szla-
chectczyzny.

Jest tedy dwoistość nastroju w wierszu, który wynika z prze-
ciwieństw w poglądach dwóch Wenedów na rozwiązanie kwestyi
obchodzącej obu w równym stopniu. Nie miał słuszności Krasiń-
ski, gdy przypisywał całą wielkość zasługi szlachcie, która wznio-
sła się przecież kiedyś na ruinach pomyślności mieszczańskiej,
wzrosła na gruncie znoju chłopskiego. Nie sięgał chyba w prze-
szłość, nie ogarniał genezy tej wielkości, dawał się olśnić jedynie
blaskowi czynów wojennych, które były niewątpliwie jej zasługą
ale które nie wywalczyły wolności, bo nie miały podstawy wo-
góle narodu. Miał słuszność, gdy warstwie uświadomionej przy-
znawał prawo przewodniczenia, gdy jad nienawiści przypisywał
oddziaływaniu stanu niewoli, gdy odpierał gwałt, którym miał
pokierować wnet urzędnik austriacki, gdy przeciwstawił cnotę
budzeniu nienawiści społecznych. Miał słuszność Słowacki, gdy
odrzucał apoteozę szlachty, na której ciążyło tyle win, choć nie
miał słuszności, gdy sądził, że jedynym szlachcicem był Czarto-
ryski. Wszakże emigracya, wyprawy partyzanckie, zastępy emi-
saryuszów idei demokratycznych składała głównie szlachta, nie
wyjmując i autora katechizmu demokratycznego, który, jak wia-
domo, był synem bohatera z pod Somosierry. Czemu tedy odna-
wiał szlachectwa reszcie?

Dość, że przepaść między Wenedami pogłębiła się, choć obaj
mieli pewne, wspólne, filozoficzne poglądy, choć obaj pragnęli,
każdy na inny sposób tego samego. Nie bez znaczenia było tu
ich położenie społeczne, nie bez wpływu była sfera, w której żyli.
Obaj żyli w istocie dość daleko od ziemi, na której toczyły się
zażarte zapasy partyjne, i dlatego ich wystąpienie nie miało w so-
bie naprawdę cech ściśłego związku z rzeczywistością. Nie był
to spór dwóch wodzów partyi, nie była to walka dwóch teorety-
ków systemu, nie było tu nawet przeciwieństwa, które przedsta-
wiali naprzykład De Maistre i Lamennais. Była to walka ro-
mantyków, którzy szli za uczuciem wizjonerów, którzy szli za
wizją, mistyków, których myśli spotykały się w tym samym locie
ku uduchowieniu, w którym, jak mówi Krasiński,

Duchem zatlon, ogrom zgorze
Jak suchego siana stóg,

w którym, jak mówi Słowacki,

Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność, niby świat w człowieka
I staniam ludem świata!...

Z pod przyłbicy wyobrazicieli zwalczających się partyj wyglądały twarze mistyków, z których jeden marzył o uduchowie- niu świata, drugi roił o wzniesieniu się duchem nad resztą ma- teryi. Byt odgadnąć i objawić, było celem ich poezyi, filozofia treścią ich obecnego życia i myślenia. Oni chcieli swe myśli wy- razić lirycznie, chcieli je przetłómaczyć na wartości poetyckie, co stanowi czar ich tworzenia, atmosferę ich wierszy.

Filozofia człowieka jest miarą jego kultury, powtarzali so- bie za Schellingiem, skoro jej święty ogień trzymały ich dłonie, skoro zabierali się do wypowiedzenia prawd politycznych stano- wiących dziś jeszcze wytyczne stronnictw. Więc jeden głosił, że od mechanizmu sił natury, od kamieni idzie senny pierwiastek życia do szczytu stworzenia, do człowieka, który

ku niebu pnie już głowę
Do aniołów pieśnią wzdycha
Między gwiazdy eterowe!

Kto sennych wcześniej zbudzi, powtarzał ten sam mistyk Krasieński, przemieni ich w zwierzęta, gdy drugi głosił, że wszyst- ko z ducha idzie i do Bożego stroju nagiąć się musi. Wyznawcy tych samych poglądów filozoficznych różnili się tylko sposobem, w jaki chcieli dojść do celu, siebie uważali za najwyższe potęgi natury, dzieje natury utożsamiali z własnymi i czytali w sobie samych. Chcieli dojść do Boskiego, Bezwzględnego, Nieskończo- nego, które jest w przestrzeni, swą walkę polityczną rozdymali do rozmiarów olbrzymich, a drugi wyznaczał nawet pierwszemu za plac spotkania powietrze, przestwory bytu, nieskończoność stworzenia. Filozofia ich odziewała się w szatę chrześcijańską, choć była syntezą systemów mistycznych, na których tle zaryso- wał się ich program polityczny.

W jej magicznym kręgu, w kręgu Nieświadomego, było im tak dobrze, iż nie odczuwali zapewne, że stronnictwa chwytają tylko realną stronę programu, wyzyskują po ludzku słowa pełne ciemnej treści i znaczenia dalekiego od powszedniości. Otwarli ciemną bramę, którą weszły tłumy, mniemające, że koniec drogi jest bliski, gdy żywiołem ich poezyi była nieskończoność. „Może ty nie wiesz — pisał poeta do matki 10 grudnia 1845 r. — że na

odmianę ludzi dany nam jeden tylko sposób, oto wzbudzenie w nas wiary, że ci ludzie są nieśmiertelnymi aniołami, a zbrudzili się jak dzieci, i przelanie tej wiary w nich samych... Wierz mi, że prawdziwe rozłączenie się ludzi jest tylko w duchu, gdy jeden naprzód idąc, mocuje się z czasem i łamie formy istniejące, a drugi zamiłowawszy rzeczy przeszłe, cielesne a tęsknotą wabiące po szatańsku, zostanie i da się pochwycić tym wirum ludzi, który ciągle wierzył, a nic z siebie nie wyrzuci nowego nad to, co było...“ Ten pierwszy, to on, który wiódł naród na nowe szlaki bytu, którego wiedza prowadziła z ciemności w blask przyszłego uduchowania; ten drugi, to dawny przyjaciel, a dziś przeciwnik polityczny i miłośnik owych szczęśnotek, którymi gardził odrodzony Anhelli.

Wyleciał niby nad wszystko, cieszył się pełnością serca i ducha, doszedł do celów ostatecznych, gdy poznał, że człowiek jest stworzonym przed wiekami i potęgą jego poczyna się w poczuciu nieśmiertelności. Miał teraz wizye nietylko wzrokowe, ale i słuchowe, gdyż zdawało mu się, że słyszy głos matki, by brał kąpiele w Pornic. Rozmawiając z Bogiem w samotności wyobrażał sobie, że jest podobny do Mojżesza i utwierdzał w tem przekonaniu, gdy siedząc na skale nadbrzeżnej miał z jednej strony kawał smętnego miesiąca „jakby jeden ze świeczników zakonu, a z drugiej strony ciągle się błyskało, jakby na Synaju.“ Pracował nad sobą, by pomódz światu w jego pracy, gdy spotkał istotę z wielu względów podobną do niego.

Była nią wizyонерka, którą pochłaniały praktyki religijne, której ustrój nerwowy, rozbity męczeństwem stał się podstawą objawów, wchodzących w zakres psychologii mistyków. Niezwykłe podniesienie uczucia, spotęgowana nadczułość nerwów musiały uczynić z niej istotę, która stanowiła rodzaj cudu dla poety. Ujrzawszy ją, wpadł w nastrój uroczysty, uczuł, że ma przed sobą coś niezmiernie innego od tego, co go otaczało. Widział przed sobą egzaltację religijną, która wydała wielką i ponętą piękność duchową.¹⁾ W jej ciepłym powiewie ożywiło się i jego natchnienie, odsunęło na chwilę od spekulacyj, w które pogrążał się ciągle. Męczeństwo Mieczysławskiej ukorzyło go niejako, szedł do męczennicy, by wziąć uświęcenie z ręki anioła, by klęknąć przed ideałem ofiary, którą była ona, a nie on oskarżający się o ucieczkę przed męką. I zatarł się niejako w opowiadaniu, które

¹⁾ *Historja zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego*. Według źródeł rękopiśmiennych napisał ks. P. Smolikowski. T. III, Kraków 1895, str. 224—305.

płynie zwolna dając sceny ponure, bolesne, prawie naturalistyczne w swych efektach.

Drga w nich jakby echo cierpień męczennicy, odbłask jej prostoty, prawie chłopskiej i swobodnej. Nie mogły one dorównać tym, które słyszał kiedyś na pustyni, bo kreślił je bez pretensyi, rzucał mimochodem niejako, ręką jakby osłabioną, a przecież ujawniającą mistrzowsko skromność prostoty mniszki, której nie pochlebia wykrzyk poety nazywającego ją Mojżeszem, który ma prowadzić tułaczy. Mieczysławska ma czar męczenniczki, ale nie traci cech zwykłej kobiety, w której zrywa się gniew pod wrażeniem niezasażonych katuszy, która myśli nawet o zemście, póki nie ochłonęła z pierwszego uczucia oburzenia.

Potem dopiero tak podniosłam duszę,
 Że smakowały mi prawie katusze,
 A Pan Bóg bronił mnie wielką prostotą
 Przed kulakami — tak jak zbroją złotą.

I zjawisko przeszło nie bez dużej pociechy moralnej dla samotnika, zadowolniło jego wysoko wzniesioną duszę, która spostrzegła pokrewną sobie istotę i wróciła ukojona i wzmocniona do swych rozmyślań.

Duch żył w nim silnie, choć ciałem wydawał się Mieczysławskiej bladym i nędznym. Duch ten pracował, myślał, gotował nowe spekulacje metafizyczne, widział już przed oczyma zarys poematu, który miał zawrzeć całą jego naukę, całą jego moc tworzenia. Pochłaniała go lektura filozofów, o których uwagi rzucał na karty pamiętnika, których myśli postanowił zamknąć w nowych próbach filozofowania, których poglądy składały się na ową wiedzę ciemną o bycie i uduchowieniu. Sam duch z siebie wszystkiego dowiedzieć się winien, powtarzał za Schellingiem, przez powrót w siebie powstaje świadomość bytu, z którego prawami jaźń poety związaną jest nierozzerwalnie. Ta świadomość wpływa z nieświadomości, która rozwiązuje zniszczenie świadomości zmysłowej zasłaniającej widok na nieskończoność.

Gdy trudno będzie zdobyć prawdę, miłość zwycięży, a świat uwiązany do girlandy globów duchem się rozpromieni. Że zaś poeta zrzucił już głąz, który mu ducha obarczał, więc czuł się szczęśliwym i pełnym otuchy i braterstwa dla świata. Dla niego żył i oddychał, gdy pisał swe objawienia prawdy. Najwyższa, sakramentalna siła Chrystusa, głosił nieustannie, panuje nad wszystkimi, dziełem duchów będzie przywrócenie wiekuistego porządku na świecie. I zdało mu się wtedy, że jest jednym z tworzących

to dzieło i z królujących duchom niższym, że jego głos odzywa się jak grom, że jego myśl świeci jak błyskawica. Z chwilą porzucenia celów ziemskich, zyskał wiedzę ducha i zapragnął ją znów zanknąć w wersetach biblijnych, jak niegdyś, gdy odtwarzał Sybir polski i siebie jako zepsutego światem tak, że tęskniącego do śmierci. Teraz, mimo rozdziału z przyjacielem, był spokojny, bo oderwany od wszystkiego, bo kochający swe spekulacje, jak obraz, jak poezję.

W walce z Krasińskim chciał tryumfu demokracji, w walce duchów wyższych z niższymi chciał tryumfu wyższych, czyli zwycięstwa ducha nad ciałem. A środkiem do osiągnięcia tego tryumfu była ofiara, czynnik niewątpliwie najdonioślejszy rozwoju i podniesienia ludzi na wyżyny doskonalszego bytu. Głęboka była myśl, cudowną poezya, która tę myśl kryła w sobie kunsztownie. Nie daje się ona określić, czaruje tylko uczuciowością, czaruje wyobraźnią niewyczerpanej bujności i różnaitości. Ta poezya wyraża to, co tkwiło na dnie całej mistyki ówczesnej, która wyniosła twórczość naszą na szczyty poetyckiego natchnienia, która dała jej horyzonty nieskończone i ten pęd w górę, który serce rozpala i myśli uskrzydla.

DR. T. GRABOWSKI.

SEJM W EMIGRACYI.

Uchwały Sejmu, powzięte 19 i 26 lutego 1831 r. w Warszawie, ogłaszające Sejm nieustającym i zabezpieczające we wszelkich okolicznościach jego istnienie, zdawały się obowiązywać reprezentantów do ukonstytuowania Sejmu, kiedy na Emigrację przybyli. Po raz pierwszy zebrali się w Paryżu na wezwanie Romana Sołtyka dn. 18/I 1832 r. w liczbie 19-stu.¹⁾ Z tego, co o zebraniu tym napisał Zwierkowski, wiemy, że rozstrząsano stanowisko Komitetu Narodowego Polskiego (Lelewela), założonego 8/XII 1831 r., jakie sobie Komitet obrał w sprawie narodowej, a do którego Sejm tylko zdawał się mieć prawo i które za siebie tylko należne uważali członkowie jego.²⁾ Spotykamy więc dwa różne poglądy. Członkowie Sejmu, nie należący do Komitetu, zarzucają mu, że bezprawnie działa politycznie, przyjąwszy zasadę przemawiania w imieniu narodu, gdyż to czynić tylko Sejm może i żądają od członków Sejmu, do Komitetu należących, aby zeń wystąpili. Ci zaś (Lelewel, W. Zwierkowski, R. Sołtyk, A. Przeciszewski, A. Hłusz-

¹⁾ Walenty Zwierkowski: *O Sejmie w Emigracji*. Dziennik Walentego Zwierkowskiego, zawierający rys czynności członków Sejmu rewolucyjnego w czasie swego tułactwa od 1831 r. do końca 1836 r. Poitiers, 1839.

²⁾ „Komitet Narodowy Polski ma czuwać nad interesem narodowym i nad losem wypartych z Ojczyzny Polaków; przemawiać w ich imieniu, znosić się z członkami władz narodowych, z komitetami dla sprawy polskiej związanymi tak swojego narodu, jako też i innych, nakoniec z ziomkami swoimi.“ (Organizacja Komitetu Narodowego stałego, § 1). *Całoroczne trudy Komitetu Narodowego Polskiego*. Paryż, 1831—1833. Do 18/I 1832 r. Komitet Lelewela wydał dwie odezwy: „Do wojowników polskich“ d. 25/XII 1831 r. i „Do Węgrów“ 31/XII 1831 r.

niewicz, W. Pietkiewicz) odpowiadają, że Komitet ma prawo działać, skoro Sejm nie działa i odmawiają żądaniom kolegów. Obydwie strony godzą się jednak, że Sejm jest potrzebny, że trzeba zebrać jak najprędzej (przez wyżej wspomniane uchwały lutowe komplet najmniejszy obu Izb połączonych, pod przewodnictwem wybranego prezesa, był oznaczony na 33) i członkowie Komitetu oświadczają, że wszystkie czynności polityczne Komitetu, skoro Sejm się zbierze, ustaną i że oni w Sejmie zasiadać będą. Każdy z obecnych bierze na siebie obowiązek wzywania kolegów, o którychby pobycie wiedział, aby na Sejm do Paryża przybywali. Zebranie ich z powodu rozproszenia i z powodu braku pieniędzy na odbycie podróży, było trudne.¹⁾ Członkowie Sejmu emigranci przebywali głównie w Galicyi, w Dreźnie, kilku w Anglii (ks. A. Czartoryski, J. U. Niemcewicz, Ludwik Pac), Jan Olrych Szaniecki przymusowo w Pomeranii, Teofil Morawski w W. Ks. Poznańskiem, marszałek Władysław Ostrowski nie mógł oddalić się z Grazu, gdzie go zatrzymały władze austriackie i pozostawiły na wolności, wzięwszy odeń słowo honoru, że z Grazu oddalać się nie będzie—dla Sejmu był więc stracony.²⁾ O uchylenie potrzeb pieniężnych począł starać się A. Ostrowski, który przybył z Podgórze pod Krakowem do Paryża w kwietniu 1832 r.³⁾ i on wraz ze Zwierkowskim najwięcej położył starań koło zebrania kompletu sejmowego. Ślad tych starań—korespondencya—pozwala nam poznawać poglądy na potrzebę zebrania Sejmu w Paryżu ważniejszych jego członków. Zbiorowy pogląd zwolenników sejmowania za granicą znajdujemy w *Odezwie do członków obu Izb* (28 VII 1832 r.), aby się w Paryżu zebrałi.⁴⁾ Z 15-tu na odezwie podpisanych wymienię tutaj: A. Ostrowskiego, W. Zwierkowskiego, A. Jełowickiego, J. Lelewela, J. Ledóchowskiego i R. Sołtyka. Jako pierwsza potrzeba wymieniony jest w odezwie Manifest sejmowy,⁵⁾ potem

¹⁾ Zwierkowski pisze, że ubożsi, którzy nie mogli podróżować daleko, udali się do Drezn. Swirski do Ant. Ostrowskiego pisze z Drezn 5/V 1832 r., że ci, którzy gotowi są jechać na Sejm do Paryża, nie mają na drogę pieniędzy (Papiery sejmowe. Bibl. polska w Paryżu).

²⁾ List Wł. Ostrowskiego do kolegów sejmowych z dn. 25/X 1832 (Papiery sejmowe).

³⁾ Korespondencya o zwołanie Sejmu. List Ostrowskiego do Szanieckiego. *Polska* (pismo emigracyjne). Paryż, 1836.

⁴⁾ Papiery sejmowe.

⁵⁾ „Rok już przemija, jak naród polski, w Sejmie i wojsku zawarty, po morderczej walce uniósł ze swej ziemi Ojczyznę i honor, a jeszcze swojej wy-

upoważnienie kogoś do działań w imieniu narodu, na wypadek, gdyby wolnościowy ruch w Europie sprawę Polski w pożądanem położeniu postawił,¹⁾ ustanowienie organizacyi, któraby zajęła się ekonomicznymi potrzebami Emigracyi, zapobieżenie dzieleniu się Emigracyi na stronnictwa i szkodeniu przez te stronnictwa, składające się z ludzi niedoświadczonych politycznie, sprawie narodowej.²⁾ Zdanie ks. Czartoryskiego o Sejmie po raz pierwszy spotkałem w liście Antoniego Ostrowskiego do Wołowskiego, pisany z Londynu 6/VI 1832 r.³⁾ Z tego, że Ostrowski prosi Wołowskiego, aby list jego odczytał kolegom i zdaje się, że właściwie do nich, tylko pod adresem Wołowskiego, pisze i że list swój nazywa raportem, wnoszę, że Ostrowski pojechał do Londynu, porozumiał się ze swymi kolegami, bawiącymi w Paryżu i równie, jak on, Sejmu pragnącymi, że wybada ks. A. Czartoryskiego. Nie tylko im chodziło o stosunek ks. Czartoryskiego do Sejmu, ale także chcieli znać jego poglądy na położenie Polski, wiedzieć, jaką przywiązuje wagę do swoich działań dyplomatycznych. Działania te niesłusznie dyplomatycznymi zwano, bo nie miały podstawy, jakiej każda dyplomacya potrzebuje i sam ks. Czartoryski za takie je nie uważał.⁴⁾ Chciał on poprostu korzystać ze swoich stosunków towarzyskich i przez nie czynić choć drobne usługi krajowi i emigrantom. Gdy mógł, poruszał i sprawy ważniejsze, bez wiary jednak, a jeśli wtedy opierał się na Kongresie wiedeńskim, to dlatego, aby mieć wspólną z ministrami podstawę rozu-

trwałości, swojej cnoty poważnie światu nie ogłosił, jeszcze mu życzeń swoich nie objawił, jeszcze mu o nowe uciski i gwałty skargi nie poniósł.⁴⁾

1) „Nie wchodząc w naturę spodziewanych politycznych wypadków, dziś już o naszą niepodległość odzywające się głosy spodziewać się nam każą, że wkrótce, otwarcie czy tajemnie, w imieniu narodu działać lub kogoś do takiego działania upoważnić będzie potrzeba.“

2) „Niemasz Sejmu, a natomiast prawi Polacy, samo dobro Ojczyzny mając na celu, inaczej wojskowi, inaczej posłowie, inaczej młodzież, z wewnętrznem przekonaniem radząc o sprawie naszej, na szwank ją wystawić mogą. Stąd powstały, ciągle trwają i coraz więcej zasmucającą postać przybierają liczne stronnictwa, które się przed powagą Sejmu z rozkoszą ukorzą i na rozkaz Sejmu swoje chęci i swoje siły w jedno skojarzą ogniwo.“

3) Papiery sejmowe.

4) „Podług mnie, w terażniejszych czasach, mandatem i upoważnieniem każdego z nas do działań indywidualnych, bo inne nie mogą mieć miejsca, jest polskie serce i dusza.“ (List ks. A. Czartoryskiego do A. Ostrowskiego. Paryż, 1/XII 1832. Papiery sejmowe. List ten jest też u Zwierkowskiego).

mowania.¹⁾ Jeśli wtedy myślał o jakiejś działalności politycznej, to tylko dlatego, aby pokierować Emigracją. Zastrzegam się, że sąd ten stosuję do ks. Czartoryskiego tylko w pierwszych latach Emigracji, gdyż późniejszych jego działań nie poddawałem jeszcze analizie. Również nie wierzył ks. Czartoryski, aby coś Polsce przyniósł ruch wolnościowy, na którym nadzieje pokładał Ostrowski²⁾ i można przypuszczać, że, określając swój stosunek do Sejmu, brał pod uwagę stosunek Ostrowskiego do ruchu wolnościowego, który był również w silniejszym lub słabszym stopniu stosunkiem chcących Sejmu reprezentantów. Odpowiedział Ostrowskiemu, że nie widzi teraz potrzeby sejmowania i że rząd francuski na zebranie Sejmu by nie zezwolił. Szersze określenie i uzasadnienie stosunku Czartoryskiego do Sejmu nastąpiło później. Pogląd Czartoryskiego stał się poglądem tych wszystkich reprezentantów, którzy zebrania Sejmu w owym czasie nie chcieli. Tak więc w samym początku przedstawiały się w samym Sejmie dwa różne poglądy na potrzebę zebrania się Sejmu. A jaka była opinia publiczna na Emigracji?

W *Pamiętniku Emigracji Polskiej* (wyd. M. Podczaszyński od 1/VII 1832 do 25/VII 1833 r.) nieprzyjaciel Sejmu za czasów powstania, Maurycy Mochnacki, wzywał (1 XI 1832 r.), aby Sejm się zebrał. „Nie masz dzisiaj Polski, tylko albo w tej zagranicznej rozsypce, albo w żalu domowym; i jedno i drugie bez Sejmu obejść się nie może. Niechaj się spełni miara naszego przeznaczenia! Bo ponieważ nakoniec Sejm wdał się w tę sprawę, powinien być

¹⁾ Tak się do Ostrowskiego odezwał Czartoryski w Londynie, gdy ten mu dowodził, że nie wolno w politycznych oświadczeniach opierać się tylko na traktacie wiedeńskim: „Niech każdy działa, jak rozumie najlepiej. Wolno mu. Ale mówić o całej Polsce Anglikom, to jak gdyby im kto o śnie jakowym bąbał. Dodał— wysłuchają grzecznie, ścisną za rękę, dadzą dobry obiad, zaproszą do swej kompanii i na tem koniec.“ (Cytowany już list A Ostrowskiego do Wołowskiego).

²⁾ Kiedy Ostrowski mówił, że dzisiaj sprawa Polski czerpie nadzieję w sympatyach ludów, które wpływają na działania gabinetowe, rzekł Czartoryski: „A cóż Polsce i jej interesowi dawniej pomogła rzeczpospolita Francuska, co panowanie Konwencji Robespiera? Wszakże nawet owemu Sejmowi polskiemu we Francji lub Włoszech zebrać się nie pozwolono.“ „Zdaje się— pisze Ostrowski w cytowanym ciągle liście — że Księżę przepowiada, że tenże sam los nas i teraz spotka i że ci sami, co teraz Polaków podniecają do wspólnego działania z ludami, skoro staną u szczytu władzy, cofną się i odnowi się dawna naszej Emigracji historia.“

wiernym jej szczątkom i jej przyszłości. Sejm również jest potrzebny Emigracyi, jak był szkodliwy i niepotrzebny rewolucyi. Dzisiaj, kiedy żadnej fizycznej siły nie mamy, kiedy nie trzeba kierować operacyami wojska narodowego, włądać wewnętrzną i zewnętrzną polityką, kreować wodzów naczelnych, kiedy nie mamy ani urzędów do rozdawania, ani skarbów do szafowania, dzisiaj, kiedy już po raz drugi Polski żadną miarą zgubić nie można — dzisiaj, to Sejm, jak żołnierz na stanowisku, w przedniej straży całej ucywilizowanej Europy niech się znajduje. Zaciągnął ten obowiązek i święcie dopełnić go musi, bodaj nawet dlatego, że to stanowisko jest wzniosłe i historyczne.“

Pielgrzym Polski (wyd. Eustachy Januszkiewicz, wychodził od 4 XI 1832 do 1/IV 1833 r., a w zmienionym formacie do końca 1833 r.) podawał szczegółowe sprawozdania z posiedzeń familijnych ¹⁾ członków Sejmu, zebranie Sejmu uważał za obowiązek reprezentantów i pisał z uznaniem i sympatją o jego zwolennikach, a inne żywił uczucie dla jego przeciwników, choć je wyrażał umiarkowanie.²⁾ Z prywatnych głosów przeciw Sejmowi spotkałem w *Pielgrzymie* ³⁾ nadesłany artykuł Ksawerego Orańskiego, który, ujmując rzecz ze swego stanowiska, bardzo dobrze i przekonująco wzywa reprezentantów, aby zrzekli się swoich praw, gdyż na drodze, przez rewolucję wskazanej, postępować Sejm nie może — i nad Sejmem daje wyższość Emigracyi.⁴⁾

¹⁾ Tak nazywano zebrania członków Sejmu przed jego otworzeniem.

²⁾ „Członkowie Sejmu polskiego podzieleni być mogą na trzy klasy: jedni, którzy w kraju pozostali, a o nich sąd wyłącznie do historii należy; drudzy, którzy dzieląc tułactwo z innymi, przecież do Paryża nie śpieszą i naostatek ci, co pomni na święte obowiązki swoje, od dawna pracują już nad tem, aby reprezentacya narodu polskiego w obronie jego praw głos swój podniosła“ (26/XI 1832 r.); w tymże numerze: „Emigracya i Polska wyjaśni i oceni kto z reprezentantów rzeczywiście nie chciał i nie chce do składu Sejmu należeć; kto w tułactwie żadnych usług nie oddawał i nie oddaje, kto poświęca się ciągle dobru ogólnemu i był zawsze gotów zadość czynić obowiązkom swoim.“

³⁾ Z 26/XII 1832 r.

⁴⁾ „Zostaje więc droga przez rewolucję wskazana, a na tej Sejm nasz i kroku zrobić nie może; sejmujący wystąpią do walki z protestacyą w rękę, ale protestacya pisana musi iść obok zbrojnej, inaczej będzie próżną, zużytą formą; wytrwałość bohaterów naszych w Prusiech i losy Emigracyi polskiej świadczą najwymowniej przeciw ukazom. Ale dają się słyszeć głosy: zmieni się stan rzeczy, otworzą się nowe nadzieje i któż wtenczas będzie reprezen-

Z głosów prywatnych znajdujemy bezimienną „Odezwę Polki do posłów, którzy nie chcą złożyć Sejmu na obcej ziemi.“¹⁾ Polka też uważa zebranie Sejmu za konieczność narodową i za obowiązek posłów.²⁾

25 I 1833 r. prezes komitetu Emigracyi polskiej, J. Dwernicki, „z obowiązku włożonego nań przez tułaczów różnych Zakładów, a szczególnie przez żołnierzy i podoficerów z Bourges“ wzywa reprezentantów do rozpoczęcia działań sejmowych.

Zakłady nawoływały o zebranie się Sejmu. W 1833 r., kiedy komplet został zerwany przez 11 członków Sejmu, opinia Zakładów wyraziła się szerzej. W 1832 r. 17/XI spotykamy odezwę z Besançon do „Reprezentantów narodu polskiego,“ w której żądają Sejmu, wydania manifestu i zwołanie Sejmu uważają za obowiązek reprezentantów.³⁾

Adam Mickiewicz nie przemówił za Sejmem słowem drukowanym, ale jakie miał o Sejmie emigracyjnym wyobrażenie, co o nim mówił przyjaciółom swoim, wiemy z jego „Myśli moje o Sejmie polskim,“ które na początku 1833 r. odczytał ks. Adamowi Czartoryskiemu.⁴⁾ „Sejm polski nosi podwójny charakter—pisze Mickiewicz — naprzód władzy prawej narodu polskiego, potwóre władzy moralnej europejskiej i w dwojakim tym charakte-

tował Polskę? kto stanie przed majestatem ludów w obronie sprawy naszej? Sympatya tychże ludów, wielka przeszłość nasza i to przekonanie, że bez Polski nie masz stałego pokoju w Europie, przekonanie, które się stało niezachwianym dogmatem politycznym—oto są reprezentanci nasi! Obok tych reprezentantów, Sejm paryski wydalby się tak małym, że równie dla dobra narodu, jak dla sławy samychże sejmujących, życzyłoby należało, żeby i posłowie, i senatorowie nasi zrzekli się wszelkich czy to prawdziwych, czy urojonych praw do reprezentacyi narodowej.“

¹⁾ *Pamiętnik Emigracyi Polskiej* z dn. 24/VIII 1832 r.

²⁾ „Bądźmy narodem bez Ojczyzny, dopóki jej nie odzyskamy. Lecz pozbawieni reprezentacyi, zostaniemy nędznymi tułaczami. Nie wyrzekajcie się przez serca wasze ułożonego i przyjętego prawa, tej najpiękniejszej rękojmi przyszłego istnienia; nie zdradzajcie zaufania i świętokradzkim morderstwem dobijając szarpaną Ojczyznę, nie pozbawiajcie jej jedyne go na teraz bytu — bytu moralnego.“

³⁾ „Co mówią o generale, nie pełniącym swych obowiązków, o żołnierzu, zbiegłym z pola bitwy? I was niema na przepisaniem stanowisku. O jak nieskończenie większe będzie przewinienie wasze.“

⁴⁾ „Myśli moje o Sejmie polskim“ zostały u Bohdana Zaleskiego w rękopisie i ogłosił je dopiero Władysław Mickiewicz w tomie VI *Dzieła A. Mickiewicza*, wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane. Paryż, 1880.

rze przemawiać powinien.“ Określiwszy krótko zadanie Sejmu, jako władzy narodowej, żądając, aby zorganizował Emigrację, ustanowił dla niej komitet, Mickiewicz zajmuje się głównie zadaniami Sejmu, jako władzy moralnej, europejskiej. „Niech ogłosi (Sejm), że biorąc Chrystyanizm za prawo, potępia wszystkie wojny o granice, o porty, o handle etc. jako bezbożne; że wszystkie ludy ma za dzieci jednej rodziny; że jak Chrystus śmiercią swoją położył koniec krwawym ofiarom, tak Polska położy koniec wojnom, ofiarom ludów.“ „W takim działając duchu, nie protestacye pisać, bo protestacya jest wyrazem słabości, ale prawa stanowić powinna Izba nasza, przybierając ton śmiały i decydujący. Niech się zadziwią rządy, jak niegdyś doktorowie nad Chrystusem, słysząc, iż uczy nie rozprawami, ale powagą, jako mający władzę. Nie należy uważać na śmiechy ministrów, na żarty nawet własnych rodaków, bo i z Rejtana żartowano, a potem imię jego stało się święte.“

Mickiewicz odnalazł harmonię między wielkiem nieszczęściem, wygnaniem, i tem upragnieniem, z jakim oczekiwała Sejmu cała niemal Emigracya, a powagą moralną i siłą ducha, jaką winien mieć Sejm. Sejm, nawet w tak ograniczonym komplecie, był jednak w oczach Emigracyi, jakby symbolem tej Polski, która była, która miała swe prawa, instytucye, lud, ziemię, Sejm, a z której tej chwili była tylko garstka wychodźców, bez żadnej więzi, bez pewności, że jutro na cztery wiatry rozsypani nie będą. Jako symbol Polski i jej idei—miał być Sejm w obliczu ludów symbolem walki o sprawiedliwość, o prawa ludu. Takim go pojął Mickiewicz.

„Kończę uwagą, iż przybranie takiej wielkiej roli uważam za jedynie godne i wielkich poświęceń się narodu, i dziwnej historii naszego tułactwa, i bezprzykładnego poświęcenia się członków Izby, którzy kraj, majątki i rodziny opuścili.“ Ten sam artyzm, który kazał nakreślić Mickiewiczowi właściwe proporcye pomiędzy postacią moralną polskich reprezentantów a ich postacią czynną, wstrząsa nim na myśl, że nowe prawa przed ich ustanowieniem przedostać się mogą na łany prasy, że nim reprezentanci powagą wielkich postanowień na siebie wezmą, robić z nich będą plotkę i sensację.

„Sejm te wyroki, w tajemnicy spisane, powinienby ogłosić po rozjechaniu się członków. Przed rozjechaniem się, niech wyznaczy komplet mniejszy i marszałka, który będzie miał prawo zwołać ten komplet, gdzie mu się podoba.“

Ks. A. Czartoryski był tej myśli przeciwny, Mochnacki również. Razem z Mickiewiczem, aby odczytać pomienione pismo, udali się do ks. Czartoryskiego trzej posłowie: Dr. Hłuszniewicz, Stanisław Worcell i Bohdan Zaleski.¹⁾

Od wojewody A. Ostrowskiego dowiadujemy się, że i La Fayette nakłaniał do zebrania Sejmu,²⁾ była tej myśli przychylna opinia radykalna francuska i angielska. Członkowie Sejmu mówią często o listach, jakie odbierają z kraju, z wezwaniem, aby się Sejm zebrał.

Ujmijmy rzecz całą w parę słów: w początkach Emigracji opinia była za zebraniem się Sejmu i uważała je za obowiązek reprezentantów. Reprezentanci Sejmu pragnący uważali je również za swój obowiązek, a spełnienie go za sprawę tak doniosłą, że pisali o czci potomności dla tych, którzy w Sejm się zbiorą, a o potępieniu jej tych, którzy Sejmu nie chcą.³⁾

Rok 1832 upłynął na staraniach zebrania kompletu sejmowego w Paryżu. Wielu z posłów przybyło, niektórzy wyjechać musieli, ale możliwość szczęśliwego skutku usiłowań stawała się poważną. Familijne zebrania trwały ciągle, na nich zdawano sprawę z postępu sprawy sejmowej, wybrano komisję, która miała przygotować materiały dla Sejmu. 24 X utworzono Komisję złożoną z W. Zwierkowskiego, Nakwaskiego i Lelewela (po usunięciu się Lelewela miejsce jego zajął Aloizy Biernacki), której zadaniem miało być sprowadzenie do Paryża i złożenie w bezpiecznym miejscu papierów Sejmu rewolucyjnego.⁴⁾ Przeciwnicy Sejmu, otrzymawszy, jak i wszyscy inni członkowie, wezwanie, oświadczyli, że przybędą.

¹⁾ Przypisek Władysława Mickiewicza przy artykule „Myśli moje o Sejmie polskim.“

²⁾ Korespondencya o zwołanie Sejmu. List Ostrowskiego do Szanieckiego. *Polska* (pismo emigracyjne). Paryż. 1836.

³⁾ „Pomnijcie nakoniec na to, że ziomkowie nasi, że potomność złotą kartę w dziejach przeznaczy tym tylko posłom, którzy w wygnaniu i tułactwie Ojczyźnie służyć nie przestali— a na brulionie tej odezwy czytamy kilkakrotnie poprawiany, a wreszcie zupełnie przekreślony ustęp, będący poprzedniego zakończeniem: „a najczarniejszą dla tych zostawi, którzy się od swoich interesów na chwilę oderwać, albo swojego uprzedzenia wspólnej potrzebie poświęcić nie chcą.“ Odezwa do członków obu Izb podpisana przez 15 reprezentantów w Paryżu 28 VII 1832 r. (Papiery sejmowe).

⁴⁾ Wywiózł papiery Sejmu z Warszawy razem z marszałkiem, Wł. Ostrowskim, dyrektor kancelaryi sejmowej, Wojciech Tur i Więckowski. Po

Tymczasem Emigracya, rozproszona po Zakładach, nie mogąc doczekać się zebrania Sejmu i niezadowolona z Komitetu Lelewela, postanowiła sama wybrać sobie władzę, któraby i o polityczne interesy zabiegała, nim Sejm się rozpocznie. Jako prezesa Komitetu upatrzono Dwernickiego, do składu powołano wraz z nim 15 członków, ludzi posiadających największą popularność i znaczenie: dygnitarzy, generałów i posłów, między tymi i Lelewela (wyboru nie przyjął). Z członków Sejmu do „Komitetu narodowego Emigracyi polskiej“ (Komitet Dwernickiego), ustanowionego dn. 22 X 1832 r., weszli: Teodor Morawski, J. Ledóchowski, F. Wołowski, A. Jełowicki, S. Worcell. To było pierwsze silne poruszenie Emigracyi, tworzącej nowe formy organizacyjne dla życia emigracyjnego, mającego własne cechy i właściwości.

rozstaniu się z marszałkiem, dwaj ostatni zawieźli je do Gettyngi. Z powodu nieostrożności Tura wiele osób dowiedziało się, że papiery sejmowe są w jego posiadaniu, policya zrobiła u niego rewizyę; tylko dzięki przychyłności dyrektora policyi Gettyngi najważniejsze ocalały, a nawet zabrane protokoły zwrócił następnie i tylko prywatną korespondencyę zatrzymał. Tur wkrótce wyjechał do Anglii i nie wrócił, Więckowski więc został jedynym stróżem papierów. A miały one naówczas polityczne znaczenie — akt 25 stycznia był bardzo poszukiwany. Złożył je więc Więckowski w dwóch skrzyniach i umieścił razem ze znajomym sobie pastorem, któremu najwięcej ufał, za ołtarzem jednego z kościołów; o schowaniu wiedzieli tylko Więckowski i pastor i umówili się, że Więckowski miał na wypadek śmierci tajemnicę jednemu Polakowi pod przysięgą powierzyć, a pastor zobowiązał się nikomu ich nie wydawać, prócz marszałka Sejmu lub kogo przez Sejm umocowanego. Członek komisyi wzmiankowanej, Zwierkowski, odwiedził Więckowskiego pod przybranem nazwiskiem w Fryburgu (w Bryzgowii), i ten po paru miesiącach oddał mu skrzynkę z ważniejszymi papierami—na drugą kazał czekać. Ale wkrótce umarł. Posel Nakwaski, dowiedziawszy się, że przed śmiercią pielęgnowała go rodzina filozofa Trentowskiego, przypuścił, że Trentowski został wtajemniczony; ale dopiero po kilku latach i po przedstawieniu wszystkich uppełnomocnień została mu powierzona tajemnica a upoważnienie zabrania papierów dopiero w 1856 r., kiedy Hanower przystąpił do związku celnego i nie trzeba się było obawiać rewizyi na granicy. W Genewie zdjęto pieczęcie, znaleziono wszystko w porządku. Dopiero w 1863 r. dostano skrzynię z ważniejszymi papierami, którą był dostał od Więckowskiego Zwierkowski i złożył był u Gustawa Potworowskiego. Odtąd do swej śmierci (1876) stróżem papierów był Nakwaski. Za zgodą żyjących jeszcze posłów i samego Nakwaskiego, złożono je (już po jego śmierci) w Bibliotece polskiej w Paryżu. *Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu*. Rok 1873—1878 (tom II). Poznań, 1878. (W życiorysie Nakwaskiego, str. 368.) Obecnie dyaryusz Sejmu wydaje drukiem Akademia Umiejętności w Krakowie.

3 stycznia 1833 r. zebrał się komplet. Było członków 34. Wyliczając, dla uproszczenia opowiadania, podzielmy ich odrazu na opinie.

Nie uznający potrzeby Sejmu na teraz—mniejszość sejmowa: ks. Czartoryski, wojewoda Pac, Ludwik Plater, Swirski, Barzykowski, Kaszyc, G. Małachowski, B. Niemojewski, Morozewicz, Morawski, Biernacki. (Do przeciwników Sejmu należał także J. U. Niemcewicz, który na wezwanie z Londynu odpowiedział, że nie widzi potrzeby Sejmu i że przyjechać nie może).

Żądający Sejmu—większość sejmowa: Ostrowski Antoni, Karwowski, Zambrzycki, Zaleski, Plater Cezary, Plater Władysław, Przeciszewski, Trzcński, Ledóchowski, Żarczyński, Zienkiewicz, Godebski, Hłuszniewicz, Worcell, Malinowski, Jełowicki, Kołysko, Tomaszewski, Lelewel, Pietkiewicz, Sołtyk, Zwierkowski i Wołowski.

Przed wnioskami, zmierzającymi do natychmiastowego uorganizowania Sejmu, mniejszość żądała dyskusji nad pytaniami: „Czy jesteśmy Sejmem i czy go potrzeba teraz.“ Większość oświadczyła, że gdzie jest 33-ch, tam jest Sejm; mniejszość—że zebranie to uważa za familijne i żądała wykazania powodów i potrzeby sejmowania. W odpowiedzi podano: 1) wydanie manifestu; 2) wybranie Komisji sejmowej dla działania i przemawiania w imieniu narodu, tudzież protestowania przeciw gwałtom; 3) wybranie lub przyczynienie się do wybrania władzy emigracyjnej, aby ta zajęła się losem wychodźców, tudzież zapobiegła niesnaskom i coraz bardziej szerzącemu się rozdwojeniu Emigracyi; 4) zadosyć uczynienie obowiązkom reprezentantów, wykonanie woli i żądania braci z kraju do nas o to wołających, tudzież życzenia Emigracyi; 5) zabezpieczenie kompletu. Z mniejszości odpowiedziano, że rząd francuski zabronić nam może sejmowania lub nas rozpędzi, radzono wstrzymać się do stanowczego momentu lub ważnych wypadków, że, będąc pod przemocą, nie możemy obradować wolno, a tu praw dla Polski stanowić nie wolno nam, bo bez wykonania by pozostały, że Emigracya cała jest najlepszym manifestem, bo żywą protestacją. Wtedy większość poparła sprawę swoją argumentem, że zebrani są kontynuacją Sejmu w Płocku załimitowanego.¹⁾

Zebranie dla spóźnionej pory zostało odłożone. Dn. 5/I zebrałi się ci wszyscy eo poprzednio, prócz ks. Czartoryskiego. Było zatem 33-ch. Przyjęto pod obrady kwestyę: „Czy mamy

¹⁾ Całe to posiedzenie, według Zwierkowskiego.

natychmiast otworzyć obrady sejmowe i do wyboru prezesa przystąpić, czy pierwszej nie urzędownie, ale familijnie przedmioty do decydowania przygotować!“

W-da Ostrowski oświadczył, że kto jest zdania, „że mamy obrady sejmowe otworzyć i do wyboru prezesa przystąpić“ *da głos affirmative*. Kto jest zdania, „że pierwszej nieurzędownie, ale familijnie przedmioty do decydowania przygotować należy,“ *da głos negative*.

Żeby Sejm natychmiast otworzyć i do wyboru prezesa przystąpić—było głosów 19.

Żeby nie urzędownie, ale familijnie przedmioty do decydowania przygotować—było głosów 13.

Posel Plater Cezary nie głosował. „Wotowałbym affirmative, lecz widząc, że decyzję nie wszyscy uważają za obowiązującą—nie wotuję.“

Po obliczeniu głosów, prezydujący Ostrowski oświadczył: „iż sesja sejmowa wskutek absolutnej większości głosów otworną została.“¹⁾

Następną sesję naznaczono na dzień następny, celem obrania prezesa. Dn. 6 I na zebranie przybyła tylko większość, mniejszość zaś nadesłała deklarację, znaną w historii Sejmu emigracyjnego, jako Deklaracja albo Akt jedenastu.²⁾ Podpisani wszyscy wymienieni wyżej, jako mniejszość sejmowa. Do argumentów mniejszości, które już poznaliśmy, dodano, w odpowiedzi na otwarcie Sejmu przez Ostrowskiego, interpretację uchwał lutowych inną, niż interpretacja większości. 11-tu podpisanych oświadcza w tej mierze: „1) iż możność zebrania się zagranicą Sejmu uchwałami z 19 i 26 lutego 1831 r. dozwolona, nie stanowi bezwarunkowego obowiązku sejmowania, skoro się 33 członków obu Izb w jednym miejscu zbierze; 2) iż gdy Sejm przez władze, prawami postanowione, dotychczas zwołanym nie został,³⁾ uznanie przeto potrzeby zawiązania w Sejm, większością głosów chwilową i stosunkową

¹⁾ Zwierkowski: *Kilka słów o czynnościach Sejmu polskiego*. Paryż, 29/I 1833.

²⁾ Znajduje się w papierach sejmowych i u Zwierkowskiego.

³⁾ Dla zrozumienia tego ustępu przytaczam art. III Uchwały z 26/II 1831 r.: „W przypadku niemożności zwołania Izby lub potrzeby tajemnicy, czas i miejsce zebrania, w czasie opuszczenia Warszawy, oznaczony będzie przez Rząd, za porozumieniem się z naczelnym Wodzem, za pośrednictwem prezydującego w Senacie i marszałka lub prezydującego w obu Izbach, w listach zapieczętowanych.“

tylko do liczby obecnych w miejscu, a nie do ogółu reprezentantów za granicą będących, stanowione być nie może, lecz do tego koniecznie potrzebne jest zezwolenie dobrowolne przynajmniej 33-ch członków, najmniejszy komplet Sejmu stanowiących.“ Oświadczają w końcu, że tak rozporządzą swemi osobami, aby mogli przybyć na Sejm, jeśli potrzeba jego udowodnioną zostanie—teraz zaś na żadne posiedzenie nie przybędą.

Stanowisko 11-tu uzasadniał i bronił, z wprawą wytrawnego parlamentarzysty B. Niemojowski w *Pamiętniku Emigracyi*.¹⁾ Z większości sejmowej wypłynęły dwa akty: Akt 9-ciu i Akt 25-ciu.

Akt 25-ciu z 26 I 1833 r. jest oficjalnym aktem większości sejmowej. Oświadczają w nim, powołując się na protokoły od 3/I 1833 r., że, zgodnie z uchwałami lutowymi posiedzenia Sejmu, zostały otwarte, a przerwane jedynie dla braku kompletu, „z powodu zamieszczonego w dn. 6 b. m. przez 11 członków oświadczenia, że do terażniejszego zebrania Sejmu, za przedwczesne je jeszcze uważając, nie przystępują.“ 25-ciu podpisanych oświadcza więc, że skoro tylko zbierze się 33-ch członków, którzy ich akt podpiszą (brakowało więc tylko 8-miu), oni w każde miejsce przybędą, aby obrady Sejmu, otwartego w dn. 5 I, rozpocząć. Na akcie tym podpisani wszyscy, których jako większość sejmową wymienilem,²⁾ pomnożeni podpisami Wieszczyckiego, Chełmickiego i Tymowskiego, których 3/I na zebraniu nie było.³⁾ Wybrano Deputację Centralną, mającą się zająć uzupełnieniem podpisów, złożoną z trzech członków (Plater Cezary, Worcell i Zaleski). Rozwiązała się w kwietniu, nie uczyniwszy, z powodu przeszkód natury materyalnej.⁴⁾

Akt 9-ciu z 26 I 1833 r. Podpisali go też ci, którzy są podpisani na Akcie 25-ciu (Worcell, Godebski, Zambrzycki, Kołysko, Zwierkowski, Karwowski, Preciszewski, Wieszczycki, Sołtyk). Akt ten jest rodzajem manifestu, w którym w gorących słowach, raczej uczuciowo niż racjonalnie, przedstawiona jest konieczność Sejmu i usiłowania, które w tym celu podjęła większość, a które spełzły na niczem z powodu postępuku 11-stu członków. Podpisani

¹⁾ „O Sejmie w Emigracyi.“ Numer pod nazwą „Władysław Łokietek“ z 25/III 1833 r.

²⁾ Prócz Zienkowicza, który umarł 17/I 1833 r.

³⁾ Wszystkie akcesy znajdują się w papierach sejmowych w Paryżu, są też przytoczone u Zwierkowskiego „O Sejmie w Emigracyi.“

⁴⁾ Sprawozdanie Deputacji Centralnej z 3/IV 1833 r. (Papiery sejmowe).

oświadczają, że za świętą uznają powinność według zasad Sejmu postępować, „który acz zwołany podług form narzuconej konstytucyi, przez odrzucenie ogólnych zasad tejże konstytucyi charakter swój zmieszał. przez przybranie reprezentantów ze wschodnich województw misę swą rozszerzył, przez podniesienie dawnych praw narodowych, usunięcie nieodpowiedzialności monarchy i zawarowanie równości praw dla wszystkich mieszkańców działanie swoje w oczach narodu uprawnił, a tem samem egzystencyę swoją z egzystencyą dawnych Sejmów niepodległej Polski związał i zjednoczył i na cały czas ucisku i tułactwa narodowego trwałość swoją zabezpieczył. Uważają też podpisani za swój obowiązek, jako „stróże praw i własności narodowej,“ powołać do zdania sprawy z czynności dyplomatycznych tych, którzy tytułem dawniej posiadanej władzy lub położonej w nich ufności w czasie ostatniej walki, do czynności tych może zobowiązani się sądzą, oraz do zdania rachunku tych, którym grosz publiczny powierzony został.¹⁾

¹⁾ Co do przeniewierzenia grosza publicznego przez członków Rządu pelno było plotek na Emigracyi. Byli, którzy oszczerstwa rozmyślnie szerzyli, byli, którzy je z dobrą wiarą powtarzali. Odrzucając wszelki sąd wewnętrzny, który mi wierzyć każe w czystość rąk członków Rządu rewolucyjnego, przytaczam rachunek ostatniego prezesa, B. Niemojowskiego, ogłoszony w Paryżu 5/XI 1833 r. w ulotnem piśmie *Kilka słów do spółrodaków z powodu fałszów przez J. B. Ostrowskiego w piśmie Nowa Polska zwanem ogłoszonych*. „Kasy skarbowe i bankowe, uwiezione z Warszawy i pomnożone niektórymi wpijami w Wojew. Płockiem, obejmowały ogółem sumę 6,434,586 złotych.

W kasie Ministra wojny znajdowało się 671,000 „

Było przytem ogółem wpływu 7,105,586 złotych.

Z tych wydano od 8 do 24 września 1831 r. . . . 582,158 „

Zostawiłem gen. Rybińskiemu 6,523,428 złotych.

Wydatek 582,158 złotych udowodnić mogę autentycznymi rachunkami kasowymi, z których się wykazuje, iż więcej jak 400,000 zł. na wódkę i żywność dla wojska, reszta na żołd dla załogi Modlina, na pożyczkę dla składu Sejmu, na administracyę i bieżące wydatki użyta została.“ To, co znajdowało się w rękach Rybińskiego, musiały pochłonąć potrzeby, ale zarzucano, że członkowie Rządu „przepuścili“ 3,000,000 zł. i załżali 600,000 zł. na kosztą Rządu w Emigracyi; tymczasem ogół wszystkich wydatków wynosił 582,158 zł. Od Zwierkowskiego wiemy, że pożyczka dla składu Sejmu wynosiła 120,000 zł. Członkowie Sejmu, nie chcąc pobierać żołdu od rządu fr., żyli z tych funduszów, które brali tytułem pożyczki. Już we Frankfurcie zrobił udział marszałek, resztę na żądanie odesłał do Paryża. Świadcetwa na to znajdują się w papierach sejmowych. Członkowie Sejmu dopiero w kwietniu 1833 r. na etat weszli, kiedy fundusze sejmowe się wyczerpały.

Ponieważ już raz zdaliśmy sobie sprawę z opinii publicznej w stosunku do Sejmu w Emigracyi, nie trudno nam domyślić się, jaki obrót wzięła po zerwaniu kompletu sejmowego. Mamy adresy Polaków do Ostrowskiego Zakładów: Chateauroux (20/I 1833), z Besançon (22/I t. r.), Le Puy (19.I t. r.). We wszystkich adresach są słowa uznania dla większości Sejmu, a potępienia dla 11-stu.¹⁾

W postępku 11-stu upatrywano powrót do liberum veto. Krytykę przeniesiono już później na cały Sejm. Rozpoczęła się ona w 1833 r. Przeciw Sejmowi pisze Towarzystwo Demokratyczne i rozpatrując jego stanowisko w rewolucyi, do politycznej krytyki Mochnackiego dodaje społeczną. Zarzuca mu „system nie tykania dawnych, jakkolwiek niesprawiedliwych stosunków między obywatelami Polski, nie usunięcia nadużyć, zostawienia podziału na eksploatujących i eksploatowanych.“²⁾

Słaba już była możność zebrania Sejmu. Członkowie Komitetu Lelewela z powodu odezwy, wydanej do Rosyan, musieli opuścić Paryż i Francję, został wydalony Worcell, wielu musiało wyjechać, bo na pobyt w Paryżu nie mieli pieniędzy.

W-da Ostrowski nie ustawał jednak w swoich usiłowaniach i od czasu do czasu ponawiały się zebrania. Ostatnie odbyło się 12 X 1835 r. Na niem też kończy się pierwszy okres historii Sejmu w Emigracyi. Pozostały w papierach projekty komisji, mającej przygotować materiały dla Sejmu. Są to dwa projekty

¹⁾ W papierach sejmowych i u Zwierkowskiego. „Z najmocniejszym zalem dowiadują się wychodźcy polscy w dep. de l'Indre, że reprezentacya narodowa, że Sejm, od tak dawna upragniony i oczekiwany, pomimo istniejącego w Paryżu kompletu, pomimo jego zebrania się i decyzji większości, będącej prawem dla mniejszości, ma być rozwiązanym wskutek ustąpienia niektórych reprezentantów z grona sejmujących.“ „Cześć Wam, Ziomkowie, którzy bez przerwy służyć pragniecie najświętszej sprawie, wdzięczność nasza i naszych ujarzmionych braci błogosławić Was nie przestanie“ (Chateauroux). „Protestacya 11 członków z grona waszego uczyniona przerwała i przeszkodziła tak upragnionym od nas czynnościom waszym. Darujecie, dostojni mężowie, nie uczonym w prawie, ale ognistą ku Matce miłością palającym dzieciom, że się wynurzając przed wami, przeklinamy i zlorzeczymy tym formułom, które wam wydzierając możność ratowania konającej Ojczyzny, każą spoglądać z załamanemi rękami na jej udręczenie i tyranję“ (Besançon). „Z boleścią słyszeć musimy o trudnościach przez znaczną mniejszość reprezentantów czynionych w rozpoczęciu obrad sejmowych. Może przedstawienia, może prośby nasze skłonią ich umysły do poświęcenia się dla dobra Ojczyzny“ (Le Puy).

²⁾ *Uwagi nad manifestem Sejmu polskiego, uchwalonym w dn. 20/XII 1830 r.*

ustanowienia władzy. *Projekt Rady Ogólnej Narodowej* streszcza się do wybrania przez Sejm 9-ciu członków, którzy mają czuwać nad losem wychodźstwa i nad sprawą narodową, w myśl manifestu sejmowego z dn. 20 XII 1830 r. *Projekt Rady Najwyższej*—jest to władza, która ma czuwać nad wychodźstwem, mieć kontrolę nad jego władzami szczegółowemi. W razie potrzeby staje się ona władzą rządową. Art. 8 brzmi: „W razie, gdy przyjdzie tułactwu zbrojnie i zwycięsko do Ojczyzny wstępować, a tamby żadnej narodowej nie zastało władzy, wtedy Rada Najwyższa spełniać będzie władzę Rządu Tymczasowego.“

Pozostał także projekt komisji deklaracji i uchwały sejmowej (23 wrzesień 1835 r.), zwany aktem 7-miu, tytuł go bowiem komisarzy z sekretarzem i z przewodniczącym obradom przedstawiło kolegom. Zwierkowski pisze, że miał to być manifest sejmowy. Treścią aktu tego jest protest przeciw postępowaniu rządu rosyjskiego w Polsce.

Na ostatniem zebraniu 12 X 1835 r. członkowie Sejmu, straciwszy nadzieję na drodze Sejmu służyć sprawie narodu, podawali różne projekty: Wojewoda Ostrowski Związku sejmowej większości, Sołtyk Związku sejmowego, Żarczyński Odezwy czyli Manifestacji, A. Jełowicki Odezwaniami się wyłączonego przez posłów. Ledóchowski radził zawiązanie Konfederacji, któraby wytknęła drogę i wiarę demokratyczną. Żadne jednak, co do tych projektów, porozumienie nie nastąpiło. Zwierkowski pisze, że nadzieja w najgorliwszych nawet stronnikach Sejmu, aby mógł się kiedy zebrać, zupełnie zniknęła.“

Gdy Olrych Szaniecki przybył na Emigrację, wpływał na zebranie Sejmu i ogłosił projekt do Uchwały sejmowej, według którego miał Sejm ogłosić uwłaszczenie włościan, zniesienie tytułów etc.¹⁾

W 1840 r. zbierali się członkowie Sejmu z powodu kwestyi wschodniej. 36-ciu chcieli już Sejmu, a Sejm się nie zebrał. Pessimizm ogarnął nawet wojewodę A. Ostrowskiego, który może zupełnie trafnie w mowie na posiedzeniu 23 XII 1840 r. sprawę Sejmu oświetlił:

„W dzień 10/XI r. b. (1840) z tymi, co zdala przybyli, jako też i z tymi, co pod Paryżem mieszkając, na każde zawołanie do kompletu stawić się przyrzekli, było nas w Paryżu 36; więcej zatem jak trzech nad wymagalny komplet... Powiedzmy sobie za-

¹⁾ *Polska*. Paryż, 1836 r.

tem niezaprzeczoną prawdę, iż tą razą nie żadna niemożność zebrania się fizycznie w komplet przeszkadzała, lecz stanowczej dobrej woli ukonstytuowania się nie było. Stąd wynikło owo oddanie się grobowej nieczynności i bezruchowi, do paraliżu lub przynajmniej do dziesięcioletniego koszmarnu podobnemu, który to stan owe wielkie nic, *magnun nihil*, produkując, zastraszająca, równie jak gorsząca, przedstawia próżnię! owe *vacuum, quem horret natura* i fizyczna, i polityczna. Z naszej nicości urok Sejmu i w kraju, i zagranicą umniejsza się; co mówię, zupełnie gaśnie. Sejm mandatu życia, owego pierwszego warunku, nie spełniający przez lat 10, słusznie daje powód do mniemania, iż na zawsze umarł.¹⁾

Kiedy jedno po drugim przechodziły zdarzenia większej politycznej wagi, odnoszące się do sprawy polskiej, a Sejm nie stanął na stanowisku, na jakim pragnęła go widzieć w początkach Emigracya — odwrócono się od niego, przestano mu przyznawać prawo przemawiania w imieniu narodu. Tę opinię podzielali i rozkrzewiali nawet reprezentanci, ci sami, którzy dawniej najgorętszymi zwolennikami Sejmu w Emigracyi byli (Zwierkowski, Worcell, Ledóchowski, Karwowski). Od czasu do czasu zebrania się tych, to owych reprezentantów (1836 — 1848) nie można odnieść do historii Sejmu w Emigracyi, która to historia jest przedmiotem niniejszego artykułu — nie zastanawiam się więc nad niemi, nadmieniam tylko, że w 1841 r. zgromadzali się reprezentanci z powodu kwestyi wschodniej, a w 1847 r. sprawa skupienia władzy narodowej w osobie ks. Czartoryskiego znalazła zwolenników wśród części reprezentantów.²⁾

Po raz ostatni usiłował się zebrać Sejm w 1848 r.—roku powszechnej rewolucyi. Wezwał go ks. Adam Czartoryski. Zebrało się jednak tylko 18 członków, z których 16-stu zawiązało się w dn. 14 V 1848 r. w Grono sejmowe, nimby Sejm w komplecie się zebrał.³⁾ Byli to: ks. A. Czartoryski, Tadeusz Tyszkiewicz kasztelan, N. Olizar, Józef Potocki, Bohdan Zaleski, Barzykowski, A. Biernacki, Morozewicz, Morawski, Kaszyc, Kołysko, Niemcewicz, Wł. Plater, Przeworski, Swirski, Zarczyński.

Godebski nie podpisał aktu, oświadczając, że sprzeciwia się wszystkiemu, co miałoby co innego na celu, niż ukonstytuowanie

¹⁾ *Noworocznik Demokratyczny*, 1842 r.

²⁾ *Trzeci Maj* (pismo emigracyjne) 21/VI 1847, № 29. Heltman, *Emigracya polska*.

³⁾ Oryginał aktu w Bibliotece polskiej w Paryżu (Grono sejmowe, 1848 r.).

się Sejmu, Hłuszniewicz zaś wszelkie działania sejmowe za szkodliwe uważał, gdyż przewidywał z ich powodu protestacye i nieporozumienia, ale okazał gotowość do radzenia nad zjednoczeniem rozprzężonej Emigracyi.¹⁾

Zawiązujący się w 1848 r. w Grono sejmowe reprezentanci chcieli Sejm widzieć centralnem ogniskiem działań narodowych, reprezentacją Emigracyi i Polski pod rządem rosyjskim w tym ruchu wolnościowym, przez przybranie zaś do Sejmu reprezentantów z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego wyobrażać całą Polskę, dbać o jej interesy za granicą.²⁾ Ze swej strony zaś gotowi byli wysłać do tych ziem Polski członków sejmowego Grona.

W odezwie do rodaków (26/V) Grono sejmowe określa swój stosunek do kwestyi włościańskiej w Polsce i nie przesądzając instytucyi ani formy przyszłego rządu Polski, pisze, że przede wszystkim Sejm wymierzy sprawiedliwość ludowi. „Czem upadliśmy i za co w pokoleniach pokutujemy, to zniknąć ma raz na zawsze z oblicza całej Polski.“ Jest w tej odezwie powtórzona znana nam myśl Adama Mickiewicza w następujących słowach: „Sejm nosi na sobie podwójny charakter: naprzód władzy prawej narodu polskiego, powtóre władzy moralnej europejskiej, a tem samem stanąby jako umocowany rzecznik w sprawie przed narodami i jako umocowany rozjemca w rozterkach domowych.“ Tak postawione zadania Sejmu, odrzucone wtedy, gdy Mickiewicz artykuł swój napisał, w 1833 r., teraz miały stać się osią działań w 1848 r. Ruch ludów w całej Europie podbudził snąc imaginacyę reprezentantów; kupienie się ruchu w reprezentacyach narodowych (Sejm frankfurcki), podało im myśl, że i Sejm polski miałby poważną rolę przed sobą.

Sejm jednak znowu się nie zebrał. Na wezwanie ks. Czartoryskiego odpowiedzieli odmownie, niektórzy nawet w słowach ostrych: Worcell, Lelewel, marszałek Wł. Ostrowski, Ledóchowski i Trzczeński.³⁾

¹⁾ Protokoły podpisywane przez ks. A. Czartoryskiego (Grono sejmowe, 1848 r.).

²⁾ „Chodzi o utworzenie jednego ogniska działania narodowego, w którymby się ześrodkowały wszystkie luźne prace i dążenia patriotów.“ (Odezwa Grona sejmowego polskiego do rodaków, Paryż, 26/V 1848 r.) „Obywatele na wespół oswoobodzonych prowincyj zajęli się kierunkiem spraw narodowych w swoim zakresie, ale sprawa ujarzmionego kraju, sprawa ogólna niepodległości polskiej zostaje bez głośnej, legalnej, swobodnej na zewnątrz opieki.“

³⁾ Dwaj ostatni w liście wspólnie podpisanym z Frankfurtu 28/V piszą, że, będąc w Galicyi i Poznańskiem, wszędzie widzieli wstręt i oburzenie „na

Z gotowością przybycia oświadczyli się: Tymowski, Nakwaski i Malinowski — reszta posłów odpowiedzi nie dała. W papierach Grona sejmowego dochował się protokół, podający odmowną odpowiedź W. Ks. Poznańskiego (19/VI 1848). „Nie dzielimy zdania, aby zwołanie Sejmu poza krajem zdołało zespolić różnorodne kraju i Emigracyi działania w jedność myśli i dążeń.“

Grono sejmowe, będąc ciałem tylko czasowem do zebrania się Sejmu właściwego — samo przez się nie mogło mieć znaczenia ani rozwinąć szerszej działalności. Chciał przez nie wpływać rząd republiki francuskiej na uśmierzenie manifestacyi ludu paryskiego i pod namową Ministra spraw zagranicznych Władysław Plater proponował odezwę do ludności paryskiej, aby wstrzymała się od manifestacyi na rzecz Polski, lecz projekt ten został przez Grono sejmowe odrzucony.¹⁾

Prócz Odezwy do rodaków napisało jeszcze Grono sejmowe Adres do Zgromadzenia prawodawczego (francuskiego), drukowany w *Recueil de traités, conventions et actes diplomatiques concernant la Pologne 1762—1862*. Adres do parlamentu niemieckiego we Frankfurcie (26/V), protestując przeciw przyłączeniu części Księstwa Poznańskiego do związku niemieckiego. Do przedstawienia tego adresu wybrano delegacyę złożoną z czterech członków Sejmu: Biernackiego, Morozewicza, Karola Niemcewicza i Władysława Platera. W *Roczniku Towarzystwa historyczno-literackiego* (Paryż, 1869) Kalikst Morozewicz umieścił artykuł (str. 193): *Sprawozdanie z czterodniowej dyskusyi nad sprawą polską w Parlamencie frankfurckim 1848 r. Ze wspomnień naocznego świadka*. Na str. 203 tegoż *Rocznika* przytoczony jest ów *Adres Zebrania członków Sejmu polskiego do Zgromadzenia narodowego we Frankfurcie*.

Na Kongres słowiański, zebrany w Pradze czeskiej, wysłało Grono sejmowe Bohdana Zaleskiego i Józefa Potockiego.

Ponieważ niektórzy członkowie Grona sejmowego wyjeżdżali z Francyi do kraju, wybrano delegacyę, która je miała stale reprezentować, złożoną z ks. Czartoryskiego, kasztelana Tyszkiewi-

samo wspomnienie tego spróchniałego ciała, w którym nie tylko, że antyso-cyalne i najszkodliwsze naszej sprawie zasady ciągle się objawiały, ale nawet w gronie jego ulągl się pomysł wyniesienia tronu polskiego na bruku paryskim i silnych popieraczy w gronie Sejmu znalazł.“ Ledóchowski odznaczał się zawsze porywcznością.

¹⁾ Protokół z posiedzenia 22/V. Projekt odezwy do ludu paryskiego przez Platera (Grono sejmowe).

wicza, Godebskiego i Żarczyńskiego (Czartoryski prosił, aby na wypadek jego wyjazdu wybrać zastępcę—wybrano Tyszkiewicza, prosząc jednocześnie, aby zaraz do prac delegacyi przystąpił). Delegacya miała również zająć się zwołaniem Sejmu.

Ostatnie zebranie Grona sejmowego odbyło się w Bibliotece polskiej w Paryżu dn. 22/IX 1848 r. Zawieszono na niem obrady i postanowiono podać do wiadomości zdanie sprawy ze swoich usiłowań.¹⁾

Tak się przedstawia historia Sejmu w Emigracyi, czerpana z cytowanych w tej pracy a najważniejszych dla tego przedmiotu źródeł.

*

*

*

Lista członków Sejmu, którzy po upadku powstania listopadowego na Emigracyę wyszli²⁾:

Senat:

Wojewodowie: ks. Adam Czartoryski († 1861 r. w Montfermeuil koło Paryża); Maciej Wodziński († 1848 r. w Dreźnie); Ludwik Pac († 1835 r. w Smyrnie); Antoni hr. Ostrowski († 1845 r. w Madères koło Tours).

Kasztelanowie: Tadeusz Tyszkiewicz († 1852 w Paryżu); J. U. Niemcewicz († 1841 r. w Paryżu); Ludwik Plater († 1846 r. w W. Ks. Poznańskim); Narcyz Olizar († 1862 r. w Sadach pod Poznaniem).

¹⁾ Znajduje się w Bibliotece polskiej w Paryżu (Grono sejmowe).

²⁾ Przy układaniu tej listy najbardziej pomocną mi była „Lista członków Sejmu, którzy się na tułactwo poświęcili,” ogłoszona przez Aleksandra Jełowickiego w *Wiadomościach krajowych i emigracyjnych* (№ 11 z dn. 2/VI 1837 r.), oraz lista imienna członków Sejmu na Emigracyi, ogłoszona w *Noworoczniku Demokratycznym* (Paryż, 1842). Druga jest dokładniejsza, ale pierwsza ma tę zaletę, że podaje kto skąd był posłem, co jest ważne ze względu na posłów nowych i podaje miejsce zamieszkania na Emigracyi każdego posła. *Pielgrzym* 25/I 1833 r. podaje o 12-stu więcej reprezentantów, którzy wyszli na tułactwo. Woląłem jednak przyjąć listy późniejsze, kiedy już Emigracya była ustalona. Daty śmierci czerpałem z „Cmentarzyka Emigracyjnego“ Bartkowskiego.“ Rkp. w Bibliotece polskiej w Paryżu. Podalem je dlatego, że Sejm na Emigracyi odnawiać się nie mógł.

Izba poselska:

Posłowie: Jan Ledóchowski, poseł jędrzejewski († 1864 r. w Paryżu); Roman Sołtyk, koniecki († 1843 r. w St. Germain en Laye); Gustaw Małachowski, szydłowiecki († 1835 r. w Paryżu); Teofil Morawski, kaliski († 1854 r. w W. Ks. Poznańskim); Bonawentura Niemojowski, warstki († 1835 w Vanves pod Paryżem); Aloizy Biernacki, wieluński († 1854 w Paryżu); Kantorbery Tymowski, częstochowski († 1850 r.); Władysław hr. Ostrowski, piotrkowski, *marszałek* († 1869 r. w Krakowie); Kalikst Morozewicz, lubelski († 1872 r. w Paryżu); Józef Swirski, hrubieszowski († 1854 r. w Paryżu); Wincenty Chełmicki, przasnyski († 1846 r. w Chantilly Oise); Stanisław Barzykowski, ostrołęcki († 1872 r. w Paryżu); Adam Łuszczewski, sochaczewski; Rudolf Wieszczycki, gostyński (odebrał sobie życie 1839 r. w Weissenburgu w Alzacji); Franciszek Trzciniński, orłowski († 1861 r. Fontainebleau); Joachim Lelewel, żelechowski († 1861 w Paryżu); Ksawery Godębski, łucki († 1867 r.); Stanisław Worcell, rowieński († 1857 r. w Londynie); Aleksander Jełowicki, hajsyński († 1877 r. w Rzymie); Amancyusz Żarczyński, winnicki († 1875 r. w Norymberdze); Henryk Nakwaski, braclawski († 1876 r. w Tours); Wincenty Tyszkiewicz, skwyrski; Herman Potocki, machnowiecki († 1866 r. w Paryżu); Józef Tomaszewski, lipowiecki († 1850 r. w Homburgu); Jakób Malinowski, radomyski; J. Bohdan Zaleski, taraszczański († 1886 r. pod Paryżem); Feliks Kiniewicz, mozyrski; Władysław Plater, wilejski († 1889 r. w Szwajcaryi); Waleryan Pietkiewicz, słucki († 1843 r. w Tours); Antoni Hłuszniwicz (dr. medycyny), borysowski († 1861 r.); Cezary Plater, wileński († 1869 r. w Górze w W. Ks. Poznańskim); Ludwik Zambrzycki, brastawski († 1834 w Paryżu); Józef Zienkiewicz, oszmiański († 1833 w Paryżu); Ludwik Pietkiewicz, wilkomierski; Adam Kołysko, upitski († 1870 r. w Paryżu); Antoni Przeciszewski, rosieński; Józef Kaszyc, nowogrodzki († 1868 w Nicei); Karol Niemcewicz, brzeski († 1867 r. w Paryżu); Eugeniusz Breza, słonimski († 1876 r. w W. Ks. Poznańskim); Józef Potocki, bielski († 1863 w Paryżu); Jan Karwowski, białostocki († 1870 w Paryżu).

Deputowani: Jan Olrych Szaniecki, dep. stopniński († 1840 r. w Paryżu); Józef Ziemięcki, wieluński; Walenty Zwierkowski, warszawski († 1859 r. w Paryżu); Franciszek Wołowski, warszawski († 1844 r. w Paryżu); Teodor Morawski, kaliski († 1879 r. w Paryżu). *Ogółem 54-ch.*

STANISŁAW SZPOTAŃSKI.

Ruch literacki we Francyi.

Anatol France, — Piotr Loti, — Henryk Bordeaux, — Henryk de Régnier, —
Paweł Adam.

W każdej epoce i w literaturach wszystkich narodów trafiają się mniej lub więcej liczni autorzy, których twórczość, posiadająca albo charakter zupełnie odrębny, lub łącząca w sobie jednocześnie cechy nader różne, nie da się zaliczyć do żadnej z bliżej określonych kategorii. Okres współczesny w literaturze francuskiej jest pod tym względem wyjątkowo znamienitym.

Wśród powieściopisarzy francuskich doby obecnej, takie odrębne, a z powodu swych wyjątkowych zalet bardzo wybitne stanowisko, zajmuje *Anatol France*. Z wielu względów nazwałoby można tego autora moralistą, gdyby nie to, że idee, wyrażone w jego dziełach, są właściwie zaprzeczeniem wszelkiej moralności. W istocie rzeczy, Anatol France jest nader zręcznym, nader wyrafinowanym ironistą, jego pisma, to subtelne satyry, którym za podstawę służy absolutny sceptycyzm autora.

Ale sceptycyzm jego ma też właściwości zupełnie oryginalne, polega on bowiem nietyle na zaprzeczeniu, ile na skłonności do asymilowania sobie z równą łatwością wszelkich najsprzeczniejszych wierzeń bez przyznawania żadnemu jakiegokolwiek powagi.

Pojęty w ten sposób sceptycyzm Anatola France ma tę wyjątkowość, iż jest wolnym od doktrynerstwa. Satyra jego nie jest zjadliwą—ironia, która się w niej kryje czasem dość głęboko, łączy się z sympatją, łagodzącą w formie przyjemnej i ujmującej to, co myśl zawierać może gryzącego. Nadto sceptycyzm ten nie wyłącza jedynego kultu, któremu p. France oddaje się z całym zapalem wyznawcy—kultu Piękna.

Wysoka kultura, niezwykajna erudycya, przy wrodzonej wrażliwości na to wszystko, co stanowi ozdobę życia, czyni go

przedewszystkiem estetą i artystą. Od dziecka oswojony z rzadkimi okazami starych, często artystycznie zdobnych ksiązek, rycin, zabytków sztuki dawnej—ojciec jego był antykwaryuszem—wychowany w pojęciach i formach religijnych przez matkę, która zabawiała go opowiadaniem z żywotów świętych i starych legend, Anatol France wczesnie nabrał zamiłowania do przeszłości chrześcijańskiej, którego ani późniejsze nauki klasyczne, ani brak wiary i sceptycyzm, jako ich wynik, wykorzenie nie mogły. Mistyczne wpływy pierwszych lat życia odbiły się bardzo silnie w twórcach umysłu dojrzałego.

To też do dzieł swoich czerpie on najchętniej natchnienie w tej właśnie przeszłości, w legendach, odnoszących się do pierwszych wieków chrześcijaństwa, w których prawdziwa pobożność idzie w parze z zabobonną wiarą w cudowność, zrodzoną w bujnej wyobraźni umysłów pierwotnych. Poezya, zawarta w tych prostodusznych wierzeniach, opowieściach i tradycjach, ma dlań szczególny urok.

Anatol France lubi posługiwać się ich formą archaiczną i unie do tego stopnia przejąć się ich duchem i wczuć w naiwne pojęcia czasów minionych, iż zdaje się sam je podzielać—zaledwie przebijająca się tu i owdzie ironia ujawnia czasem rzeczywistość umysłowość autora.

Przy umyśle ściśle analitycznym, France posiada uczuciowość nader wrażliwą, skłaniającą go do marzenia, która wypływa z jakiejś wrodzonej jego naturze prostoty, szczerości i świeżości uczuć. To połączenie wysokiej kultury z prostotą, sceptycyzmu ze skłonnością do naiwnych form wiary, sztuczności i sofistyki ze szczerością, wraz z żywym dowcipem, stylem lekkim, łatwym, wyjątkową wytwornością przypominającym pisarzów wieku XVIII-go,—stanowi oryginalność i urok jego twórczości.

Jako filozof, France jest przedewszystkiem uczniem Epikura. Zgłębiwszy wszystkie dostępne człowiekowi nauki, nie wyłączając teologii i pism ojców kościoła, doszedł on przy pomocy metody krytycznej do przekonania, że najgłębszą filozofią jest filozofia dusz prostych; ale, aby to pojąć w całej pełni, trzeba koniecznie tę prostotę utracić, bo prostota sama siebie znać nie może. Podobne, subtelne sofizmaty spotykają się u niego co chwila. W gruncie rzeczy Anatol France jest moralnym nihilistą. Zdaniem jego, moralności niema, są tylko pewne obowiązujące obyczaje, które, jak wskazuje historia ludzkości, różnią się bardzo, stosownie do ras i okolic, i ulegają nieustannym zmianom. Ileż to religij, ileż to wierzeń, z których każde uznawano w swoim

czasie za pewnik nieomylny, przewinęło się w ciągu wieków, by zginąć bez śladu!

W rzeczywistości nic nie jest samo w sobie dobrem lub złem, słusznem lub niesłusznem, przyjemnem lub nieprzyjemnem. Nie ma nawet zdrowia i choroby, są tylko różne stany naszych organów. Gdy powstajemy przeciw zepsuciu, zapominamy, że ono to właśnie powoduje potrzebę moralności, równie jak gwałt jest przyczyną istnienia prawa.

Nauka również w gruncie rzeczy nie istnieje, gdyż nie sięga poza fenomeny doświadczalne. Nawet matematyka, pomimo swej pozornej ścisłości, niema żadnej prawdziwej podstawy, gdyż czas, od którego zależą liczby i przestrzeń, która wyraża się w liniach, nie mają, poza obrębem naszych pojęć, nic rzeczywistego. Pewników żadnych niema, są tylko pozory, w których dostrzegamy jedynie odbicie własnego ducha. Metafizyka jest wymysłem ludzkiej wyobraźni. Zdaniem p. France, byt nie przedstawia żadnej zagadki.

Zdawałoby się, iż takie zapatrywania powinny logicznie prowadzić do pesymizmu, ale szczęśliwy temperament France'a breni go od takowego; jeśli niema nic do poznania, to i o cóż się troszczyć? Jeśli wszystko jest tylko ułudą, jeśli świat składa się z pozorów, wśród których ubiega życie ludzkie, to pozostaje tylko wybrać te, które nam życie uczynić mogą znośnem i przyjemnem. Co nas obchodzi dokąd prowadzą drogi życia? Stokroć ważniejszem jest wiedzieć, którądy one prowadzą.

By dowiedzieć się, która droga jest dobrą, France badał teologów, filozofów, uczonych, magów i t. p. i nie znalazłszy zadawalniającego objaśnienia, uznał za najlepszą tę, która jest najprzyjemniejszą.

Taka etyka byłaby nader pospolitą, gdyby nie to, że przy niezwykle wytwornym i delikatnym smaku Anatola France, przy jego estetyce subtelnej, nie uznającej żadnych praw, ani systemów, łączy się ona u tego pisarza z wyrafinowaniem poczuciem Piękna, podnosząc i uszlachetniając odblaskiem ideału to, co taka pogańska koncepcya życia zawiera niskiego materializmu. Poezja i sztuka, oto ozdoba życia, w której France poszukuje wyższych rozkoszy. Stąd to pochodzi, że w tworcach umysłu ludzkiego daje on zawsze pierwszeństwo tym, w których przeważa uczucie i wyobraźnia i tem również tłumaczy się jego zamiłowanie do tych epok w rozwoju ludzkości (jak pierwsze wieki chrześcijaństwa lub średniowieczne Włochy), w których uczucie, nie zaś rozsądek, lecz zimne wyrachowanie, nadawało przedewszystkiem kie-

runek życiu narodów. Skądinąd umysł jego subtelny i skłonny do analizy, przejął się szybko sceptyczną trzeźwością filozofów XVIII wieku i wyraził się w twórczości pełnej przeciwieństw, ale nadzwyczaj oryginalnej i pociągającej zarówno dowcipem, jak i urokiem poezyi i arcyzmu. Ale jeżeli ma on szczególną predykcję do twórców wyobraźni, to jemu samemu tej właśnie wyobraźni brakuje, co też jest powodem, iż powieści jego i opowiadania nie posiadają prawie żadnej fabuły i zasadzają się głównie na rozmowach i dyskusjach. Są one często dziwaczne, niespojone, bez akcji, czem szczególnie odznaczają się pierwsze jego utwory, jak „Jocaste“ i „Les Désirs de Jean Servien“, równie jak i „L'Orme du Mail“, „Le Mannequin d'Osier“, „Crainquebille, Putois, Riquet“ i t. p.

W innych znowu, pozbywszy się dziwactw, poszukuje Anatol France prostoty i naiwności, jak w „Livre de mon ami“, w którym opowiada wspomnienia własnej młodości, w powiastkach dzieciennych „Abeille“ i „Nos Enfants“, lub w historyach z pierwszych czasów chrześcijaństwa: „Thaïs“, „Les Noces Corinthiennes“, „Balthazar“, w „Etui de Nacre“, w których tę naiwność posuwa tak daleko, iż przechodzi ona w ironię.

Ironia, ukryta pod pozorami sztucznej naiwności w powyższych utworach, staje się już jawną w tych, które uważać można za jego największe arcydzieła, mianowicie w „Le Crime de Sylvestre Bonnard“, w „Rôtisserie de la Reine Pédauque“, w „Les Opinions de Mr. Jérôme Coignard“ i w „Monsieur Bergeret à Paris“, w których głównych postaciach: Sylwestrze Bonnard, księdzu Coignard i p. Bergeret poznać można samego autora. Przez ich to usta wypowiada France swoją filozofię, którą też we własnym inieniu wykłada w „Jardin d'Epicure.“

Ów Sylwester Bonnard, stary uczony, członek Instytutu, jest jego wiernym portretem. Uczoność nie zabiła w nim uczuciowości, nie przeszkadza mu oddawać się fantastycznym marzeniom, szczerzej wesołości, w której zawsze przebija szczypta ironii. Niemniej zdobyta nauka, zamiast uczynić go pysznym, przekonywa go o nicości człowieka i samej wiedzy. Gdy panna Préfère, zdumiona wielką ilością książek nagromadzonych w bibliotece Bonnarda, zapytuje go, czy to wszystko czytał, uczony odpowiada: „Niestety! I dla tego właśnie nie wiem.“

Jak France, Bonnard jest zamilowanym archeologiem, kocha się w przeszłości, w naiwnych formach sztuki i poezyi, w których przechował się w całej czystości, w całej sile swego wyrazu duch dawno minionych, odległych pokoleń, które przemawiają do nas

za ich pośrednictwem, dając nam poczucie bytu ludzkości poza obrębem czasu.

W „Rôtisserie de la Reine Pédauque“ spotykamy się z nader ciekawą postacią księdza Hieronima Coignard, wyrażającego wśród zajęć fantastycznych poglądy France'a.

W traktyerni owej poznajemy zebrane tam osoby—jej gospodarza Leonarda Ménétier, który nie lubi wylewać za kołnierz, jego żonę Barbarę, syna ich Jakóba, zwanego Tournebroche dla funkcyj, które pełni w ojcowskiej kuchni, kabalistę barona d'Astarac i wreszcie księdza Coignard, mędrca, nie gardzącego rozkoszami podniebienia. Ten ostatni, wraz ze swym uczniem Jakóbem Tournebroche, podejmuje się tłumaczenia dla barona d'Astarac dzieła Zozima Panopolitańskiego, w trakcie czego młody Jakób zakochuje się w Jaheli, siostrzenicy żydowskiego czarownika Mozaida, co nie przeszkadza mu odwiedzać Kasię koronczarkę (Catherine la dentellière), która, dzięki hojności bogatego finansisty p. de la Guéritaude, prowadzi życie zbyt kowne i nie odmawia swych wdzięków narwanemu awanturnikowi, kawalerowi d'Anquetil, aż do chwili, gdy pan de la Guéritaude zastaje go u niej w towarzystwie Jakóba i ks. Coignard, którzy uśmiercają go prawie, poczem chronią się czas jakiś przed sprawiedliwością u barona d'Astarac. Kawaler d'Anquetil uwodzi wśród tego piękną Jehelę i uchodzi wraz z nią, Jakóbem i ks. Coignard. Ten ostatni w ucieczce tej ginie z ręki Mozaida i umiera z chrześcijańską przykądnością.

Oto i cała treść tej fantastycznej bajki, która, równie jak i ciekawe zresztą opowieści barona d'Astarac na temat magii i kabalistyki, nie może dać pojęcia o wartości utworu, tej bowiem szukać należy w wybornej charakterystyce owego Hieronima Coignard, któremu, dla uzupełnienia jego poglądów i uplastycznienia ich przy pomocy kontrastu, nadał autor charakter kapłański. Ks. Coignard, doktor św. Teologii, uczony, który posiadał wszelkie gałęzie wiedzy, jest też filozofem niezwyklej miary, umiejącym połączyć i pogodzić najsprzeczniesze zasady i idee, utworzyć sobie z takiego amalgamatu etykę własną i stosować ją w życiu z najwyższym spokojem, przekonaniem i zadowoleniem wewnętrznem. Jest on przytem najwierniejszym synem i sługą kościoła, przyjmującym bez zastrzeżeń dogmaty, których filozofia jego nie dotyka.

Doświadczony, gładki, wymowny, towarzyski, potrafi on wyrazić swe myśli w formie zarazem pociągającej i poważnej, łatwej i wzniosłej i umie, nawet w razach najtrudniejszych, znaleźć zawsze argument przekonujący, lub usprawiedliwiający. Wysoka kultura umysłowa, prawdziwe zamiłowanie nauki i sztuki nie prze-

szkadza mu wszakże w postępowaniu, które pospolicie zwie się niemoralnem. Przeciwnie, filozofia jego, zasadzająca się na po-
 błażliwości dla siebie i drugich, usprawiedliwia i tłómaczy jego
 uczynki. Jakoż tego uczonego i pokażnego męża widzimy odda-
 jącym się hulankom, oszukującym przy grze w karty, kradnącym
 dyamenty barona d'Astarac, łakomym na wdzięki niewieście, win-
 nym niemal zabójstwa na osobie pana de la Guéritaude i t. p.
 Przeciętny człowiek, któryby dopuścił się takich przestępstw, był-
 by poprostu łotrem. Inaczej rzecz się ma z ks. Coignard, i tu
 uwidocznia się wyższość jego filozofii—wszystkie te grzechy, da-
 jąc mu sposobność do pokuty, a więc podniesienia duszy ku Bo-
 gu, przyczyniają się do pomnożenia jego pobożności. Zmysłowość
 jest właściwością ciała, która popycha nas do popełniania uczyn-
 ków zdrożnych. Jeżeli wszakże przypisywać będziemy tym ostat-
 nim zbyt wielką wagę, to tem samem staniemy się winni nad-
 miernego cenięcia rzeczy cielesnych, gdy powinniśmy przedewszy-
 stkim zajmować się potrzebami duszy. Przykłady takiej pogar-
 dy dla ciała znajdujemy w żywotach świętych.

Marya Egipcyanka, napotkawszy w drodze do Ziemi Świę-
 tej głęboką rzekę, a nie mając czem zapłacić przewoźnika, wo-
 lała poświęcić swe dziewictwo, które oddała mu w miejsce nale-
 żnej za przewóz nagrody, aniżeli nie dopełnić pielgrzymki. Taka
 pokora w lekceważeniu ciała, dla pozyskania korzyści duchowych,
 doprowadziła ją do świętości. Moralność w znaczeniu pospolitem
 niema w sobie nic stałego, jest zmienną i najczęściej bezzasadną.
 Człowiek myślący nie powinien cenić jej ponad jej wartość, lecz
 dbać bez względu na nią o zbawienie duszy. Powinno się dążyć
 nie do cnoty, lecz do świętości. Cnota powoduje pychę. Niemo-
 żna mieć pokory chrześcijańskiej bez poczucia swej nędzy, a to
 poczucie daje nam grzech. Najwięksi święci są to pokutnicy,
 a ponieważ wielkość żalu zależy od wielkości grzechu, przeto
 w największych grzesznikach znajduje się materiał na najwię-
 kszych świętych. Zawiązek świętości zawiera się tedy w pożądli-
 wości, niewstrzemięźliwości i wszelkiej nieczystości ciała i ducha.
 Trzeba tylko po nagromadzeniu tego surowego materiału obro-
 bić go wedle sztuki teologicznej i ulepić zeń posąg pokuty.

„Les Opinions de M. Jérôme Coignard“ jest dalszym cią-
 giem wykładu filozofii tego męża już bez dodatku jakiegokolwiek
 fałudy. O ile w poprzednim utworze zasady jego opierały się na
 poślężliwości dla usterek, wynikających z ustroju ludzkiego or-
 ganizmu, o tyle w następnym za podstawę służy im pogarda dla
 rodzaju ludzkiego, wypływająca zresztą z tego samego źródła, co

i pobłażliwość, ale pogarda nie w znaczeniu zwykłym, lecz pozbawiona złości i namiętności, nienaruszająca bynajmniej wewnętrznej równowagi i niezmaconej pogody ks. Coignard. „Wzajemna pogarda—mówi on—to pokój na ziemi. Gdyby ludzie szczerze sobą wzajemnie pogardzali, przestaliby sobie szkodzić, żyliby spokojnie i przyjemnie. Wszystkie nieszczęścia społeczeństw cywilizowanych pochodzą stąd, iż obywatele zanadto się cenią i wznoszą honor, jakoby potwora, ponad nędzę ciała i ducha. Uczucie to czyni ich dumnymi i okrutnymi. Nienawidzę pychy, która chce, aby czcić siebie i drugich, jak gdyby w pokoleniu Adama mógłby być ktokolwiek godnym czci! Otóż to jest wstrętny rodzaj bałwochwalstwa! Aby więc zapewnić ludziom istnienie nieco szczęśliwsze, trzeba przywołać ich do pokory. Będą szczęśliwi, gdy powróciwszy do odpowiadających ich stanowi uczuć, będą pogardzać jedni drugimi, nie czyniąc wyjątku dla siebie.“ Reszta wyrażonych tu myśli jest już prostą konsekwencją tej pogardy, wpływającej z przekonania o nicości i nikczemności natury ludzkiej. Tak więc nauki niema, bo bliższe badanie natury pomnaża tylko nasze złudzenia; pojęcia słuszności i niesłuszności są tylko sztucznymi sofizmatami—o wartości wszelkiej sprawy sądzić można tylko wedle jej powodzenia; prawa, które rządzą ludźmi, powstały z niewiadomości, przesądu, widoków osobistych lub fantazyi—stosowanie ich jest tylko uświęcaniem największych niegodziwości społecznych. Cała ta filozofia, jako oparta na zręcznych sofizmatach, prowadzi ostatecznie do sprzeczności i illogizmu, z pogody bowiem, spokoju i wewnętrznego zadowolenia, które w niej czerpie, ks. Coignard wpada w pesymizm, popychający do rozpacz i samobójstwa. Ks. Coignard sam przyznaje na końcu, iż gdyby nie wiara, która polega u niego na przekonaniu, że mądrość boska nie liczy się z drobiazgowymi przepisami wątlej moralności ludzkiej, rzuciłby się do wody, lub w objęcia Kaśki koronczarki, w których profani znaleźć mogą zapomnienie nędz żywota. Duchowy portret ks. Coignard ukazuje autor na tle wieku XVIII, czyni to jednak głównie dla tego, że ta epoka jawnego libertynizmu, przy zachowaniu form zewnętrznych dawnej obyczajności i jednoczesnym wysokim rozwoju kultury umysłowej, nadawała się szczególnie do uwydatnienia podobnych typów, zarazem oryginalnych i charakterystycznych. To nie przeszkadza, że ks. Coignard pod tą formą nieco archaiczną posiada wszelkie cechy współczesne. Do współczesności wreszcie już bezpośrednio zwraca się Anatol France w szeregu powieści zatytułowanych „Histoire contemporaine“—„L’Orme du Mail,“ „Le Mannequin d’osier,“ „L’An-

neau d'améthyste," „Mr. Bergeret à Paris," których bohater, ów pan Bergeret, wygłasza poglądy w stosunku do warunków dzisiejszych równe wartością poprzednim.

Wraz z tym ostatnim bohaterem swoim France, który się był zamknął dotąd wyłącznie w sferze idei czystej, w swem państwie książek, gdzie, wspólnie z uczonym Sylwestrem Bonnard, pozostawał widzem komedii życia, opuścił nagle ustronie, aby wziąć udział w palących sprawach chwili, zmanifestował dość ostentacyjnie swe przekonania polityczne w przemówieniu nad grobem Zoli, autora „J'accuse," oraz w pismach z tego zakresu p. t. „Opinions sociales," w których okazał się w kwestjach społeczno-politycznych, wbrew dotychczasowemu duchowi bezstronności, zwolennikiem idei najbardziej zaawansowanych.

W następnej powieści swojej „Histoire Comique" zdaje się on jednak być nieco zniechęconym do tych zapasów współczesnych, które sprawiają mu wrażenie szarpania się waryatów, zaś w fantastycznym utworze p. t. „Sur la pierre blanche" przedstawia przyszłe społeczeństwo kolektywistyczne z równie satyryczną ironią, ale bez tej sympatii, jak i naiwne pokolenia dawnej przeszłości.

Jego powieść współczesną i światową „Le Lys rouge" zaliczyć należy do romansu psychologicznego, a zarazem artystycznego, gdyż rzeczy sztuki i estetyki zajmują w niej pierwszorzędne miejsce.

W swych pismach z zakresu krytyki literackiej p. t. „La vie littéraire" zainaugurował Anatol France t. zw. krytykę impresjonistyczną, subiektywną, którą przeciwstawił krytyce obiektywnej, czyli dogmatycznej, uprawianej z jakąś bezwzględnością przez Ferdynanda Brunetière'a. Wedle France'a, zadaniem krytyka jest wyłącznie notowanie wrażeń własnych, doznawanych przy czytaniu utworów literackich, nie zaś sądzenie takowych w imię z góry ustanowionych prawideł i dogmatów, które, jako wymysł pedanterii, nie mają żadnej realnej podstawy. „Krytyka jest rodzajem romansu," orzekł France, i z tego punktu wychodząc, w taki też sposób w „La vie littéraire" traktował własne prace krytyczne.

Takie pojmowanie krytyki jest naturalnym wynikiem ogólnych zapatrywań France'a i ma za sobą pewne pozory słuszności, ale posunięte zbyt daleko, staje się fałszem, odbiera jej wszelką powagę, czyniąc ją zależną od fantazyi, kaprysu, humoru, lub chwilowego nastroju jej autora.

Ostatniem dziełem Anatola France jest obszerne studjum historyczne „Jeanne d'Arc,“ którego tom pierwszy wyszedł już w roku bieżącym.

*

*

*

Niemniej, jak Anatol France, odrębne miejsce we współczesnej literaturze francuskiej zajmuje *Piotr Loti*.¹⁾ Wprawdzie za jego przykładem pewna liczba romansopisarzy zwróciła się po treść swych powieści do krain oddalonych, obyczajów różniących się bardzo od tych, do których przywykliśmy w Europie, do niezwykajnych wrażeń dalekich podróży i t. p., i w ten sposób powstał rodzaj romansu, zwany *egzotycznym*, którego Loti jeśli ściśle biorąc nie jest twórcą, to jest w każdym razie niewątpliwie jego inspiratorem.

Egzotycznymi są też wszystkie słynne na cały świat dzieła Lotiego, nawet te, których akcja nie wybiega poza granice Francyi lub Europy. Ale egzotyizm jego nie polega, jak u innych, na opisie wydarzeń, obyczajów lub widoków z pod innych szerokości geograficznych, lecz na szczególnem, jemu tylko właściwem odczuwaniu wrażeń, doznawanych w ciągu nieustannych wędrówek, wśród których upływa życie tego poety-marynarza, oraz na sposobie wyrażenia takowych, zarówno prostym, jak i nieuchwytnym, niepodobnym prawie do określenia, a tembardziej do naśladowania. Egzotyizm Lotiego jest przedewszystkiem egzotyizmem uczucia i w tem to właśnie leży jego oryginalność. Jego manierę nazwano dość trafnie impresyonizmem—w rzeczy samej, podobnie jak impresyoniści, Loti ogranicza się do notowania wrażeń i uczuć nieuchwytnych, chwilowych, znikomych; równie jak i oni, stara się je wyrazić w formie najprostszej, niedokończonej, by przez zbytnią ścisłość nie odebrać im charakteru świeżości i zmienności. Obrazy, które on roztacza przed nami, przypominają delikatne harmonie sztuki japońskiej, ale są tak blade, iż stają się niekiedy niedostrzegalne. Naprawdę nie są to obrazy, lecz widziadła, miraż; Loti nie maluje ich, lecz podsuwa nam tylko nastroje, wy-

¹⁾ Julian Viaud.

wołane w jego wrażliwej duszy zarówno przez otaczającą naturę, jak i przez różne wydarzenia i okoliczności, często bardzo nieznaczące. W utworach Lotiego niema żadnej głębszej myśli, żadnej idei, nic, co by przemawiało do umysłu, do inteligencji czytelnika, zato przemawiają one wyłącznie bardzo silnie i prawie bezpośrednio do uczucia, na podobieństwo muzyki, przypominając swą nikłością senne majaczenia.

Utworky te nie są też prawdziwemi powieściami, niema w nich wogóle ani ściślej budowy, ani logiki akcji, ani żadnej fabuły — składają się one raczej z szeregu obrazów, następujących po sobie bez ściślejszego związku prawie, jak we śnie. Mistrzostwo i artyzm Lotiego objawia się też głównie w umiejętności wyrażenia za pomocą języka zwyczajnego, zwrotów i słów prostych, niewyszukanych, tego, co się wogóle bliżej określić i wyrazić nie daje. Na oryginalność też się on bynajmniej nie sili — jestto zawsze niemal we wszystkich jego utworach powtarzający się romans, w którym zmieniają się tylko imiona egzotycznych kochanek, nieodmiennie jednakowych w swej prymitywnej prostocie istot urojonych i obdarzonych przez autora jego własną wyegzaltowaną uczuciowością.

Takie są te wszystkie *Rarahn*, *Madame Chrysanthème*, *Faton-Gaye*, *Aziadée*, *Fatmy* i t. p., różniące się prawie wyłącznie barwą cery, strojem i dekoracją otoczenia.

Służą one zresztą Lotiemu tylko za pretekst do wypowiedzenia tej własnej uczuciowości i udzielenia jej czytelnikowi w nieuchwytej formie marzenia na jawie.

Loti powtarza się równie w treści i kompozycji swych utworów, jak i w uczuciach, które w nich odgrywają rolę przeważną, ale tym ostatnim potrafi on nadać akcenty nowe i tak chwytające, że urok ich nie przestaje oddziaływać na nas zawsze z tą samą siłą.

Podstawą uczuciowości Lotiego jest głęboka melancholia, beznadziejny smutek, wrodzony jego naturze pesymizm, wynikający nie z rozumowania, lecz z poczucia znikomości wszystkiego na świecie, śmierci, w której wszyscy żyjący znaleźć muszą ostateczny koniec, z osobistej obawy nieuniknionego niebytu. To poczucie śmierci jest w myśli jego nieustannie obecnem, wszystko mu ją przypomina: bezmiar morza, mglistość północy, jasne słońce wschodu, gwiazdzista noc na pustyni. Zatrzuwa mu ono najśłodsze chwile miłosnych uniesień, napęła go nieokreślonym niepokojem, którego nigdy pozbyć się niemoże. Stąd to pochodzi jego przywiązanie z jednej strony do miejscowości i przedmio-

tów, których trwałość powierzchownego wyglądu, pozornie niezmienna, pozwala mu zapomnieć na chwilę o biegu czasu i zbliżającym się końcu; stąd, z drugiej—potrzeba ciągłej zmiany wrażeń, aby w ciągu krótkiej chwili życia doznać ich jaknajwięcej; stąd też jego kult wspomnień, nieustanna chęć odnowienia uczuć i wrażeń, dawniej doznawanych, by w ten sposób przywołać do istnienia chwile minione, mieć chociaż złudzenie, że trwać one nie przestały, że czas, który dzieli je od terażniejszości, nie upłynął, że on sam nie uległ zmianie. Śmierć bowiem nie oczekuje nas tylko na końcu istnienia, ale towarzyszy nam ciągle w życiowej pielgrzymce, z każdą chwilą, która upływa, zabiera nam ona częśćkę życia. Każdy wyjazd, każda rozłąka, zapomnienie wreszcie—to śmierć częściowa, która uprzedza ostateczny kres bytu. Loti wybiera zawsze swych bohaterów wśród istot jaknajmniej złożonych, których psychologia jest bardzo prostą, u których uczucia instynktowne lub impulsywne, niehanowane kulturą intelektualną, występują tem wyraźniej, objawiają się z tem większą siłą. Wszystkie jego kochanki z dalekich krain, których uosabiają wdzięku szczególnie, są to takie istoty prymitywne. Niemniej impulsywnym charakterem odznaczają się jego postacie europejskie, jak majtek Jan Berny w „Matelot“ i jego nieszczęśliwa matka, jak Ramuntcho, jak Gand i Sylwester w „Pêcheur d'Islande.“

W „Livre de la Pitié et de la Mort“ swą zdolność wyczuwania smutku i bólu stosuje Loti nawet do istot niższych, do zwierząt, których niedolę wyrazić umie z prawdziwie wzruszającym współczuciem („La Bête galeuse,“ „Viande de boucherie“).

W „Pêcheur d'Islande“ i w „Matelot,“ arcydziełach jego, których treść nadto jest znaną, aby ją trzeba powtarzać, ten smutek bez ratunku, ten ból straszny, trapiący ludzkość, wyrażony środkami najprostszemi, staje się tak głębokim, iż sięga tragizmu.

W „Jerusalem,“ Loti, dręczony nieopuszczającym go widmem śmierci, próbuje schronić się przed niem w religijnej wierze w życie pozagrobowe i, aby dawno utraconą tę wiarę odzyskać, udaje się do Grobu Chrystusowego. Ale wszystko, co tam widzi, razi go i odstręcza i gdy wreszcie oczekiwane na górze Oliwnej w naiwnej pretensjonalności objawienie go zawodzi, opuszcza Loti niedostępne dla jego duszy miejsca święte, nie uwolniwszy się od towarzyszącej mu zmory, by znowu (w „Les Désenchantées“) prowadzić dalej po świecie poetyczny swój niepokój.

Ostatnie jego dzieła — „Reflets sur la sombre route,“ „Vers Ispahan,“ „La troisième jeunesse de Madame Prune,“ „L'Inde (sans les Anglais),“ „Les Derniers jours de Pékin“ i wymienione powy-

zej—„Les Desenchantées,“ choć charakterem swoim zupełnie podobne do dawniejszych, są zawsze równie pociągające i nic z uroku tamtych nie utraciły.

Te nadzwyczajne hallucynacye Lotiego, których czar dziwny przenika do głębi swą bezgraniczną melancholią, są dziełami niepospolitego artyzmu, ale beznadziejny pesymizm, który wydziela się z każdego ich słowa, działać musi rozstrajająco, wywołuje nastroj przygnębiającego smutku i zniechęcenia i wreszcie męczy, jak sen ponętny, a jednocześnie przykry. Szczęściem utwory jego są krótkie, smutne wrażenie, które wywierają, na razie silne, przemija szybko, pozostawiając tylko wspomnienie delikatnego ich wdzięku.

Literatura egzotyczna ma, prócz Lotiego, dość licznych przedstawicieli, którzy pozatem nie mają z nim nic wspólnego. Wyjątek stanowi tu pani Myriam Harry, której „Passage de Bedouins,“ „Conquête de Jérusalem“ i „Petites Epouses“ przypominają jego delikatną manierę.

*

*

*

Wśród młodego pokolenia powieściopisarzy współczesnych, kierunek tradycjonalistyczny znalazł poważnego przedstawiciela w *Henryku Bordeaux*. Zaczawszy od krytyki literackiej, w której starał się przede wszystkim odszukać i zrozumieć uczuciowość autora, jako duszę jego dzieła, sam wkrótce przerzucił się do działalności twórczej. Pojęcie powieści związał on ściśle z przekonaniem o posłannictwie społecznem sztuki i obowiązku pisarza, stąd też wszystkie utwory jego mają za zadanie przeprowadzenie pewnej tezy, którą jest zawsze potrzeba wzmocnienia podstaw moralnych społeczeństwa. W bohaterach swoich stara się on głównie odmalować ich życie wewnętrzne, przyczem subtelnością analizy psychicznej przypomina Bourgeta. Z drugiej strony, równie jak Bazin i Barrès, występuje Bordeaux przeciw dezercyi prowincyi na korzyść stolicy, żąda moralnej i politycznej decentralizacyi, która pozwoliłaby zachować i zużytkować na miejscu wszystkie siły prowincjonalne, z których najlepsze, przy obecnym ustroju, oderwane od pnia rodzimego, najczęściej ze stratą dla całego kraju, przepadają.

Życie prowincjonalne służy też Henrykowi Bordeaux za tło do jego powieści, których osnowy dostarcza mu przeważnie klasa średnia, jako moralnie najzdrowsza, wszelka bowiem zwyrodniałość, tak bardzo wogóle poszukiwana przez innych romansopisarzy, nie zajmuje go wcale. Naprzekór powszechnie przyjętemu zdaniu, że tylko życie występne lub lekkomyślne, ludzie źli i anormalni przedstawiać mogą interesujący temat powieści, postacie Henryka Bordeaux, to zwyczajni ludzie uczciwi, rządzący się prawami honoru i obowiązku, jakich, bądź co bądź, więcej się w życiu spotyka, niż to chce widzieć ogół autorów. Powieści jego nie mają też zbyt zawikłanej intrygi i akcji zewnętrznej, gdyż ogranicza się ona u niego do tych tylko objawów, które, będąc w ścisłym związku z komplikacjami życia wewnętrznego, przyczyniają się do ich wyjaśnienia. Pozatem w kwestyach polityczno-społecznych, które porusza, Bordeaux jest przeciwnikiem rewolucyi i wszelkich gwałtownych wywrotów, potępia zasadę powszechnego głosowania, która, dając przewagę liczbie nad wartością, ułatwia rękom szalonym i niegodnym pochwycenie steru spraw narodowych; podnosi znaczenie społeczne rodziny, która jest źródłem siły moralnej narodu, wyrazem solidarnego związku przeszłości z przyszłością i skarbcem, w którym przechowują się cnoty rasowe; ostrzega przeciw zamachom na jej całość, których dopuszczają się w ostatnich czasach systematycznie przez podkopywanie jej powagi zwyrodniałe i obłąkane umysły. W pierwszej powieści swej „Le Pays natal,“ ukazuje Bordeaux zbawienny wpływ atmosfery rodzinnego kraju, która z człowieka, zmierzającego ku pochyłości w odmieńce paryskim, czyni jednostkę pożyteczną, powracając mu poczucie i zrozumienie obowiązku. W powieści „La Peur de vivre,“ która jest dotąd najwięcej charakterystycznym jego dziełem, wypowiada walkę toczącej obecnie francuskie społeczeństwo chorobie, powstałej z ciasnego egoizmu, a objawiającej się przez „obawę życia,“ t. j. unikanie za wszelką cenę wszystkiego, co w życiu przedstawia jakieś ryzyko, niebezpieczeństwo, co wymaga walki, odpowiedzialności, poświęcenia, byle tylko mieć spokój osobisty, choćby z ograniczeniem własnych dążeń, nadziei i ambicyj, wyrzeczeniem się szerszych widoków. Taka choroba, to uwiąd, wycieńczenie i zatura sił życiowych, którą dotknięty naród, skazanym jest na zagładę. Ale taż sama choroba, pochodząca z tej samej moralnej ułomności—egoizmu, przybiera też charakter pozornie przeciwny, objawia się w działalności gorączkowej, w podwojeniu energii i wysiłku, lecz znowu cała ta działalność, to rozwinięcie energii jest w rezultacie tylko próżną stratą

sił ze szkodą dla społeczeństwa, bo celem tych wysiłków jest li tylko egoistyczne użycie osobiste, również za wszelką cenę i z uchyleniem się od obowiązków względem drugih. Kto zaś uchyla się od tych obowiązków, ten przez zerwanie solidarności społecznej, która spaja organizm narodowy, wprowadza doń rozstrój i rozprzężenie—pierwiastki anarchii, wiodącej go do zguby.

Życie złożone z trudów, pracy, walk, poświęceń i wyrzeczeń, nie dla celów osobistych, jest dopiero życiem dobrze wypełnionem i obowiązującym wszystkich. Oto idea przewodnia tej powieści. Idea ta, stara jak świat, będąca podstawą nie tylko moralności chrześcijańskiej, lecz wszelkiej kultury ludzkiej, która bez tej zasadniczej solidarności istniećby nie mogła, widoczna zresztą nawet u zwierząt w instynkcie stadnym, mogłaby łatwo wydać się komunałem w tezie romansu, gdyby nie to, iż tak ją zapoznano i w życiu i w literaturze, że zbudowano nawet sprzeciwiające się jej systemy filozoficzno-etyczne, które we Francyi znalazły, zwłaszcza w literaturze, entuzjastyczne przyjęcie. Henryk Bordeaux miał tedy zasadę przypomnieć współczesnym, iż są na błędnej drodze, jak to uczynił w przedmowie do „*La Peur de vivre.*“

Mieć wolę własną, umieć i chcieć życiu zajrzeć w oczy, jest niezbędnem nawet młodej panience. Alicya Dulaurens, która tej woli nie posiadała, jest nieszczęśliwą, gdyż, ulegając życzeniu matki, zamiast słuchać głosu serca, poszła za człowieka, którego nie kocha.

Z drugiej strony powieść ta przedstawia historię rodziny Guibert, której wszyscy członkowie rozumieją prawdziwe zadanie życia, są uzbrojeni w siłę woli i energię do walki z przeciwnościami, potrafią poświęcić interesa własne dla uratowania jednego z braci od ruiny, a nadewszystko ukazuje pięknie scharakteryzowany portret matki, umiejącej kochać swe dzieci bez egoizmu, poświęcającej się dla ich szczęścia, przyjmującej ze spokojnym i naturalnym heroizmem wszystkie ciosy, które ją dotyczą.

Te same zasady i idee przyświecają też innym jego utworom—odnajdujemy je w „*La voie sans retour,*“ w „*La petite Mademoiselle,*“ w „*Les Roquevillard,*“ w „*Les Yeux qui s'ouvrent,*“ równie jak w nowelkach: „*L'amour en fuite,*“ „*Une honnête femme,*“ „*Le paon bleu,*“ „*L'Ecran brisé,*“ „*La Maison maudite,*“ „*La jeune fille aux oiseaux,*“ „*La Visionnaire.*“ Jedna tylko powieść jego „*Le Lac Noir*“ ma charakter nieco różny. Jestto historia nadzwyczajna, chociaż oparta na faktach rzeczywistych, procesu, przeprowadzonego w Sabaudyi, w pełni XIX-go wieku, którego głównym motywem są czary i praktyki demoniczne. Książka ta

zawiera ciekawe studjum w tym zakresie i daje bardzo interesujący obraz obyczajów ludności sabaudzkiej, a jednocześnie charakterystykę miejscowego sądownictwa.

W konkluzji dochodzi autor do wniosku, że kary tortur i śmierci, na które skazywano niegdyś oddających się czarom, co jest przyjętem obecnie uważać, jako barbarzyński przesąd, miały zasadę w tem, że owi czarownicy dopuszczali się wogóle potwornych zbrodni, do których czary były pretekstem i pokrywką.

Styl Henryka Bordeaux jest staranny, równy, potoczysty i harmonijny, z czego niektórzy czynią mu zarzut monotonii — język zawsze poprawny, aż do wytworności, nawet w opisach scen pospolitych.

Prócz wyżej wymienionych utworów, Henryk Bordeaux jest autorem powieści, osnutej na tle wieku XVIII-go, p. t. „Jeanne Michelin, chronique du XVIII-e siècle,“ oraz prac z zakresu krytyki literackiej — „Villiers de L'Isle Adam,“ „Ames modernes,“ „Sentiments et idées de ce temps,“ „Les Ecrivains et les moeurs,“ „Vies intimes,“ „Pèlerinages littéraires.“

*

*

*

Prawdziwem przeciwieństwem powyższego jest, jako powieściopisarz, *Henryk de Régnier*. Tezy, która u tamtego gra rolę pierwszorzędną, w powieściach Henryka de Régnier niema wcale — uprawia on sztukę dla niej samej, bezinteresownie, nie oddając jej na usługi żadnych tendencyj społecznych, moralnych czy humanitarnych, romans jego tedy, powstały z potrzeby tworzenia, z temperamentu autora, interesuje sam przez się, nie zaś dla kwestyj ogólnych lub jakichkolwiek ideałów, wychodzących poza jego rany. Romans, jako twór wyobraźni człowieka, jest dziełem sztuki, wartość jego przeto znajdować się powinna w nim samym, a nie we względach obcych mu i postronnych. Henryk de Régnier jest przede wszystkim poetą, działalność swą literacką zaczął od poezyi, w której zakresie, jako jeden z promotorów symbolizmu i reformatorów prozodyi, a niemniej dzięki oryginalnemu talentowi swemu, zajął miejsce pierwszorzędne. Pierwszym utworem, które napisał prozą, nadał formę powiastek (contes), w których stylu sztucznym i skrępowanym znać, iż autor nie uwolnił

się jeszcze dostatecznie od wpływów mowy wiązanej. Te powiastki stanowią w rozwoju jego twórczości przejście od poezyi wierszowanej do romansu. Zamykają się one w seryach, zatytułowanych: „Contes à soi-même,” „Le Trèfle noir“ i „La Canne de jaspe,” oraz „Le Trèfle blanc.“ Akcyę swych powieści umieszcza p. de Régnier przeważnie w wieku XVIII, lubując się w jego swawolnej rozwiązłości, w smaku chorobliwie wytwornym w bogactwie i przepychu dekoracyi. W stylu lekkim, łatwym, żartobliwym i wykwintnym tych powiastek, wzorowanym na pisarzach XVII i XVIII w., niema już tego przymusu pierwszej jego prozy.

W romansie „La Double Maîtresse,” od którego datuje się sława powieściopisarska Henryka de Régnier, główną osnowę stanowi dziwna w pomyśle historia niejakiego p. Mikołaja de Galandat, wychowanego przez matkę w ścisłej nieznajomości porywów zmysłowych, wskutek czego zachował na całe życie w rzeczach miłości szczególną obawę i nieśmiałość, która nie pozwalała mu zadowolnić swych pożądliwości. Przyczyniło się do tego zwłaszcza wydarzenie, które go spotkało w pierwszej jego młodości — skuszony przez piękną kuzynkę swą Julię de Maussenil, trzymał ją już w objęciach, gdy niespodziane zjawienie się pani de Galandat i otrzymany od niej policzek rozdzielił ich gwałtownie i wstrząsnął do głębi jego systemem nerwowym. Gdy po latach znalazł się w Rzymie i ujrzał tam przypadkiem kobietę, której poza przypominała mu pamiętną scenę, uległ jej urokowi do tego stopnia, iż stał się niewolnikiem ladacznicy i doszedł do ostatnich granic upodlenia. To jest wątek główny tej powieści, zawierającej nadto wiele innych motywów, które z tantym pozostają w mniej lub więcej luźnym związku, posiadającej mnóstwo postaci ciekawie scharakteryzowanych, opisów, obrazów i epizodów, łączących w sobie wdzięk i artyzm z cynizmem i rozwiązłością.

„Le bon plaisir,” powieść na tle ostatnich lat panowania Ludwika XIV, jest napisaną w stylu pamiętników, nieposiada prawie żadnej intrygi, lecz składa się z szeregu anegdot i portretów epoki, którą odtwarza z wybornem odczuciem ducha i charakteru tych czasów. Jako zakończenie, umieścił autor przy tej powieści zręczną przeróbkę oryginalnego pamiętnika z owej epoki niejakiego pana de Collarceaux.

„Le Mariage de minuit“ jest powieścią współczesną, ale w stylu i charakterze bardzo podobną do poprzednich, ma wszystkie ich zalety z dodatkiem uczuciowości głębszej, wielkiego poczucia poezyi, przepięknych obrazów Wenecyi, w której kocha się p. de

Régnier, rysów satyrycznych w charakterystyce licznych postaci, oraz szczegółów mocno realistycznych.

„Les Vacances d'un jeune homme sage,“ to znowu historia współczesna młodzieńca, który, dzięki przystępnym wdziękom kuzynki, dwudziestoletniej wdowy, poznaje miłosne uniesienia. Rzecz ta przedstawia z prawdziwym i szczerym wdziękiem niezręczne jeszcze objawy pierwszych porywów temperamentu nowego, w których budząca się z niepowstrzymaną siłą zmysłowość idzie w parze ze świeżą w swej naiwności młodzieńczą uczuciowością.

Powieść „Le Passé vivant,“ po „La Double maîtresse,“ najwięcej charakteryzuje talent i indywidualność twórczą Henryka de Régnier w tym zakresie. Treść jej osnuł autor na tej myśli, że w potomkach odbijają się nietylko pewne rysy fizyczne lub duchowe przodków, ale niekiedy całkowita osobistość moralna i fizyczna jakiegoś przodka obiera sobie jednego z potomków, aby wcielić się na nowo w jego postać i uczynić z jego życia przedłużenie życia własnego. Bohater powieści „Le Passé vivant,“ znalazłszy w archiwach rodzinnych korespondencję miłosną swego pradziada z panią sąsiedniego zamku, z którą śmierć na polu bitwy przeszkodziła mu się połączyć, dochodzi do przekonania, iż w nim to właśnie odżył ów pradziad. Odtąd żyje on życiem podwójnem i czuje, że tajemnicza siła uczuć i namiętności tamtego popycha go do wypełnienia jego niezaspokojonych pragnień przez połączenie się związkami miłosnym z prawnuczką jego narzeczonej, którą uważa również za wcielenie jej prababki. To nie przychodzi mu z łatwością, pomimo wzajemnej i, jak chce autor, dziedzicznej ich skłonności—panienka idzie za mąż za innego i dopiero przy sposobności przypadkowej, którą spowodowała burza, gdy oboje schronili się w grocie parku, pragnienia przodków znajdują spełnienie w ich miłosnym uścisku. Ale po dopełnieniu przeznaczenia swego podwójnego życia dalsze istnienie wydaje się prawnukowi niepotrzebnem, podpala więc zamek rodowy i znika bez wieści, by odebrać sobie życie w miejscu, gdzie padł jego przodek.

Treść tego romansu, równie jak i poprzedniej powieści „La Double maîtresse,“ jest wytworem nieco chorobliwej wyobraźni, ale wartość jej polega znowu głównie na tle artystycznym, na którym się rozwija i na opisach, oraz epizodach dodatkowych. Autor prowadzi tu znowu czytelnika do ulubionej przez się Wenecyi XVIII-go wieku, dając mu odczuć jej ducha szczególnego i pełną dziwnego uroku poezję i zmusza do podzielenia własnych predylekcyj i entuzjazmów.

Dzieła Henryka de Régnier ze względu na swą formę niezmiernie wytworną, styl jasny, przezroczysty i, pomimo charakteru „rococo”—oryginalny, bo przetopiony w ogniu własnego temperamentu, stawiają tego autora, obok Anatola France, w rzędzie twórców odrodzenia klasycznego.

*

*

*

Jeśli o paru poprzednich pisarzach wypadło nam powiedzieć, że nie dają się zaliczyć ściśle do żadnego ze współczesnych kierunków literackich, ani rodzajów romansu, to zato znajdują się inni, których twórczość obejmuje jednocześnie wszystkie te kierunki i rodzaje.

Do takich należy *Paweł Adam*, powieściopisarz o talencie przechodzącym zwykłą miarę, płodności nadzwyczajnej, rzecz można — zbyt wielkiej, która dziełom jego, już nieco chaotycznym w swem założeniu, nadaje pewne cechy pośpiechu improwizacji. Te właściwości Pawła Adam, przy nader przenikliwym darze obserwacji, plastyce żywej jego postaci, oraz jego dążenie do scharakteryzowania społeczeństwa francuskiego pewnej epoki pozwoliły krytyce (Rémy de Gourmont) porównać go do Balzac'a.

Jak już zauważyliśmy, twórczość Pawła Adam odbija w sobie wszystkie prądy literackie ostatnich czasów — był on z kolei naturalistą, psychologiem, filozofem, mistykiem, symbolistą, socjologiem, a właściwie jest tem wszystkim naraz. Ta wszechstronność, równie jak i nadmierna płodność, nie wychodzi na korzyść dzieł jego, które, gdyby były więcej skoncentrowane, staranniej i spokojniej opracowane, zyskałyby tylko na wartości, jaką ma zresztą zapewne już talent prawdziwy i niepospolity, ale wybujały, niby dzika roślinność stepów; wyobrażenia niczem niehamowana, buchająca fantazją i siłą, pociągająca, a nawet porywająca czytelnika, lecz unosząca też samego autora, który, nie mogąc jej opanować, pędzi wraz z nią, jak wichur, traci niekiedy grunt pod nogami i gubi się w przestworzach. Styl jego, równie jak treść, improwizowany, zadziwia nowością i oryginalnością wyrażenia, ale odznacza się taką samą niejasnością, brakiem spójni, pośpiechem, sztuczną napuszystością, a nadto nie zawsze liczy się z wymaganiami składni (jak twierdzi p. Ernest-Charles).

Dziełem głównem Pawła Adam jest jego tetralogia—„La Force,“ „L'Enfant d'Austerlitz,“ „La Ruse“ i „Le soleil de Juillet“—która zawiera epopeę społeczeństwa francuskiego od Rewolucyi do Monarchii Lipcowej i odtwarza w świetnych obrazach bijące tak przyśpieszonym tętnem życie tego nadzwyczajnego okresu, pełnego zmian i niespodzianek, wśród których urobiła się umysłowość obecna francuskiego narodu.

Prócz tego dzieła o niezwykle szerokim widnokregu, Paweł Adam jest autorem bardzo wielkiej liczby powieści. Szereg ich rozpoczyna „Chair molle.“

Pierwszy ten utwór, który w swoim czasie (w r. 1885) wywołał skandal, zwrócił nań uwagę ogółu już przez to samo, że autor powieści skazanym został na 15 dni aresztu i tysiąc franków kary. Niemniejszą sensacyę sprawiła fantastyczna jego powieść „Le thé chez Miranda.“ Te dwie pierwsze powieści, wraz z kilkoma innemi następnemi, należą do kierunku naturalistycznego; dopiero z powieścią „Être,“ osnutą na tle stosunków feudalnych wieku XIV, w której tajemniczy okultyzm średniowieczny odgrywa pierwszorzędną rolę, przerzuca się Adam do symbolizmu.

„Être,“ „l'Essence de Soleil“ i „En Décor“ stanowi trylogię, zatytułowaną „Volontés merveilleuses.“

Późniejsze powieści Adama przedstawiają charakter najróżnorodniejszy — są więc wśród tych utworów satyry, idylle, epopee historyczne i socyologiczne, powieści autobiograficzne (jak „Images sentimentales) i t. p. Jest prócz tego Adam autorem prac historycznych—„Histoire de Byzance“ i „Histoire de la Papauté,“ oraz utworów dramatycznych—„L'Automne“ (wspólnie z Gabrielem Monrey), „Le Cuivre“ (z Andrzejem Picard) i „Les Monettes“—tę ostatnią sztukę grano z wielkiem powodzeniem w Komedyi Francuskiej w r. 1906.

Paweł Adam w tworcach swej wyobraźni kieruje się koncepcją syntetyczną, charakteryzuje całe epoki, umie po mistrzowsku poruszać wielkie masy, wybornie odczuwa ducha i nastroje tłumów. W ideach jego znać wpływy Nietzschego i Nordauna—tendencye dość sprzeczne — z przewagą krańcowo indywidualistycznych, a nawet anarchistycznych.

ORWID.

Pod osłoną literatury.

I.

„Nigdy chyba mniej nie było w teatrze literatury, jak pod tym literackim kierunkiem.“ Tak się ktoś odezwał, charakteryzując ubiegły trzymiesięczny okres życia dramatu i komedyi na tutejszych scenach rządowych. Te słowa, wyrzeczone przez jednego z naszych wybitniejszych artystów dramatycznych, wyglądałyby na sarkazm, wyjaskrawiony jakąś złośliwą, odwetową tendencją, gdyby nie zawierały, niestety, całkowitej, może nawet zbyt powściągliwie sformułowanej, prawdy. Bo nie o samą literaturę tu chodzi, ale o całą zwierchniczą dyrektywę artystyczną, sprawowaną ze zdumiewającą nieudolnością, z niepojętym w prowadzeniu repertuaru brakiem krytycyzmu, z tępą dla wyższych zadań sztuki obojętnością; idzie, słowem, o to wszystko, co się w teatrze dzieje pod osłoną literatury, na jej wyraźną szkodę; co poprostu kompromituje samą ideę kierownictwa literackiego; co wreszcie spiętrzy niewątpliwie mnóstwo trudności na drodze najrzetelniejszych usiłowań przyszłych kierowników, jeżeli wogóle literat poważny zechciałby jeszcze kiedy stanąć u steru sceny dramatycznej warszawskiej.

Oczywiście, że gdy mowa o zdyskredytowaniu dyrektywy literackiej, trzeba jasno określić stosunek publiczności, krytyki i sfer urzędowych do takiego opłakanego wyniku. Publiczność, krytyka, może się czuć boleśnie upokorzoną tem sponiewieraniem wobec kancelaryjnych rządów literackiego hasła; ale sfery oficjalne, rzucając nam nawet Molierowskie *tu Vas voulu George Dandin*, zapytując, nie bez ironii zapewne: „czegoż jeszcze chcecie, wszakże macie w teatrze literata, o którego dopominaliście się tak

gwałtownie—więcej prawdopodobnie myślą o utrzymanej szczęśliwie własnej placówce, aniżeli o zadawaniu zbyt dotkliwych ciosów ostrzem szyderstwa. Istotnie, biurokracja teatralna wytworzyła sobie obecnie dość wygodną pozycję: w rzekomej supremacji literatury ma gotową wymówkę i pod jej egidą czuje się tak pewną siebie, jak na szerszej, politycznej arenie, pozostała wszechwładną przy urojonem współdziałaniu „sił społecznych.“ Że w danym wypadku rolę „posłusznej Dumy“ odgrywa literatura, to naturalnie smuci tych tylko, którzy w niej ratunek dla upadającego teatru polskiego upatrywali; „kancelarya“ jest z takiej sytuacji zadowolona i może nawet z pewnem zdziwieniem powtarza: „powiedzcież nareszcie, czego właściwie chcecie?“

Próbowano już w prasie odpowiedzieć na to pytanie: Adolf Nowaczyński postawił ideał „dramaturga,“ p. Wacław Grubiński wypowiedział, jak pojmuje doskonałego „reżysera.“ Pierwszy zakończył swój szkic słowami: „wszystko to już i w najbliższej przyszłości być może... jednakże ja to między bajki włożę;“ drugi nazwał postulaty swoje „pobożnemi życzeniami.“ I to jest, wobec rozpaczliwej sytuacji naszej sceny dramatycznej, słabą stroną obu, po akademicku ujętych odpowiedzi; to dostarcza łatwych argumentów zainteresowanym u nas w utrzymaniu obecnych stosunków teatralnych.

Kiedy Nowaczyński głosi, że „zwycięstwem kultury w teatrze, jest całkowite wyparcie z niego żywiołów, żądających i zaspokajających ludowy głód *circensów*, a uwzględnienie tylko pierwszego domagania się ludu, t. j. *panem*, w sensie chleba duchowego, niezbędnego w procesie przerobienia psiego motłochu na myślącą publiczność“—trzeba mu obiema rękami przyklasnąć. Kiedy woła o „separację sztuki *pańskiej*, dojrzałej, z instynktów całego społeczeństwa płynącej, zatem narodowej, od sztuki cyrkowej, antyspołecznej kosmopolitycznej“—należy mu ze wszystkich sił wtorować. Kiedy w teatrze, „przekształconym na parlament posłów wszelkiego Piękna, na świątynię z ołtarzem, na którym Królowi-Duchowi niezwyciężonej niczem rasy składają się hołdy uroczyste, chce mieć Dramaturga, „symbolizującego *uobywatelnienie* teatru,“ i na to zaszczytne stanowisko powołuje „męża pochodzenia literackiego, uwierzytelnionego ambasadora literatury,“ który odda Warszawie prawdziwego Słowackiego, autentycznego Wyspiańskiego, wszystkich zaniedbanych dotąd poetów polskich i obcych, „a nawet sięgnie do starej Hiszpanii i do starej Anglii“—można tylko skwapliwie podążać za temi aspiracyami autora „Czarna Dymitra.“ Kiedy wreszcie życzy dramatowi war-

szawskiemu, żeby takim Dramaturgiem był „człowiek zdrów, jak rydz, hartowny, jak stal, chytry, jak lis, systematyczny, jak Franciszek Józef, oparty na współdziałaniu całej prasy, obywatel Europy, do Warszawy serdecznie przywiązany i w jej przyszłość kulturalną silnie wierzący“ — wypadnie z nim razem zawołać: „Królestwo za takiego!“ Gdy znów p. Wacław Grubiński, gubiąc chwilami w swoich wywodach subtelne z natury linie demarkacyjne między „dyrektorem,“ „dramaturgiem,“ a „reżyserem,“ szuka w idealnym reżyserze „wizyonera“ i żąda od niego, aby uniaś brać w siebie z treści dramatu „nie sytuacje i słowa — bo te są tylko środkami i narzędziami — lecz płynącą z niej muzykę uczuciowego nastroju, najgłębiej pojętą ocenę życia, jaka za sytuacjami i dyalogami tętni w danem dziele, niby krew w żyłach;“ gdy żąda od niego, by tę jedynie prawdziwą treść narzucił widzom mocą swej przyrodzonej zdolności nadawania wizjom plastyki scenicznej — można z usprawiedliwioną niecierpliwością wyglądać zjawienia się w naszych teatrach takiego reżysera. Ale kiedy zarówno Adolf Nowaczyński, jak p. Wacław Grubiński, sami akcentują nieziszczalność u nas swoich postulatów, to nie dziwny się obrońcom błogosławionego *status quo*, obrońcom z „biura“ i z za kulis, jeżeli wzruszając ramionami, z pobłażliwym przeświadczeniem o swej „zawodowej“ kompetencji, konkludują: „to wszystko ma, mniej więcej, takie samo znaczenie, jak znany paradoks Eleonory Duse, głoszącej, że dla ocalenia teatru, trzeba teatr zburzyć i wdychać żeby wszyscy aktorzy poumierali na zarazę, bo zatrująją atmosferę, uniemożliwiają Sztukę, grając, zamiast Dramatu, *sztuki* dla teatru;“ albo też zasługuje na takie potraktowanie, jak fantazmaty Gordona Graiga, który, rugując z teatru Słowo, szuka dla „sceny przyszłości“ namaszczonego przez Isadorę Duncan sprzymierzeńca... w tańcu, a tymczasem uprawia pantomimę z... „drewnianemi lalkami.“

Otóż takiej broni nie trzeba dawać do ręki biurokracji administrującej, ani grającej; i dla tego należy jasno określić charakter tej przewidywanej nieziszczalności, odgraniczywszy ściśle to, co jest w niej niemożnością, od tego, co jest niechęcią lub niezaradnością i, nie zapominając ani na chwilę o fatalnych warunkach, wśród których i teatr, razem z całym duchowem naszym bytowaniem, przeżywa także swoją tragedję, — zmierzyć przedewszystkiem napięcie obu tych czynników rozkładowych. Znany już wszyscy historję owej „niemożności,“ przedstawioną na tem miejscu w najgłówniejszych i najcharakterystyczniejszych jej momentach; wiemy, jak w rezultacie uwięziła teatr w urzędniczej

ciemnicy, gdzie omdlewają bez powietrza i światła kwiaty wszelkich zaprażeń i ideałów. Nie jest też dla nikogo tajemnicą, że około tych kwiatów nie umieją, czy nie chcą chodzić ci, którzy właśnie do pielęgnowania ich zostali powołani i którzy powinni uznawać za obywatelski wprost obowiązek czuwanie nad zwałkami i blizkami zupełnego uwiądnienia roślinkami. Jestto zatem sytuacja, wymagająca pilniej może, ażebyśmy oświadczyli, „czego nie chcemy,“ aniżeli zajmowali się snuciem marzeń na temat, „czego chcemy.“

Miejmy więc odwagę, nie krępując się względami korporacyjnymi, powiedzieć, że nie chcemy kierownictwa literacko-artystycznego, wytwarzającego warunki, w których literatura służy za szyld do sklepiku, gdzie sprzedaje się wszelka tandeta; nie wahajmy się przypomnieć z naciskiem, komu należy, że ta literatura nie po to stanęła na scenie polskiej w roli odnowicielki, żeby dostojnością swoją pokrywać rządy zdecydowanego niedołęstwa i szkodliwych kompromisów. Powiedzmy otwarcie, że ta wielka Pani nie ma nic do czynienia w anarchicznych stosunkach, zatrutych podwójnym jadem biurokracyi i kabotynerii, jeżeli jej nie dano władzy oczyszczenia stajni Augiasza i rozpalania na wyżynach sztuki uzdrawiających atmosferę ognisk artystycznych; że nie dla niej miejsce tam, gdzie przedstawienie jednoaktówki francuskiej poprzedzają blagierskie zapowiedzi dyplomatyczno-politycznych manifestacyj; gdzie do repertuaru oryginalnego wciska się niewiadomo jaką furtką krytyczną sztuka operująca kuglarstwami angielskiej pantominy akrobatycznej; gdzie zabiega się więcej o gromadzenie statystów i statystek, aniżeli o kompletowanie grającego zastępu; gdzie niepotrzebne zgoła nabytki deptać sobie będą po piętach w jednym i tym samym fachu ról męskich, gdy jednocześnie luki w personelu kobiecym wypełnia się występami niezdatnych debiutantek; gdzie, słowem, nikt nie myśli o jutrze, a dniem dzisiejszym po dawnemu rządzi wszechwładnie oficjalny nakaz, lub, w najlepszym razie, traf ślepy. Nie cofnijmy się wreszcie przed powtórzeniem literatowi tego, co się nieraz na tem miejscu rzekło aktorom-kierownikom: że dość już długo w teatrze „niemożność“ służyła za wymówkę nieudolności lub ugodzie; że niema tak złej sytuacji, w którejby dyrektywa energiczna, sprężysta, oparta na gruntownej wiedzy i na charakterze, nie potrafiła znaleźć pola do twórczej inicjatywy; że w najgorszych warunkach, kierownik, traktujący swoje zadanie na seryo, ceniący powagę swego stanowiska wyżej, nad tytułarny, zakulisowy dygnitaryat i przeświadczony o własnej, moralnej niezależności,

którą dostatecznie zabezpiecza każdochwilowa swoboda złożenia swoich obowiązków na czyjeś giętsze barki, że taki dyrektor zdoła zawsze tchnąć w repertuar jakieś młodsze życie, zgromadzić koło siebie wybitniejsze siły artystyczne i powiewem świeżego powietrza rozproszyć miazmaty rutyny, gnuśności i bezwładu. Powiedzmy to wszystko i dodajmy konkluzję, że nie chcemy patrzeć na spadanie do niższego jeszcze, niż dotychczasowy, poziomu, pierwszej niegdyś, sceny polskiej, która staje się w naszych oczach jakąś „szkółką aplikacyjną“ dla wszelakiego grafomańsko-komedyanckiego amatorstwa. Jeżeli zaś „tego upadku nie już nie powstrzyma“—jak się podobno miał wyrazić obecny kierownik dramatu i komedyi—jeżeli stoi on istotnie w przededniu katastrofy, to niechże sterujący sceną—osobliwszy, zaprawdę, w swym sceptycyzmie przedstawiciel literatury—nie solidaryzuje jej z racji swego przedstawicielstwa z tymi, którzy katastrofę przez szereg lat przygotowywali, ani też z własną, niefortunną działalnością. Niech raczej rozważy, że gdy wobec postawionego przez panujące stosunki dylematu: *se soumettre ou se demettre*, na nic się nie zdało spełnienie pierwszej jego połowy, pozostaje tylko druga:—*se demettre*.

I to jest najprostsza, najnaturalniejsza odpowiedź nasza na rzucane nam przez „sfery“ ironiczne pytanie: „czegoż nareszcie chcecie?”

II.

Przykład jest jednak zaraźliwy. Zdawałoby się, że trudno skromniejsze wyrazić życzenie, a przecież, żyjemy w czasach, kiedy i takie spokojne, umiarkowane, zrównoważone pragnienie, wypadnie także „między bajki włożyć.“ Przestańmy więc na chwilę mówić o tem, czego nie chcemy, lub o tem, czego żądamy, a rozejrzyjmy się w tem, co jest, co nam się przedstawiło „pod osłoną literatury,“ w ciągu ubiegłych trzech miesięcy. Przedewszystkiem zobaczmy, kto przez ten czas miał istotnie tytuł do przystrojenia się tą osłoną, wchodząc do repertuaru dramatu i komedyi.

Przeoglądam ubogą nad wyraz treść tego repertuaru i w chwili, gdy to piszę, pod koniec marca, widzę, że z takim tytułem wystąpić może tylko... cudzoziemiec Oskar Wilde i to pod warunkiem, że patrząc na tę osłonę literatury, nie zatrzymamy oczów na starych, zmiętych, wyszarzanych, teatralnych draperyach Wi-

ktoryna Sardou, w które odział się „Idealny mąż“ (właściwiej było użyć w tłumaczeniu wyrazu „małżonek“), lecz śledzić będziemy rozciekawionym wzrokiem zmiennosć barw, migotliwość blasku rozsianych między banalnymi fałdami — paradoksów. Niestety, i tu nie obejdziesz się bez zastrzeżeń i tu trzeba będzie przypomnieć, że nie wszystko złoto co się świeci, że opalizacya kolorów i mruganie iskier w tych klejnotach nihilistycznego dowcipu, jest często grą łudzącej imitacyi, wydobytą ze świecidel wątpliwej wartości. Czasem ogień drogocennych brylantów, niekiedy błyski szychu i szkiełek.

I podobno inaczej być nie mogło.

Paradoks jest królestwem takich indywidualności jak Oskar Wilde, Bernard Shaw, którzy w nim jednak o tyle tylko królować mogą, o ile poczują się w atmosferze anarchii duchowej i moralnej. Paradoks jest dla nich rewolucyą prawdy, szukającej sobie nowych dróg i tkwi w nim też zawsze jakiś atom prawdy, oderwany ręką przewrotowca od ustalonych stosunków. W tem oderwaniu właśnie Wilde i Shaw czują się u siebie, a obu rosną skrzydła do swobodnego, niezem nie krępowanego lotu po szlakach, gdzie prawda, wyglądająca jak kłamstwo, a kłamstwo, podobne do prawdy, nęcą ich swoją kameleonową postacią. Czytajmy „Dyalogi“ Wilde'a: jaka w nich strzelistość paradoksów, rozsypujących się w obłokach fajerwerkowemi bukietami różnobarwnych iskier, które spadając, przez jedno mgnienie oka oświetlają w osobliwym kolorycie jakiś ciemny zaułek natury ludzkiej. Ile w nich prężności w górę ku wyżynom Piękna, w dół ku brzydocie Życia, ile rozpędu we wszystkie strony, gdzie żadna więź społeczna nie hamuje myśli, rozbujanej między wyzwoleniem i swawolą, ani uczucia, przerzucanego od sentymentu do chuci!

Tak — ale to są „Dyalogi o Sztuce;“ co innego, gdy chodzi o dyalogi „w sztuce,“ i to teatralnej. Bernard Shaw ma wtedy korzystniejszą pozycyę: jest socyalnym demokratą; jego paradoksy, wybuchając z anarchiczną siłą w warowniach „istniejącego porządku,“ podniecają do obrony przeciwnika żywego; to co w ideowym boju mówią do siebie walczący, równą mu z obu stron wagę, a tryskają z tego starcia błyski komiczne, lub dramatyczne, które na deskach teatru nadają nawet wywróconym na nice wartościom społecznym, chwilowe pozory życia. Inaczej z Wilde'em. Jego arystokratyczny anarchizm dba przedewszystkiem o własny, wytworny gest; a rozmiłowany w Pięknie, które istnieje samo dla siebie, ignoruje wszystko, co mu się w uświęconych stosunkach ludzkich wydaje jednym, niewolniczym łańcuchem szkarady. Nie

raczy więc, rzucając paradoksy, wyzywać antagonisty; nie istnieje dla niego nawet protagonista; lubi mówić sam i nie słuchać tego, co mu ktoś odpowiadać będzie. Jest coś chamskiego w paradoksach Bernarda Shawa, który skwapliwie zstępuje w tłum i chętnie z *mobem* mieszczańskim bierze się za bary. Jest coś pańskiego w paradoksach Oskara Wilde, który ma wstręt arystokraty do wszystkiego, co mu w sferze myśli uprzytomnia „ulicę,” który więc z największą rozkoszą uprawia — monologi.

Otóż monologami na scenie, zwłaszcza dziś, nie daleko się zajdzie. Czuł to dobrze Wilde i ślady tej świadomości znać bardzo wyraźnie w jego dyalogach teatralnych. Nie brak w nich paradoksów, które jednak często sprawiają wrażenie robionych na efekt conceptów. Oczywiście, że kiedy wypadnie te paradoksy zaczepić nie o motywy artystyczne, nie o zagadnienia Sztuki, ale o wypadki codzienne, o sytuacje powszednie, bodaj z intencją stworzone, nie można lekceważyć ludzi, których się na nogi postawiło, trzeba namyśleć się nad tem, co ktoś inny ma powiedzieć, żeby wywołać paradoksalną odpowiedź. Ten namysł widoczny jest, często zbyt widoczny w dyalogach Wilde'a. Pękające w nich ognie sztuczne wyglądają niekiedy jakby zapalane... *pour épater le bourgeois*. Do takiego celu zdają się zmierzać widocznie z góry uplanowane momenty konwersacyjne, zwłaszcza w „Idealnym mężu.”⁴

Trudno się temu dziwić, jeżeli się bierze w rachubę pasję paradoksalną Wilde'a. W sytuacyjnej kanwie tej komedyi, mało jest miejsca na egzotyczne arabeski Sztuki; atmosfera salonu, ulubionej mównicy wyrefinowanego nihilisty, tak jest przesycona zapowiedziami najpospolitszego dramatu, że gaśnie tam wszelka pirotechnika urzędowego w nim rezonera. W jakim kierunku puszczać ma race swej genialności wcielony w wicehrabiego Goringa Wilde, jeżeli złożył sobie dobrowolnie audytoryum z nieistniejących figur w rodzaju wicehrabiego de Nanjac, attaché ambasady francuskiej w Londynie, lady Markby, hrabiny Basildon, lub pani Marchmont? Mógłby wprawdzie mówić sam—co bardzo lubi, jak to już zaznaczyłem — ale ci państwo wolą zajmować się sprawami swoich bliźnich, aniżeli słuchać lorda Paradoxa. A po za nimi któż pozostaje wicehrabiemu Goringowi? Chyba własny jego ojciec, sir Coversham, wspaniała typ zakonserwowanego mamuta londyńskiej *gentry*. I oczywiście Wilde nie odmawia sobie uciechy uderzania w sofistyczne rozdzwięki, przy każdym spotkaniu syna z ojcem. Tylko błyskotliwość tych dyalogów nikogo nie oszuka: każdy zdaje sobie sprawę z ich techniki, obliczonej

na to, żeby ojciec dawał synowi tematy do paradoksów. Nie może niemi wojować Goring z przyjacielem swoim, sir Robertem Chilternem. Ten ma o czem innem do myślenia: wisi nad nim groźba katastrofy moralnej, uosobionej w intrygantce à la Dora, w pani Cheveley, posiadającej jego list własnoręczny, który stwierdza, że Chiltern, dzisiejszy podsekretarz stanu w ministeryum spraw wewnętrznych, sprzedał ongi, jako młodzieniec, za grube pieniądze tajemnicę urzędową i na takim fundamencie oparł dalszą swoją karierę. Na nic się też Goringowi nie przydadzą paradoksy wobec Mabel Chiltern, siostry „idealnego małżonka.“ Dzielną tą dziewczyną, patrząc na „genialność“ wice-hrabiego, pod kątem żywionej dlań miłości, nazywa go bez ceremonii „głupim Arturem,“ za niezdarne zwleknięcie z oświadczeniami, dowodzące, że zakochany w niej „król życia“ nie ma pojęcia o najciekawszym tego życia paradoksie — o duszy kobiety.

Jest jeszcze jedna w komedyi postać, interesująca nie tyle może sama przez się, ile ze względu na stosunek do niej autora, który zdaje się uczuwać wobec swej bohaterki potrzebę aż podwójnego wcielenia. To lady Chiltern. Kiedy z nią mówi „idealny“ małżonek i z goryczą wyrzucając jej bezwzględność sądu o grzechu jego młodości, woła: „o! gdyby kobiety nigdy nie stawiały mężczyzn na piedestale ideału; gdyby nie zginały przed nimi kolana po to, żeby później zrujnować całe ich życie;“ — a potem konkluduje: „bo nie doskonali ludzie, ale właśnie ludzie niedoskonali potrzebują miłości;“ gdy później wicehrabia Goring, ocaliwszy swych przyjaciół przy pomocy Scribe'go ze szpon szantażystki i przywróciwszy w małżeństwie harmonię, wygłasza pod adresem lady Chiltern aforyzm, że „nie na to są kobiety, by nas sądziły, lecz na to, by nam przebaczały, wtedy, gdy przebaczenia potrzebujemy,“ — odbieramy wrażenie, że to Wilde odzywa się przez usta obu swoich mówców, ów, Wilde, który przy boku kochającej i kochanej żony zaznał właśnie przez lat parę wszelakich przebaczeń, zanim w szynkowniach dokowych nad Tamizą puścił ostatecznie wodze swej „paradoksalnej erotyce.“ Drga w tych odczwaniach jakiś utajony liryzm i ten wydałby się może w komedyi najosobliwszym z paradoksów, gdyby nam liryki Wilde'a nie odstoniły były dawniej w jego duszy mało znanego zakątka, skąd poezya zdolna jest po orgiach sadyzmu unieść się w zachwytach nad czystością Matki Boskiej.

Szkoda, że to wszystko zanikło na scenie warszawskiej, gdzie został wprawdzie Sardou, lecz Wilde'a niema ani śladu. Zanikło zaś nietylko z powodu zbyt szerokich ram teatru Wielkiego, w któ-

re oprawiono salonową komedię na żądanie... Towarzystwa Do broczynności (Filantropia posiada obecnie swoją giełdę, gdzie sprzedawać można *premiery*, a Dyrekcya teatrów probuje tam szczęścia—wszystko pod osłoną literatury), ale i dla tego, że gra zatarła cechy charakterystyczne świata, który wypadło jej przedstawić. Literacka szczerłość tej charakterystyki, wartość paradoksów, na których się opiera, podlegać może krytyce; ale do artystów należy wydobyć na jaw owych znamienych rysów, bez względu na wydany o nich sąd. Jak sobie z tem poczynają nasi artyści, nauczyło nas dawniej przedstawienie „Kobiety bez znaczenia;“ w podobny sposób załatwiono się z „Idealnym mężem:“ na pierwszy plan wyszła „sztuka“ mieszczańska; Sztuka z „Dialogów“ Wilde'a ulotniła się w zetknięciu z francuskim szablone. Oczywiście, talenty pp. Frenkla, Śliwickiego, Nowickiego, pań Marczełlo, Siennickiej odezwały się tam własną nutą; wytworzonemu jednak z tych nut akordowi braknie zasadniczego, impertynencko wytwornego tonu, który stanowi wdzięk egzotyczny utworów teatralnych Oskara Wilde'a.

Ze śmiesznym hałasem zaprezentowano na scenie „Zasłonę szczęścia“ Jerzego Clemenceau. Można by ze strony humorystycznej traktować te krążące wśród rozbawionej publiczności plotkarskie niedorzeczności o roli, jaką ma odegrać sceniczna bluетка francuskiego premiera w nowem ukształtowaniu się sojuszu między Francją i Rosją; o spodziewanym przyjeździe z Paryża na pierwsze przedstawienie prezesa ministrów; o zaakcentowaniu politycznego charakteru tego przedstawienia przez obecne na niem konsulaty zagraniczne — gdyby za to wszystko nie odpowiadała literatura, zmuszona udzielać swego „placet“ kierownictwu, które w ciągu całych tygodni puszczało w świat z za kulis taki „journal parlé.“ Bo „Zasłona“ nie jest istotnie bez literackiej wartości i tylko bezmyślna, ordynarna reklama mogła tę wartość obniżyć w oczach widzów, popchniętych nią do reagowania przeciw reporterskiej swawoli. Pomijam to, co autorowi mogła w chwili tworzenia podsunąć pod pióro polityka, poruszająca się z całą swobodą w chińskim przebraniu; nie zastanawiam się też nad tem, do jakiego stopnia dzisiejszy premier, siedząc na folelu ministeryalnym, poddałby cenzurze wczorajszego satyryka; ale chętnie zatrzymuję się na filozofii życiowej, uplastycznionej w akcyi, z której wynika, że najszcześniejszym jest ten, komu jakaś przepaska na oczach zasłania widok szkarady życia, bo żyje wtedy w wytworzonym przez siebie we własnej duszy świecie, gdzie nie zachwieje jego wiary w panowanie wiecznej, słonecznej świa-

łości Piękna, Dobra i Prawdy. Przetłómaczone na język sceniczny, tak to mniej więcej wygląda. Niewidomy mandaryn Czang-I spokojnie znosi swoje przypadkowe kalectwo, dzięki wrodzonej pogodzie ducha, systematycznemu pielęgnowaniu poezyi, której wyrazem jest dzieło, dedykowane Synowi Słońca, dzięki wreszcie głębokiemu przekonaniu, że ma w pięknej Si-Czan wierną i kochającą towarzyszkę, w młodziutkim Wen-Tsieu—godnego siebie potomka, a w mandarynach Tu-Fu i Li-Kiang—oddanych sobie przyjaciół. Iskierka nadziei, obudzonej przez pewnego cudzoziemca, że noc kiedyś pierzchnie pod działaniem kropel, które Czang-I wpuszcza w ociemniałe oczy, w tajemnicy przed swoim otoczeniem, przyczynia się też potrochu do podtrzymania w dostojnym ślepcu równowagi moralnej. I trzeba dopiero ziszczenia się oczekiwanego nieśmiało cudu, ażeby zachwiała się ta równowaga. Po przebudzeniu się ze snu, sprowadzonego libacyami w gronie rodziny i domowników, Czang-I, znalazłszy się sam, uderzony jest nagle złocistą zjawą dnia jasnego i widokiem wynurzonego z mroków świata. Upojony szczęściem nie chce wierzyć swoim oczom i przypuszcza raczej senne majaki; gdy odrazu pewność narzuca mu się z całą ohydą rzeczywistości. Przed uzdrowionym ze złudzeń wzrokiem filozofa i poety przesuwają się wszyscy ci, którzy, nie wiedząc o cudzie, trzymają się za ręce w zdradzieckim, oszukańczym kole. Więc mąż patrzy na cudzołożne pieszczoty żony z kochankiem, którego w domu swoim przyjmował; więc ojciec widzi, jak kalectwo jego z małpią złośliwością przedrzeźnia własne dziecko; więc spostrzega, że stary, blizki sercu jego towarzysz, zeskałmotał mu poprostu na swoją korzyść autorstwo poświęconego cesarzowi poematu. Cierpi strasznie, ale nie zdradzi się przed nędznikami—tylko przypomni sobie słowa owego cudzoziemca, który, dając mu zbawcze krople, ostrzegał aby nie użył większej, nad przepisaną, dozy, pod groźbą oślepięcia na zawsze, bez ratunku. Tego mu właśnie teraz potrzeba. Wypali sobie oczy, przetrwa niewypowiedziane katusze, zniesie wszystko, byle tylko w zapadłej na martwe źrenice ciemności odzyskać błogosławioną „zasłonę szczęścia.“ I stało się. Recydywa kalectwa uspokaja kalekę odrazu; wszystko zaś trwało tak niedługo, że to, co przez chwilę widział, wydaje mu się złudzeniem, a rzeczywistością jest dlań to właśnie, co mu do duszy w dawnych kształtach powróciło. Nie wątpi o miłości żony, pewny jest przywiązania syna; wierzy w przyjaźń obu swoich druhów—jest pod tą „zasłoną“ znowu szczęśliwy.

Myśl nie nowa — o to spierać się niema powodu. Można ją było z równem powodzeniem ubrać we fraki, smokingi, tuzurki i w suknie od Wortha — bez wątpienia. Ale i to także prawda, że ta jednoaktówka, w stosunku do bieżącej literatury dramatycznej we Francyi, sprawia wrażenie napotkanego niespodzianie, po przejściu szeregu mniej więcej banalnych salonów w równie konwencyonalnym, bezstylowym pałacu, tak zwanego „chińskiego pokoju.“ Jest się poniekąd zaskoczonym siurpryzą, co bynajmniej nie usposabia do zastanawiania się nad autentycznością „chińszczyzny,“ ani nad ścisłością stylu, a natomiast dostarcza pewnej umiarkowanej, spokojnej przyjemności przy oglądaniu znanych nawet rzeczy, które prezentują się w odmiennej, niezwykłej fizyonomii. Ten gatunek przyjemności podniosła niewątpliwie na warszawskiej scenie pomysłowo stylizowana na tle malowniczych dekoracyj gra panów Frenkla, Rolanda, Wilczyńskiego oraz panny Pichorówny.

Skoro już jednoaktówki rozstrzygać mają o literackim charakterze repertuaru, kleconego jak się uda „pod osłoną literatury,“ skończmy z temi fortelami twórczości dramatycznej. Trudno dziś, doprawdy, nazwać inaczej ten gatunek produkcji. Bywał już modnym za naszej pamięci i jest nim teraz na swój sposób, przystosowany do wymagań mody, zdążającej za hasłami chwili. Pamiętamy czasy, kiedy potrzeba było pewnego w pomyśle wysiłku, pewnego skoncentrowania artyzmu, ażeby, ujawnszy w jeden akt moment dramatyczny, lub komiczny, z całym jego faktycznym i psychologicznem skupieniem, zbliżyć się, o ile możliwości, do dzieła sztuki. Potem przyszła kolej na jednoaktówki „cykliczne,“ wypełniające wieczór cały kilku odsłonami o rozmaitej treści, z której jednak wydobywać się miała „wspólna idea przewodnia.“ Dla współczesnej doby i ta więź wydaje się krępującą: wystarczają jej szkice niezrealizowanych natchnień; kropki i kreski niedopowiedzianych myśli; embryony czegoś niedomówionego w znakach zapytania i wykrzyknicach; plamy barwne malowidła bez rysunku, kontury rzeźbiarskie, przywarte do głazu, bez plastyki; rozdźwięki bez rozwiązania i bez... muzyki. Rzućmy więc okiem na te jedno i wieloaktówki, które, bez względu na ilość odsłon, są tylko odmianami modnego typu.

Łączy je przedewszystkiem, zamiast idei, jedna wspólna cecha: źle zrealizowany pomysł literacki. I to odrazu cechuje wewnętrzną wartość utworu. Myśl filozoficzna, głęboko ujęta, wizya poetycka, w natchnieniu oddana, mają same w sobie tyle mocy twórczej, że nawet w niezdatnych kształtach trafią przez oczy do umysłów i serc. Pomysł literacki, sztuczna zazwyczaj kombina-

cia, potrzebująca przy realizowaniu więcej może zręczności niż twórczości, rozbija się też łatwiej o techniczne wady, niż o ideowe szkopyły. Odbiera się wrażenie, że autor zepsuł coś, co mogło nieźle wyglądać; ale ani się żałuje zepsutego, ani się nie tęskni za naprawionem. Pozostaje tylko w myśli pytanie: czy nikt w teatrze nie umie rozoznać rzeczy chybionych od udanych, a jeżeli rozoznawszy, produkuje chybione, to czy nie zdaje sobie z tego sprawy, że zamiast popierać własną literaturę, krzywdę jej w oczach nieufnej publiczności wyrządza? Bo przecież ani „sztuka groteskowa“ p. Zygmunta Kaweckiego p. t. „Gość uparty,“ ani fantazyja jednoaktowa p. Artura Śliwińskiego p. t. „Sąd“ nie rozproszą tej nieufności, której w ostatnich czasach nie brakowało, niestety, uzasadnionych motywów.

Oba utwory mają między sobą pewne myślowe pokrewieństwo i mogłyby nosić wspólny tytuł „Sumienie;“ tylko, że p. Kaweckie, wzywając pomocy aż z „tamtego świata,“ zdobywa się na karkołomny eksperyment przedstawienia „na tym świecie“ najpospolitszej farsy życiowej „pod kątem wieczności;“ a p. Śliwiński, nawet w swoim teatralnym symbolizmie, trzyma się twardo gruntu doczesnego, jego burżujskiego sobkostwa i proletaryackich rewinydykacyj; p. Kaweckie robi sobie zabawkę z filozofii; p. Śliwiński potrochu socyalizuje; tamtemu się zdaje, że napisał satyrę, ten może ma złudzenie, że robi propagandę; jeden i drugi operuje „sumieniem“ — jednemu i drugiemu jednakowo się to nie powiodło. Gdyby p. Adam, wicedyrektor banku, któremu p. Kaweckie każe po śmierci wypraszać sobie z tamtej strony życia powrót na ziemię i być świadkiem, niewidzialnym dla swoich i dla publiczności, romansu żony z przyjacielem, zobojętnienia dzieci dla pamięci zmarłego ojca i marnotrawstwa zapracowanego przez nieboszczyka mienia; gdyby, mówię, ten zmartwychwstaniec w inny jakiś sposób manifestował się jako „sumienie“ rodziny, aniżeli wybijaniem dziur w ścianie, rzucaniem książek na środek pokoju, wywracaniem wazonów z kwiatami; gdyby widzowie mogli go mieć przed oczyma, bodaj „w czapce niewidymce,“ biorącego udział w akcji, tajemniczą mocą zaświata kierowanej—filozofia „sztuki groteskowej“ nie byłaby zapewne głębsza, ale sytuacyjnie przynajmniej zapełniłaby się pustka tych trzech aktów z prologiem i epilogiem, których treści starczy obecnie na jeden akt zaledwie. A przede wszystkim satyra zdobyłaby sobie bogatszy, rozmaitszy materiał.

Podobne „gdyby“ trudniej sformułować p. Arturowi Śliwińskiemu, chyba wypadłoby zredukować je do jednego: „gdyby pan Śliwiński napisał był dobrą jednoaktówkę.“ Bo zresztą autor

„Sądu“ wiedział dobrze czego chciał i świadomie swoje chcenie wykonał; trzeba by więc dowodzić mu, że źle, że fałszywie chciał, że tendencya bardzo tania, bardzo powierzchowna, ułatwiła mu efekty bardzo niewyszukane. Istotnie, nie potrzeba zbyt liczyć się ani z artyzmem, ani nawet z psychologią, kiedy najbanalniejszy salon, wypełniony najpłytszą, najbezmyślniejszą zbieraniną nicości moralnych i umysłowych, rozbawionych grą towarzyską w „sąd“ nad własnymi ułomnościami, zestawia się rozmyślnie z biedakiem, przyłapanym w przedpokoju na kradzieży z głodu; z nędzarzem, onieśmielonym wytwornością apartamentów, blaskami i barwami strojów, wonią ciał kobiecych; z nieszczęśliwym, któremu tłómaczą, że sądzić będzie jego winę, jego głód, ten wyperfumowany, wydekoltowany, wysmokingowany, flirtujący, a perorujący areopag. Oczywiście, że kontrast, w ten sposób z góry uplanowany, z intencją w tych kolorach przejaskrawiony, może zaskoczyć znienacka widza, którego wrażenia, przeżyte w ciągu lat ostatnich, uczyniły podatniejszym na podobne suggestye. Więc stropiony nie ma nawet czasu zastanowić się, jak to się stać mogło, żeby w zgromadzeniu, złożonym z kilkunastu osób, w gronie młodych mężczyzn i młodszych jeszcze kobiet, nie znalazł się nikt, ktoby bodaj jakimś odruchem zapragnął „łaknącego nakarmić.“ Nie ma czasu zadać sobie pytania, jakim sposobem gospodarz owego salonu, gdzie się to wszystko dzieje, artysta znakomity, mógł stworzyć w genialnej rzeźbie głęboko pojętą ideę „sumienia“ i domagać się jednocześnie oddania policji zgłodniałego przestępca. Nie ma czasu rozejrzeć się w tych dowolnościach psychologicznych, gromadzonych świadomie, aby tylko ów zbiorowy, z jednej sztuki egoizm wyrósł na symbol „sytych,“ żeby nawet Sztuka stała się jego wyrazicielką w owem zimnem, marmurowem „sumieniu,“ uplastyczniającem filozofię estetycznego sybarytyzmu, dla którego dobro i zło jest tylko pięknem i brzydota. Refleksya przyjdzie później; ale o nią widocznie nie troszczy się autor, dbający, jakby się zdawało, tylko o taką chwilę dezoryentacyi, kiedy można będzie wprowadzić tajemniczą postać „sumienia,“ przypominającą, odpowiednio do gatunku wywołanego nastroju, wygląd typowego, „przyzwoicie ubranego młodzieńca,“ który ma lada chwila zawołać: „ręce do góry!“ Otóż ten właśnie młodzieniec zostawia po sobie zgoła niespodziane wrażenie: psuje wszystko i otrzeźwia wszystkich. „Wizya,“ bardzo konkretna, bardzo masywna, rzuca cień na całą, nikłą robotę jednoktówki, zasłoniwszy nawet szczegóły, świadczące o niewątpliwem uzdolnieniu literackiem autora.

Ocenę gry artystów w obu sztukach zamknąć można tylko w słowach żalu i ubolewania nad dołą p. Frenkla, któremu kierownictwo „artystyczno-literackie“ kazało w „Upartym gościu“ grać przez trzy akty... za kulisami, oraz nad losem pani Lüdowej i p. Leszczyńskiego, zmuszonych w „Sądzie“ traktować na seryo salon, gdzie bukiet wykwiutnego „towarzystwa“ ułożono ręką literacko-artystycznego kierownictwa z kwiatków „szkoły aplikacyjnej.“

„Trzy akty codziennego dramatu“ — tak określił p. A. Marek swój utwór p. t. „Królestwo krzywdy.“ Właściwie trzy jednoaktówki, z których dwie spoił autor luznem, fantastycznym ogniwem, trzecią zaś przyczepił mechanicznie na wątlej nici ogólnikowego tytułu, zbyt rozciągliwie przystosowanego, aby go uważać można było za skryształizowaną myśl całości. I tu pomysł jest więcej intencją, aniżeli realizacją, ale zrodził się przynajmniej w głowie i w sercu poety. Młody to i szukający dopiero dróg własnych poeta; dusza jego jest jeszcze zawieszoną w cudzych ogrodach arfą eolską, po której strunach przebiegają nadlatujące zewsząd obce wiewy; muzyka jednak ma swój urok swoisty i zagra może kiedyś pieśń samoistną.

Gdyby nie te odzywające się w smutnym minorowym akordzie tony poezji, wypadłoby może potraktować dwa pierwsze akty „Królestwa krzywdy“, jak przedstawiony przed laty na naszej scenie koncept literacki p. t. „Jak było, a jak mogło być.“ Tam, od pewnego punktu powtarzających się początkowych scen, akcja rozszczepiała się na dwa, zgoła odmienne rozwiązania, odpowiadające realnemu jej, pesymistycznemu, to znów możliwemu, optymistycznemu przebiegowi; tu poeta, nie wierząc w możliwość bodaj potencjalnie dobrych w życiu zwrotów, pozwala krzywdzonym tylko we śnie cieszyć się słoneczną szczęścia pogodą. Sen zatem przeciwstawia się rzeczywistości, jako nieziszczalny w „Królestwie krzywdy“ ideał; niestety jednak to właśnie przeciwstawienie jest skażoną reminiscencją, w której odgłosy Hauptmanna załamują się jakimś fałszywym echem. Kiedy córka stolarska, dręczona okrucieństwem macochy i przeniewierstwem kochanka, traci wśród sennych marzeń świadomość tego, co się stało, i tonie oczami duszy, wyzwolonej z jawy, w świecie złudy, mocą pragnienia stworzonym—mamy przed sobą dwa, kurtyną na chwilę oddzielone, obrazy, w których jednak realne i fikcyjne kształty niczem się od siebie nie różniąc, dają zamącone jakąś dwuznacznością wrażenia. Niema takich nieporozumień wobec „Hanusia“ Hauptmanna, mimo, a może dla tego właśnie, że wielki artysta stopił, zamiast kontrastować je ze

sobą, w jednej, przedziwnie poetycznej syntezie, motywy najtrywialniejszej „codziennosci“ i nadzmysłowe wizye mającego w malignie dziewczęcia. Jakiś fortel inscenizatorski mógłby zapewne osłabić pod względem teatralnym wadę takiej w utworze p. Marka dwuznaczności; nie zaradziłyby brakowi artyzmu w urzeczywistnieniu pomysłu, który zresztą nie musiał ideowo przedstawiać się autorowi z dostateczną plastyką, skoro mógł w trzecim akcie szukać sobie tak niewyraźnego dopełnienia. W jakim-że bowiem stosunku do tego, na co patrzyliśmy przez dwa akty, wyobraził sobie autor, akt trzeci, ów fragment dziejów dwojga kochanków, złączonych niegdyś miłosnym grzechem i spotykających się po latach na cmentarzu klasztornym, ona w habitcie zakonnicy, on z nieukojoną w sercu żalobą po stracie trojga dzieci? Dawny zdobywca serc niewieścich nie poznał mniszki, którą kwef osłania przed jego wzrokiem. Ale czyby ją poznał, gdyby nawet z odkrytem stanęła przed nim obliczem? Wszak gdy mówi do niego o synu, z grzechu zrodzonym, którego nie zna ojciec oplakiwanych „prawych“ dzieci, on sobie nic nie przypomina; a kiedy gotowa jest oddać mu tego syna, byle jej tylko zwrócił pukiel włosów, odcięty w ekstazie miłości, on takich włosów, wśród mnóstwa innych, nie rozróżni. Więc krzywda, rozdzielająca znów tych ludzi na resztę życia, ma kojarzyć ich losy z dolą poniewieranej stolarczanki? Łącznik, zaiste, dość wygodny, bo można nim objąć świat cały, jako jedno wielkie królestwo gnębionych i gnębieli; i niema, doprawdy, powodów, ażeby liczba jednoaktówek, wysnuwanych z tego niewyczerpanego tematu, nie powiększała się do nieskończoności. Być może, iż p. Marek, kochający dziś może cierpienie więcej niż ludzi cierpiących—jak się w jego wieku kocha więcej miłość niż kobiety—stworzy kiedyś w tem „królestwie krzywdy“ dramat, drgający żywym, nie literackim bólem; dziś zaznaczmy tę trzyaktową obietnicę, nie pozbawioną młodzieńczego wdzięku, który podniosła artystyczna gra pań: Tekli Trapszo-Krywultowej i Barszczewskiej, panów: Rolanda i Brydzyńskiego.

Skąd się wzięli panowie G. A. de Caillavet i R. de Flers? Mało kto, nawet we Francyi, wie o nich coś więcej, prócz tego, że napisali komedię 4-aktową p. t. „Miłość czuwa.“ To nie wiele, ale nam to wystarcza. Przecież to z pośród naszej publiczności odezwał się ów głos zachwyty: „gdybyśmy mieli teatr francuski—byłby zawsze pełen.“ „Miłość czuwa“ jest sztuką francuską i ma u nas powodzenie.

Byłby to może argument przeciwko p. Dumont-Wilden, zastanawiającemu się w artykule *Le théâtre et l'influence française*

à l'étranger ¹⁾ nad chwianiem się wpływu teatru francuskiego za granicą, gdyby sztuka p.p. Caillavet i Flers należała do jednego z dwóch typów, wyrażających, zdaniem p. Dumont-Wildena, dzień wczorajszy i dzień dzisiejszy francuskiej literatury dramatycznej i gdyby wartość jej mogła wydawać się symptomatem jakiegoś upadku lub jakiegoś zwrotu. Niema w niej przecież ani poddanego surowej krytyce, aktualnego panowania na scenie Natury i Życia, roszczących sobie prawo do kierowniczej siły-idei, ani tęsknoty za etyką i estetyką Corneilla i Moliera, za patosem heroizmu i za komizmem zdrowego sensu; niema śladu ani nowożytnego wszechwładztwa w negacyjnym teatrze rozpetanych instynktów, cofających społeczeństwa do barbarzyńskiego zarania bytu, ani reakcyi ku idealistycznemu, afirmacyjnemu teatrowi złotej doby XVII wieku. Sztuka p.p. Caillavet i Flers nic zgoła nie wyraża i zapewne dla tego podoba się publiczności warszawskiej.

Bo w stosunku do zagranicy my zawsze, jak wiadomo, spóźniać się musimy; i gdy gdzieindziej medytują nad tem, czy nie nadeszła dla teatru chwila decydującego zwrotu od zaprzecznych paradoksów ku idealnym twierdzeniom; od obniżania nędznym, przyziemnym stryculcem uczuć, namiętności, obowiązków, ku dźwiganiu ich na wyżyny wielkich etycznych i artystycznych zagadnień—my stoimy jeszcze na tym punkcie, gdzie nam przyjemność sprawia anegdota o p. de Juvigny, który, ożeniwszy się z panną Janiną, nie może wypłatać się z dawnego stosunku z panią Lucyną de Morfontaine i tylko „czuwającej miłości“ zawdzięcza, że żona nie potrafiła odpłacić mu pięknem za nadobne. Mniejsza o Francuzów, troszczących się o to, jak oceniają w Europie literaturę francuską, patrząc na sztuki Abła Hermanta, Tristana Bernarda, Henryka Bernsteina, Alfreda Capusa; mniejsza o tych, co wyczekują na dramaturga, który byłby czemś więcej, niż pisarzem i poetą, któryby „tworzył wartości moralne;“ my mamy p.p. Caillavet i Flersa, którzy ładnie rozmawiają na scenie, gładko, ostrożnie ślizgają się po duszach ludzkich, żadnych niepotrzebnych niepokojów nie budzą i bardzo lubią duety miłosne, wygrywane na niskich i wysokich nutach. Jaki to ma związek z literaturą? Zapewne, że żaden; ale pod osłoną literatury „elegancko“ to wygląda, zwłaszcza przy gorliwej pomocy p.p. Śliwickiego, Wolskiego, Frenkla i Wojdałowicza, oraz pań: Lądowej, Federowiczowej, Tekli Trapszo i Pichorówny.

*

*

*

¹⁾ *Revue Bleue*, zeszyt 11 z Marca r. b.

Post-scriptum. W pierwszych dniach kwietnia, a więc w dobie, wkraczającej już w okres przyszedłego przeglądu życia naszych teatrów, wystawiono „Siódme przykazanie“ Heijermansa. Podając to do wiadomości czytelników „Biblioteki,“ żałuję bardzo, że nie mogę do tej dodatkowej notatki zastosować tradycyjnego określenia *post-scriptum*, w którym, podobno, zapisują się zwykle najważniejsze sprawy. Niestety, do takich spraw w żaden sposób zaliczyć nie można wprowadzenia do repertuaru młodzieńczego utworu Heijermansa. Łatwo w nim wprawdzie znaleźć w zarodku wszystkie późniejsze sympaty i antypaty radykalizmu społecznego, całą zawziętą ideologię sekciarza socjalnego, ale w takich przecuciowych jeszcze, zamglonych, często wprost dziecinnych, a zgoła nieartystycznych kształtach, że im nawet wyraźniejszego życia nie zdołał tchnąć wrodzony temperament sceniczny autora. Obszerniejszą ocenę tego melodramatu odkładamy do następnego sprawozdania; obecnie wypadnie tylko wciągnąć ryczałtowo do artystycznego bilansu z ubiegłych trzech miesięcy jeden więcej *minus* i jeden więcej *plus*. Minus pod adresem kierownictwa „literackiego,“ które nie chce, czy nie umie, liczyć się z wartością produkowanych przez siebie nabytków; plus — na rachunek artystów, którzy może potrafią uratować, jeżeli nie utwór Heijermansa, to... swego dyrektora. Śliczna, pełna prostoty, szczerości, gła p. Federowiczowej; młodzieńcza werwa w interpretacji p. Śliwickiego; powaga i dyskrecya, z jaką role swoje traktowali pani Barszczewska i pan Maryański; artystyczny realizm, zastosowany przez p. Rapackiego w plastyce przedstawianej postaci; wyborne dostrojenie się do form całości przez p.p. Rolanda, Wilczyńskiego, panie Żółkowską, Pichor i Bogusławską — wszystko to sprawi zapewne, że nikt nie pomyśli o pierwszym przykazaniu dyrektorskiego dekalogu: „nie będziesz wzywał imienia Literatury nadaremno.“

III.

Grano Heijermansa i w teatrze Małym. Nie potrzebuję dodawać, że to był Heijermans lepszy, przepuszczony przez sito krytyczne, które zdrowsze ziarno zabiera dla sceny M. Gawalewicz, a plewy zostawia zwykle scenom rządowym, nie przebredzającym, jak wiadomo, w strawie literackiej. Powiedzmy jednak odrazu, że „Ghetto“ nie jest utworem najlepszego Heijermansa; ale nie stawiamy z tego zarzutu dyrektorowi Teatru Małego; bo po przyjrzeniu się na

tej scenie prawie całemu Heijermansowi, trzeba sobie postawić pytanie, czy wogóle istnieje Heijermans „najlepszy?“ Gdyby mianą talentu pisarza dramatycznego miała być wielkość wybieranych tematów, niewątpliwie autor „Nadziei,“ „Ora et labora“ mógłby się chlępić wielkim talentem. Wiemy jednak, że tak nie jest; wiemy, że nie o wielki lub mały temat chodzi, lecz o silne lub tylko poprawne zrealizowanie go na scenie. Otóż siła realizacji nie jest dominującą cechą twórczości Heijermansa, może dla tego, że go poprzedzili zbyt potężni twórcy, których śladami nie łatwo dążyć. Zapewne, że obdarzyć Holandję „Tkaczami“... morskimi było zadaniem nęcącym; i gdyby się to nawet Heijermansowi udało urzeczywistnić, bodaj do pewnego stopnia, to znów stałoby się to dzięki oddziaływaniu na widza samego przedmiotu, zasugerowanego bezbrzeżną wielkością rozłogów oceanu. Alfred Kerr zalicza Heijermansa do ciągnących za epigonami „maruderów w małym formacie.“ Usprawiedliwia poniekąd to epigramatyczne określenie repertuar Heijermansa, z wyjątkiem może „Dnia zadusznego,“ dramatu oryginalnego w pomysle i z rzetelną siłą poprowadzonego. Heijermans lubi motywy ideowe, wśród których antagonizmy religijne zdają się szczególnie przypadają mu do gustu. Cóż kiedy w „Ghetto“ jest znów maruderem między naśladowcami Gutzkova! Gdybyż przynajmniej ten zmodernizowany „Uriel Acosta“ żył naprawdę życiem współczesnym! Ale mamy przed sobą papierowego bohatera, który z całą swoją tęsknotą do „nieznanego boga“ po to tylko postawiony jest w tragicznym zatargu starego pokolenia żydowskich zacofańców z młodą, wolnomyślną generacją, wyrrywającą się z trupiarni judaizmu, żeby ojcom swoim rzucić w twarz retoryczne oskarżenie: „jeżeli istnieje jeszcze przepaść między żydami, a resztą świata, to wasza wina. Ghetta materialne wszędzie już zburzono, ale istnieją moralne, przed wiekami dźwignięte i dotąd zawzięcie przez was broniące. Dopóki stać będzie ten mur, wzniesiony rękami wyzyskiwaczy, szachrajów i fanatyków obskurantyzmu, będziecie więźniami w waszych własnych *ghettach*.“ Przez usta żyda-bohatera mówi oczywiście żyd-autor i może ta rola posłusznego rzecznika osłabia niezawisłą żywotność samej postaci, której zresztą otoczenie, cała owa konserwatywna gromada budowniczych i stróżów moralnego *ghetta* uderza bardzo plastyczną charakterystyką.

Nie oddalając się od konfliktów religijnych, wspomnijmy o dramacie Buttiego „Lucyfer,“ nie dla wyjątkowej jakiejś jego wartości, która naprawdę jest zaledwie średnią, ale z racji sporów

wśród publiczności, zainteresowanej znakiem zapytania, kończącym ideowy dramat. „Kto wie?“ mówi w chwili ostatniego zapadnięcia zasłony uczony materyalista, po scenie bolesnej z własnym synem, który straciwszy ubóstwianą żonę i czując w krwawiącym sercu, we wstrząśniętym mózgu tragiczną wobec śmierci grozę nicości, wyrzuca ojcu, że tą nicością karmił przez całe życie jego uczucie, jego myśl, oszukując taką strawą przyrodzony w każdym człowieku głód ideału. Na niezgrabny sposób przeprowadzenia tej tezy w akcji; na szablonowe trochę zestawienie dwóch ojców, wychowawców seminaryum, z którego jeden wyszedł bez święceń kapłańskich z nietkniętą wiarą, drugi, mimo święceń, stał się świeckim ateuszem, a obaj w biegunowo krańcowych kierunkach wychowali swoje dzieci; na konwencyonalny nieco typ miłości, odnoszącej w młodych sercach zwycięstwo nad przeciwieństwem światopoglądów; na pewną w ujęciu ideowego motywu naiwność, która przygotowanie katastrofy powierzyła nie psychologii dusz ludzkich, lecz ślepemu przypadkowi, chorobie śmiertelnej — na to wszystko mniej zwrócono uwagi, niż na te dwa nieszczęsne słowa, w bolesnej zadumie przez myślącego wyrzeczone człowieka. Nawet stereotypowy argument o „zamroczeniu najtęższych umysłów pod ciosami życia“ skierowano nie tam, gdzieby po prostej linii tej logiki zmierzać był powinien, t. j. do zrozpaczonego młodzieńca, który nie waha się klęknąć przed księdzem i wołać: „ty mnie pociesz“ — ale wytoczono go przeciw osiwiiałemu badaczowi za to, że osmiał się, nie schodząc z gruntu filozoficznego agnostycyzmu dać wyraz swej pracy myślowej w niemniej filozoficznym wykrzykniku „kto wie?“ *Inde irae*; ztąd ironia wiecowych myślicieli i zabawny gest wyższości, z jakim odwrócono się od sztuki Buttiego.

Możnaby dla wyczerpania ideowej treści repertuaru M. Gawalewicza wydobyć tezę z 4-aktowej sztuki H. Kisteameckersa i E. Delarda p. t. „Rywalka.“ Mimo skandynawskie brzmienie nazwiska jednego z autorów, jestto utwór francuski, więc i teza musi być postawiona po francusku, na trójkątnym podłożu cudzołóstwa, którego dramat rozgrywa się w sferze, gdzie wartości moralne powinny jakoby ulegać przeszacowaniu. Mąż rzeźbiarz, kochanka skrzypaczka—to już wystarcza, żeby rozwiązać ręce artysty wobec żony, z innego pochodzącej świata, i uprawnić go do regulowania wskazówką własnego samolubstwa wagi, na której szalach złożył krzywdy obu kobiet. Tak mniema bohater—innego widocznie zdania jest autor, bo tę francuską „Giocondę“ kończy próbą pojednania, podjętą przez otrzeźwionego z szału rzeźbiarza, i mo-

mentem jasnowidztwa jego małżonki, odgadującej z jednego gestu, z jednego wykrzykniku męża, że cała skrucha jego była aktem artysty, który po długim niewidzeniu żony, znalazł się odrazu pod wrażeniem piękna jej postaci, zjawionej na stopniach schodowych efektownej architektury, w romantycznej księżycowej poświacie. Ta jedna scena, pozostawiająca bez rozwiązania węzeł, którego i życie nie zwykło rozplątywać, okupuje do pewnego stopnia całą klejonekę zbanalizowanych w częstem użyciu motywów.

Złożywszy nieodzowną dań modzie jednoaktówek, pozwoiliwszy p. Zygmuntowi Przybylskiemu wygrać „Na swojską nutę“ różne „sympatyczne“ melodye, a p. Władysławowi Zalewskiemu zaprezentować sztukę w jednym akcie („Tereska“), której wyróżnienie na konkursie lwowskim nie znalazło aprobaty w Warszawie, Dyrektor teatru Małego dał w swoim repertuarze miejsce przeróbce komedyi Dörmana *Huzarenfieber*, dokonanej pod tytułem „Niuta“ przez rzeźbiarza Lewandowskiego z tak wyrazistą plastyką, że owa wiedeńska „gorączka“, zmieniawszy teren, nie obniżyła się w stopniu — owszem, spędzała do szczupłej salki Filharmonii tłumy, ciekawe odślonięcia na scenie tajemnic domu schadzek i historii trzech córek, wychowanych tam przez uczynną dla wszystkich matkę. Komedię p. J. Nikorowicza „Cenzor moralności“ można zupełnie pominąć, jak ją zresztą pominęła i publiczność.

Twórczość Północy reprezentowali Gustaw Essmann z komedią swoją „Ojciec i syn“, przeciwstawiającą ze spokojnym, pogodnym humorem obłudnie lękliwą etykę starej Europy, szeroko pojętej moralności stosunków amerykańskich — i stary Suchowo-Kobylin z rozgłośnem „Małżeństwem Kreczyńskiego.“ Dla czego te trzyaktowe przygody oszusta, sprzedającego szpilkę z fałszywym brylantem, stały się „komedią klasyczną“, nieledwie na równi z „Revizorem“, nie wiem i nie myślę się nad tem zastanawiać. Ale na pewnym w niej szczególe warto się zatrzymać. Piszący te słowa widział „Małżeństwo“ w Moskwie, jest temu okrągło lat pięćdziesiąt. Od tego czasu sporo wody upłynęło; ewolucya duszy rosyjskiej wprowadziła do specyficznje zaprzecznej literatury nowe dodatnie typy, niewiedzące co począć ze swoją afirmacją i usprawiedliwiający bolesną ironię nadanej im przez rosyjskich pisarzy nazwy „zbytecznych ludzi“, których tak głęboko i artystycznie wcielił S. Najdionow w swojej sztuce „№ 13.“ Na jednym tylko punkcie zatrzymała się owa ewolucya. Kiedy bohater „klasycznej“ komedyi szuka pomysłu do szelmstwa, któreby go wyswobodziło z matni kręactw, bliskich już ujawnienia i wpada na „genialną“ kombinację z brylantową szpilką, aktor grający Kreczyn-

skawo, zamiast użytego przez autora wykrzyknika *eureka!*, rzucił wtedy ze sceny jedyne polskie słowo „znalazłem!“, za co wynagrodził go w widowni grzmot oklasków. Wzburzyło to wówczas do głębi duszy młodziutkiego studenta; dziś stary spektator tragicomedyi, wypełniającej dzieje owych pięćdziesięciu lat, rozejrzawszy się w tem, co życie zrobiło w Rosyi z tych dodatnich, a „zbytecznych“ ludzi i stwierdziwszy z filozoficznym spokojem że zarówno ten aktor, zatruwający jadem tendencyi język Mickiewicza, jak ci oklaskujący go widzowie, wystąpili już przed pół wiekiem, jako duchowi ojcowie „istimno russkich ludiej“—zamiast klasycznego *Quantum mutatus ab illo!* powtarza za Ben Akibą specjalnie dla nas pouczające: „wszystko to już było!“

Jak grano ten repertuar, na który złożyło się jednak w ciągu trzech miesięcy czternaście sztuk, podpisanych przez Polaków, Rosyan, Duńczyków, Holendrów i Włochów? W odpowiedzi na to pytanie sprawiedliwość dyktuje zawsze z uznaniem nazwiska p.p.: Staszковского, Weycherta, Bartoszewskiego, Kuncewicza, Noskowskiego i pań: Duninówny, Pawłowskiej, Sulimy (występującej gościnnie), Dulebianki, Bartoszewskiej i Staszkowskiej, ze zwykłym zastrzeżeniem pod adresem scen rządowych, na których artyzm wykonania ma stanowić o żywotności teatrów oficjalnych. Gdyby nawet tak zawsze było; gdyby gra aktorów ratowała tam stale ubóstwo repertuaru; gdyby nie zdarzały się wypadki, kiedy z całej postaci artysty tej miary, co Mieczysław Frenkiel, widzimy tylko jedną jego rękę z poza dekoracyi wysuniętą, to i tak oznaczałoby to zawsze wyłączne tryumfy sztuki aktorskiej „pod osłoną literatury.“

Otóż teatr Mały prowadzony jest „pod znakiem literatury,“ a to wielka, może kapitalna różnica!

*

*

*

O tej różnicy wypadałoby przypomnieć antreprzyzie operowej, podjętej przez Filharmonię. „Pod osłoną literatury“ muzycznej uprawia się tam zwykle wirtuozostwo zagranicznych śpiewaków, osłonę zaś stanowią, jak dotąd, dwie opery polskie, obliczone na wrażenia retrospektywne, ale wybrane bez myśli kierowniczej, oceniającej kolejność, stopień i wartość tych wrażeń. Jeżeli bo-

wiem przypomnienie „Jadwigi“ Kurpińskiego usprawiedliwione jest stylem opery, nadającym jej niewątpliwą indywidualność, to już trudniej zrozumieć wystawienie „Wandy“ Dopplera, zgoła pozbawionej stylu. Można zapewne z przyjemnością spotykać motywy ludowe, wplatane tu i owdzie nie bez zręczności do tej poprawnej partycy; można nawet z zajęciem wysłuchać modlitwy *muezzina*, dość udatnie z chórem poprowadzonej w nastroju egzotycznym; można wreszcie zadowolnić się zgrabnymi efektami instrumentacyi i chwilowemi akcentami ekspresyi w partyach głosowych. Niepodobna jednak uwolnić się od ogólnego wrażenia, że się słucha tylko porządnej *Kapellmeistermusik*, w której kompozytor, panując technicznie nad wszystkimi w orkiestrze instrumentami, nad wszystkimi na scenie głosami, umie równie sprytnie grać na sympatyach słuchaczy i że stosunek „Wandy“ Dopplera do literatury muzycznej jest mniej więcej taki sam, jak stosunek pokrewnej treścią i wartością „Odsieczy Wiednia“ p. Rapackiego do literatury dramatycznej.

Będzie więc, jest nawet takie same tu i tam powodzenie, zwłaszcza, że je może utrwalić dobry zespół panów Grąbczewskiego, Maławskiego, Łowczyńskiego, Ostrowskiego, oraz młodzieńkiej, ładnym głosem obdarzonej i zdolnej śpiewaczki, panny Maryi Mokrzyckiej. Ale czy zawsze wykonanie ma być momentem rozstrzygającym, czy o repertuarze stanowić mają z tej samej racyi Battistini, Bellincioni z nieuniknioną „Faworytą“ lub „Violettą?“ Czy retrospektywności włoskiej ma koniecznie odpowiadać retrospektywność polska i czy opery w rodzaju „Wandy“ mają nieodzownie służyć jako pozory literatury, kiedy się ma pod ręką taką prawdziwą literaturę jak „Stara Baśń“ Władysława Żeleńskiego?

WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

FANTIN-LATOUR

malarz i litograf.

Gdyby się oceniało artystów według tego, czem być chcieli, a nie według tego, czem są w istocie—Henryk Fantin-Latour stałby za wyraz wszystkich prądów malarstwa dzisiejszego i wczorajszego. Osobowość jego służyłoby mogła za łącznik, a ześrodkowałaby i dążenia naturalistów, i manierę impresjonistyczną, i rodzący się po nich mistycyzm i symbolizm. Objąłby on cały cykl poszukiwań w sztuce nowoczesnej: od Courbet'a, Zoli, Manet'a — aż do Wagner'a, Mallarmé'go, Verlaine'a, a nawet do Puvis'a de Chavannes i Gustawa Moreau.

Już Fantin'a *Grupy portretowe* i *Holdy* (pomówimy o nich później) wskazują, w jakie strony kierowały się jego chęci i gusta. Bo w owych *Holdach* i *Apoteozach*, zarówno jak w *Zbiorowych Portretach*, prócz usiłowań otrzymania efektu na wzór Rembrandt'a, grupującego członków gildyj i korporacyj, jest jeszcze pewne wyznanie wiary, zaznaczenie przynależności swej i placówki obok tych, co do tej samej „gildyi“ i do tej samej się „korporacji“ umysłowej wliczają.

Temperament wszakże, skłonność przyrodzona Fantin'a, przebijająca się w tych dziełach i w innych, broniły go od postronnych naleciałości, stały na straży jego osobistych cech i zalet, a utworzyły mu fizjonomię całkowicie samoistną, różną najzupełniej od tych wszystkich, przed którymi kłonił się jego umysł, do których ciągnęło uczucie.

Choć w gruncie z niewieloma z nich go coś łączy—*vaille que vaille* szuka on miejsca pośród rzeszy rozwichrzonych, krzykliwych, burzących wszystko naokół modernistów. Oni to za „re-poussoir“ oraz za tło służą jego wyłaniającemu się z półcienia

poważnemu, skromnemu, zrównoważonemu i marzycielskiemu talentowi.

Będąc najistotniejszym realistą ze wszystkich malarzy okresu swego, Fantin-Latour mało ma punktów stycznych z realistami, którym zapęd po-romantyczny kazał widzieć i przedstawiać naturę w najbrutalniejszych jej przejawach, tudzież pewne tylko strony życia za obserwacyi godne uważać. A, nota bene, widzieli je oni i przedstawiali stronnie, w wynaturzeniu, podnosząc do potęgi, podkreślając z zaniłowaniem jedno, z umysłu drugie pomijając. I oni stylizowali, na podobieństwo klasyków, ale stylizowali na wspak; bo gdy ci „poprawiali“ naturę i układali wizję swą wedle umówionej piękna, tamci, zgodnie z upodobaniem, które ktoś „Freude zu stinken“ nazwał — ku brzydocie uporczywie dążyli. Rozmach zaś i przesada iście romantyczna, okraszająca ich utwory, kłam zasadom i założeniom bezwzględnej prawdy zadają. Owi pseudo-realiści okazują się, wejrzawszy bacznie, zdławionymi romantykami poprostu.

Nie takim jest naturalistyczne widzenie Fantin-Latour'a. Dla niego prąd ten nie istnieje, jako wymuszone tendencje koteryjne, nie jest modą przejściową, ale musem, wynikiem przymiotów i usposobienia;—potrafił on po mistrzowsku jedynie to przedstawić, co według wyrażenia własnego „*dobrze pozuje*.“

Realizm na miarę Fantin'a—to nie tylko ześrodkowana uwaga na objawy kipiącego wpodłe żywota, to także powrót do majstrów-malarzy, do genialnych rzemieślników przeszłości, to również zrzeczenie się tradycyji dwurodkowych, z drugiej ręki powziętych, to ukochanie, bez względu na epoki i szkoły i bez wyboru, wszystkich artystów—Hollandrów, Flamandczyków, Hiszpanów lub Weneccyan—wszystkich, którzy wielbili Życie.

Atoli podobnym realistą, pełnym smaku, kultury i artyzmu, Fantin jest i, pod groźbą zminięcia się ze sobą samym, pozostać musi; realistą, pojmującym, że obraz nie może być powtórzeniem i naśladowaniem natury, lecz odtworzeniem, przetransponowaniem odczutego wrażenia; że obdarzyć utwór swój należy prawdą i istnią dzieła sztuki, a nie uczynić go odbitką niewolniczą, nieudolną zawsze i niezupełną tej niedościgłej natury.

Rozumie Fantin-Latour, iż w dziedzinie sensacyji, jest to sensacją jedną z najmniejprzyjemniejszych mieć przed oczyma owe, w powyższem trywialnem zrozumieniu poczęte, postaci i przedmioty, niby „wychodzące z płótna.“

Bo czyż Rembrandt samym jeno pozorem życia arcydzieła swe nieczrównane zdobi? Pogłębia je potężny mistrz układem,

oświetleniem, daje im piękno i styl ogromny. Tak sobie poczyna ją i inni wielcy artyści.

A za długo przestawał Fantin-Latour i za ściśle z olbrzymami sztuki, żeby się nimi, w zrozumieniu jej, nie przejąć. Nie na próżno studyował zapamiętałe w Louvrze, poza mistrzem z Leydy, i Fransa Hals'a, Ferdynanda Bolla i Rubensa, Murilla, Giorgione, Van Dycka i Poussina, Velasqueza, Tycyana, Veroneza; z późniejszych zaś niedarmo był wielbicielem szczerym Ingres'a, Daumiera, Eugeniusza Delacroixa i — choć się to dziwnem wydać może — Girodet'a, dla którego zawsze i od lat dawnych zachował ukrytą skłonność, jaką żywimy zazwyczaj dla starych melodyj, w dziecińne dni zasłyszanych. Z jego to bowiem, Girodet'a, arcyklasycznych obrazów pierwsze swe kopie¹⁾ rysunkowe pod kierownictwem ojca swego robił, a sławetne: „Atala au tombeau“, „Le Déluge“, „l'Endymion“ służyły mu za pierwsze artysty emocje.

Nieliczni są malarze, którzyby się tak wypowiedzieli w swem dziele oraz wykazali, co posiadała zasobnie ich dusza, a czego zgoła nie mieli, czem mogli, a czem nie mogli się stać, skąd wyszli i jakie było ich środowisko przyrodzone, a jaką atmosfera, sztucznie i *par force* przez nich wytworzona — jak Fantin-Latour.

Wszystkie jego utwory są jakby kartami wydartymi z pamiętnika. Tu znaczą się nieosiągnięte, nieudane zapędy przedstawienia rzeczy obcych indywidualności własnej, tam — silne i skończone płody, zgodne z osobistą strukturą psychiczną i zamarkowane właściwościami silnego talentu.

I jest Fantin o wiele późniejszym od wewnętrznej swej wartości wtedy, kiedy oddala się od drogi jedynej, jaką mu jego geniusz wytyka, a iść usiłuje w ślady tych twórców, którzy wszelkie wrażenia transponują naturalnie i bez wysiłku na wizye, „apercepcją“ oderwane myśli obrazami; u których zapach ma swój kolor, smak swój ekwiwalent w formie, a dźwięki kształt przywołują przed oczy.

Zachodzi pytanie, skąd wywodzi się ta dwoistość w twórczości Fantin'a; czemu przypisać należy wahania tak pewnego i tyle świadomego umysłu; skąd owa sprzeczność wrodzonego naturalizmu jego, z sztucznym, nakazanym symbolizmem i Wagneryzmem wniwionym; skąd owo zamiłowanie anachroniczne do alegoryj z czasów Ludwika-Filipa, a skąd ten wodnisty mistycyzm.

¹⁾ Muzeum Luksemburskie posiada ciekawe album pierwszych rysunków F.-Latour'a.

Owóż wytlómaczenie znajdziemy w kilku szczegółach z życiorysu Fantin'a, umyślnie ku temu wybranych, gdzie wpływy otoczenia, popędy z pochodzenia i krwi płynące na jaw wychodzą. One to służyć będą za komentarz i w zestawieniu dadzą nam pełny obraz i podobiznę dokładną artysty, objaśnią dzieło jego, jego psychikę i dążenia.

Ignacy, Henryk, Jan, Teodor Fantin-Latour urodził się w roku 1836 w Grenobli z ojca Jana-Teodora (malarza także, lecz bez sławy ni blasku, choć nie bez zasług) i z Heleny Nedenow, córki przybranej hrabiny Zołow, z domu księżniczki Kurokin. Już z daty urodzenia, wliczającej się do okresu, w umysłowości i ruchu artystyczno-literackim „dix-huit-cent-trente“ zwanego, a znamionującego sentymentalizm wykrygowany w mieszaniu z ważnym i poważnym, zdrowym rozsądkiem; już ze skrzyżowania się dwu ras tyle różnych możnaby wnioski wyciągnąć i niejako horoskop wywróżyć.

Istotnie, urodzenie to odbija się i na postaci Fantin'a, i na jego fizyonomii duchowej. Od ojca ze starej, bardzo starej prowincjonalnej mieszczańskiej rodziny wziął on—spokój i pewien powab purytański, skrupulatność a uczciwość; po matce—kruszyne mistycyzmu słowiańskiego; jak zarówno „po mieczu“ — przysadkowatość i ciężkość statury; szerokolicność zaś, małe marzycielskie oczy, w których się rosyjskie wieczyste *vague à l'âme* odbijało, zadarty, szeroki nos, a pięknie sklezione czoło myśliciela — „po kądzieli.“

W rozwoju każdego twórcy elementy pochodzenia, środowiska i otoczenia zasadniczą rolę odgrywają. U Fantin'a aliści tylko dwa pierwsze ważkie i rzeczywiste mają znaczenie; a w nich ojcowska puścizna najsilniej i najgłębiej się znamionuje.

Volens nolens tworzy on w zbrataniu z tradycją rodzinną. Wciąż mu się marzą zakąty tych domostw prowincjonalnych, na głucho obcym i nowym zawiewom zamkniętych, o zapachu łagodnym lawendy, rumianku i mirtu, o czystości i ochędostwie metodycznym, gdzie życie równe, jednostajne szarem pasmem powszednich wypadków się dzierzga; kędy cnotliwe a oziębłe, cokolwiek w lata zaszęle dziewice, na mahoniowych fotelach, utrechttem czerwonym krytych, czytają moralne powieści pani de Genlis, lub wyszywają roznokolorowymi jedwabiami i włóczkami na krosnach te arcydzieła, co to się później oprawia i z zasłużoną dumą sąsiadom przedstawia na podziw.

Ma malarstwo Fantin-Latour'a ten charakter, ma ten urok potulny a cichy zasuszonych bukietów o nikłym aromacie, wypeł-

złych szarf i szalów, pożółkłych listów, które nam po przodkach w dziedzictwie zostały.

Owe: *Liseuses, Brodeuses, Les deux soeurs, la Lecture* (jest pod tym tytułem wiele obrazów) święcą dyskretnie przygaszone radości spokojnych, beznamiętnych „wnętrzy,” bladych istnień, co „historyi nie mają.”

W łagodnej skali, w stłumionym i niskim rejestrze przedstawia nam Fantin sceny z bytu codziennego, zatrudnienia i rozrywki niewinne tych, którzy „sacra mediocritas” za ideał uważają.

Kłębki i motki barwnych włóczek, rzucone na gierydony i krosienka w towarzystwie pasemek nici jedwabnych, lśniących żywszym połyskiem; manszetki i krezki białe, okalające delikatne karnacye bladolicych pańienek, odzianych w płaskie staniki o neutralnym kolorze, harmonizującym z nijaką szarością ścian; meble, o które się ongi ocierały kitajkowe suknie „couleur puce et prune” i prunelowe buciki naszych prababek; wydłużone palisandrowe fortepiany, szczerzące swe żółkłe zęby w szerokim uśmiechu klawiatury; kanapy i krzesła twardo wysłane, zmuszające nieugiętymi oparciami i poręczami „prosto się trzymać” — wszystkie te postaci, przedmioty i rzeczy są składnikami sztuki Fantin-Latour’a, a tworzą jakby echa dalekie i w minorze do nas doszłe niedawnych, a tak dawnych epok.

Ale jakakolwiek byłaby skromność przedstawionych tematów, jakkolwiek sposób przedstawienia ich skromnym — w płótnach artysty, ukolorowanych najeczęściej brunatną, czarną i szarą barwą i stanowiących, jak mówi Teofil Gautier „des symphonies en gris mineur” — niezaprzeczone spoczywa mistrzostwo. Jest to malarstwo solidne, stanowcze o prawdziwej i prostej rosznowie.

Możnaby seryi tych obrazów dać Balzakowski tytuł: *Les scènes de la Vie de Province* i bodaj czy nie na równi ze „Scenami” onemi postawić.

Jak w owej seryi maluje się intensywnie a szczerze upodobania i wewnętrzny światek Fantin’a, tak w *Portretach* (pojedynczych) odzwierciadla się zewnętrzne jego życie: przyjaźnie, znajomości i związki, z Alfonsem Legros, z malarzem Ridley’em i grawerem Edwinem Edwards, z Vallon’em, Manet’em, z Whistler’em, z którym go łączyła aż do końca zażyłość serdeczna.

Dziwnym być musiał ten stosunek dwu tak zasadniczo odmiennych talentów i do tego stopnia rozmaitych natur. Doprawdy, już z racji powierzchowności ich, nasuwa się na myśl inna legendowa para: Don-Kiszota z Sanszo-Pansą.

Whistler wysmukły, wyniosły, wytworny a wrzący, z pańska impertynencki i nawet kłótlivy nieco—Fantin przysadzisty, z gruba ociosany, flegmatyczny, ześrodkowany, oschły nieledwie i pozytywny. Pierwszy organizator féeryj, malarz obumierających jaśni, budzących się świtów, twórca harmonij subtelnych, portrecista Almanachu Gotajskiego—drugi o równej delikatności i o równem zaiste uzdolnieniu, apologeta parafianścizny i mierności mieszczańskiej, laudator ogniska domowego i biernego, miątkiego szczęcia.

O innych Fantin-Latour'a sympatyach i umiłowaniach mówią nam jego grupy portretowe, jak to: *Un Atelier aux Batignolles*, *Un coin de table*, *Hommage à Delacroix*, gdzie gromadzi: Alfonsa Legros, Manet'a, Whistler'a, Cordier'a, Bracquemond'a, Baudelaire'a, Duranty'ego, Champfleury'ego, sam tamże się przedstawiając (w „Hołdzie“); Verlaine'a, A. Raimbaud'a, Leona Valade'a, Ernesta d'Hervilly'ego, Kamila Pelletan'a, Elzeara Bonnier, Emila Blémond, Jana Aicard (w „Brzegu Stołu“); Manet'a, Zacharyusza Astruc, Augusta Renoir'a, Emila Zolę, Leona Maître'a, Klaudiusza Monet'a, niemieckiego malarza Scholderer'a (w „Pracowni na Batignolach“); lub też w „Około Fortepianu“ (*Autour du Piano*), gdzie skupia ośm osób z owoczesnego otoczenia swego, z których, by uzupełnić liczbę wspomnianych wpływów, wymienię: kompozytora Chabrier'a i Wincentego d'Indy, jednego z szefów szkoły nowożytnej muzycznej Francji. Każde zresztą prawie z nazwisk wyliczonych oznacza zamiary artystyczne nowe, lub nowy w sztuce kierunek.

Pozuje mistrz swe modele, jak przy pogawędce spokojnej, daje im układ o wartości statycznej raczej, niż dynamicznej: siedzą, albo stoją, ale nie są w ruchu. Przeciwnemi bowiem były talentowi Fantin-Latour'a ruchliwość i zmienność światła, zwałość gestów, gra w naprężeniu mięśni. Oko jego i poczucie ukształtowane jest w ten sposób, że tylko rzeczy *state* i nieodmienne, a z okolenia najbliższego czerpane, poddają się jego obserwacyi. Już pejzaż zbyt przemijającym i niepochwytnym w swych efektach się mu wydaje.

„...Penser au soleil—píše on do przyjaciela Edwards'a w odpowiedzi na radę poczęcia obrazu w plenerze — aux nuages, au temps qui change, tout cela est trop éphémère, ne permet pas la copie et voilà ce qui est plutôt de mon savoir...“

*

*

*

Jakże tu z takimi wartościami, z takim usposobieniem i ze skłonnością taką przystąpić do kompozycji fantastycznych, do transkrypcyj arcydzieł muzyki, do utrwalenia plastycznego najłobniejszych, najbardziej znikomych *zwidzisk: zwidzisk wywołanych dźwiękami*.

Znajdujemy je wszelako w twórczości Fantin'a.

Berlioz, Brahms, Weber, Schumann, Rossini, a nadewszystko Wagner, dali mu pochop do owych utworów, które złożyć się miały na rodzaj Dekameronu tęskliwego a namiętnego, łkającego bólem, rozrzuwnionego a tajemniczego, kędy cienie bohaterów Ariosta i Tassa, upiory i widma kosmogonii Północy i mytologii antycznej w swarach wieczystych, lub miłosnych zapasach, parte nieprzeblaganą Ananke, błędzą, cierpią, walczą i kochają.

Napróżno Fantin, dla przedstawienia tych pomysłów, wspomina dziwy kolorów Correggia, Giorgione i Watteau, napróżno przywołuje sine mgły poranków drżących Corot'a, daremnie wysiła mistrzowską swą technikę, upowietrznia przestrzenie, eteryzuje urojenia swoje. Daremnie!

Wszystko to, co wypowiedzieć usiłuje, należy „oczami duszy“ widzieć na jawie, lub w pół-śnie, mieć niebo i piekło, na przemian, pod czaszką i niebo a piekło mieć w piersi, znać zblizka, przeżyć a przeczuć orkany i rozkosze miłości oraz czarne trwogi konania, posiadać tę rzadką właściwość, którąbym *zmysłem czwartego wymiaru* nazwał. Wysiłki ubogiej imaginacyi na nic się zdać nie mogą.

Fantin-Latour poprzestać musi na tytule i stanowisku mistrza pozytywnego ideału, a jego przygodny i zgoła podstawiony, częściowo z matki-słowianki trafem i chyłkiem poczęty, częściowo przez otoczenie narzucony mistycyzm ostać się nie potrafi realnej jego naturze, materializmowi przyrodzonemu, z wiekowych atawizmów powziętym.

Czemuż wreszcie szukać w dziele mistrza tych objawów jego twórczości, które z nieporozumienia pochodzą, kiedy są tam utwory o wartości pierwszorzędnej, godne stanąć obok arcydzieł Charlin'a, tego wielkiego poety ucziwych, uciesznych lubo poziomych kącików bytu, tego malarza Benedicite familijnych, dziejopisa skrzętnych i schludnych gosposi, w otoczeniu skromnego dobytku sprawających służbę rodzinnego zacisza.

Czemuż wynosić, jak to czynią niektórzy krytycy sztuki ¹⁾ owe Walkyrye, postaci z „Rheingold'u,“ zjawy sag Skandynawii,

¹⁾ Pp. Bénédicte, Doucet, Hédiard.

co to ulatywać mają pod niebiosą i bujać, niby dymy ofiarne, a niedołącznie spadają ku ziemi, prawem ciężenia zmożone?

Czy nie stokroć piękniejszymi w ich szczerości i prawdzie są te skromne dzieweczki, te cnotliwe panie i ci panowie pomiar-kowani i rozsądni z Fantin'a realistycznych obrazów?! Czy nie wyższymi, jako dzieła sztuki, od owych *Kobiet-Kwiatów* z Parsy-fala—te poprostu *kwiaty*, wychylające się ze dzbanuszków i kub-ków: róże i chryzantemy, dalie i piwonie, tulipany i mieczyki, hyacenty i astry, bzy i goździki, bezimienne, świeże jak maj polne zioła Normandyi, w bukiety, snopeczki, wiązanki skupione, lub samotnie wyprostowane na łożyczkach swych hardo, przenie-sione rzekłbyś z technieniem ich wonnem na płótno?

Czyliż nie mają inne *natures mortes* mistrza poezji pokornej i przyjaznej rzeczy nam poufałych i blizkich, z którymi zajęcia i czynności nasze bratają nas codnia tak ściśle, iż wydają się te martwe przedmioty towarzyszącami wiernymi i osobami nieomal drogiemi sercu?

Ciągną oczy urokiem znanym i zażyłym owe napotykanie na obrazach Fantin'a kielichy i czarki, tygielki i imbryczki, karafinki i cukiernice, sztuce i łyżeczki—drobiazgi te o blasku miłym i łagodnym, gdzie w ściankach kryształów, na glazurze fajansów i por-celany, w zwierciadełkach srebrnych powierzchni odbiły się i pozostały na zawsze larów domowych niewidome duchy.

I o ileż więcej wyczuwasz wzruszenie artysty w tych skar-bach prawdziwości, jakimi są „martwe natury“ mistrza, o ile sam czujesz się bardziej przed nimi wzruszonym, niżli wobec mozolnie spłodzonych na cześć wielkich twórców Fantinowskich malowideł, w których wyobraźnia autora pobrała w niedobrane stadła tużur-kowych jegomości z jejmościami o goliznach mistycznymi gazami oblekłych.

Do takich koncepcyj należą *l'Anniversaire*—homagium dla Ber-lioz'a, *Hołd prawdzie* („Hommage à la Vérité“) i kilka innych hoł-dów, Wagner'owi, Schumann'owi, Stendhal'owi i Wiktorowi Hugo poświęconych.

Sztuka ta alegoryj i apoteoz przestarzała, a niesmaczna, zbli-zona wartością i znaczeniem do poezji epitalamów i epitafów, znalazła w Fantin'ie ostatniego a gorącego zwolennika. Tem ci ona u niego niesmaczniejsza, że wprowadził on pierwiastek pro-zaiczności spencerków i spodni w one idealne utwory; jak zaró-wno wniósł ciężkość jakowąś germańską do fantazyj swych mu-zyczno-malarskich, którym tyle trudu i tyle czasu ofiarował. Na-liczyłem, iż Schumann służył mu za temat, w litograficznym i malar-

skiem dziele, dziesięć razy, Brahms — pięć, Berlioz — jedenaście, Wagner—dwadzieścia i trzy, a przeczytać coś stanowczo musiałem.

Oto co sam Fantin-Latour mówi o swych „transkrypcjach muzycznych:“

„...Je n'ai pas osé m'inspirer de Beethoven. Je ne suis pas Wagnérien parce que ceux qui prennent cette étiquette sont souvent des ignares qui ne comprennent rien à la musique; puis j'aime aussi Rossini: j'ai peint son „Stabat.“ Ce que j'aime, ce sont des transcriptions. La musique m'a inspiré des visions, des images belles à peindre; je les ai peintes, et je ne suis pas musicien, je suis peintre...“

Racya! malarzem jest on ustawicznie, bo płótna jego, jako „roboty malarska,“ są zawsze piękne i nader sprawne. Bryłowatość i wibracje razem osiąga w nich mistrz za pomocą drobnych dotknięć pendzla; nakłada mocno, później skrobaczką zeszkrobuje, w prążki niejako, wzdłuż płótna osiadłe grudki farby, pozostawiając wszakże—gdzie tego modelacja wymaga—wytworzoną impastami miąższość i szorstkość powierzchni, zahaczającą światło i blask. Przygotowany tak, chropowaty podkład przeciera na sucho lekkimi laserunkami, nie męczy malowidła i zachowuje mu przeto świeżość koloru i delikatność niezmierną. Walory i ustosunkowanie płaszczyzn znakomite, umiarkowanie w zestroju tonów, harmonijność i spokojny wdzięk, poważna słodycz cechują obrazy Fantin'a.

Podobną (w rezultatach oczywiście, a nie w procederze) jest technika jego litograficzna. Aby osiąść efekty wibracji, przenosi z gruboziarnistego papieru na kamień rysunki swe i nadaje tą drogą rycinom świetlistość i plamistość drgającą, równą olejnym utworom. Posługuje się tu także skrobaczką dla upowietrzenia cieni, dla złagodzenia przejść od niuanu do niuanu i otrzymuje obok ogólnego wrażenia barwności urozmaiconej i bogatej, czernie o głębi złudnej, srebrne szarości, przejrzyste i subtelne nad wyraz.

*

*

*

Co uderza niezwłocznie, gdy się na całokształt działalności Fantin-Latour'a patrzy i co jest zaiste rzadkiem w historii malarstwa społecznego—to dojrzałość jego wczesna i wczesne opanowanie środków sztuki malarskiej.

Takim, jakim w podeszłe lata znaleźmy go i widzieli w archaicznej pracowni na rue des Beaux-Arts, posiwiąłym, z zielonym à la Chardin daszkiem nad oczami, zmęczonemi półwiekową pracą, malującym wciąż z zamięłowaniem i werwą—takim psychicznie i artystycznie był ongi pono, kiedy jako długo- i rudowłosy młodzieniaszek kopiował w Louvrze i tamże przy stalugach z flegmą i spokojem „patris familias“ niewinne dusery przyszłej swej żonie, p. Wiktoryi Dubourg (też malarce) prawił.

Od zaczątkowych prac, aż po prace ostatniej doby, talent Fantin'a wypowiada się z jednakowem zrównoważeniem. A z zarańia już jest młodzieńczy artysta w posiadaniu zalet, które go nie opuszczają nigdy: swoistej, wysmienitej techniki, pewności oka i ręki, tudzież stylu, powagi a świadomości celów i środków kunsztu.

Obrazy, które posyła po raz pierwszy do „Salonu“ (w r. 1859), mógłby bez ujny dla sławy swojej podcyfrować datą o lat dwadzieścia późniejszą. Są one prawdziwie na poziomie najbardziej umięjętnych dzieł, z rąk jego wyszłych po długich czasach i trudach.

Sprzyjają, co prawda, rozwinięciu Fantin-Latour'a okoliczności. Jakem już poprzednio wspomniał, był on synem malarza, który widząc od dzieciństwa przejawiające się zdolności synowskie, od dzieciństwa też je karności i metodzie poddał i zaoszczędził przez to pierwotnym usiłowaniam kiełkującego artysty szukania omackiem kierunku.

Dla tego też, jak równie dzięki następnym studjom usilnym i obcowaniu z arcydziełami w muzeach, szczególnie zaś dzięki wskazówkom znakomitego metra i pedagoga sztuki — Lecoq'a de Boisbaudran, pouczającego w akademii malarskiej, „la petite Ecole“ zwanej—Henryk Fantin-Latour opanował tak rychło i tak doskonale arkany zawodu swego.

W zgodzie pozostawała z usposobieniem i z atmosferą dotychczasową młodego malarza ta „Petite Ecole,“ kryjąca się na ustronnej uliczce lewego brzegu Sekwany—w powinowactwie, ciągłości i nieprzerwanem następstwie pozostawały jej ideały przewodnie.

Lecoq de Boisbaudran — le père Lecoq, jak go poufale przezywali uczniowie—prowadził poszukiwania elewów swych ku naturze i ku starym mistrzom, t. j. do dwu źródeł racjonalnych i niedzownych wychowania i kultury artystycznej, i pod godłem a za

pomocą tych zasad ukształtował kilka pokoleń wytwornych, dzielnych a nawet wielkich artystów.

Stąd, z tej uczelni, z pod jego — Lecoq'a zwierzchnictwa wychodzą: Alfons Legros, Cazin, trzej Régamey'owie, Ribot, Jerzy Bellenger, którzy pierwsze *coenaculum* Fantin-Latour'a stanowią.

Z nich kilku, i Fantin na czele, zostają odrzuceni w r. 1859. Malarz Bonvin o dziesiątek lat starszy od plejady tej młodzi, daje im przytułek, urządza im „Salon“ w pracowni swej „flamandzkiej“ (mieni ją „atelier flamand“ niewiedząc czemu) na ludnej i brudnej a sędziwej ulicy Ś-go Jakóba. Tam wystawia Ribot parę drobnych obrazków, tam Alfons Legros zawiesza swoje malowidło „Le Portrait du père de Legros,“ tam znajduje pierwszych swych wielbicieli „Le Piano“ Whistler'a—tam wreszcie trzy dzieła Fantin'a poprzednim płótnom towarzyszą: *Portrait de ma soeur lisant*, *Mon portrait en bras de chemise* (dziś własność muzeum w Grenobli) i *Les deux soeurs, l'une faisant de la tapisserie, l'autre lisant*.

Bonvin sprowadza do atelier, zamienionego czasowo na *refugium peccatorum*, przyjaciół swych wszystkich, zwołuje „ban et arrière-ban“ znajomych i do oceny im przedstawia prace młodej braci.

Między wieloma zaszedł też Gustaw Courbet, wielki rewolucjonista, a większy jeszcze hałaburda, roznamany, chefliwy, hałaśliwy, ograniczony jak chochół, nierówny, ale tak bogato i potężnie obdarzony od natury, tak żywiołowo i z bożej łaski malarz. Wpadł z nieodstępna lulką w pyzatej, siwiejącej, szorstką brodą obrosłej gębie — i, choć gwiazda jego miała się wówczas ku schyłkowi, podbił on natychmiast umysły i serca nowobrańców.

Ich płoche bunty i zapędy nowatorskie zgromadziły się wnet koło czerwonego sztandaru mistrza-komunarda. I odtąd, jak mówi p. Léonce Bénéditte „Courbet nie wcielał już samopas Realizmu. Ufundował on od dnia tego szkołę, miał uczniów i stał się głową realistów...“

Do falangi tej należeli zrazu Bracquemond i Manet, Legros i Whistler, Carolus Duran, Ribot i Vollon, James Tissot i Klau-dyusz Monet.

Jak czas później pokazał, niedługo szli oni pod jednym sztandarem społem; skoro tylko zaznaczyły się temperamenty, objawiły różnice talentu i wizyj, każdy swoją poszedł drogą, a wielu z nich ją innym wskazało.

Coś wszakże Fantin'owi pozostało z Courbetowskiego pojęcia. I on przedstawia Życie nowoczesne, a z najbliższego sąsiedztwa czerpie sceny swe, typy i rzeczy. Ale że jego „sąsiedztwo,“ jego „dział“ są odmienne, niż mistrza z Ornans—nie tegie chłopskie figury, nie zdrowe, o piersiach jak melony a o pośladkach niby klacze pociągowe, dziewczki z Franche-Comté na wzór jego maluje, jeno pajęczyną zlekką omotane cnoty i zastygły powab partykularza, i z niego skrę piękna krzesze.

Ten dar przejęcia i pochwylenia zapoznanego uroku względów, widoków i form mieszczańskich stanowi główną zasługę Fantin'a i wyznacza mu miejsce wybitne w francuskim malarstwie teraźniejszym, a zaszczytne i trwałe w malarstwie wszystkich krajów i epok. Zdaje on sobie sprawę z tego, gdy do Edwina Edwards'a pisze:

„...Il me semble que l'on peut se considérer comme ayant fait un grand progrès quand l'on voit, que c'est tout près de soi, que c'est beau...“

*

*

*

W konkluzji raz jeszcze powtórzyć muszę, iż wówczas, kiedy *Henryk Fantin-Latour* nie wychodzi ze swojego koła, ogranicza wizję swą do właściwych mu horyzontów, a nie szuka wzlotów niedościgłych, kiedy widzi i pojmuje, że piękno jest wszędzie, że wszystko, co nas otacza, byleby przesiane przez poczucie rzetelnego artysty, przybiera piętno godności, urody i stylu—wtedy jest prawdziwym mistrzem i postacią piękną i prawną, którą rozważyć należy pilnie i zgłębić, a w pamięci z szacunkiem zachować. Zaś dzieła jego, w tej myśli poczęte, jako skończony wyraz dążeń, osiągnięty rezultat koncepcyj, postawić obok tych utworów, co nam za naukę, podniecie i za rozkosz oczu służą.

JAN TOPASS.

PIŚMIENNICTWO.

Moja wojaczka, 1825—1831. Z notatek, szkiców i wspomnień Jerzego Ręczyńskiego. ułożył Władysław Chodźkiewicz. Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta 1908.

Pokaźny zbiór pamiętników z 1831 r. stale się powiększa; niemal corocznie przybywają nowe przyczynki do dziejów powstania listopadowego w postaci mniej lub więcej wartościowych wspomnień, notatek i relacyj świadków i uczestników ruchu. „Moja wojaczka“ Ręczyńskiego (na tytule książki mylnie wydrukowano nazwisko autora „Reczyński,“ zamiast „Ręczyński“) nie rzuca wprawdzie nowego światła na wypadki 1831 r., jednakże szczerem, bezpretensjonalnem stanowiskiem opowiadacza i barwnym niekiedy opisem niektórych, nawet pomniejszych wydarzeń, korzystnie wyróżnia się z powodzi przeróżnych „Wspomnień“ z owej epoki.

Jerzy Ręczyński urodził się w Ludwinowie, w Augustowskiem, w r. 1805 (na tytule, jako datę urodzenia R., podano r. 1803); w domu Ręczyńskich ściśle przechowywano tradycje rodzinne, wśród których jaśniała zwłaszcza piękna postać generała Gałęckiego, dzielnego uczestnika wyprawy wiedeńskiej z 1683 roku, a krewnego naszego pamiętnikarza. Przeniknięty niemal od pachołectwa gorącym pragnieniem służenia krajowi, młody Jerzy całym sercem rwał się do wojaczki; opuściwszy przeto służbę biurową w Komisji przychodów i skarbu, gdzie wszedł po ukończeniu „pensyi“ w Lublinie, wstępuje w 1825 r. do szeregów armii narodowej, do słynnego 4-go pułku piechoty liniowej. Twarda służba żołnierska pod W. Ks. Konstantym bynajmniej nie zniechęca młodego ochotnika, sumiennie spełnia on obowiązki służbowe, wrychle też awansuje na podoficera. W tej randze zastaje

go noc listopadowa. Dnia 29 listopada Ręczyński był na warcie tuż przy pałacu Belwederskim, na rogatce tejże nazwy; widział pierwsze zamieszanie nielicznych wojsk rosyjskich po napadzie podchorążych na pałac; przepuszczał przez roгатkę, nie wiedząc jeszcze dokładnie o zajściach w Belwederze, pierwszych wysłańców W. Księcia, adjutantów Gressera i Bezobrazowa, podążających do koszar wołyńskich, do Góry i Kozienic, z wieścią o wybuchu rewolucyi. W dalszym ciągu swego pamiętnika opowiada Ręczyński o przebiegu pierwszych dni insurekcyi, dorzuca kilka szczegółów o głośnej kawiarni Honoratki w Warszawie, wreszcie przechodzi do zwięzłego opisu starć z nieprzyjacielem pod Dobrem, Wawrem, Grochowem. W tej ostatniej bitwie Ręczyński w szeregach 4-go pułku piechoty chlubnie się odznaczył przy obronie Olszynki, za co też otrzymał krzyż *Virtuti militari* wraz z awansem na podporucznika. Pod Wielkim Dembem Ręczyński w śmiałym i energicznym natarciu zdobywa nieprzyjacielskie armaty; następnie bierze udział w bitwach pod Iganiami, Ostrołką, i in., nigdy jednak, co za zasługę pamiętnikarza poczytać należy, nie wysuwa swojej osoby, nie przecenia ani swych zdolności, ani zasług; „byłem tylko pierwszym żołnierzem w szeregu“—mówi o sobie. Opowiadanie kończy Ręczyński opisem wyprawy partyzanckiej w Kaliskie, której był dowódcą. Po kapitulacyi stolicy stoczył Ręczyński jeszcze kilka drobniejszych potyczek, wreszcie, dn. 14 października, jako jeden z ostatnich, przekroczył granicę Polski pod Bobskiem i wszedł do Galicyi.

Niewątpliwą zaletą omawianej książki jest bezpretensjonalność autora, unikanie wszelkich wycieczek osobistych, złośliwych krytyk i zarzutów, tak często w pamiętnikach spotykanych. Ręczyński swoją „wojaczkę“ uważał za prosty obowiązek, którego spełnienie nie poczytywał sobie za bohaterstwo.

Błędów faktycznych niewiele. Za przykładem wielu pisarzy, Paskiewicz mylnie nazywany jest stale „Paszkiewiczem.“ Jeden z przywódców rozruchów ulicznych w Warszawie dn. 15 sierpnia 1831 r., ks. Pułaski, mylnie nazwany „Połowskim“ (str. 56); Dwernicki, jak wiadomo, przeszedł do Galicyi, nie do Prus (str. 126). Winą wydawcy jest błędna korekta cytat w języku rosyjskim, oraz zachowanie rażącego dziś form: „do Kłodawej,“ ku „Częstochowej,“ zamiast: „do Kłodawy,“ „ku Częstochowie.“

O losach Ręczyńskiego po r. 1831 ani on sam w pamiętniku, ani wydawca, nie podają żadnych prawie szczegółów. Skądinąd wiadomo, że Ręczyński po dłuższej tułaczce emigracyjnej i ponownej „wojaczce“ w szeregach angielskich, w czasie kampanii

krymskiej 1853—6 r., osiadł na stałe w Londonderry, w Irlandyi, gdzie niebawem został profesorem fortyfikacyi, inżynieryi i języków nowożytnych w tantejszem Foyle-College. Odtąd też poświęcił się piśmiennictwu, ogłaszał poezye w języku polskim, pod nazwą „rymotworów,” równie jak i tytuł nieudolne, tłómaczył je następnie na język angielski i wydawał pod nazwiskiem „Pana Jerzego z Ludwinowa;“ napisał obszernie, z górą dwieście stron obejmujące, „Pożegnanie braci tułaczy, udających się na Wschód, do nowych zastępów dywizyi polskiej, kozaków sułtańskich,“ które dedykował Sadykowi-Paszy; wreszcie opracował i starannie wydał monografię z dziedziny archeologii o głośnych pseudo-autentycznych starożytnościach moabickich (po angielsku, wyd. w Londynie 1875 r. z wizerunkiem autora). Oprócz prac Ręczyńskiego, wymienionych w Bibliografii Estreichera, znamy jeszcze poemat prozą i wierszem, osnuty na wspomnieniach autora z czasów kampanii krymskiej, p. t. „The Valley of Death or the famous charge of the British light cavalry, october 25, 1854—at the battle of Balaklava. Extracted from the original poem written in the polish language, by Pan Jerzy z Ludwinowa, as a narrative by an eye-witness Translated into english verse, and prose, by captain Ręczyński. Londonderry, 1856.“

Ręczyński był członkiem polskich towarzystw historycznych w Londynie, Paryżu i Dijon; data jego śmierci nie jest nam wiadoma.

H. MOŚCICKI.

WALTER RALEIGH. *Shakespeare. English Men of Letters.* London. Macmillan 1907. Str. 227.

W kwietniu ubiegłego roku ukazało się niewielkie dziełko profesora oxfordzkiego uniwersytetu, Waltera Raleigh'a, o Szekspirze. Krytyka i społeczeństwo angielskie przyjęło je z zapamię, a miarą tego uznania jest fakt, że przedrukowano nową książkę w następnym już miesiącu dwukrotnie. I rzeczywiście, w bogatej literaturze szekspirowskiej należy ta niewielka monografia, raczej szkic monograficzny, do najlepszych rzeczy, jest jedną z najbystrzej pomyślanych i, co bardzo ważne przy tak opracowanym temacie, jedną z najoryginalniejszych.

Pod jednym może tylko względem jest między czytelnikiem a autorem nieporozumienie. „Krytycy z czasów romantyzmu — mówi Raleigh na jednej z pierwszych stron — nie umieli wyjść

obronną ręką z tego trudnego położenia, iż właściwie do poznania Szekspira nie mamy żadnych źródeł; zajmowali się więc tylko gorliwie jego postaciami, podnosząc od czasu do czasu hymn na cześć twórcy. Przecież Szekspir był i człowiekiem i pisarzem; nie mógł się wymknąć przed nami; kiedy pisał, to na papier przeniósł samego siebie, odkrywał własną duszę.“ W tych słowach jest zawarty i cały punkt wyjścia książki Raleigh'a i cała jego metoda. Z ironicznym uśmiechem traktuje on ów zarzut „popularny, a nawet przez uczonych do pewnego stopnia podtrzymywany,“ że Szekspira, ukrytego za obiektywizmem własnych sztuk, jako człowieka, odszukać nie można.

Przecież mimo tego ironicznego uśmiechu, który ma nas z góry źle uprzedzić do wszelkich będących w obiegu sądów, czytelnikowi staje ciągle w myśli pytanie, po czyjej stronie właściwie jest prawda: czy owego uwielbiającego szekspirowski obiektywizm tłumy, czy też po stronie autora? Bo po przeczytaniu dziełka czuje się pewien zawód; może być, że spodziewaliśmy się za dużo; ale chyba mieliśmy prawo wymagać od autora, który obiecywał nam poznanie szekspirowskiej duszy, podania więcej szczegółów w tym kierunku, niż to tylko, że w Szekspirze widzimy podziw dla czynu (podniesiony już w znakomitej pracy prof. Dowdena), że etyka jego dosięgła najwyższych szczytów i zaprzeczyła możliwości jakiegokolwiek winy w człowieku, że wreszcie w młodości miał kult dla szczęścia. To nieco za mało i nieco za ogólnikowo, jak na całokształt charakteru, zwłaszcza, że Raleigh podkreśla jego indywidualność. Tak więc, mimo zapewnień, wciąż jeszcze musimy się skarżyć, że Szekspir wymknął się przed naszą ciekawością.

Ale tu nieporozumienie się kończy. O ile Raleigh nie zdołał dać nam duchowego portretu człowieka, o tyle, pod względem analizy artystycznej twórczości pisarza, przewyższył może dotychczasowe prace. Metodę ma jasną i prostą: zestawia z jednej strony szekspirowskie dzieła, z drugiej — współczesne pocie życie. Zna też on to ostatnie znakomicie i umie odnaleźć wybornie ścisły związek między niem a sztuką Szekspira; w dzieła zaś poety wczytał się tak dokładnie i głęboko, że przyswoił je sobie prawie na pamięć, że nic mu nie przeszkadza przerzucać się od jednej do drugiej osoby, sytuacji, wreszcie cytaty w tej ogromnej masie arcydzieł. Wniknąwszy tak w swój ukochany przedmiot, Raleigh ma prawo spoglądać z góry z pobłażliwą ironią na entuzjastyczne zapędy krytyki, szczególnie niemieckiej. Bo też czego nie napisano o Szekspirze, czego się w nim nie dopatrzono, czego

i jakich dzieł nie usiłowano mu przypisać! Raleigh, gdzie może, stara się zadać swem lekkim szyderstwem śmiertelny cios podobnym, niepowołanym zachwytem. Naprzykład w sprawie wpływu „Essay'ów“ Montaigne'a, w sprawie, która znalazła echo i w naszej hamletowskiej literaturze, Raleigh stanowczo i dowcipnie zbija teorię zależności Szekspira od myśli francuskiego sceptyka, wykazując, że jedno jedyne bezpośrednie zapożyczenie jest parodią odpowiedniego oryginalnego ustępu; inne zaś podobne montaigne'owskim teoriom myśli wygłasza Szekspir już w najwcześniejszych komediach: „Poskromieniu Złośnicy“ i „Straconych zachodach miłości,“ gdzie o wpływie mowy być nie może—podobieństwo owo wynikało jedynie z pokrewieństwa duchowego obu pisarzy.

Najdotkliwiej może smaga Brandes'a, który w ogromnem, bardzo płytkiem, złożonem z oklepanych dat i frazesów dziele, podnosił nadzwyczajną znajomość historii naturalnej u poety. Raleigh przytacza na to przykłady: gołębie karmią swoje młode, śledzie są większe od sardynek, kukuczka składa jaja w obce gniazda, czajka lata tuż przy ziemi, skowronek przypomina trznadła i dwa czy trzy inne, również powszechnie znane rysy z życia zwierząt, gdy tymczasem ustęp o ulu pszczelnym w *Henryku V* jest tylko poezją, zupełnie niezgodną z prawdą; słowik i kukuczka Szekspira są stworzeniami zupełnie nieznanymi nauce, wytworami różnych, wiekami nagromadzonych tradycyj.

Tę zależność od warunków współczesnych, z których jednym było owo nieograniczone panowanie tradycyi w nauce, umie Raleigh doskonale przedstawić. W kronikach, zapiskach, pamiętnikach wyszukuje ustępy niemal analogiczne do szekspirowskich sytuacji, powiedzeń, nawet typów. Nawet dla tej postaci, która zdawała się być bezprzykładną w życiu i sztuce, dla Falstaffa, znajduje Raleigh bardzo bliskie pierwowzory. Rzeczywiście, czytając ten rozdział książki („Stratford i Londyn“), czujemy się widzami przy warsztacie, na którym życie przekształca się pod genialnymi rękami w pyszne dzieła sztuki, by dla zmęczonych bezpośrednio jego poznawaniem pozostać wieczną radością w sztuce. W innym rozdziale („Teatr“) poznajemy bliżej narzędzie, jakie Szekspir ma pod ręką. Obok znanych już wpływów ówczesnego urzędnika sceny na twórczość poety podnosi Raleigh kilka ciekawych względów, na które Szekspir musiał dla panującej mody zwracać uwagę. Tak np. wprowadzenie kłownów. Zestawiając ich zjawienie się w sztukach i to, co mówi o nich Hamlet do aktorów, dochodzi Raleigh do przekonania, że poeta patrzył nie-

chętnie na rozrywanie tragicznej jedności przez ukazywanie się kłownów, i że tylko czasami „robił cnotę z konieczności“ i w „Jak się wam podoba,“ w „Wieczorze Trzech Króli,“ czy w „Królu Li-rze“ umiał nadać tej nieodwołalnej modzie przepych i powagę, choć i w wielu dowcipach królewskiego błazna dopatruje się Raleigh niejako odczepnego dla gustu teatralnej publiczności. Inny z takich względów mody wywołał całą seryę sztuk historycznych, za którymi przepadano wówczas, lub szereg drastycznych scen, jak wyłupienie oczu Gloucesterowi, scen, których pożądaliby koniecznie słuchacze i widzowie marlowe'owskich dramatów czy „Hiszpańskiej tragedyi“ Kyd'a.

Do mody tej zastosowywał się Szekspir nieświadomie. Raleigh sądzi, że Szekspir nie wytworzył sobie żadnych teoryj o twórczości dramatycznej—rzeczywiście w sztukach Szekspira nie znajdujemy nigdzie wzmianki w tym kierunku, ale to jeszcze nie jest dowodem stwierdzającym ów sąd, który musi się wobec tego wydać subiektywnym. Wogóle przy wymienionej wyżej metodzie trudno się uchronić od subiektywizmu, który doprowadza czasem autora do paradoksalnych twierdzeń, jak np. że „ze zniknięciem chłopców-aktorów (grających role żeńskie) skonał poetyczny dramat w Anglii i nie powstał już na drugi żywot,“ gdyż „poezyi jak religii nadużywają, czyniąc ją areną popisu własnego talentu i namiętności, ci, którzy są jej sługami.“ Sąd ten wydaje się zanadto wywołany chęcią łatwego a efektownego wyminięcia kwestyi: w jaki sposób mógł Szekspir tworzyć przepyszne postaci kobiece, wobec onego nieuniknionego warunku swojej sceny,—iżby mogła wyłomaczyć Raleigh'a nawet jego miłość do Szekspira, która czuje się urażoną, gdy aktor chce choć trochę uwagi zwrócić na siebie.

Podobnie subiektywną jest hipoteza, że „Tymon Ateńczyk“ i „Troilus i Kressyda“ są niejako szkicami do „Lira“ i „Romea i Julii.“ Szekspir podjął te tematy, lecz nie mógł ich dość artystycznie opracować, odłożył więc je na bok. Ale rozbudzona w pewnym kierunku fantazyja snuła dalej swoją przędzę, coraz z bogatszym haftem i głębszymi kolorami i wytworem tej roboty jest zakłęcie w dramat największego ludzkiego bólu i największej ludzkiej miłości. Po latach, gdy trzeba było na gwałt dostarczyć sztuki do teatru (a w owych czasach nowości utrzymywały się na scenie krótko, wskutek małej liczby widzów) przypomniał sobie Szekspir fragmenty z lat młodzieńczych i dokończył sam, czy też dał je komuś do dokończenia. Hipoteza, jakkolwiek nie poparta żadnym dowodem, bardzo bystra i mająca niemal naukową, niezbita wartość — w każdym razie w porównaniu do ostatniej,

wyżej wymienionej, o tyle więcej ma wagi, że nie można tu autora posądzać o chęć wywołania efektu.

Najciekawszym niezaprzeczeniem rozdziałem jest równocześnie najdłuższy: „Ludzie i rzeczy“ („Story and Character“). Jest to szereg uwag, tak głębokich i doskonałych, że możnaby je właściwie wszystkie przepisać. Raleigh opuszcza to stanowisko krytyka, zapomina o tem, że ma mówić o artyzmie Szekspira, iż tylko poprostu jako czytelnik wypowiada całą masę niemal aforyzmów, jednych trafniejszych od drugich, jak np. że Szekspir nie ma dwóch odmiennych stylów dla dwóch odrębnych rodzajów: komedyi i tragedyi lub że wprowadzenie Ozryka w V akcie *Hamleta* jest znakomitem uzmysłowieniem życia codziennego, które otacza zawsze i wszędzie największe czyny i myśli, nie zwracając na nie żadnej uwagi. Czasami te raleigh'owskie aforyzmy są ujęciem w słowa tego, co każdy z nas czuje, czytając lub widząc Szekspira na scenie—a co wydawało się wszystkim tak proste, iż nikt tego nie starał się zapisać. Raleigh notuje te spostrzeżenia skrętnie i sprawia nam niesłychaną przyjemność, formułując jasno nasze nieujęte wrażenia. Jednym np. z takich miejsc jest zanotowanie mistrzowskiego zwrotu Falstaffa, po okazaniu mu publicznie królewskiej niełaski, zanotowanie w całym szeregu cytat, mających wykazać, że często powiedzenia Szekspira są jak wypadki w życiu — spodziewamy się czegoś, wyobrażamy sobie bardzo wiele, życie jednak przynosi zawsze coś innego, coś, co wydaje się nam potem, że musiało przyjść koniecznie. Czyż to nie znakomita uwaga? A jest ich tyle i wszystkie są tak sobie równe, że niewiadomo, którą najprędzej wybrać i uznać za najbystrzejszą.

Nieco szerzej rozwodzi się Raleigh nad kwestyą „poetycznej moralności.“ Uważa on ją za sztuczny wytwór bojaźni ludzkiej. „Zawalenie się mostu z powodu złej konstrukcyi, nie wzbudza nigdy owego panicznego strachu, jaki wywołuje trzęsienie ziemi.“ W poezyi uciekamy się do moralności, bo moralność jest w naszych rękach. Tymczasem u Szekspira nie można się uczyć moralności, chyba przypadkiem czasem, bo w nim są właśnie owe „trzęsienia ziemi.“ U niego tylko Jago i Edmund z „Lira“ wierzą w możność panowania nad własnem przeznaczeniem; wszyscy inni, wszyscy najwięksi, ulegają mu bezradnie. Fatum włada niepodzielnie w tragediach Szekspira, włada i w komedjach, gdzie zjawia się pod weselszą formą Fortuny. Stąd też i szekspirowska etyka sięga nawet dalej, niż znane: „tout comprendre c'est tout pardonner,“ gdyż nie przypuszcza nawet przebaczenia, nie uzna-

jąc winy, która leży nie w człowieku, lecz po za nim. I Raleigh z ogromną werwą i swobodą roztrząsa, jako przykład tej etyki, „Miarękę za miarękę,” komedję, która jest najcięższym kamieniem obrazy dla moralistów, i wykazuje, że ten cały czarny świat jest tylko „słabym światem, pełnym próżności i głupstw, zwracającym uwagę na zwyczaje, zamiłowanym w rozkoszy, próżniaczym i bardzo, bardzo ludzkim. Nikt nie potrzebuje go daleko szukać.“ Szekspir nie potępia tu nikogo; owszem, na czystą Izabelę patrzy nieco z ironią i mówi przez usta księcia: „ty nie jesteś sobą, bo żyjesz z tysięcy ziarn, które powstają z prochu.“ Wszyscy jesteśmy zarazem dobrzy i źli—i wszystko, co się dzieje, niewiele jest zależne od naszego osobistego charakteru.

Książki Raleigh'a nie można streścić na kilku stronach. Mimo bardzo pięknego stylu, poetycznych, a przecież świetnie objaśniających rzecz porównań, niema tam prawie zupełnie frazesów. Każde zdanie zawiera jakieś wyborne spostrzeżenie, jakąś głęboką uwagę. Przytem Raleigh dotyka niemal wszystkich spornych kwestyj szekspirowskich, zaczawszy od jego politycznych przekonań, a skończywszy na wieczyście roztrząsanym problemie „Hamleta.“ A wszystkie rozwiązuje, o ile można prosto, opierając się prawie wyłącznie na samych dziełach i prawach czy sekretach artystycznego tworzenia, które zna bardzo dobrze (świadczy o tem przepyszny ustęp o postaci Bernardyna z „Miarکی za miarękę“). Często zadowolony się tylko skonstatowaniem faktu (np. w „Kupcu weneckim“), a na hałas podniesiony, że to nie wytlómaczenie, zastawia się *życiem*. Przed tem wszelkie protesty muszą ucichnąć. A trzeba też dodać, że może nikt tak, jak Raleigh, nie umiał podpatrzeć tej tajemnicy szekspirowskiego geniuszu, którą znali wprawdzie poprzedni krytycy, lecz w mniejszym znacznie stopniu, tajemnicy chwytania życia w jego najgłębszej istocie i najróżnorodniejszych objawach, i zaklinania go w słowa. Nikt dotąd nie potrafił tego tak dobrze, bo nikt nie zajął tego stanowiska wobec Szekspira, co Raleigh. Można by powiedzieć utartym frazesem, że patrzy na niego „trzeźwo“ lub że go „zniża“ zwłaszcza w porównaniu do tych sądów, które zamieniały go niemal w mitycznego półboga. Dla Raleigha jest Szekspir zawsze aktorem z XVI wieku. Ten pogląd pozwala mu użyć doskonałego technicznie pryzmatu, przez który przepuszczany słoneczny promień szekspirowskiej sztuki, rozszczepia się bardzo jasno i wyraźnie na wszystkie swe składowe części. Mimo to wprowadza nas ta tęcza w jeszcze większy zachwyty grą swoich barw, jeszcze więcej

każe nam podziwiać genialność twórcy, który umiał stopić wszystkie te barwy w jedno, zawsze i wszędzie, nieprzewyższonym blaskiem świecące słońce.

ANDRZEJ TRETIAK.

Car Dymitr Joannowicz. Kronika dramatyczna A. Nowaczyńskiego. Warszawa, 1908. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Historya, mimo zmuanych i dokładnych poszukiwań, niema do dziś dnia dość ściślej odpowiedzi na pytanie, kim był właściwie Dymitr, zasiadający na tronie moskiewskim w pierwszych latach 17-go wieku, w chwili, kiedy Rosya ówczesna przeżywała ciekawy kryzys polityczny po śmierci Iwana Groźnego. Czy był to istotnie zbieg klasztorny, Hryszka Otrepiej, jak mówi legenda rosyjska, czy syn naturalny Stefana Batorego, forytowany na tron carski przez Polskę, czy może prawdziwy ocaleniec Uhlicki, podstępem wyrwany z rąk siepaczy i uwięziony tym szlakiem, którym tak często uciekała z pod berła Joannowego brać moskiewska, szukająca schronienia pod prawami Rzeczypospolitej? Nie wiemy. To pewna jednak, że dla Rzeczypospolitej nie były obojętne wypadki, rozgrywające się wówczas w Moskwie i że kimkolwiek byłby ów pretendent do „barm Monomacha,“ polityka polska musiała go popierać, oczywiście w ten sposób przezorny i delikatny, w jaki tego rodzaju sprawa mogła być popierana przez rząd państwa kulturalnego, stojącego jeszcze u szczytu swojej potęgi mocarstwowej.

Zastanawiać się jednak nad tem głębiej, badać, szukać po źródłach i oświadczać się za tym lub innym poglądem historycznym, nie byłoby rzeczą na miejscu dla dramatopisarza. To też Nowaczyński nie uczynił tego. Nie zajął on wobec Dymitra stanowiska, któreby go obowiązywało wyraźnie do jakiejś prawdy historycznej, do podkreślenia i zamarkowania tych momentów politycznych, jakie w tej całej aferze niewątpliwie tkwiły i nie drugorzędnie wpłynęły na jej epilog. Autor *Dymitryady*, przeciwnie, starał się oprzeć raczej na tradycyi historycznej, niż na historii w ścisłem rozumieniu tego wyrazu. Nie znaczy to przecież, aby zaniechał poczynienia odpowiednich studyów i przygotowań naukowych. Te studia i przygotowania musiały być nawet bardzo rozległe. Świadczy o tem zarówno wybornie podmalowane tło

epoki, jak rysunek figur, wysuniętych na czoło, jak wreszcie mi-sterne a wielce trafne ukazanie w perspektywie dziejowej tej walki dwóch światów, jaka toczyła się poza obrębem akcji dramatu i niezależnie zupełnie od osoby Dymitra. Wycucie tego momentu, który w rozwoju dwóch kultur odegrał rolę bardzo ważną, przeciwstawiając Wschód Zachodowi i wyłaniając z siebie problemat dotąd nierozwiązany, było niewątpliwie bodźcem, który zmusił Nowaczyńskiego do zajęcia się Samozwańcem. Skądinąd bowiem jest to postać mało interesująca, zwłaszcza dla dramato-pisarza. Niema w niej nic bohaterskiego, nic tragicznego, nic w wielkim stylu. Bohater to do tragikomedyi raczej, niż do dramatu historycznego. Niema w nim żadnej idei, bo ta idea stoi poza nim, a on nie może być nawet godnym jej wykładnikiem, niema w nim walki, zmagania się z „furią pani fortuny,“ niema żadnego ukochania wielkiego, żadnego porywu namiętnego, nic z tego, co tworzy prawdziwy dramat duszy ludzkiej. Widział to autor dokładnie i dlatego nie nazwał dzieła swojego dramatem, lecz dał mu skromny nagłówek „kroniki dramatycznej.“

I taką „kroniką“ jest *Dymitryas* od początku do końca, we wszystkich swoich sześciu obrazach, pełnych nerwu dramatycznego, ale nie składających się na dramat, któryby głęboko nami zatargał i skłonił do przechylenia się wyraźnego, czy to na stronę bohatera, czy na stronę bojarów, broniących przeciw niemu „starych porządków.“

Dymitr Nowaczyńskiego przechodzi rozmaite koleje i z rozmaitych stron oglądamy jego oblicze. Zawsze jednak jest *tym samym* Dymitrem, jakiego zobaczyliśmy na początku. Autor robi wszelkie przypuszczenia co do przeszłości młodego cara, uznaje wszelkie możliwości, ale ani jednej nie podkreśla tak, żeby z tego podkreślenia można było wnosić, że jego osobiste przekonanie jest właśnie takie, że uznaje on samozwańczość czy też prawowitość syna Joannowego.

Chwilami zdaje się, że już jest zdecydowany—oto daje autokracie moskiewskiemu gest carski, jakby kazał w nim domyślać się potomka groźnego „krwio pijcy,“ jednocześnie jednak podsuwa czytelnikowi przypuszczenie, że ten gest monarszy może pochodzić zupełnie skądinąd, a w chwilę potem, jakby utwierdzał nas w przekonaniu, że i legenda o zbiegłym słuźce klasztornym nie jest tak dalece pozbawiona podstaw. I to jest właśnie Dymitr prawdziwy, złożony z tych wszystkich pierwiastków, jakie w nim widzi tradycja.

Autor narysował go odrazu, narysował wprawna i pewną ręką już w pierwszej odśłonie, w chwili, kiedy deputacya moskiewska składa mu hommagium poddańcze, niosąc na złotych misach chleb, sól i insygnia carskie. Ten rysunek zasadniczy został później wycieniowany i w ostatnim obrazie nie brak mu już żadnego sztrychu. Jesteśmy najzupełniej przygotowani do tego, aby usłyszeć jego rozpacz i słabości pełen okrzyk: „To już mój koniec idzie!“ i zobaczyć go wyskakującego przez okno w stroju polskim, w którym przed chwilą miał iść na biesiadę „katolicką“ do gospody pana Sklińskiego...

Widzimy w tym ostatnim momencie człowieka bez charakteru — jak widzieliśmy przez cały ciąg poprzednich 5-ciu obrazów ten charakter łamiący się, chwiejny, niezdecydowany, pozbawiony bussoli, ten umysł słaby, nie ogarniający położenia, nie umiejący wzbic się na jego wysokość, podatny wszelkim wpływom, to serce popędliwe a miękkie, żadne raczej uciech zmysłowych, niż górnieszych wzruszeń.

Tak wyglądał „mąż,“ który z woli losów miękka, niezdarna ręką próbował dokonać tego, co w znacznie mniejszym zakresie, w 100 lat po nim, uczynił „żelazną rękawicą“ Piotr Wielki. Próba ta dotyczyła zreformowania Moskwy, państwa tonącego podówczas w zupełnem barbarzyństwie.

Dymitr, zasiadając na tronie moskiewskim, nie zasiadał samotny. Wraz z nim do zatęchłej atmosfery Kremlinu wdzierają się struga innego powietrza. Wiódł on z sobą nietylko garść towarzyszków pancernych i petyhorców bitnych, niósł także cywilizację i kulturę narodu, wśród którego wyrósł, gdzie poznał wolność i nauczył się ją cenić. Kultura polska szła w tym czasie ku Wschodowi zwycięsko, szła własnym swoim rozpędem, własną swoją siłą przez Ruś kijowską i przez Litwę. Nie trzeba jej było popychać. Wszystko, co w Moskwie garnęło się ku światłu, a umiało czytać, czerpało ze źródeł polskich. Ale „chęcią gosudarską“ Dymitra, i to chęcią doraźną, było przeobrazić Moskwę gwałtownie.

— Wszystkim wam—mówi on na pierwszym zaraz posłuchaniu do bojarów — *mus* będzie nauczyć się polską mową mówić — i to w sześć miesiączków. A po łacinnicku w jeden rok...

A kiedy bojary biją mu głowami w niewolniczej pokorze, oburza się w nim duch człowieka, który patrzył na zgoła inne wobec Majestatu zachowanie się szlachty polskiej i nauczył się cenić godność ludzką.

— Tak i wstawajcie! — woła do nich w oburzeniu. — Taka salutacya łbami, te pokładziny na ziemi, jako i wiele innych rabskich obyczajów musi szczeznąć *po jednym ukazie*...

I ukazy zostały wydane, zwołana Duma Soymowa, rozpoczęto reformy, a obyczaje nie zczeszły.

Rozpoczęła się walka i zmaganie „prawdziwie rosyjskich ludzi“ z nowym duchem, złościącym sobie koryto wśród społeczeństwa.

Nie znalazł Dymitr sojuszników i pomocników w „dziele preobrażenia Gosudarstwa i ufundowania oświecenia i gramotności w przesławnym i silnym, ale czornym i dzikim narodzie.“

To, co było „czorne i dzikie,“ okazało się silniejsze od młodego cywilizatora, który zapewne stawał się sobą dopiero w objęciach płomiennych Kseni Godunówny, zdobytej w końcowej scenie obrazu I-go.

(Nawiasem mówiąc, ta scena należy do najlepszych w całej Dymitryadzie.)

Przeciw Dymitrowi sprzymierza się z bojarami prawosławie, reprezentowane przez mnicha Pafnucego, który zaznacza mocno, wyraźnie i śmiało, że „ruski naród prawowierny wierzy w Boga Jedyne go greczyńskiego zakonu, wierzy w swego Samodzierżcę, w nijakie toli *swobody polskie* nie wierzy i obyczajów swoich na katolickie pomieniać nie chce i nie pomieni“ (obraz II).

Kość rzucona. Odtąd już walka staje się zupełnie wyraźną i w tej walce tkwi też cały pierwiastek dramatyczny dzieła, napisanego z rozmachem i prawdziwą siłą twórczą. Tragikomiczne sceny Dymitryady ustępują na bok. Do walki natomiast stają idee i czytelnik wyczuwa, jak się one przewalają i mocują za sceną, na którą tylko od czasu do czasu przedostają się błyskawice, zwiastujące o nadciągającej burzy.

Zbiera się ta burza stopniowo, powoli. Chmury ciągną, zasępiają niebo, kłębią się na niem i przewracają.

Dymitr tego nie widzi. Dostrzega je pierwszy swoim przenikliwym rozumem jezuita, urodzonego polityka, pater Andrzej (obraz III) i wskazuje na „koła sedycyjne“ i „bunt“ gotujący się. Car jednak z lekkim sercem słuca przestrogi i woli łowy w towarzystwie szlachty polskiej, niż poważną deliberację nad zbliżającym się niebezpieczeństwem.

Tymczasem z Kremlinu płynie na Moskwę wieść o ruskim „caru, który ku cerkwiom nie chodzi, przeświętych ikonów nie poczyta, który z Jezuwitami-jeretikami długie rozmowy sobie wszczyną, raki i szpika kości żre, i kuropatki, i cielęcinę także

jeszcze Noemu zakazaną.“ Wieść ta przygotowuje grunt do zamachu. Łączą się bojary, obrońce prawosławia i obyczaju rosyjskiego — groźny pomruk zaczyna także wydawać tłuszcza, ciemna, bydlęca czerń moskiewska.

W obrazie IV widzimy już zupełnie gotowe sprzysiężenie. Spiskowcy znajdują sprzymierzeńców w Kseni, która odtracona przez Dymitra z chwilą, gdy przybyła na Moskwę Maryna Mniszcówna, pała teraz zemstą i w Piotruszce-Piotrowskim, zbiegłym słudze Wiśniowieckich, obecnie pokojowcu carskim.

W scenie, w której odbywa się tajemna narada, carzyk jest swobodnego ducha, a w nowym jego dworcu aż huczy od zabaw. Zjechała gwarna czereda z wojewodzianką sandomierską i weselu niema końca. Uczta idzie za ucztą, pienią się kielichy, brzmi śpiew, kaskadami płyną rytmy „bobkowych skrobiryków.“ Piękna Maryna carica bawi się, a przy niej lekkiego ducha Dymitr, ochotny do kielicha i tańca, zbywa wszelkiej troski. Objija się natomiast ta troska o uszy „pana teścia“ Mniszcha i dociera do ochmistra dworu caricy, Martyna Stadnickiego.

Nastrój biesiadny mącić poczynają złowróżbne zgrzyty.

— Takie to już przestare bojare prywyczki: albo gosudarem matać, by biedny naród mocniej cisnął, albo zdradę przeciw niemu obmyślać od wieków — mówi Bassmanow, wierny i oddany carowi wojewoda rotny (Obraz V).

I tym razem jednak przestrogi nie działają, a intryga idzie naprzód i dojrzewa. Podczas gdy w dworcu nadobne bojarynie i córki bojarskie uczą się „obyczaju“ od układnych kawalerów i puszczają się z nimi w pląs krakowski, lub oglądają po raz pierwszy „maszkary“, sprowadzone z Polaszczy na zapusty — mężowie ich i ojcowie plotą dalej mozolnie swoją sieć, która omotuje nieprzezornego Dymitra ze stron wszystkich.

Jest on łatwowierny do tego stopnia, że daje się ować wpływom spiskowców, działających na niego uniejętnie przy pomocy starego, a pełnego obaw Mniszcha i za jego to podszeptem usuwa Bassmanowa i wydaje ukaz o wypuszczeniu z „domu rozbojnego“ zbrodniarzy, złodziei i wszelkiej hołoty występnej (Obraz VI).

Ta chwila jest decydującą... Przygotowania nie zawiodły. Spełniło się wszystko. Zgromadzono cały zasób prochu i trzeba było tylko iskry, ażeby weń padła i spowodowała wybuch.

I iskra ta, podłożona przebiegłą ręką, pada i następuje wybuch — straszna, krwawa eksplozja barbarzyństwa.

Ginie Dymitr. Jednocześnie w Moskwie odbywa się pogrom szlachty polskiej. „Pobierały ściany gościnnych gospód od wapna mózgowego rozbitych głów. Przeciw wszystkim nadspodziewany mord się dział, wiele przezacnym, z rodowitych domów towarzyszom, nie licząc czeladzi a różnej kondycyi osób... Niewinna krew ludzi Sarmackich wybranego towarzystwa okrutnie jest wylaną, która o pomstę do nieba woła! I to żal nad żalmi, że od takiej szarańczy nieludzkiej zabijani owi! bestyalskim zwyczajem rozkrzyżowani! do ścian poprzybijani! obuchami w czaszki bici! Męża pięknego do pięciu setek, pożał się Boże“ (*Epilogus*).

Autor podkreślił tu bardzo dyskretnie „*pierwszy* pogrom Polaków przez braci Słowian na Krimlu.“

Na tym akcencie kończy się „Kronika dramatyczna,“ ustępując miejsca temu, co już nie dramatem, ale stało się tragedją przez morze krwi wylanej, przez drogę krzyżową tylu pokoleń, przez Gehennę cierpienia.

Niewątpliwie, zgodnie z wolą twórczą autora, idea tego dramatu dziejowego góruje nad całą Dymitryadą i przytłacza ją swoim ogromem. Rozsadza ona szczupłe ramy „Kroniki dramatycznej“ i ukazuje czytelnikowi gigantyczny obraz walki dwóch kultur, walki, nie mieszczącej się ani w historii Dymitra, ani w jego śmierci.

— My o tego monarchy zabicie żadnej kontrowersyi z wami nie wiedzim! Moskwiżyn on był, to i wy go sobie, Moskwiżce, podstępnieście zabili, aleć, cprawda, po starodawnym obyczaju rosijskich ludzi... — mówi w Epilogu Martyn Stadnicki do zgromadzonych bojarów i mówi, jakby chciał podkreślić, że ten „starodawny obyczaj“ ostał się na placu i że osoba Dymitra była niczem wobec tego, co się tu działo...

I rzeczywiście usuwa się ona na plan drugi, gdy obok niej staje Historia.

W podmalowaniu tła tej drugiej bohaterki swojej „Kroniki“ okazał się Nowaczyński artystą. Przeniósł się on z łatwością w czasy odległe i był zupełnie „swoim“ człowiekiem wśród ludzi, których wyprowadzał na scenę.

Nie idzie mi o Polaków. Tych, jako Polak, ma on we krwi i może, jako artysta polski, intuicyjnie widzieć ich nawskroś. Zastanawia jednak ta łatwość, z jaką poeta (nb. urodzony i wychowany w Krakowie) potrafił wdążyć się w głębokie pokłady duszy rosyjskiej i wyłowić stamtąd nie to, co było przemijającą cechą tego lub innego bojarzyna, ale co stanowiło i do dziś dnia

stanowi *duszę rasy*, duszę zbiorowości rosyjskiej, tak odmiennej od zbiorowości naszej. Wyprowadził on na scenę kilkanaście postaci, każdej dał pewną indywidualność psychiczną, a jednocześnie wszystkie spiął w jedną całość, tworząc z nich jedną bryłę *ducha rosyjskiego*, bytującego w odmiennych kształtach, ale jednakiego treścią.

Słowo specjalne należy się jeszcze językowi *Dymitryady*. Jest to język stylizowany w najdrobniejszych szczegółach. Praca, jaką zadał sobie p. Nowaczyński, zanim doszedł do tego, że *takim* językiem mógł posługiwać się swobodnie, musiała być wielka. Pracę tę jednak, podjętą z rzadką sumiennością i miłośnictwem, sownie okupują rezultaty, bezwarunkowo godne bliższej uwagi. Kto wie, czy taki właśnie język nie byłby się wytworzył rzeczywiście, gdyby owa „Komedia Plautowa,“ zagrana przez Dymitra na Kremlu moskiewskim, była czemś więcej, niż „komedyą.“

Z. D.

Kronika miesięczna.

Zamordowanie Andrzeja hr. Potockiego.—Zakaz językowy w Prusach.—Kolonizacja niemiecka w Król. Polskiem.—Sprawa Uniwersytetu warszawskiego.—Instytut bibliograficzny.—Urzędowe szkolnictwo początkowe w r. 1903/4.

Dzień 12 kwietnia r. b. krwawemi zgłoskami zapisał się w dziejach Galicyi. Namiestnik tej dzielnicy, Andrzej hr. Potocki, padł ofiarą bezcennego mordu. Skrytobójcza ręka Rusina Sycylińskiego położyła kres życiu najwyższego dostojnika państwowego w kraju, gdzie teror polityczny dotychczas nie był znany.

Odpowiedzialność za tę niesłychaną zbrodnię spada na partję ukraińców. Od chwili swego powstania partya ta postawiła sobie za cel zaognienie stosunków polsko-ruskich, rozpalenie najniższych namiętności, rozbudzenie w ludzie ruskim nienawiści ku wszystkiemu, co polskie. I cel ten w pewnej przynajmniej mierze został osiągnięty. To, czego nie mogła dokonać polityka Metternichowska, czego niezdolne były wywołać krwawe rozruchy 1846 r. — dokonywa się obecnie w naszych oczach pod wpływem agitacyi, szerzonej przez nierozumne i szalone jednostki z obozu ukraińskiego. Rozłam i nienawiść zjawiają się tam, gdzie była zgoda.

Od lat już kilku jesteśmy świadkami złowróżbnych wypadków w Galicyi. Nie miejsce tu na ich omawianie szersze, na przedstawienie całej kwestyi ruskiej, która staje się coraz bardziej niepokojącą i coraz pilniejszą zwraca na siebie uwagę całego społeczeństwa polskiego, nietylko za pośrednictwem faktów tak jaskrawych, jak niedawne zajścia w uniwersytecie lwowskim, zakończone procesem Krata i jego współników, lub słynna przygoda z pulpitem w parlamencie wiedeńskim, ale przez całokształt

stosunków, jakie zaczynają panować w dziedzinie życia polsko-ruskiego i ukazują nam jego fizyognomię z codziennej, powszedniej strony.

Z obozu ukraińców, piastujących w duszach bardzo wyraźnie sformułowanie ideału Chmielniczyny, padały w ostatnich czasach niejednokrotnie hasła nawskroś hajdamackie. To, co mówiono po wsiach chłopom ruskim, werbowanym do organizowanych przez osławionego d-ra Tryłowskiego „Siczy“ ukraińskich, przypominało w niejednym wypadku krwawe hramoty Gonty i Żeleźniaka, a nawet dzikie wezwanie Szeli, podniesionego przez najmłodsze pokolenie Rusinów do rzędu „bohaterów narodowych.“

Jednocześnie rej wiodący politycy tego obozu, wygłosiwszy hasło „za San,“ poczęli stawiać coraz dalej idące żądania w kierunku nadania Galicyi Wschodniej wyłącznie ruskiego charakteru. Na tle tych żądań, które nie mogły być uwzględnione ani przez społeczeństwo polskie bez naruszenia jego naturalnych i odwiecznych, historycznych praw, ani przez władze centralne w Wiedniu, mimo chętnie uprawianej zasady: *divide et impera*, stojące przecież na gruncie konstytucyi, warującej równouprawnienie obydwu narodowościom—powstały zatargi, przybierające coraz ostrzejszą formę.

Zatargi te były jednym z powodów ustąpienia poprzedniego namiestnika Galicyi, Leona hr. Pinińskiego.

Jego następca, Andrzej hr. Potocki, powołany przed laty 5-iu na to trudne i odpowiedzialne stanowisko, złożył na niem dowód nie tylko wielkich uzdolnień, ale nadto rzadkiego taktu w postępowaniu. Zdawało się też powszechnie, że jemu właśnie sądzone było zapobiedz dalszemu jątrzeniu się bolesnej rany, otwartej na organizmie życia zbiorowego Galicyi, że on, nie kto inny, będzie tym przezornym i mądrym politykiem i rządcą, który pogodzi strony powaśnione i zapewni krajowi spokój.

Daleki od wszelkiej stronności, Andrzej hr. Potocki uwzględnił wszystkie słuszne żądania Rusinów, niejednokrotnie nawet wbrew opinii polskiej, czynił im znaczne ustępstwa i konsekwentnie dążył do zgodnego załatwienia wszelkich sporów. Oczywiście jednak nie mógł uczynić jednego. Nie mógł, będąc namiestnikiem cesarza austriackiego w Galicyi, powołanym do strzeżenia prawa i legalności, rozwiązać Rusinom całkowicie rąk do działania i tolerować wszystkich wybryków partyi ukraińskiej. Jako przedstawiciel rządu musiał się liczyć z interesami państwa, zaś jako Polak, musiał mieć także na widoku społeczeństwo polskie, na którego szkodę ukraińcy działali jawnie i skrycie, przy pomocy go-

dziwych i niegodziwych środków, czyniąc fałszywe alarmy, uciekając się do pomocy życzliwej wszystkiemu co przeciwpolskie prasy niemieckiej i podnosząc na jej łamach krzyk przeciw rzekomemu uciskowi polskiemu.

W tych dziedzinach namiestnik, odpowiedzialny za ład i porządek w kraju, nie mógł folgować ukraińcom — i tego mu nie przebaczone, zwłaszcza, że był Polakiem.

Zbrodnia ohydna i potworna dokonana została przez jednostkę, przez zaślepieńca i fanatyka, którego ręką kierowała nienawiść. Współwinnym jednak jest tu cały ruch ukraiński, który wytworzył wśród młodzieży ruskiej taką atmosferę moralną, że mógł się w niej wychować i dojrzeć nietylko podstępnie mordujący bezbronny obywatela i dostojnika Mirosław Siczyński, ale cały zastęp jednomyślnych z nim „działaczy,” którzy przez urządzenie zabójcy owacy ulicznej, przez jawne głosy uznania dla zbrodni, przez nadsyłanie do Lwowa takich depeesz, jak znana depeusza posła Budzynowskiego („Vivat sequens!“), złożyli dowód zupełnego zdziczenia i zwyrodnienia.

Ponury ten fakt otwiera oczy zarówno społeczeństwu polskiemu, jak i rządowi austriackiemu na to, czem właściwie są ukraińcy i do jakiego znieprawienia umysłów i rozkiełznania namiętności prowadzi rozpoczęta przez nich przy zupełnej tolerancji ze strony polskiej, a przy niejednokrotnem wyraźnem popieraniu ze strony rządu, agitacja nacyonalistyczna na rzecz zrozumiętego już dziś dla wszystkich, odartego z wszelkich obłon i niedomówień, hasła ukraińskiego „za San.“

W imię tego hasła popłynęła krew Andrzeja hr. Potockiego, namiestnika Galicyi, wiernego sługi cesarza austriackiego, jak to sam przed śmiercią wypowiedział, ale też i wiernego syna ziemi polskiej—i ta ziemia polska, jak szeroka i długa, wie o tem i pochyła się w ciężkim i gorzkim smutku nad mogiłą przedwcześnie zgasłego męża i obywatela, strzegącego jej praw niezaprzeczalnych.

Zmarły Andrzej hr. Potocki urodził się w r. 1861. Kształcił się w gimnazyum śś-iej Anny w Krakowie i w uniwersytecie Jagiellońskim, który ukończył w r. 1884 ze stopniem naukowym doktora obojga praw.

Wkrótce potem wstąpił do służby dyplomatycznej i mianowany został *attaché* przy ambasadzie austriacko-węgierskiej w Madrycie. Rychło jednak opuścił to stanowisko, a pojąwszy za żonę Annę hr. Tyszkiewiczównę oddał się całkowicie życiu rodzinnemu i pracy, związanej z administracją rozległych dóbr rodzinnych

w Galicyi (Krzeszowice), w Król. Polskiem (Klucz Międzyrzecki) i na Podolu.

W r. 1891 wybrany został z kuryi wielkiej własności na posła do parlamentu wiedeńskiego, następnie na posła do Sejmu krajowego, a w r. 1901—na członka Izby Panów.

We wrześniu 1900 roku zajął wybitne stanowisko marszałka Sejmu Galicyjskiego, a w czerwcu 1903 roku reskryptem cesarskim mianowany został namiestnikiem królestw Galicyi i Lodomeryi.

*

*

*

W kilka tygodni po przyjęciu ustawy o wywłaszczeniu, parlament Rzeszy niemieckiej przyjął ustawę o stowarzyszeniach i zgromadzeniach wraz z zakazem językowym.

Słynny § 7 staje się więc „prawem“ obowiązującym.

Jest to nowy gwałt, dokonany na ludności polskiej, która odtań w stowarzyszeniach i na zgromadzeniach publicznych nie będzie mogła posługiwać się swoim językiem ojczystym.

Nazajutrz po tej historycznej uchwale, wieczorem dn. 5 kwietnia, odbyło się w Berlinie *ostatnie* zgromadzenie publiczne polskie, poświęcone omówieniu spraw, związanych z potwornym zamachem państwa na przyrodzone dobro narodu, na jego język.

Na zgromadzeniu tem wygłosił między innymi piękną, podniosłą i krzepiącą mowę, poseł Józef Kościelski

Zaznaczywszy na wstępie, że oto w tej sali „po raz ostatni na przeciąg lat długich rozbrzmiewa nasz wspaniały, nasz piękny i ukochany język polski“ mówca podkreślił silnie potrzebę samoobrony narodowej.

„Dawniej—mówił—podbijano narody ogniem i mieczem; dziś chcą *zatruć ducha narodu*. Ale bystrego potoku, spadającego z gór, zatruć nie można i niech każdy z nas będzie kroplą tego potoku, który truciznę z łatwością odrzuci. Nie powinniśmy się oddawać rozpaczy, ani wychodzić z równowagi. Musimy wiedzieć, czem byliśmy, jesteśmy, być mamy i będziemy. Musimy znać przeszłość,

kochać terazniejszość, aby wiedzieć, jaka będzie przyszłość. Prusy opierają się na bagnietach, my kierujemy się sprawiedliwością. Upaść nie możemy, bo w obronie naszej posługujemy się prawami istniejącymi, gdy nasi przeciwnicy, nie mając dosyć praw istniejących, muszą nowe kuć prawa, aby nas gnębić, gdyż temi, które mają, zgnać nas nie potrafią. Ważne jest dla nas poczucie własnej siły. Świadomość tej siły mieć musimy, a gdzie jej niema, trzeba ją budzić. Nie chodzi o to, aby oklaskiwać frazes „nie damy się,“ lecz o to, aby się rzeczywiście *nie dać*. Trzeba zatem wzmacniać siły, wspierać się wzajemnie i wzmacniać poczucie braterstwa, które wyrobiły w nas ostatnie prześladowania. One wyrobiły w nas poczucie łączności. Przesiąkliśmy ideą, że nie może u nas być warstw, bo wszyscy jesteśmy w niewoli. Takimi się czuć musimy, a wtenczas zarobimy na to, aby być wolnymi. Takiego zwartego narodu żadna siła nie złamie. Bądźmy owym Jurandem z „Krzyżaków“ Sienkiewicza, który, choć mu język wyrwano, oczy wylupiono i rękę ucięto, nie zaparł się ani swej miłości, ani nienawiści. Przecież każde zwierzę ma swój dźwięk, a człowiek, stworzony na podobieństwo boskie, mieć go niema? Trzeba nam szukać innych dróg, aby ten brak zastąpić czynem. Organizujmy się, zajmujmy się więcej tymi, którzy wychowują dzieci nasze, strzeżmy dzieci, aby dusze ich były nieskażone, bo na nich przyszłość nasza polega. Czynów nam trzeba! Wczoraj popełniono czyn zły, wstrętny. Odpowiedzmy na niego też czynem, ale dobrym, szlachetnym. Chcą nam dać Boga innego, w mundurze. My szukajmy Boga naszego w naszych ideach, w uszlachetnianiu całej ludzkości.“

Poprzestajemy na przytoczeniu tego urywka z mowy Kościelskiego, jako najbardziej charakterystycznego i górującego nad wszystkim, co było mówione na wiecu berlińskim.

Słowa powyższe są wobec całego świata dokumentem spokoju i powagi, z jaką naród polski unie patrzeć w oblicze klęsk. Nie złamią go też te klęski, bo potrafi on znaleźć w sobie dość mocy na ich odparcie, dość hartu na ich przetrwanie.

Rodacy nasi w Poznańskim w długim okresie walki, zdobyli już tę równowagę ducha, która wobec każdego nowego zamachu broni ich przed rozpaczą, a każe się skupiać i łączyć w karne szeregi do cichej, wytrwałej pracy. Ta praca jest jedyną rękojmnią naszej przyszłości narodowej w dzielnicy, wystawionej na ciągły napór imperyalizmu i szowinizmu pruskiego. O nią rozbijają się wszelkie usiłowania, jak o skałę granitową, której nie ukąsi wściekle miotająca się fala nienawiści i barbarzyństwa. I ta fala, bi-

jąca dziś o nasze brzegi, odejdzie kiedyś od nich i wróci tam, skąd przyszła.

Zrozumieli to uczestnicy wiecu berlińskiego i zamiast bezsilnych złorzeczeń, zamiast słów rozpacz i przygnębienia, złożyli na ostatnim polskim zebraniu, w stolicy pruskiej, uroczysty ślub, że „w obronie swego języka walczyć będą do upadłego, że krzawić go będą wśród młodego pokolenia i publicznie go wyznawać, że z domu polskiego uczynią twierdzę, dla niemczyzny niezdobytą i że narzuconą sobie walkę prowadzić będą z podniesionem czołem, ufni w zwycięstwo swojej świętej sprawy.“

Tak oto stanęliśmy wobec nowego momentu w dziejach naszej dzielnicy poznańskiej. Dwa prawa wyjątkowe, ukute przeciw nam z niesłychaną zaciekłością, weszły w życie, stały się faktami dokonanyimi. Wszelkie złudzenia, jakie można było mieć jeszcze do niedawna, rozwiały się doszczętnie. Prawo zostało brutalnie zdeptane przez siłę i ta siła staje się znów na długi okres czasu czynnikiem decydującym w stosunkach rządu pruskiego do Polaków. Wiemy już, że tryumfujący imperyalizm pruski nie cofnie się przed niczem, ale wiemy jednocześnie, że przyszłość przygotowuje krótką i zwięzłą odpowiedź rządowi pruskiemu, odpowiedź streszczającą się w dwóch słowach: „Byli i będą.“

Jak nasi przodkowie byli Polakami, tak samo i wnukowie naszych wnuków będą nimi, mimo wszystkie prawa wyjątkowe, mimo wszystkie gwałty i zamachy na naszą narodowość, na ziemię naszą, na ojczysty nasz język.

*

*

*

Nie jest dla nikogo nowiną, że polityka niemiecka nie ogranicza się bynajmniej terenem ziem, podległych berłu pruskiemu, że *Drang nach Osten* zatacza bardzo szerokie kręgi i że plany kolonizacyjne pruskie przekroczyły już oddawna linię kordonu, wykreśloną na kongresie wiedeńskim.

Zbyt mało jednak na ten fakt zwraca się u nas uwagi, a publicystyka polska, nie rozporządzając odpowiednimi danymi, nie może oświetlić tej sprawy gruntownie i przedstawić w cyfrach stanu tej cichej, mrówczej, misternie posuwanej naprzód koloni-

zacy, będącej pokojowym podbojem kraju, dokonywanym pod osłoną praw zaprzyjaźnionego mocarstwa.

Od czasu do czasu tylko ktoś przemówi głośniej w tym przedmiocie i podkreśli śmieiej niebezpieczeństwo, o którego istnieniu wiemy, na które jednak nie patrzymy dotąd właściwie, zbyt może bagatelizując sobie jego doniosłość.

Świeżo rzucił na tą sprawę nieco nowego światła p. St. Gr. w *Tygodniku ilustrowanym*. Artykuł jego przebrzmiał bez echa. Prasa nie zajęła się nim żywiej, nie starała się zbadać rzeczy dokładniej. A jednak artykuł ten zasługuje bezwarunkowo na bliższą uwagę.

„W ostatnich paru latach — pisze p. Gr. — odbywa się u nas *dobrowolna*, a nawet chętna, bo dobrze płatna sprzedaż dóbr polskich coraz gęściej kraj nasz oblegającym Niemcom-kolonistom. Jesteśmy świadkami formalnego najazdu ekonomicznego Niemców na własność ziemską w kraju naszym. Są już powiaty np. rypiński w gub. płockiej, który *niebawem przedstawiać zacznie niebezpieczeństwo dla żywiołu polskiego*, gdyż za lat parę będziemy go może nazywali nie polskim, ale *niemieckim*.“

Ten stan rzeczy zaczyna już niepokoić włościan. Drobny gospodarz z Białynina, w pow. rawskim, skarży się w *Gaz. świątecznej* (№ 4), że „tak się to niemieckie plemię pomiędzy nas wciśka, jakby jaka przednia straż, aż trwoga ogarnia. Tak np. w rawskim powstały liczne osady owych kolonistów-Niemców, a w Nowych Jankowicach, w pow. brzezińskim, jeszcze w r. 1905 mieszkali sami Polacy, a *teraz są niemal sami Niemcy*.“

Jednocześnie w *Mazurze* płockim (№ 5) włościanin Kołębryna pisze, że „bardzo często w okolicach Płocka Polak swoją ziemię sprzedaje Niemcowi, bo mu znacznie drożej zapłaci. Niedawno pod Rypiną cały folwark Kłośno został rozsprzedany tylko Niemcom. Teraz podobno ma być rozsprzedany folwark Zasady, przestrzemi 25 włók.“

W № 9 tegoż organu inny włościanin z pod Rypina pisze z oburzeniem: „Niemcy wykupują u nas ziemię, parcelują folwarki, bo mają swoją organizację i jednoczą się do kupna. My, Polacy, tego nie robimy, a Towarzystwa: „Polska Macierz Małorolnych,“ założonego w tym celu, nie organizujemy po powiatach i wsiach. Zaprawdę—inteligencya i panowie ze wsi wielki grzech przed narodem mają, że takiej dobrej sprawy nie popierają, a toż to teraz najpierwsza sprawa w Polsce to ta, aby nas, chłopów polskich, łączyć do kupna ziemi, a nie dać jej Niemcom.“

Do tych głosów przedstawicieli ludu, dołączyć należy głos p. P. K., który w niedawno zamkniętej *Gazecie Codziennej* pisał z ubolewaniem, że „w przeciągu ostatnich lat 10-ciu Niemcy wykupili w jednym tylko powiecie chełmskim niemniej jak 15,000 morgów ziemi. Obecnie, wiem dokładnie—pisze ów korespondent—że właściciele Polacy kilku średnich folwarków, ogółem jednak przeszło 4,000 morgów, poszukują nabywców i wszędzie już Niemcy zjeżdżają.“

Tak oto alarmująco brzmią ostrzeżenia, jakie w ostatnich czasach zjawily się w prasie.

A my? Czytamy je równie obojętnie, jak czytamy dziś wszystkie wiadomości bieżące. W rozmowie prywatnej czasem ten i ów, lepiej obeznany z kwestyą, jako posiadający pewien zasób obserwacyj, zdobytych na miejscu, w tych powiatach, które najbardziej zostały już „skolonizowane,“ dorzuci do tego jakiś ciekawy szczegół, podkreśli np. wytrwałe posuwanie się niemieckich osad w górę Wisły, opowie coś o łańcuchu tych osad, rozciągniętym już pomiędzy Nieszawą a Płockiem, Płockiem a Wyszogrodem, Wyszogrodem a Czerwińskiem, scharakteryzuje wreszcie życie na tych koloniach, któremu przyglądał się z blizka i zaznaczy ze zdziwieniem, że spotykał kolonistów, od lat kilkudziesięciu zamieszkałych w kraju, a nie umiejących jeszcze ani słowa po polsku, że gdzieś, koło Gostynina np. mieszkają Niemcy, którzy w drugim i trzecim pokoleniu nie nauczyli się jeszcze języka polskiego, a mówią tylko po niemiecku.

Na tem jednak koniec. Przyjmujemy te szczegóły do wiadomości i wyrażamy swoje zdziwienie, że tak jest. Wydaje nam się to mało prawdopodobnem, trudnem do uwierzenia. A przecież poza tem wszystkim kryją się jeszcze prawdy, o których nie zgoła nie wiemy.

W kraju naszym nie od dziś powstaje sprawa doniosła i brzemenna w następstwa, a prawie zupełnie nam obca.

Nikt dotąd nie zajął się nią poważnie, nie zbadał jej wszechstronnie nie poświęcił czasu i pracy na to, aby wyjść z ogólników, a dotrzeć do istotnego stanu rzeczy i zobrazować go, jak należy.

Nie posiadamy ani danych statystycznych, mówiących jasno i wyraźnie o tem, jaka i gdzie ilość ziemi znajduje się w rękach niemieckich, nie mamy jeszcze dotąd mapy, któraby nam zobrazowała sieć kolonizacyi niemieckiej i pokazała jej planowość, nie zapragnęliśmy przyjrzeć się z blizka życiu mieszkających na naszej ziemi przybyszów obcych.

Dziennikarze i publicyści nasi podróżują po krajach obcych, przyglądają się życiu—i jest to rzecz z ich strony słuszna i pożyteczna. Dlaczego jednak żadnemu z nich nie przyjdzie myśl zrobienia wycieczki w głąb kraju, objechania wszystkich kolonij niemieckich i syntetycznego przedstawienia swoich wrażeń ku pouczeniu i oświeceniu w tym kierunku społeczeństwa?

Dziennikarze i publicyści nie mają na to środków — brzmi zwykle odpowiedź.

Dobrze. Niech więc dadzą inicjatywę i niech o te środki odwołają się do społecznych instytucyj.

Sądziwny, że takie np. Towarzystwo krajoznawcze mogłoby śmiało ująć tę sprawę w swoje ręce i że gdyby wystąpiło z projektem wielkiej ankiety, poświęconej zbadaniu istotnego stanu kolonizacyi niemieckiej w Król. Polskiem, jej rozgałęzienia i widoków na najbliższą przyszłość—to znalazłoby z pewnością poparcie u wszystkich, rozumiejących powagę i potrzebę tego przedsięwzięcia.

A bynajmniej nie stoi to w sprzeczności z zadaniami i celami tego Towarzystwa—bo „poznawanie kraju,“ to nie znaczy tylko poznawanie pięknych jego krajobrazów i zabytków, jakie pozostawiła po sobie przeszłość, to znaczy także poznanie i zrozumienie wszystkich jego potrzeb teraźniejszych, jego niedomagań i braków.

Tych właśnie niedomagań, potrzeb i braków nigdy prawie nie znamy dokładnie. Mówimy o nich zwykle gołosłownie i dlatego nie radzimy im skutecznie.

I w danym wypadku jest to samo. O niebezpieczeństwie kolonizacyi niemieckiej możemy rozprawiać gorąco i namiętnie, możemy nawet wykrzykiwać o niej na rynkach, dopóki jednak nie zdobędziemy się na uczynienie wszystkiego, co jest niezbędne dla poznania wszystkich właściwości tego niebezpieczeństwa i jego prawdziwych rozmiarów, dopóty z pewnością nic nie uczynimy w kierunku przeciwdziałania tej fali, która na nas idzie od granic pruskich, dopóty będziemy sobie bagatelizowali wszelkie ostrzeżenia i wszelkie, najgłośniejsze nawet brzmiące, dzwony alarmowe.

P. St. Gr. w swoim artykule, który cytowaliśmy powyżej, mniema, że „nadewszystko należy najgoręcej potępiać i piętnować publicznie tych, którzy odważają się dobra polskie sprzedawać Niemcom.“

Otóż w tej mierze jesteśmy nieco innego zdania. Droga prowadzi nie tędy i najsurowsze piętnowanie nie da wyników pozytywnych i nie zażegna sprawy, dopóki nie będziemy jej mieli

przed sobą zupełnie jasnej, wydobytej na światło z tych obsłon mglistych, jakie ją dzisiaj otaczają, dopóki nie będziemy znali wszystkich szczegółów, dotyczących tej akcji, kierowanej snać zupełnie rozsądną i świadomą swych celów ręką, skoro nawet mało oświecony włościanin polski zwrócił uwagę na to, iż Niemcy „idą naprzód, bo mają swoją organizację i jednoczą się do kupna.“

Otóż tej organizacyi, tego jednoczenia się i nam przede wszystkim potrzeba.

Z tego względu nieskończenie praktyczniejsze znaczenie posiada drugi wniosek p. Gr., żądający uporządkowania akcji parcelacyjnej u nas i oddawania w ręce chłopów polskich tej ziemi, która drogą kolonizacyi przejśćby miała w ręce niemieckie.

Sprawy parcelacyjne pozostawiają u nas jeszcze dużo do życzenia. Dziedzina tych stosunków, posiadających niezwykle znaczenie w okresie, który rolnictwo nasze przeżywa, domaga się pilnej i bacznej uwagi.

Kryzys, jaki dotyka coraz częściej i coraz nieuchronniej średnią własność ziemską, pozostawiając w perspektywie na obszarze całego Królestwa jedynie miejsce dla wielkich latyfundiów i dla drobnej własności włościańskiej, wysunął już oddawna sprawę parcelacyi na porządek dzienny. Warunki jednak, w jakich kraj nasz pozostawał do r. 1905, zupełnie nie pozwalały na postawienie tej sprawy na właściwym gruncie. Potem zaś przyszły chwile, w których zdawały się decydować sprawy bardziej zasadnicze i donioślejsze. Wobec nadziei na autonomię kraju lub przynajmniej na szeroki jego samorząd, nie zajmowano się zagadnieniami, które z wielką łatwością zostałyby rozwiązane w ramach nowego życia. Niestety—nowe życie nie przyszło. Wiele złudzeń pierzełło i twarda rzeczywistość znów nam zagląda w oczy.

Licząc się z nią, nie powinniśmy jednak odkładać na jutro pracy, od której zależy przyszłość naszej ziemi.

Idea Banku parcelacyjnego, założonego na szerokich podstawach, jest od dawna ideą dojrzałą w naszym społeczeństwie i trzeba jak najrychlej przekonać się o tem, czy nie da się ona urzeczywistnić w warunkach obecnych.

Byłby to istotnie ogromny krok naprzód w kierunku przeciwdziałania kolonizacyi pruskiej.

*

*

*

Sprawa uniwersytetu warszawskiego od czasu do czasu omawiana bywa na łamach pism rosyjskich. Niewiele jednak z artykułów, które w tym przedmiocie zostały napisane, zasługuje na bliższą uwagę, gdyż autorowie ich, albo nie traktują rzeczy przedmiotowo, jak profesorowie Kułakowski i Filewicz, albo nie posiadają wogóle dostatecznych o całej sprawie informacji, zaczerpniętych choćby z głośniejszej książki p. Dubrowskiego, oświeclającej „naukę urzędową w Warszawie.“ Wyjątek w tej mierze stanowią artykuły prof. Pogodina, oparte na dokładnej znajomości stosunków i nacechowane szczerem dążeniem do rozwiązania palącej kwestyi przyszłości uniwersytetu warszawskiego. Oczywiście, nie ze wszystkimi poglądami prof. Pogodina można się godzić bez zastrzeżeń, ale wysłuchać i rozważyć je warto, niewątpliwie bowiem są one dla nas interesujące.

Przyszłość uniwersytetu warszawskiego—pisał niedawno prof. Pogodin w dzienniku *Riecz*—rysuje się wciąż bardzo niewyraźnie. Ministerjum, jak się zdaje, zamierza otworzyć, albo raczej uczynić próbę otwarcia go na jesieni. Nie należy jednak zapominać, że cały szereg katedr mamy nieobsadzonych: tak na wydziale historyczno-filologicznym są niezajęte katedry historii rosyjskiej, historii powszechnej, literatury powszechnej, filologii greckiej, filologii rzymskiej i t. d.; na wydziale prawnym pozostało zaledwie jakich trzech lub czterech profesorów; na matematycznym niema już ani jednego matematyka. Gdyby więc wypadło jutro otworzyć uniwersytet, okazałoby się to rzeczą niemożliwą ze względu na brak profesorów na wielu najważniejszych katedrach. Ponadto pomoce naukowe w uniwersytecie są w wielkiem zaniedbaniu i od kilku lat sprowadzana jest bardzo nieznaczna ilość książek i pism do biblioteki. Na drukowanie prac profesorskich ministerjum pieniędzy nie daje i tem się tłumaczy częściowo skąpa ilość tych prac. Tak np. rektor uniwersytetu, Karskij, znany badacz narzecza białoruskiego, niema możliwości wydrukowania drugiego tomu swej cennej pracy o języku i wymowie Białorusinów. Same nawet „Warszawskija Uniwiersitietiskija Izwiestija,“ za które wzamian otrzymywano wiele prac naukowych, nie wychodzą obecnie z powodu cofnięcia zapomogi ze strony ministerjum. Tak więc *pogrom* sił i pomocy naukowych — oto sytuacja, w jakiej znajduje się teraz uniwersytet warszawski, na którego popieranie okazały się niezbędne wielkie środki. Czy istnieje jednak pewność, że te wydatki będą owocne, że uniwersytet na jesieni istotnie zacznie funkcyonować?

Zadając sobie to pytanie, prof. Pogodin sądzi, że ministerjum nie może mieć co do tego żadnej pewności i tak pogląd swój motywuje:

Wiele razy miałem sposobność—pisze—rozmawiać z młodzieżą polską o uniwersytecie i odniosłem wrażenie, że ona i teraz do uniwersytetu nie pójdzie, choć rozumie całą okropność swego położenia. Stronnictwo demokratyczno-narodowe przyznaje uniwersytetowi rosyjskiemu prawo istnienia w Warszawie dla Rosyan, ale stanowczo odrzuca możliwość wstąpienia do niego młodzieży polskiej. A przecież to stronnictwo jest wciąż jeszcze kierownikiem opinii publicznej w Polsce. Nie mam prawa ogłaszania swych rozmów w tej kwestyi z przedstawicielami rozmaitych partyj. Powiem tylko, że społeczeństwo polskie z męką rozmyśla o rozstrzygnięciu tej kwestyi i obecnie nie może jeszcze powiedzieć, czy uda się stopniowo wprowadzić uniwersytet na pewne tory i czy otwarcie jego nie będzie powodem nowych zaburzeń i niepokoju. W każdym razie bez porozumienia się z Kołem Polskiem w Izbie państwowej ministerjum nie powinnyby przedsiębrać żadnego stanowczego kroku. Można jednak twierdzić na pewno, że w razie pewnych ustępstw ze strony rządu otwarcie to byłoby możliwe. Należałoby mianowicie dopuścić uczniów polskich szkół prywatnych do uniwersytetu pod warunkiem złożenia egzaminów w obecności delegatów okręgu naukowego; dalej mianować profesorów na wakujące katedry bez różnicy narodowości, pozwolić na docentury prywatne, utworzyć katedry historii, literatury, języka i prawa polskiego. W takich warunkach—kończy profesor—jestem przekonany, że ułożyłyby się zupełnie prawidłowy *modus vivendi*.

Czy ułożyłyby się istotnie—tego powiedzieć nie możemy, gdyż nie posiadamy zgoła żadnych jeszcze danych, potrzebnych do zdobycia tego *przekonania*, jakie profesor Pogodin już posiada. Być może jednak, że „ułożyłyby się,“ gdyby ministerjum oświaty zechciało poważnie zastanowić się nad tą kwestyą i zamiast traktować z delegatami miasta Saratowa o przenosinach uniwersytetu, który, jak to stwierdza autor cytowanego artykułu, jest obecnie zupełną ruiną, bo nieposiada ani profesorów, ani pomocy naukowych — zwróciło się raczej naprawdę do Koła Polskiego w Izbie i wspólnie z niem starało się sprawę wprowadzić na takie tory, na jakich jedynie mogłaby ona być rozstrzygnięta.

Prawdą jest, że społeczeństwo polskie „z męką rozmyśla nad rozwiązaniem tej kwestyi,“ ale męki tej bynajmniej nie zmniejszą projektowane przez ministerjum na jesień r. b. „próbne“ otwar-

cie uniwersytetu rosyjskiego i kwestya pozostanie kwestyą. Ministerjum wie o tem dobrze, trudno więc zrozumieć zasadę, dla której chce samo siebie wprowadzać w błąd i myśli o zarządzeniach, które ani na jotę sprawy tak ważnej naprzód nie posuną.

*

*

*

Olbrzymie dzieło jednego człowieka—*Bibliografia polska Estreichera* obejmuje druki polskie od czasów najdawniejszych i obejmuje, jeżeli zostanie doprowadzona do końca, wszystko, co wiek XIX dał nauce i literaturze naszej. Tu jednak jest punkt graniczny. Dalej zamierzenia sędziwego profesora-bibliografa nie sięgają. Czas jednak biegnie szybko naprzód i oto nie obejrzelśmy się nawet, jak zbiegło nam 7 lat nowego wieku. W ciągu tych lat przybyło nam wiele materiału, nad którym przyszłość musiałaby się mozolić, podobnie, jak się mozolił Estreicher, gdyby nie inicjatywa Towarzystwa Biblioteki Publicznej. Inicjatywa ta dotyczy stworzenia Instytutu bibliograficznego, który zamierza wprowadzić pracę Estreichera w nowe stulecie.

Instytut ten już się zawiązał i już zgromadził całkowity niemal materiał z r. 1901, przygotowując powoli lata następne.

Bibliografia będzie wydawana pięcioleściami. Tom pierwszy projektowanego wydawnictwa obejmie lata 1901—1905, tom drugi 1906—1910 i t. d.

W każdym tomie materiał bibliograficzny będzie zestawiony w dwa spisy: 1-o w porządku alfabetycznym nazwisk autorów i 2-o według działów naukowych, zgodnie z przyjętym już dziś powszechnie systemem dziesiętnym, który posiada tę wyższość nad wszelkimi innymi systemami bibliograficznymi, że pozwala każdemu odrazu i z łatwością oryentować się w tem, co i w jakiej dziedzinie było w danym okresie czasu drukowane.

Przedsięwzięcie to zakrojone szeroko. Mówić o pożytku jego nie potrzeba. Każdy, kto ma jakąkolwiek styczność z tą czy inną gałęzią nauki, kto nie poprzestaje wyłącznie na czytaniu gazet i najświeższych „nowości“ księgarskich — wie doskonale, jak ogromne usługi oddaje bibliografia i jak niepodobna się obejść bez niej przy najmniejszej nawet pracy, wykraczającej poza dzień dzisiejszy. Stąd jest nadzieja, że Instytut bibliograficzny znajdzie poparcie ze strony wszystkich, pracujących naukowo, że pisarze

polscy będą mu z własnej inicjatywy nadsyłali druki, których niema w obiegu księgarskim, jak odbitki z czasopism lub edycje, wydawane tylko dla szczupłego grona przyjaciół i jednomyślnych.

Obok jednak tego poparcia moralnego, na które Instytut może liczyć bezwarunkowo, praca rozpoczęta potrzebuje jeszcze poparcia materialnego, sumienne bowiem i dokładne prowadzenie wydawnictwa pociągnie za sobą niemałe koszty.

Nauka i literatura polska, jak wiadomo, są bardzo ubogie. Przedstawiciele jednej i drugiej pracują u nas w warunkach, w jakich może gdzieindziej ludzie wprost nie potrafiliby pracować. Życie ich jest najczęściej służbą bardzo ciężką, połączoną z ofiarami, nieraz z zupełnym samowyrzeczeniem się. Od nich więc nie można spodziewać się napływu środków pieniężnych.

Środki te powinny płynąć skądinąd. Inteligentny ogół polski, dla którego nie są obojętne sprawy kultury wogóle, powinien odczuć, że zamierzone wydawnictwo będzie miało znaczenie szersze, że da ono świadectwo naszej kulturze nie tylko wobec nas samych, ale także i wobec obcych, będzie bowiem łącznikiem pomiędzy naukowym i literackim światem polskim, a takimiż światami narodów innych.

Jesteśmy w położeniu wyjątkowem i to położenie specjalnie obciąża nas obowiązkiem.

W innych krajach instytuty bibliograficzne pozostają bądź pod opieką państwa, jako zupełnie samodzielne ciała, bądź pod opieką instytucyj naukowych, którym środków dostarcza państwo. Nasz Instytut bibliograficzny jest skromnem przedsięwzięciem prywatnem, powołanem do bytu przez dobrą wolę i energię nielicznego grona osób, zgrupowanych dokoła Tow. bibl. publicznej, Towarzystwa, które dopiero z biegiem lat może zdoła się rozwinąć, wzmocnić i zdobyć sobie środki. Dziś całkowicie opiera się ono na ofiarności publicznej i jedynie ta ofiarność może mu zapewnić istnienie.

Od tej ofiarności zależy także i prowadzenie wydawnictwa bibliografii. Na zyski liczyć tu nie można. Przeciwnie, należy przewidywać trudności i niedobory. Jeżeli jednak tych trudności nie usuniemy zawczasu, tych niedoborów nie będziemy się starali pokrywać—wydawnictwo będzie posuwało się bardzo powoli, będzie ulegało długim przerwom, może nawet przestanie istnieć.

*

*

*

Gdy poruszymy jakąkolwiek kwestyę, dotyczącą naszego życia zbiorowego, czy to w dziedzinie społecznej, czy ekonomicznej, uderza nas przede wszystkim brak dokładnych danych statystycznych. Wydawnictwa warszawskiego komitetu statystycznego, prowadzone niegdyś pod redakcją słynnego prof. Simoneńki, a obecnie pod kierunkiem kryminologa, prof. Jessipowa, zupełnie nie zaspokajają naszych potrzeb, a wartość ich naukowa nie zawsze wzbudza dostateczne zaufanie. Bierzemy też je do ręki raczej z konieczności, a już zupełnie bez tej wiary, iż znajdziemy tam cyfry, bezstronnie oświetlające te lub inne zjawiska naszego życia. Stąd każdą pracę statystyczną choćby na tych samych oparciu źródłach, ale podjętą niezależnie od usiłowań Ljara, witamy, jako dążenie do bezstronności, prawdy i rzeczywistości.

Dążeniem do tej rzeczywistości, do prawdy, do bezstronnego światła odznacza się świeżo właśnie ogłoszona praca p. Henryka Radziszewskiego, poświęcona zobrazowaniu stanu urzędowego szkolnictwa początkowego w Królestwie Polskiem w roku 1903/4.

Pozwalamy sobie zaczerpnąć z tej pracy garść cyfr, które lepiej, niż jakiegokolwiek inne argumenty, uzasadniają to wszystko, co w ostatnich latach było u nas mówione o szkolnictwie początkowym i o niezbędnych reformach.

Przedewszystkiem dowiadujemy się z pracy p. Radziszewskiego, że Król. Polskie miało w r. 1903 zaledwie 3,929 szkół początkowych, pozostających w zawiadywaniu ministryum oświaty, a mianowicie w gub. warszawskiej 936, w piotrkowskiej 686, w lubelskiej 419, w kaliskiej 369, w kieleckiej 350, w siedleckiej 311, w płockiej 259, w radomskiej 227, w suwalskiej 195 i w łomżyńskiej 167.

Liczba tych szkół w poszczególnych guberniach zupełnie nie odpowiadała gęstości ich zaludnienia, bo obliczenia szczegółowe wykazują, że 1 szkoła ludowa przypada w gub. radomskiej na 3,976 mieszkańców, w łomżyńskiej na 3,884, w suwalskiej na 3,208, w lubelskiej na 3,149, w siedleckiej na 2,819, w kaliskiej na 2,618, w kieleckiej na 2,560, w piotrkowskiej na 2,345, w płockiej na 2,341, w warszawskiej na 2,320.

Średnio 1 szkoła ludowa ministryum oświaty przypada w Królestwie na 2,573 mieszkańców.

Liczba tych szkół również nie odpowiada ani ilości dzieci w wieku szkolnym, ani obszarowi poszczególnych gubernij.

I tak w gub. warszawskiej 1 szkoła przypada na 349 dzieci w wieku szkolnym i na 16.1 wiorsty kwadratowej, wobec czego

korzysta z niej zaledwie 20.6% ogólnej liczby dzieci w wieku szkolnym.

W gub. piotrkowskiej 1 szkoła przypada na 370 dzieci i na 15.6 wiorsty kwadr., wskutek czego korzystać z niej może jedynie 25.3% ogółu dzieci w wieku szkolnym.

W gub. kieleckiej 1 szkoła przypada na 432 dzieci w wieku szkolnym i 25.3 w. kw., korzysta zaś z niej 16.4% ogółu dzieci w wieku szkolnym.

W gub. płockiej 1 szkoła przypada na 387 dzieci w wieku szkolnym i 31.9 w. kw., przyczem korzysta z niej tylko 15.9% ogółu dzieci.

W gub. kaliskiej 1 szkoła przypada na 427 dzieci i 35 w. kw., korzysta zaś z niej 15.8% dzieci w wieku szkolnym.

W gub. lubelskiej 1 szkoła przypada na 502 dzieci i 35.2 w. kw., a korzysta z niej tylko 15.2% dzieci.

W gub. siedleckiej 1 szkoła przypada na 441 dzieci w wieku szkolnym i 40.4 w. kw., korzysta zaś z niej 13.2% ogółu dzieci.

W gub. radomskiej 1 szkoła przypada na 698 dzieci w wieku szkolnym i 40.4 w. kw., korzysta zaś z niej 12.8 dziatwy w wieku szkolnym.

W gub. suwalskiej 1 szkoła przypada na 521 dzieci i 55.4 w. kw. korzysta zaś z niej 9.9 ogółu dzieci w wieku szkolnym.

W gub. łonżyńskiej 1 szkoła przypada na 606 dzieci i 55.5 w. kw., zaś korzysta z niej tylko 11.5% ogółu dzieci w wieku szkolnym.

Oto są cyfry, z których bije coś przerażająco smutnego. Dość pomyśleć, że istnieje w Europie środkowej kraj, w którym jedna szkoła przypada na 55 wiorst kwadratowych obszaru, że ta szkoła przeznaczona jest przez ministeryum oświaty dla 606 dzieci, z których znaczna część mieszka w odległości 2—7 mil od budynku szkolnego, że do tej szkoły uczęszczać może w takich warunkach zaledwie 11.5% dzieci w wieku szkolnym, pozostałe zaś 89.5% normalnie obchodzić się powinno bez nauki—dość pomyśleć, że taki kraj istnieje i że to my właśnie jesteśmy tym nieszczęśliwym krajem, któremu w dodatku odjęto teraz możność walki z ciemnotą, rozwiązując Macierz, jako instytucję „szkodliwą.“

Idźmy jednak dalej.

Frekwencya uczniów w szkołach początkowych była według danych, zebranych przez p. Radziszewskiego, w r. 1903/4 następująca:

Ogółem do szkół tych uczęszczało 292,910 dzieci, w tem chłopców 194,082, dziewcząt 98,828.

W gub. piotrkowskiej	uczyło się	65,823	dzieci
„ warszawskiej	„	65,480	„
„ lubelskiej	„	34,338	„
„ kieleckiej	„	24,833	„
„ kaliskiej	„	24,229	„
„ radomskiej	„	21,746	„
„ siedleckiej	„	18,292	„
„ płockiej	„	16,407	„
„ łomżyńskiej	„	11,680	„
„ suwalskiej	„	10,073	„

Na jedną szkołę średnio przypadało 72 uczniów. Ze szkół korzystało zaledwie 16.1% ogółu chłopców w wieku szkolnym i 8.5% ogółu dziewcząt.

Na utrzymanie szkół początkowych wydano w jednym roku 2,197, 320 rb., to znaczy, że na 1 ucznia przypada 7 rb. 50 kop., na jednego mieszkańca 20,7 kop., na jedno zaś dziecko w wieku szkolnym 1 rb. 29 kop.

Ogólną sumę wydatków na szkolnictwo rb. 2,197,320 rb. pokryto w sposób następujący:

Ze skarbu wpłynęło 499,112 rb. Gminy wiejskie wpłaciły 683,789 rb., magistraty 731,876 rb. Z ofiar wpłynęło 60,365 rb., z wpisów 182,534 rb., z różnych źródeł 39,644 rb. Skarb zatem na jednego ucznia łożył zaledwie 1 rb. 70 kop. rocznie, co daje na jednego mieszkańca 4,7 kop. Z podatków zatem, jakie Królestwo Polskie płaci skarbowi, skarb rocznie na oświatę przeznacza zaledwie po 4,7 kop. od osoby.

Gminy natomiast na 1 ucznia łożą średnio 2 rb. 33 kop., co jednego mieszkańca gmin obciąża wydatkiem 6 kop. Magistraty zaś łożą średnio na 1 ucznia 2 rb. 49 kop., co na 1 mieszkańca miast wynosi 6,4 kop., a na jedno dziecko w wieku szkolnym 43 kop.

Tak mówią cyfry, zaczerpnięte przez p. Radziszewskiego z wydawnictw ministerjalnych, urzędowych.

Do jakich usposabiają one wniosków, jakie budzą refleksyę?

Oto widać z nich jasno, jak na dłoni, że tak postawiona sprawa oświaty jest raczej krzewieniem ciemnoty, że iść po tej drodze dalej niepodobna, że nadszedł czas, w którym nie powierzchowne, ale głębokie reformy w dziedzinie szkolnictwa początkowego są niezbędne.

Sprawie tej, jako najważniejszej dla kraju i jego kultury, poświęcaliśmy już na tem miejscu niejednokrotnie bliższą uwagę. Obecnie zatrzymaliśmy się na niej ponownie z powodu niedawnej debaty oświatowej w Izbie petersburskiej, w przekonaniu, że przytoczone powyżej cyfry ilustrują najlepiej ten rozdzwięk, jaki istnieje pomiędzy istotnymi potrzebami kraju, a tem, co Izba dla Królestwa Polskiego i jego sprawy szkolnej zamierza uczynić przy światłej pomocy takich posłów, jak osławiony dr. von Anrep.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Jan Tadeusz ks. Lubomirski.

Dn. 7 kwietnia r. b. zmarł w Warszawie jeden z najwybitniejszych obywateli, jakich wydała Polska doby ostatniej — arystokrata z urodzenia, działacz społeczny z temperamentu i upodobań, pisarz z powołania, człowiek zasłużony niemal na wszystkich polach pracy publicznej, myśliciel, przejęty na wskroś głęboką troską o teraźniejszość i przyszłość narodu i kraju, wytrwały lekarz naszych niedomagań, cichy entuzjasta, do którego serca miało przystęp wszystko, co dobre, szlachetne i czyste, miłujący swoje społeczeństwo i przez nie miłowany i czciany otoczony filantrop — ks. Jan Tadeusz Lubomirski.

Urodzony w r. 1826, jako syn ks. Eugeniusza i Maryi z hr. Czackich, córki Tadeusza, znakomitego krzewiciela pracy i oświaty narodowej, książę Jan Tadeusz kształcił się w Petersburgu.

W Warszawie rozpoczął działalność szerszą od prac, drukowanych na łamach naszej *Biblioteki*. Tu ukazały się pierwsze jego studia z zakresu badań nad przeszłością społeczną i ekonomiczną Polski. W pracach tych ujawniła się głęboka wiedza autora i dokładna znajomość stosunków włościańskich, agrarnych, skarbowych i handlowych tak w Polsce przedrozbiorowej, jako też i w smutnej dobie dzisiejszej.

Jednocześnie brał ks. Lubomirski czynny udział w redagowaniu *Encyklopedyi rolniczej*, starając się wspólnie z naczelnym jej redaktorem ś. p. prof. Stanisławem Przysiańskim o postawienie tego wydawnictwa na możliwie wysokim poziomie.

W r. 1862 książę zajął z wyboru stanowisko członka Rady wychowania publicznego. Szczególną uwagę jego już wówczas

zajmowała sprawa rozwoju rzemiosł, jakoż próbował się zająć pracą organizacyjną w tej dziedzinie. Wybuch powstania nie pozwolił mu jednak rozwinąć w tym kierunku szerszej działalności, zwłaszcza, że niedługo potem fala wypadków oderwała go na czas dłuższy od kraju.

Po powrocie z wygnania stanął na dawnych zagonach pracy i tu dopiero w całym blasku zajaśniał, jako działacz i obywatel. W najniepomyślniejszych warunkach, w dobie apatyji i odrętwienia, pełen był hartu i nadziei, nie wahał się imać najdrobniejszych prac, wierząc w ich pożytek i potrzebę dla rozbitego społeczeństwa.

Jako długoletniego prezesa Warszawskiego Towarzystwa Dobroczyńności znała go Warszawa dobrze. Z jego to inicjatywy powstał cały szereg ochron, utworzyły się czytelnie bezpłatne, ukazały się podręczniki tanie w zakresie rozmaitych gałęzi rzemiosł, zawiązały się pierwsze spółki rzemieślnicze.

Ks. J. T. Lubomirski należał też do założycieli Muzeum przemysłu i rolnictwa i Tow. kredytowego miasta Warszawy, na którego czele stał przez czas długi, jako prezes Rady nadzorczej.

Wszystko, do czego rękę przyłożył, rosło i rozwijało się jego inicjatywą, jego rozumem przewidywaniem i wolą obywatelską, która pragnęła budować i tworzyć w imię i dla dobra ogólnego.

Szeregiem lat takiej pracy zdobył sobie zmarły rzadką w naszych stosunkach popularność i rzadkiem cieszył się uznaniem. To też kiedy przed kilku laty, już jako mąż sędziwy i pełen zasług, obchodził skromnie i cicho jubileusz swej pracy obywatelskiej, pochylały się przed nim zgodnie wszystkie głowy, czcząc w nim człowieka i obywatela na miarę niezwykłą.

Gdzieindziej, na szerszej arenie życia publicznego, ks. Jan Tadeusz Lubomirski odegrałby niewątpliwie rolę nieskończenie większą, był bowiem stworzony na wybitnego męża stanu. W warunkach nieszczęśliwych kraju, którego był wiernym i oddanym synem, nie spotkały go żadne zaszczyty, oprócz uznania współobywateli. To uznanie jednak zmarły cenił sobie najwyżej i gdy podczas obchodu jubileuszowego doreczono mu medal pamiątkowy, wybity na jego cześć—przyjął go z głębokim wzruszeniem, podobnie, jak dyplom członka, nadesłany mu przez krakowską akademię nauk, jako zasłużonemu autorowi „Jurysdykeyi patrymonialnej w Polsce,“ „Ludności rolniczej w Polsce,“ „Kodeksu dyplomatycznego księstwa Mazowieckiego“ i wielu innych cennych rozpraw historycznych, prawnych, społecznych i ekonomicznych.

Aby ująć i ocenić całą działalność zmarłego pisarza i działacza, należałoby poświęcić jego osobie oddzielne studyum, w którym na tle epoki wystąpiłaby dopiero w świetle właściwem piękna postać tego starca o nazwisku arystokratycznym a nawskroś demokratycznych dążeniach, ożywiających jego umysł i karmiących serce wielką ideą odrodzenia narodu.

W dziele tego odrodzenia ks. Lubomirski był niezwykle pożytecznym pracownikiem i niewątpliwie przyszłość złoży kiedyś pamięci jego hołd za to i rzuci niejeden kwiat wdzięczności na jego mogiłę.

Tymczasem—żegnamy go szczerym żalem, który w poczuciu straty, jaką poniosło społeczeństwo polskie, wypełnia serca wszystkich, niezależnie od obozów i stronnictw, do których należą.

Cześć jego życiu, jego pracom wytrwałym, jego ukochaniom głębokim i szlachetnym!

Ś. p. Ludwik Górski.

Ziemiaństwu polskiemu ubył wybitny, niestrudzony, pełen zasługi obywatelskiej przewodnik. Umarł Ludwik Górski, długoletni prezes Komitetu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, wytrwały obrońca jego spraw i interesów, czujny, mimo sędziwego wieku, strażnik tej najpoważniejszej w kraju naszym instytucji finansowej.

Urodzony w r. 1818 w Końskich, w województwie sandomierskiem, z ojca Franciszka, podpułkownika wojsk polskich i Teodozyi z Krępskich, syn żołnierskiej rodziny, pierwsze pobierał nauki w słynnym podówczas korpusie kadetów w Kaliszu. Świadczy to, że rodzice przeznaczili go z góry do służby wojskowej. Inaczej jednak chciały losy.

Po wybuchu i upadku powstania listopadowego zmieniły się do gruntu stosunki, panujące w Królestwie Polskiem. Korpus kaliski został zamknięty. Młody kadet znalazł się wówczas w kolegium pijarskiem na Żoliborzu w Warszawie. I to jednak kolegium rząd zamknął. Przeniesiony do gimnazjum gubernialnego, szkołę tę Górski ukończył chlubnie, w chwili jednak, gdy rozglądał się za wyborem wyższego zakładu naukowego, gdzie mógłby

dalej zdolności swoje rozwijać i wiedzę, do której miał zamiłowanie, pomnażać—zaskoczyła go śmierć ojca.

Jako dwudziestoletni młodzieniec z konieczności musiał więc objąć ster interesów rodzinnych i troszczyć się o wychowanie młodszego od siebie rodzeństwa. Była to jego wyższa szkoła, szkoła życia, która nauczyła go wcześniej orientować się w zawiłych sprawach ekonomicznych i agrarnych i dała mu te podstawy praktyczne, które następnie ułatwiły mu zdobycie rozległej wiedzy teoretycznej w zakresie gospodarstwa krajowego.

Podróże i studia naukowe, prowadzone na własną rękę, postawiły przed umysłem młodego rolnika cały szereg zagadnień pierwszorzędnej doniosłości. Zagadnienia te starał się rozwiązać zgodnie z duchem czasu i poświęcił im niejedną chwilę skupionych i głębokich rozważań.

Objąwszy w r. 1844, po zaślubieniu Pauliny hr. Krasińskiej, zarząd dóbr sterdyńskich, Górski postanowił swoje plany, naówczas bardzo jeszcze nowe i mało mające zwolenników wśród szerszych kół ziemiaństwa krajowego, powoli urzeczywistniać.

W tym celu podjął cały szereg reform, które w krótkim czasie odbiły się niezmiernie korzystnie na gospodarstwie sterdyńskim. Jedną z najważniejszych w tym kierunku reform było przejście z ustroju pańszczyźnianego na system oparty na robociźnie płatnej i oddzielenie gruntów włościańskich od dworskich.

Jak ta reforma była przeprowadzona i czyje interesy miała na względzie—o tem świadczy najwymowniej znany powszechnie fakt, że kiedy po r. 1864 Komisya włościańska zaproponowała gospodarzom sterdyńskim powrót do dawnych gruntów, gromada jednomyślnie skorzystała z tego nie chciała.

Jednocześnie wprowadził Górski u siebie wszystkie możliwe wówczas do wykonania melioracye, a więc osuszanie gruntów, kopanie kanałów, jak kilkunastowiorstowy kanał do Buga, budowanie domów dla służby folwarcznej i t. d.

Takie były początki działalności obywatelskiej zmarłego prezesa. Nic dziwnego, że zjednały mu one stopniowo rozgłos i uznanie, zwłaszcza, że reformator miał się także często pióra i poglądy swoje wykladał jasno w „Rocznikach gospodarstwa krajowego.“

W r. 1856 Górski, wspólnie z obywatelem tej miary co Andrzej hr. Zamoyski, bierze czynny udział w pracach nad założeniem Towarzystwa rolniczego i jest w znacznej części autorem ustawy tego Towarzystwa.

Po klęsce powstania nie opadają mu ręce, ale imają się nowej pracy. Powołany w r. 1864 przez swoich współpowietników na

radcę Tow. kredytowego ziemskiego, pracuje niezmordowanie w tej instytucji przez lat 42, najpierw, jako radca, następnie od r. 1890 do 1906, jako prezes Komitetu.

Instytucya ta zawdzięcza mu wiele i z jej dziejami nazwisko Górskiego zespolone jest tak ściśle, że tam właściwie należy szukać materyałów do jego życiorysu, jako obywatela.

W tym okresie rozszerzyła się też znacznie i pogłębiła praca publicystyczno-naukowa Ludwika Górskiego.

Z pod pióra jego wyszedł długi szereg prac, poświęconych rozmaitym zagadnieniom życia polskiego. Prace te były drukowane bądź w naszej *Bibliotece*, bądź w *Kronice rodzinnej*, w *Niwie* i w *Słowie*. Niektóre z nich wyszły wreszcie oddzielnie. Do najciekawszych i najważniejszych należą: „Rzut oka na stan teraźniejszy i przyszły gorzelni w Polsce pod względem ich wpływu na rolnictwo,“ „Co nazywamy okupem pańszczyzny,“ „O ekonomicznych zasadach dzierżawy dóbr ziemskich,“ „O stowarzyszeniach ubezpieczeniowych,“ „O konserwatorstwie w Polsce,“ „Uwagi nad obecnym stanem robotników wiejskich w Król. Polskiem,“ „Andrzej Zamoyski,“ „O towarzystwach wzajemnej pomocy,“ „O serwitutach,“ „O ochronkach wiejskich.“ Wreszcie dwie prace, drukowane w *Niwie*, które w swoim czasie były przedmiotem szerokiego zajęcia i dyskusji: „Znaczenie większej własności i obowiązki większych właścicieli ziemskich w Król. Polskiem“ i „Pogląd na stan i ekonomiczne potrzeby drobnej własności ziemskiej.“

Wszystkie te prace znamionował sąd poważny, trzeźwy, oparty nietylko na przesłankach teoretycznych, ale i na głębokiej miłości kraju i odczuciu jego najistotniejszych potrzeb.

Z przekonań konserwatysta, nie był jednak Górski człowiekiem ciasnym. Ogarniał całość interesów kraju i był wytrwałym i pełnym nadziei rzecznikiem jego ekonomicznego i kulturalnego odrodzenia.

Działalność jego była tak wielostronna i szeroka, że niepodobna na tem miejscu ująć jej ani zobrazować. Można tylko podkreślić, że była ona bezwzględnie pożyteczna i pozostawiła po sobie trwałe ślady.

Wzorowy gospodarz na własnym zagonie, niezrównany administrator własnego majątku, zawsze gotów na wezwanie tam, gdzie go powoływał obowiązek, chętny do służenia innym, ofiarny a nawet szczodry na cele dobra ogólnego, filantrop, czuły na niedolę bliźnich—pozostawia po sobie Górski pamięć jasną człowieka o niepospolitych zaletach umysłu, serca i charakteru.

I był on niewątpliwie człowiekiem niepospolitym.

Umarł dn. 11 kwietnia r. b. w 90-tym roku życia, w którym było mało pociech i radości, wiele pracy i miłości.

Oczy jego patrzyły w dzieciństwie na stosunki, których już dziś nikt nie pamięta, mężkie jego lata zbiegły się z latami najcięższych klęsk dla kraju, a łagodna i cicha starość oglądała złudną jutrznię nowych dni, z wiarą poglądając w przyszłość narodu.

Ufny w jego siły, w jego zdolność do dźwigania się z upadku, ś. p. Ludwik Górski był przykładem pracy, która tworzy, buduje i umacnia fundamenty. Cześć mu i wdzięczność za to.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE W WARSZAWIE. W dniu 2 kwietnia r. b. w lokalu Towarzystwa Naukowego warszawskiego, odbyło się trzecie posiedzenie naukowe wydziału III przyrodniczo-matematycznego, na którym wysłuchano następujących komunikatów:

1-o p. J. J. Boguskiego: (w imieniu swoim i p. W. Kreczyńskiego): „O wpływie reakcyi i jej prędkości w układach niejednorodnych“ (miedź i azotan srebrowy).

2-o p. L. Silbersteina: „Drgania elektromagnetyczne przewodnika kulistego.“

3-o p. J. Tura: „Nowa serya doświadczeń nad działaniem teratogennym promieni radu.“

Oraz 4-o p. St. Miklaszewskiego: „Badania nad „bielicami“ powiatu Konstantynowskiego.“

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Na ostatniem posiedzeniu Komisji do badania historii sztuki w Polsce przewodniczący, Prof. Dr. M. Sokołowski, poświęcił gorące wspomnienie zmarłemu d. 28 listopada ś. p. Stanisławowi Wyspiańskiemu, który przez szereg lat był członkiem Komisji i żywo interesował się jej pracami.

Prof. Dr. M. Sokołowski przedstawił fotografię ołtarza w Bodzentynie, nadesłaną przez p. St. Zaborowskiego. Jest to śliczny ołtarz rzeźbiony z drzewa niewątpliwie przez tych samych włoskich artystów, którzy dekorowali „perłę renesansu“, kaplicę Zygmuntowską na Wawelu. W ołtarzu tym powtarzają się te same motywy i ornamenty, które zdobią wspomnianą kaplicę a wykonane są z tą samą precyzją i starannością. Następnie Prof. Dr. M. Sokołowski przedstawił i objaśnił odlew gipsowy plakiety Caraglia, będącej własnością muzeum berlińskiego. P. Franciszek Klein mówił o barokowych ko-

ściołach Warszawy. Szesnaście pomników architektury składa się na grupę barokowych kościołów Warszawy. Rozpada się ona na dwie mniejsze. Pierwszą tworzą budowle podłużne, w których można rozróżnić trzy typy. Jeden przedstawia nam typ budowli jednonawowej, z kaplicami po bokach, najwyraźniej występujący w kościele Wizytek a mający bardzo wiele podobieństwa z planem rzymskiego kościoła Santi Apostoli. Do tego typu należy kościół św. Marcina (Augustyanów), św. Ducha (Paulinów) i dwa pomniejsze Reformatów i Kapucynów. Drugi typ przedstawia nam w zasadzie budowlę jednonawową, która niema kaplic we właściwym tego słowa znaczeniu t. j. przestrzeni, tworzącej dla siebie zamkniętą całość, ale tylko płytkie arkadowe wgłębienia dla pomieszczenia bocznych ołtarzy. Tutaj należy kościół Bernardynów i Karmelitanek na Lesznie a także do pewnego stopnia Pijarów. Plan tego typu budowli ma wiele pokrewieństwa z planem kościoła rzymskiego S. Domenico e Sisto, zbudowanego w 1630 r. W trzecim typie kościołów warszawskich widzimy zastosowany plan słynnego kościoła Il Gesu. Głównym reprezentantem tego typu jest kościół św. Józefa (Karmelitów), zbudowany w 1643 r. przez Bellotti'ego. Nie może on jednak równać się pod względem wartości artystycznej z rzymskim pierwowzorem. Pierwszą odmianę tego typu znajdujemy w kościele św. Franciszka i św. Krzyża, które mimoto—tu należą.

Drugą grupę barokowych kościołów Warszawy tworzą budowle centralne. Składa się ona z trzech niewielkich kościołów, które jednak ze względu na ich wartość artystyczną powinny zająć pierwszorzędne miejsce w historii baroka. Grupa ta rozpada się na dwa typy. Do pierwszego należy kościół Sakramentek i kościół w Czerniakowie. Podstawą planu jest krzyż równoramienny. Pierwszeństwo należy przyznać kościołowi P. P. Sakramentek. Tak w koncepcji planu, jak i w jego wykonaniu jest on tworem pełnym wykwintu i elegancji, jaką wniosła do Polski fundatorka, królowa Marysienka. Pierwowzorów tych kościołów należy szukać znowu w Rzymie, mianowicie w kaplicach papieskich przy kościele S. M. Maggiore. Są to kaplice papieża Sykstusa i Pawła V. Drugi typ budowli centralnych streszcza się w kościele Kamedułów na Bielanach, pod Warszawą. Kościół ten jest przykładem baroka niemieckiego a w szczególności wiedeńskiego. Pierwowzorem jego są wiedeńskie kościoły św. Piotra i św. Karola Boromeusza.

Sekretarz Komisji, p. Julian Pagaczewski, streścił komunikat p. Michała Witanowskiego o obrazie Borzymowskiego. Obraz ten, przedstawiający Zwiastowanie, znajduje się w Kozłowie pod Małogoszczą. Jest to predella malowana na drzewie lipowym. Referent udowadnia, że obraz ten — podpisany przez autora, powstał jeszcze w ostatnich latach XVI w. Ciekawo to przyczynę do działalności Borzymowskiego, którą dotychczas znaliśmy tylko ze źródeł archiwalnych.

Następnie p. Julian Pagaczewski podał wiadomość zaczerpniętą z archiwum kościelnickiego a dotyczącą działalności Baltazara Fontany w Polsce. Dotychczas sądzono, że Fontana przybył do Krakowa poraz pierwszy dopiero w 1695 r., t. j. w roku, w którym zaczęto dekorować stiukami kościół św. Anny— tymczasem umowa między Fontaną a Barbarą z Moskorzewa Morsztynową, starościną Kowalską, w sprawie przyozdobienia stiukami kaplicy Morsztynów

w Wieliczce, dowodzi, że B. Fontana już w 1693 r. bawił przez jakiś czas w naszym kraju. Wreszcie p. Julian Pagaczewski przedstawił fotografię obrazu bł. Kadłubka, który znajduje się w kaplicy przy kościele św. Wojciecha w Krakowie. Referent na podstawie analizy porównawczej przypisał ten obraz, w którym widoczny jest wpływ Carla Maratty — Szymonowi Czechowiczowi (1689—1775).

— BIBLIOTEKA ORDYNACYI HR. KRASIŃSKICH. Miesiąc ostatni zaznaczył się obfitym napływem książek i rękopisów do biblioteki Ord. Krasińskich. Na pierwszym miejscu wymienić należy piękny dar, jaki otrzymała biblioteka od wykonawców ostatniej woli ś. p. Józefa Drege'a, znanego w naszym świecie naukowym bibliografa i wybitnego znawcy historii ogrodnictwa w Polsce. Biblioteka jego, jedyna w swoim rodzaju, dosięgła bardzo znacznych rozmiarów, i zawierała pierwszorzędnej rzadkości druki, ryciny i rękopisy z zakresu nauk przyrodniczych i ogrodnictwa. Dział bibliograficzny również bogato był reprezentowany. Główny zrąb tej biblioteki, mianowicie wszystkie rękopisy i dzieła odnoszące się do ogrodnictwa, oraz materiały do bibliografii ogrodniczej polskiej skrzętnie zbierane przez szereg lat przez ś. p. Drege'a, ofiarowane zostały bibliotece Krasińskich. Sumaryczny spis tych zbiorów, złożony zarządowi biblioteki przez ofiarodawców, wykazuje z górą 4,300 pozycyj, a są tam między innymi prawdziwie białe kruki, jak dzieła: Syreniusza, Macieja z Urzędowa i t. p. Na razie cała ta biblioteka umieszczona jest w pakach. Nieodzwone dla pomieszczenia jej szafy już są w robocie i jest nadzieja, że jeszcze przed ferjami letnimi cała biblioteka ustawioną będzie na półki, i wtedy będzie można przystąpić do ścisłego zinwentarowania kolekcyj. Zbiór ś. p. Drege'a pomieszczony będzie oddzielnie; podobnie więc jak biblioteka Józefa Wolffa i Władysława Górskiego, stanowić będzie trwałą pamiątkę pracy naukowej ś. p. Drege'a, którego przedwczesna śmierć nie dała mu możliwości dokończenia całego szeregu rozpoczętych prac bibliograficznych i ogrodniczych.

Pożądanemby było, aby niektóre rozproszone po świecie dzieła, należące niegdyś do biblioteki ś. p. Drege'a do tegoż zbioru kiedyś weszły, celem odtworzenia całości biblioteki tak skrzętnie i z takim zaparciem się zbieranej przez ś. p. Drege'a przez całe życie, pełne trudu i poświęceń w tym kierunku.

Oprócz powyższej biblioteki zbiory Ord. Krasińskich wzbogacone zostały licznymi nabytkami; z tych zacytujemy:

1) Rękopis historyka *Mikołaja Malinowskiego*—(4-o, kart 63) zawierający część jego pamiętników, pisanych po łacinie z czasów pobytu w Petersburgu w 1827 i częstych wówczas stosunków jego z Mickiewiczem. Pamiętnik ten, zawierający przeważnie szczegóły życia prywatnego Malinowskiego, Mickiewicza, Orłowskiego—ma także wartość literacką, ponieważ bowiem cenne wiadomości o improwizacyach Mickiewicza, o cenzurowaniu „Walenroda“ i wogóle zawiera cały szereg drobnych szczegółów, które mogą być przydatne dla naszych historyków literatury.

2) *Siedm dyplomatów odnoszących się do Jędrzejowa* (w Kaliskiem), sławnego ze swego opactwa Cysterskiego, w którym życia dokonał mistrz Wincenty Kadłubek. Są to mianowicie:

- a) 1273 r. 9 kal. Maii. Dyplom biskupa krakowskiego Pawła, poświadczający przywilej Bolesława Wstydlwego i Kunegundy, nadający prawo Magdeburskie dla Jędrzejowa w r. 1271.
- b) 1425 r. 18 sierpnia (Sabb. infra octavas Assumpt. B. M. V.) Władysława Jag., potwierdzenie przywileju Bolesława Wstydlwego z 1271 (z oryginału).
- c) 1440 r. 2 marca (fria 4-o post Ducam Oculi). Władysława III potwierdzenie przywileju Kazimierza Wielkiego z 1336 roku dla opactwa Jędrzejowskiego (przedrukowany w kodeksie Małopolskim str. 245 z późniejszego kopiaryusza Jędrzejowskiego).
- d) 1533 r. Zygmunta I potwierdzenie przywileju Władysława Łokietka z 1308 r. (die 4-o kal. Junii, a nie 6-o jak w kodeksie Małopol. str. 168 — 169) i przywileju tegoż z 1318 (kod. Małopol. str. 185 — 186), oraz nadania Bolesława Wstydlwego z 1271.
- e) 1635 2/III Władysława IV ustanowienie jarmarków w Jędrzejowie.
- f) 1735 26/V Augusta II potwierdzenie przywileju Stefana Batorego z r. 1581, w którym są ingrosowane przywileje dla Jędrzejowa: Zygmunta I z r. 1510 i Zygmunta Augusta z 1553.
- g) 1778 25/VIII Stanisława Augusta potwierdzenie powyższego przywileju Augusta III i włączonych do niego przywilei Zygmunta I, Zygmunta Augusta i Stefana Batorego.

Dyplomaty te nie były dotąd znane wydawcom naszych kodeksów, w oryginałach, znano je tylko z późniejszych i niedokładnych odpisów. Pierwszy wymieniony tu dyplom został przedrukowany przez Fr. Piekosińskiego w kodeksie Małopolskim (str. 101—102), ale z późniejszego kopiaryusza Jędrzejowskiego. Włączone do tego dyplomu nadanie Bolesława Wstydlwego z 1271 r. przedrukowane było przez Helcia w jego rozprawce o klasztorze Jędrzejowskim (Rocznik Tow. Nauk. Krak. T. I, zesz. I, str. 160—166), ale z transumptu 1533 r., wpisanego do Metryki koronnej i nie pozbawionego błędów kopisty. Różnice jakie zachodzą pomiędzy nabytym teraz oryginałem z 1273 są niewielkie, ale godne uwagi przy sporządzeniu regestów lub nowego wydania kodeksu.

Drugi dyplom nie przynosi nic nowego, jest tylko powtórzeniem powyższego nadania Bolesława Wstydlwego o tyle dla nas ważnem, że da możność uzupełnienia braków w oryginale z 1273 r., nie najlepiej zachowanym.

Trzeci dyplom jest ważny z tego względu, że zawiera odpis przywileju Kazimierza Wielkiego z 1336 dla opactwa Jędrzejowskiego dawniejszy, niż ten, z którego korzystano dotąd.

Wszystkie te trzy dyplomy oraz wszystkie inne nadania dla miasta Jędrzejowa uchodziły za zaginione. Z przywileju Zygmunta I z r. 1510, wpisanego do dyplomu Augusta III (ob. wyżej) dowiadujemy się, że w tym roku (1510) mieszczanie Jędrzejowscy uprosili króla o wydanie im nowego przywileju na prawo Magdeburskie, dowodząc, że wszystkie dawniejsze nadania zostały spalone w ostatnim pożarze, jakiemu uległo miasto. Wskutek

tej prośby wysłani byli komisarze dla zbadania sprawy na miejsce i dopiero po ich orzeczeniu Zygmunt I nowe przywileje miastu nadał. W 1533 r. zjawiają się znowu zagubione nadania, które potwierdza Zygmunt I osobnym przywilejem. Dokument ten (z r. 1533) zawiera odpisy przywilejów Łokietka z 1308 i 1318 roku, znowu znacznie dawniejsze niż dotąd znane.

3) *Przywilej pergaminowy z pieczęcią Zygmunta Augusta z 1553 dla miasta Secymina, potwierdzający nadanie Zygmunta I z 1519 roku.*

4) *Dwa rękopisy XV w. a) Kodeks z pierwszej połowy XV w., in 4-to kart 123, oprawny w deski, cały pisany jedną ręką XV w. z wyjątkiem ostatnich dwu kart, gdzie są dopiski późniejsze (z pocz. XVI w. treści teologicz.). Brak zapewne początkowej karty z tytułem rękopisu; na pierwszej, dochoowanej w rękopisie, jest część końcowa przywileju biskupa poznańskiego, Stanisława Ciołka (zm. 1438 r.), którym to przywilejem biskup poleca całej swojej diecezji, a w szczególności duchowieństwu, trzy traktaty, napisane przez Mikołaja z Błonia, magistra i kapelana swego. (... Praesentem tractatum de administrandis rite ecclesiasticis sacramentis, celebrandisque missarum solennis et se censuris Ecclesiasticis canonice observandis per venerabilem virum Magistrum Nicolaum de Blo-e decretorum doctorem Capellanum nostrum devotum fideliter collectum...) W końcu rzezonego przywileju, biskup poznański rozkazuje duchowieństwu, aby się stosowało do zawartych w tych traktatach prawideł pod rygorem kar synodalnych (poenam synodalem irremissibiliter persolvendam...). Cały rękopis dzieli się na trzy części: w pierwszej znajdujemy traktat „de Sacramentis“ k. 1-sza do k. 64, w drugiej traktat „de celebratione missae“ k. 64 do k. 93, w trzeciej traktat „de Censuris ecclesiasticis“ k. 93 do k. 122.*

Dzieło to, będące jedną z ważniejszych prac Mikołaja z Błonia, wydaniem było wielokrotnie. Znane są wydania XV wieku, z lat: 1487, 1488, 1490, 1492, 1494, 1499. Oryginał rękopisu miał się znajdować w bibliotece Dominikanów krakowskich jeszcze w końcu XVIII w. (Wiszniewski V, 72). Być może, że egzemplarz, nabyty obecnie do bibl. Krasieńskich, jest tym samym, bo znajdujemy na nim dopisek XVI w.: „Pro Conventu Kracoviensi,“ a papier i piśmo rękopisu każą go odnieść do pierwszej połowy XV w.

b) Rękopis z połowy XV w. in 4-o kart 275, oprawny w skórę gładką z okuciami XV wieku. Na okładce ręką XV w. Libellus valde pulcher Andree de Przandeczyne... perutilis.“ ręką XVI w. „Mathias Skrzyń E go qui soleo alienorum castra penetrare non tanquam trausfuga sed bonus explorator.“ Ręką XVII w. Ex Bibliotheca St. Crucis in Calv. Monte 1694. Na spodniej okładce notatki ręką XV w. „1473 Capistranus Crac. benedict.—1471. Cometes.—1470 Ruina scole Stae Anne.“

Rękopis pisany jest trzema rękami XV w. Część pierwsza: ręką A od k. 1 do k. 132, i ręką B k. 133—156. Część ta zawiera traktat o stworzeniu człowieka i o grzechach. Na k. 149 „hoc opus est finitum XIII Marcii Anno Domini Milesimo quadringentesimo LXII“ (1462). Poczem następuje dokładny rejestr k. 150—158. Na k. 158—162. Legenda o św. Aleksym i Euphaminie wierszem łacińskim.— Na k. 166 ręką trzecią C. zaczyna się w układzie alfabetycznym interpretacja nowego i starego testamentu, kończąca się na k. 266 słowami:

Finis est libri super distinctiones exemplorum Novi et Veteris Testamenti abbreviatas et eductas ad diversas materias secundum ordinem alphabeti per Fratrem Gvidum de Senis ordinis fratrum heremitarum Sancti Augustini. Et hoc opus est scriptum sub anno Domini millesimo quadricentesimo sexagesimo secundo... (1462)...

Na k. 267—275 inną, późniejszą zapewne ręką krótki traktacik: „De Cena Dni.“ Kilka kart w środku rękopisu wyszarpiętych.

Fr. Pułaski.

BIBLIOGRAFIA.

HISTORIA.

CHODYNICKI HENRYK: Sejmiki ziem ruskich w wieku XV. (Studia nad historią prawa polskiego, wydawane pod redakcją Oswalda Balzera). Tom III, zeszyt I. Lwów, 1907. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 119.

KOŚCIŃSKI KONSTANTY: Człuchów. Obraz historyczno statystyczny z przeszłości Pomorza. Skreślił... Odbitka z rocznika XIV Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Toruń, 1907. Kraków, Gebethner i Sp. 8-o, str. 166.

KOZŁOWSKI WŁ. M.: Autonomia Królestwa Polskiego (1815—1832). Warszawa, 1907. Skł. głów. E. Wende i Sp. 8-o, str. 277.

LESZCZYC KAZIMIERZ: Herby szlachty polskiej. Zeszyt 3. Poznań, 1907. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp. St. 29—44 + tabl. X—XII.

RADLIŃSKI IGNACY: Na przelomie dziejowym. Początki piśmiennictwa judaistyczno-chrześcijańskiego. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. G. Centnerszvera i Sp. 8-o, str. 158.

RĘCZYŃSKI JERZY: Moja wojaczka 1825—1831. Z notatek, szkiców i wspomnień... ułożył Władysław Chodźkiewicz. Lwów, 1908. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, str. 134 + IV.

HISTORIA LITERATURY.

BAUMFELD ANDRZEJ: Andrzej Towiański i Towianizm. Zarys chwili i postaci. Kraków, 1908. Nakł. księg. D. E. Friedleina. 8-o, str. 73 + VI.

SZYJKOWSKI MARYAN, DR.: Génie du Christianisme a prądy umysłowe w Polsce porozbiorowej. Lwów, 1908. U Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, str. VIII + 222.

TRETIAK JÓZEF: Goethe i Hakata. Kraków, 1908. Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 16.

POWIEŚĆ. — POEZYZA.

BAKOWSKI KLEMENS: Opowieść IMCI Pana Dymka, żaka i pisarza cechowego. Kraków, 1908. Nakł. autora. 8-o, str. 141.

BLIŹIŃSKI JÓZEF: Rozbitki. Komedya w czterech aktach. Lwów, 1908. Nakł. H. Altenberga. 8-o, str. 62.

BRZÓZKA GRZEGORZ: Sara. Powieść współczesna. Płock, 1908. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 174.

CARO LEOPOLD: Nowe drogi. Z przedmową ks. arcybiskupa Teodorowicza. 8-o, str. VIII + 171.

FREDRO ALEKSANDER, HR.: Dożywocie. Komedya w trzech aktach wierszem. Lwów-Złoczów, 1908. Nakł. księg. W. Zukerkandla. 8-o, str. 88.

— Zemsta. Komedya w 4-ch aktach, wierszem. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Jan Michalski. Warszawa, 1908. Książ. dla wszystkich № 389. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 122.

GAWALEWICZ MARYAN: Bez celu. Powieść na tle społecznem naszych czasów. Warszawa, 1908. Skł. gł. w księg. Fiszera. 8-o, t. I str. 226 + t. II str. 202.

GLADA JÓZEF: Sergiusz Wasilewicz Gardow. Powieść współczesna w dwóch tomach. Wyd. drugie. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 294.

IBSEN HENRYK: Hedda Gabler. Sztuka w 4-ch aktach. Przekład Karhal. Lwów-Złoczów, 1908. Nakł. księg. W. Zukerkandla. 8-o, str. 99.

JEDNODNIÓWKA. Sanatorium Dłuskiego. Kraków, 1908. 4-o, str. 47.

KONOPNICKA MARYA: Prometeusz i Syzyf. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 62.

— Wybór poezyi. Wydanie III. Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 16-o, str. 400.

KRASICKI IGNACY: Pan Podstoli. Lwów-Złoczów, 1908. Nakł. księg. W. Zukerkandla. 8-o, str. 482.

KRZYŻANOWSKI ANATOL: Pasierby, powieść na tle współczesnem, poprzedzona słowem wstępem Henryka Sienkiewicza. Kraków, 1907. Spół. Wyd. Polska. 8-o, str. 308.

POL WINCENTY: Mohort. Rapsod rycerski. Ze wstępem i objaśnieniami Kazimierza Króla. Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Wybór pis. pol. dla domu i szkoły, № 9. 8-o, str. 148.

SEWER (Ignacy Maciejowski): Lusia Burlak. Nowela na tle najprawdziwszych faktów osnuta. Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Bibl. Uniw. ludowych № 61. 8-o, str. 74.

SIENKIEWICZ HENRYK: Pisma t. XXXI/XXXVI. Krzyżacy. Wydanie trzecie. Warszawa, 1908. Nakład i własność Wydawców. Gebethner i Wolff. 8-o, t. I str. 338; t. II str. 268; t. III str. 339; t. IV str. 357.

SIENKIEWICZ HENRYK: Pod Zbarażem. Z powieści „Potop.“ Warszawa, 1908. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 80.

SIENKIEWICZ HEINRICH: Gesammelte Werke. 8 Bd. Die Familie Polaniecki. Roman. Deutsch von Klara Hillebrand. Mit Einleitung. Mit 8 Vollbildern v. B. Konrad. Graz. Styria, 1907. 8-o, str. VII+1069.

STRUG ANDRZEJ: Ludzie podziemni. Serya I. Lwów, 1908. Pol. Tow. nakł. Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 313.

SZEKSPIR: Hamlet królewicz duński. Przekład Józefa Paszkowskiego. Lwów-Złoczów, 1908. Nakł. księg. W. Zukerkandla. 8-o, str. 139.

WYSPIAŃSKI STANISŁAW: Lelewel. Dramat w 5 aktach. Wydanie drugie pozgonne. Kraków, 1908. Księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 89.

ZABŁOCKI FRANCISZEK: Fircyk w zalotach. Komedya w 3-ch aktach. Według tekstu Gröllowskiego, opracował Bronisław Kąsinowski. Brody, 1907. Nakł. księg. Feliksa Westa. 8-o, str. 120.

NAUKI PRZYRODNICZE. — MEDYCYNA.

GORCZYŃSKI LADISLAUS, Docteur ès Sciences: Sur la marche annuelle de l'intensité du rayonnement solaire à Varsovie et sur la théorie des appareils employés. D'après les mesures faites à la Station centrale Météorologique de Varsovie pendant les années 1901—1905. Edition française, traduite en polonais. 1906. Edition publique sous les auspices du Bureau Météorologique du véseau de Varsovie. Dépôt de Mm. E. Wende et. C-ie, librairies à Varsovie.

JORDAN HENRYK, DR.: Nauka o położnictwie dla użytku uczniów i lekarzy. Napisana przez... Prof. położnictwa i ginekologii w Uniw. Jag. i Dr. Stanisława Dobrowolskiego, pryw. doc. położnictwa i ginekologii w Uniw. Jag. i z. prof. c. k. Szkoły położnych w Krakowie. Z portretem ś. p. Prof. Edwarda Korczyńskiego. Kraków, 1908. Wyd. dzieł lekarskich polskich im. Edw. Korczyńskiego. 8-o, str. 1 nlb.+914.

LEWIŃSKI JAN: Utwory jurajskie t. zw. „pasma Sulejowskiego.“ Kraków, 1908. Nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 26.

ŁASKI WINCENTY, DR.: Podręcznik anatomii człowieka i zwierząt. Ze-stawienie w oświetleniu fizyologii i histologii. Opracował podług D-rów Vogla, Müllenhoffa i Büschera... Kurs V oraz dodatek. Ze 124 rysunkami w tekście i atlasikiem anatomicznym. Tablic 44. Warszawa, 1908. Nakł. księg. L. Fischera. 8-o, str. 153.